Eugeniusz

Kwiatkowski



Dysproporcje

Polska myśl polityczna

Czytelnik

Eugeniusz Kwiatkowski
Dysproporcje

Polska myśl polityczna

Eugeniusz

Kwiatkowski

Dysproporcje
Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej

Opracował oraz wstępem poprzedził
Andrzej Garlicki

Czytelnik • Warszawa 1989

Opracowanie graficzne
Jan Bokiewicz

ISBN 83-07-01311-9

Dylematy polityka

Eugeniusz Kwiatkowski urodził się w Krakowie 30 grudnia 1888 r. O jego dzieciństwie i latach młodzieńczych wiemy bardzo mało. W czasie studiów w Politechnice Lwowskiej związał się z ruchem zarzewiackim. Jego nazwa wywodziła się od pisma „Zarzewie", którego pierwszy — okazowy numer — ukazał się w listopadzie—grudniu 1909 r. Powstanie pisma było rezultatem procesów politycznych zachodzących w środowiskach młodzieży związanej z tzw. obozem narodowym.

By zrozumieć te procesy, konieczny jest najogólniejszy choćby zarys dziejów Związku Młodzieży Polskiej, popularnie zwanego „Zetem". Powstał on późną jesienią 1886 r. z inicjatywy pisarza, uczestnika Wiosny Ludów i powstania styczniowego — pułkownika Zygmunta Miłkowskiego (Tomasza Teodora Jeża), przy czynnym udziale ówczesnego socjalisty, później narodowca — Zygmunta Balickiego, z patriotycznych i socjalistycznych kółek młodzieży akademickiej w Warszawie.

„Zet" był organizacją elitarną, trójstopniową („eksterni", „towarzysze", „bracia"), związaną poprzez Jana Ludwika Popławskiego i Józefa Karola Potockiego z ukazującym się w Warszawie „Głosem" i skupiającą młodzież o zapatrywaniach zarówno demokratycznych, jak i socjalistycznych. W kraju działał tajnie — wśród młodzieży akademickiej w Warszawie, Krakowie i Puławach oraz w Rosji na uniwersytetach w Petersburgu i Kijowie. Na emigracji — legalnie, jako Zjednoczenie Towarzystw Młodzieży Polskiej Zagranicą. Broszura T. T. Jeża *Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym* (Paryż 1887), głosząca konieczność stworzenia tajnego rządu polskiego i poprowadzenia orężnej walki o niepodległość, stała się pro-

gramem „Zetu" i powstałej w 1887 r. Ligi Polskiej, której „Zet" się podporządkował.

W tym kształcie ideowym i organizacyjnym „Zet" przetrwał zaledwie kilka lat. W 1893 r. Roman Dmowski, przy pomocy Balickiego i Popławskiego, dokonał swego rodzaju zamachu stanu przekształcając Ligę Polską w Ligę Narodową i powołując jej Komitet Centralny w Warszawie. Były to zmiany nie tylko organizacyjne, mające na celu usprawnienie działalności, ale świadczyły o ideowej krystalizacji dość amorficznego dotąd środowiska narodowego. Właśnie owa krystalizacja ideowa, powodująca odchodzenie z „Zetu" części członków, w połączeniu z falą aresztowań doprowadziły w 1894 r. do zaniku działalności organizacji.

W rok później, w czerwcu 1895 r., z inicjatywy Dmowskiego zwołano w zaborze rosyjskim zjazd młodzieży uniwersyteckiej, który przyjął nowy program. Odrzucono socjalistyczną frazeologię. Hasła patriotyczne zawierały już wyraźne elementy nacjonalizmu, a program „obrony czynnej" zastąpiony został „obroną bierną". Nowy „Zet" różnił się od poprzedniego również i strukturą organizacyjną. Istniały tylko dwa stopnie wtajemniczenia: „koledzy" i „bracia". Na czele organizacji stała trzyosobowa centralizacja, której członkowie automatycznie przyjmowani byli do Ligi Narodowej.

W 1900 r. „zetowcy" założyli podległą sobie tajną organizację młodzieży gimnazjalnej. Początkowe nazwy „X" i „Czerwona Róża" zmienione zostały w Królestwie, Galicji i na terenie tzw. ziem zabranych na „Przyszłość" (popularnie używano nazwy „Pet"). W Poznańskiem organizacje gimnazjalne przybrały ok. 1907/1908 roku nazwę Towarzystwo Tomasza Zana.

Po 1900 r. „Zet" rozszerzył znacznie swój zasięg oddziaływania. Poprzez podległe mu koła samokształceniowe, rozbudowane szczególnie w Królestwie, wciągnął w orbitę swych wpływów nie zorganizowaną młodzież gimnazjalną; poprzez powstały z jego inicjatywy Związek im. Jana Kilińskiego dotarł do młodzieży rzemieślniczej i młodzieży szkół przygotowujących do zawodu; poprzez Towarzystwo

Oświaty Narodowej do młodzieży wiejskiej i szkół ludowych. W Galicji jawną ekspozyturą „Zetu" była początkowo „Młodość", potem „Zjednoczenie", w polskich akademickich koloniach na emigracji wspomniane już Zjednoczenie Towarzystw Młodzieży Polskiej Zagranicą. „Zet" miał ponadto wpływy w licznych organizacjach samopomocowych w Królestwie, w Cesarstwie, w Galicji i na emigracji.

Działał pod kierownictwem Ligi Narodowej, co nie oznaczało jednak — jak pokazały to lata najbliższe — pełnej tożsamości ideowej. Katalizatorem ujawniającym owe rozbieżności stała się rewolucja lat 1905—1907. Już pierwsze reakcje „Zetu" i Ligi Narodowej na petersburską „krwawą niedzielę" były odmienne. Liga, w odezwie z 5 lutego 1905 r., nawoływała do spokoju, „Zet" do strajku szkolnego w imię haseł od lat już przez Ligę odrzuconych. Wbrew decyzji Komitetu Centralnego Ligi Narodowej warszawskie Koło Braterskie „Zetu" poparło strajk szkolny w Królestwie, choć przeciwne było rewolucji. Ze stanowiskiem tym solidaryzowali się członkowie „Zetu" w Galicji. „Zet" i „Pet" były głównymi rzecznikami bojkotu rosyjskich szkół rządowych i wyższych uczelni w Królestwie.

W 1907 r. na zjeździe Kół Braterskich „Zetu" w Krakowie działalność Ligi Narodowej na polu młodzieżowym poddana została ostrej krytyce. W rezultacie podjęto uchwałę o zerwaniu stosunków zależności pomiędzy Ligą a „Zetem". Uchwała ta nabrać jednak miała mocy dopiero w wypadku potwierdzenia jej przez trzy kolejne zjazdy Kół Braterskich. Formalne więc zerwanie „Zetu" z Ligą nastąpiło dopiero w 1909 r. Rozbieżności ujawnione w sprawie stosunku do strajku szkolnego okazały się bowiem natury podstawowej. „Zet", jak zresztą i część innych środowisk związanych z Ligą, nie akceptował ewolucji programowej Ligi. Odrzucał propagowaną przez Ligę koncepcję neoslawizmu, czyli ideę zbliżenia narodów słowiańskich pod patronatem caratu, odrzucał koncepcję poszukiwania porozumienia z caratem. Nie był w tym osamotniony. Również Narodowy Związek Robotniczy zrywa

w tym czasie związki z Ligą Narodową. I w jej łonie także krystalizuje się opozycja, która doprowadzi do rozłamu i odejścia z Ligi Narodowej tzw. secesji.

W takiej sytuacji ukazał się, w końcu 1909 r., wspomniany już pierwszy numer „Zarzewia". W następnym roku opublikowano ich dwanaście. „Zarzewiacy" nawiązywali do programu Ligi Polskiej. Chcieli budować w podziemiu państwo polskie i w konspiracji organizować jego agendy. Przede wszystkim wojsko. Ale również wychowywać przyszłych działaczy państwowych i przygotowywać powołanie rządu narodowego. W latach wojen bałkańskich zarysowała się możliwość rozwiązania sprawy polskiej w drodze konfliktu zbrojnego między zaborcami. „Zarzewiacy" usiłowali wypracować własną koncepcję odrodzenia państwa polskiego bez oparcia o zaborców, czyli odrzucając tzw. program orientacyjny.

Nie chcieli, po doświadczeniach z Ligą Narodową, wiązać się z partiami politycznymi. Stanowili środowisko przesiąknięte ideami walki o niepodległość i ideami demokratycznymi. O bardzo silnym poczuciu wartości etycznych. Ale też i nader mgławicowym programie politycznym.

Choć brzmi to paradoksalnie, środowiska tego typu wiążą więzi szczególnie silne i szczególnie długotrwałe. Może dlatego, że są one niejako z natury rzeczy impregnowane wobec przeciążeń wynikających z doraźnych zmian sytuacji politycznej. Mgławicowość programu politycznego powoduje, że spory wokół taktyki politycznej z reguły nie prowadzą do rozbicia środowiska. Jego członków cechuje dość znaczna autonomia w podejmowaniu decyzji politycznych. Dodajmy, że „zarzewiacy", w przeciwieństwie do obozu narodowego (Dmowski) czy niepodległościowego (Piłsudski), nie posiadali przywódcy personifikującego grupę. Uznany przywódca może bowiem skutecznie kompensować brak skonkretyzowanego programu politycznego. W środowisku „zarzewiackim" do roli przywódczej pretendował Feliks Młynarski. Nigdy jednak pozycji tej nie osiągnął.

Eugeniusz Kwiatkowski rozpoczynał siedemnasty rok,

gdy wybuchła rewolucja rosyjska. Czy już wówczas, w galicyjskiej szkole, zetknął się ze zorganizowaną działalnością polityczną, czy stało się to dopiero, gdy podjął studia chemiczne w Politechnice Lwowskiej? W roku akademickim 1909/1910 był już członkiem Polskiego Związku Wojskowego i przewodniczył grupie „zarzewiackiej" Politechniki Lwowskiej. Z tego okresu datuje się jego przyjaźń z Józefem Kożuchowskim, jednym z twórców „Zarzewia" i Polskiego Związku Wojskowego, przekształconego wkrótce w tajną Armię Polską, której legalną emanacją były Polskie Drużyny Strzeleckie. Wraz z Kożuchowskim przenosi się do Monachium, gdzie studiuje chemię.

W drugiej połowie 1910 r. na krakowskim zjeździe „Zarzewia" powołano tajną Legię Niepodległości kierującą akcją polityczną i wojskową środowisk „zarzewiackich". Kwiatkowski został członkiem Delegacji Okręgowej w Monachium.

W 1913 r. Kożuchowski — mieszkający już w Lublinie — ściąga tu Kwiatkowskiego, który zostaje wicedyrektorem w prywatnej gazowni Bańkowskiego [1].

Wybuch I wojny światowej staje się przyczyną faktycznego rozłamu w ruchu „zarzewiackim". W Galicji wyraziło się to rozbiciem Legionu Wschodniego, w Królestwie wydaniem lubelskiej odezwy Grupy Starszych „Zarzewiaków" (Józef Kożuchowski, Wacław Gajewski, Ryszard Wojdaliński, Jan Durys) i wstąpieniem jej przywódców do Ligi Narodowej [2]. Po stronie aktywistycznej zapisać zaś można rozkaz Mariana Januszajtisa z 31 lipca 1914 r., jako Komendanta Naczelnego Polskich Drużyn Strzeleckich, po-

---

[1] Kazimierz Smogorzewski w artykule o Kwiatkowskim („Zeszyty Historyczne" nr 33, s. 44—54, Paryż 1975) podaje błędnie, że Kwiatkowski objął stanowisko dyrektora gazowni, „[...] co w pewnym sensie świadczyło o liberalizmie carskiej administracji, bowiem Kwiatkowski był w jej oczach innostrancem" (s. 46).

[2] *Zarzewie 1909—1920. Wspomnienia i materiały*. Wybór dokumentów i przypisy A. Garlicka, Warszawa 1973, s. 134.

lecający bezwzględne podporządkowanie się Józefowi Piłsudskiemu. Znaczna część „drużyniaków" nie będących poddanymi austriackimi wstąpiła do Legionów. W Królestwie za koncepcją legionową opowiedziało się — z nielicznymi wyjątkami — warszawskie środowisko „zarzewiackie", określające autorów odezwy lubelskiej „pseudozarzewiakami". Rozłam był więc głęboki i dotyczył kwestii w owym czasie podstawowej: co i jak czynić wobec wybuchu wojny?

W miarę jednak trwania wojny, w zmieniającej się sytuacji politycznej, w pewnym sensie zacierała się ostrość tych podziałów. Bieg wydarzeń plątał racje obu stron i stwarzał możliwości nawiązywania zerwanych kontaktów. To właśnie spowodowało, że w niepodległej Polsce środowisko „zarzewiackie", mimo bardzo różnych kolei politycznych losów jego członków, zachowało jednak wzajemne więzi. I to nie tylko dlatego, że młodzieńcze przyjaźnie przetrwały burze polityczne, że wspomnienia dawnej wspólnoty okazały się wystarczająco silne, ale przede wszystkim dlatego, że program ideowy „zarzewiaków" okazał się na tyle pojemny, że skutecznie wchłaniał różnice polityczne.

Środowisko „zarzewiackie" ukształtowało Kwiatkowskiego i stanowiło dlań istotne oparcie w karierze politycznej. Przyjaźnie wówczas nawiązane odgrywały rolę w latach następnych mimo istotnych często różnic politycznych.

Kwiatkowski nie zaangażował się w działania lubelskiej grupy „zarzewiaków", których świadectwem była wspomniana już odezwa. W 1916 r. wstąpił do Legionów. W mundurze — później także Wojska Polskiego — pozostawał do 1920 r. Armię opuszcza w stopniu podporucznika. Osiada w Warszawie podejmując pracę w Politechnice Warszawskiej na stanowisku docenta. Pracuje wówczas nad ogłoszoną w 1923 r. rozprawą *Zagadnienia przemysłu chemicznego na tle wielkiej wojny*. Gdy rzecz się ukazała, Kwiatkowski był dyrektorem technicznym Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Chorzowie.

„W kwietniu 1923 r. — wspomina Ignacy Mościcki —

udało mi się pozyskać dla wytwórni chorzowskiej inżyniera Eugeniusza Kwiatkowskiego jako dyrektora technicznego. Swoją współpracą tak mnie odciążył, że już po niedługim czasie mogłem swoje zajęcia dzielić po połowie między Chorzowem a Politechniką Lwowską"[3].

Trzy lata bliskiej współpracy z Ignacym Mościckim zaważyły w sposób decydujący na dalszych losach Kwiatkowskiego. Gdy po przewrocie majowym Mościcki został prezydentem, Kwiatkowski z jego rekomendacji objął 8 czerwca 1926 r. tekę przemysłu i handlu w drugim rządzie Bartla. Dzierżył ją do grudnia 1930 r. w siedmiu kolejnych gabinetach. Wszedł do rządu jako „człowiek Mościckiego", postać na politycznym firmamencie nie znana. Gdy w końcu 1930 r. odchodził z rządu, nazwisko jego, nierozerwalnie związane z budową Gdyni, sukcesem Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu, znane było w całym kraju.

„Minister Kwiatkowski — wspomina Mościcki — przeszedł wszelkie moje oczekiwania na swoim stanowisku. Oprócz znacznego ożywienia wszystkich działów pracy jego resortu, stworzył wielki nowoczesny port w Gdyni. Z małej wioszczyny powstało duże stutysięczne miasto z rozległym portem, z urządzeniami najbardziej nowoczesnymi. A tempo budowlane, jakie potrafił nadać w naszych trudnych warunkach, było tak potężne, że przewyższało nawet przysłowiowe tempo amerykańskie; toteż w miejsce pojęcia tempa amerykańskiego przyjęto w Polsce «tempo gdyńskie». Udział jego w pracy nad powstaniem i rozwojem Gdyni był taki wielki, a energia wkładaną przez niego w to dzieło tak widoczna, że powszechnie uznawano ministra Kwiatkowskiego jako twórcę Gdyni. Bardzo charakterystycznie wypowiedział się o tym Piłsudski na jednym z posiedzeń Rady Ministrów: «Patrzcie, to trzeba być takim wariatem jak Kwiatkowski, żeby móc stworzyć w tak krótkim czasie Gdynię». W tej formie wyraził wielkie uznanie ministrowi Kwiatkowskiemu.

---

[3] I. Mościcki, *Autobiografia*, „Niepodległość" t. XIV (po wznowieniu), Nowy Jork—Londyn 1981, s. 74.

Piłsudski wyrobił sobie jednak niesłuszny sąd, że Kwiatkowski jako minister przemysłu i handlu skoncentrował się tylko na tym jednym temacie pracy. Ja zaś, któremu Kwiatkowski w tygodniowych odstępach czasu referował bardzo wyczerpująco posunięcia w swoim resorcie, widziałem, że jego zainteresowania tym, co się dzieje w Polsce, były bardzo szerokie; wykazywał zawsze duże zainteresowanie pracami innych resortów gospodarczych i zajmował w stosunku do nich stanowisko pełne rozumienia ich potrzeb. W tym celu starał się harmonizować poczynania swojego resortu z poczynaniami innych gospodarczych ministrów, a więc interesował się szczególnie ważnym w Polsce Ministerstwem Rolnictwa, wnikał w pracę Ministerstwa Skarbu i innych. A wiedziałem, że tego rodzaju ustosunkowanie do prac innych ministrów nie było powszechne, przeważnie bowiem każdy z nich pilnował wyłącznie swego resortu; stanowisko takie wywołało niejednokrotnie kolizje w stosunku do innych resortów"[4].

Niewątpliwe sukcesy na stanowisku ministra przemysłu i handlu zawdzięczał Kwiatkowski wyjątkowo korzystnej sytuacji gospodarczej w pierwszych latach sprawowania przezeń urzędu. Były to lata znakomitej koniunktury, w warunkach polskich spotęgowanej wzrostem zapotrzebowania na węgiel, spowodowanym długotrwałym strajkiem górników brytyjskich. Załamanie gospodarcze nastąpi dopiero pod koniec 1929 r. Kwiatkowski potrafił wykorzystać te warunki inwestując mądrze, a przede wszystkim dbając o tempo realizacji programu inwestycyjnego.

Nie tylko jednak korzystne warunki zewnętrzne, ale również i cechy osobiste Kwiatkowskiego przyczyniły się do sukcesów. „Podziwiałem zawsze — wspomina Janusz Rakowski, jeden z najbliższych jego współpracowników — żelazną wolę Kwiatkowskiego. Nastawiony całkowicie na pracę publiczną, prowadząc niezwykle skromny i rodzinny tryb życia, umiał wyzbywać się przyjemności i odsuwać od siebie wszystko, co w jakikolwiek sposób mogłoby osłabić zdolność jego do codziennej, kilkunastogodzinnej pra-

---

[4] Ibidem, s. 81—82.

cy. Już w parę dni po powrocie w październiku 1935 roku do Rządu na stanowisko ministra skarbu i wicepremiera zaprzestał palenia papierosów definitywnie. Nie znał gry w karty, obce mu były kawiarnie i restauracje. Dla odprężenia wyjeżdżał czasem za miasto na spacery, w których mu niekiedy towarzyszyłem. Regulowanie spraw osobistych pozostawiał oddanemu mu sekretarzowi, Jerzemu Barańskiemu, który sekretarzował mu już, gdy był Ministrem Przemysłu i Handlu w latach 1926—1930 i którego przeniósł z tego ministerstwa zaraz po objęciu funkcji ministra skarbu. Interesując się żywo każdym przejawem życia politycznego i gospodarczego, nawet w dniach najcięższej pracy, zawsze znajdował, często kosztem niedospanej nocy, czas na czytanie gazet i interesujących go książek. Ten twardy, systematyczny, niemal ascetyczny tryb życia podtrzymywał niewątpliwie jego zdolność do pracy, wówczas gdy organizm załamywał się fizycznie. Kilkakrotnie podziwialiśmy go, gdy żywiąc się tylko herbatą, sucharkami i kleikiem, pracował normalnie z tą samą energią i wydajnością, jak w okresach dobrego zdrowia.

To była też tajemnica jego powodzeń w pracy publicznej. Ludzie, którzy go znali, jak i ci, którzy nie widzieli go nigdy, instynktownie wyczuwali w nim nie tylko wiecznie żywy, konstruktywny umysł i nie tylko zdolności realizacyjne powziętych koncepcji polityczno-gospodarczych, którym Kwiatkowski umiał zawsze nadać plastyczną formę jako świetny mówca i publicysta, lecz również cenili w nim tę skromność osobistego życia, jednakową na każdym zajmowanym stanowisku" [1].

---

[1] J. Rakowski, *Diariusz wrześniowego dramatu* („Zeszyty Historyczne" nr 39, s. 77, Paryż 1977). W rozmowie ze Stefanem Henelem młodsza córka Kwiatkowskiego (Ewa Obrąpalska) wspomina: „Był imponująco zdyscyplinowany. Wiedział zawsze, co musi zrobić dziś, a co jutro, i robił to. Argumenty w rodzaju: «Tatusiu, jesteś już dziś zmęczony. Odpocznij. Zrobisz to jutro» — nie miały wobec niego żadnej mocy perswazji. Zwolnić go mogło tylko jedno: wykonana praca. Nawet w okresie naszego internowania w Rumunii, gdzie nauczył się (od podstaw) francuskiego i gdzie napisał swoją *Historię go-*

Przyczyny odejścia Kwiatkowskiego z rządu nie są jasne. Władysław Pobóg-Malinowski, którego zdanie przywołują prawie wszyscy, napisał: „Piłsudski uważał go za świetnego organizatora takich akcji, jak Chorzów, Gdynia czy Mościce, odmawiał mu jednak zdolności do działań w państwowej skali i gospodarcze jego tezy nazywał «absurdami». Wiedział też Piłsudski, iż Prezydent za bardzo ulega wpływom Kwiatkowskiego i wpływy te oceniał jako szkodliwe. W sierpniu 1930 r., w przededniu Brześcia, wybuchnął Piłsudski gniewem na Kwiatkowskiego za jego za daleko idące «flirty» z opozycją. Stało się to jednym z głównych powodów do usunięcia Kwiatkowskiego z rządu. Prezydent po roku 1930 parokrotnie próbował wprowadzić znowu Kwiatkowskiego do rządu, cofał się jednak, gdyż ze strony Piłsudskiego spotykał się w tych wypadkach tylko z milczeniem przy gniewnym ściągnięciu brwi. Sam Prezydent w pamiętniku swym napisze z czasem, iż wystąpiwszy z wnioskiem o tekę ministerialną dla Kwiatkowskiego «spotkał się z tak zdecydowanym brakiem zaufania Piłsudskiego do finansowych kwalifikacji» Kwiatkowskiego, iż «nie próbował nawet szerzej uzasadnić swej

---

spodarczą świata gromadząc materiały również do innych dysertacji, ani na jeden dzień nie odstąpił od swego normalnego rytmu pracy. Wstawał zawsze o ósmej. Lubił długo siedzieć w łazience. Golenie, kąpiel — to były chwile relaksu. I niedzielne spacery, kiedy zabierał nas za miasto — do Wilanowa, pod Czersk, do Kampinosu lub gdzie indziej. Lubił chodzić pieszo; chodził szybko, a te spacery z nim to była dla nas dzieci krótka chwila bliskiego kontaktu z ojcem, rozmów o naszych sprawach. Wracał do domu z ministerstwa zazwyczaj około godz. 17—18 lub jeszcze później. Kładł się na 10 minut i natychmiast zasypiał. Budził się rzeczywiście po kwadransie, sam, i wtedy albo jadł obiad, albo — gdy był czymś zdenerwowany — prosił, aby mu podać dwa jajka na miękko i herbatę. Potem szedł do gabinetu i pracował do późna w nocy lub ponownie wracał do ministerstwa, co było równoznaczne z powrotem do domu również w nocy. W najczynniejszym okresie swego życia sypiał więc chyba niedużo". („Polityka" nr 20 z 17 maja 1975).

inicjatywy». Prezydentowi się zdawało, iż na Marszałka działają «wpływy» niechętne Kwiatkowskiemu" [6].

Stwierdzeniom Poboga-Malinowskiego przeczą notatki Kazimierza Świtalskiego z konferencji u prezydenta w dniu 18 listopada 1930 r., w której wzięli również udział Piłsudski, Sławek i Beck. Była to pierwsza po wyborach 1930 r. konferencja, na której Piłsudski ustalał personalia w przededniu dymisji gabinetu i swego wyjazdu na Maderę. Świtalski zanotował: „Komendant brał pod uwagę przy zmianie gabinetu pozostawienie Kwiatkowskiego, którego Komendant ceni i który wyrobił sobie dobry prestige w sferach zagranicznych. Poza tym zarówno u Kwiatkowskiego, jak i u Cara budżet został dobrze przerobiony" [7].

Nie wydaje się też prawdopodobne, by w sierpniu 1930 r. doszło do konfliktu Piłsudskiego z Kwiatkowskim na tle

---

[6] W. Pobóg-Malinowski, *Najnowsza historia polityczna Polski*, t. II: *1914—1939*, Londyn 1967, s. 776. Pogląd Poboga-Malinowskiego podzielają: Jacek Czajkowski i Jacek Majchrowski w artykule o Kwiatkowskim w „Tygodniku Powszechnym" (nr 37 z 15 września 1974 r.) podając błędnie, że Kwiatkowski odszedł z rządu „w przededniu Brześcia"; Kazimierz Smogorzewski w cytowanym artykule w „Zeszytach Historycznych"; Janusz Rakowski w artykule *Polityka finansowa Eugeniusza Kwiatkowskiego* („Niepodległość" t. XI po wznowieniu, Londyn—Nowy Jork 1978, s. 108—109); i Marek Marian Drozdowski w artykule o Kwiatkowskim opublikowanym w „Polityce" (nr 36 z 7 września 1974 r.). We wcześniejszych tekstach Drozdowski pisał, że Kwiatkowski po Brześciu zrezygnował z funkcji (*Polityka gospodarcza rządu polskiego 1936—1939*, Warszawa 1963, s. 47) oraz, że „Kwiatkowski ustąpieniem z rządu manifestował zastrzeżenia wobec metod walki z opozycją" (*Społeczeństwo, państwo i politycy II Rzeczypospolitej*, Kraków 1972, s. 216). Stwierdzeń tych jednak nie dokumentuje. Ignacy Mościcki (*op. cit.*, s. 82) pisze: „A kiedy, nadużywając nadmiernie swoje siły, zapadał coraz bardziej na zdrowiu, zmuszony byłem z żalem przyjąć jego rezygnację, bo nie mogłem pozwolić na zupełne zniszczenie zdrowia tak utalentowanego i pracowitego męża stanu".

[7] Archiwum Akt Nowych, Zbior zespołów szczątkowych.

Brześcia. Przede wszystkim Kwiatkowski raczej nie wiedział o przygotowywanym aresztowaniu przywódców Centrolewu. Kongres Centrolewu natomiast skierował swe główne uderzenie przeciwko Mościckiemu, domagając się jego ustąpienia. Kwiatkowski nie mógł się oczywiście z tym solidaryzować. Przeciwnie, atak na Mościckiego musiał raczej zmrozić stosunki Kwiatkowskiego z opozycją.

Nowy gabinet, pod prezesurą Walerego Sławka, w którym w Ministerstwie Przemysłu i Handlu zastąpił Kwiatkowskiego Aleksander Prystor, powołany został 4 grudnia 1930 r. Co zatem zaszło w ciągu owych 2 tygodni dzielących konferencję na Zamku od powołania gabinetu? Możemy jedynie snuć przypuszczenia. Otóż w tym właśnie okresie w związku z sukcesywnym zwalnianiem po wyborach więźniów brzeskich przenikać poczęły do opinii publicznej pierwsze wieści o metodach zastosowanych wobec nich[8]. Były to wieści wstrząsające. O ile bowiem sam fakt aresztowania przywódców opozycji mógł — w oczach zwolenników Piłsudskiego — wydawać się koniecznością, o tyle łamanie wszelkich norm prawnych w twierdzy brzeskiej było dla wielu akceptujących aresztowania nie do przyjęcia. Zapewne należał do nich i Kwiatkowski, choć publicznie stanowiska swego wówczas nie ujawnił.

„Muszę się przyznać — pisał Ignacy Mościcki — że sam pozostawałem wówczas również pod nieprzyjemnym wrażeniem, lecz minęło to wkrótce [...] Małżonka moja zdołała opanować swe nerwy dopiero po kilku dniach. Przyszło mi wtedy uspakajać sporo osób, które przybite zaszłymi faktami szukały u mnie podtrzymania"[9].

Być może, że jedną z tych osób był Kwiatkowski i być może, że jego wątpliwości zostały umiejętnie wykorzystane przez przeciwników z najbliższego otoczenia Piłsudskiego.

Kwiatkowski był dla tzw. grupy pułkowników nie do przyjęcia z kilku powodów. Przede wszystkim cieszył się zaufaniem i poparciem Mościckiego, co dawało mu dość

---

[8] Centralne Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Komunikat Informacyjny nr 212 z 6 grudnia 1930 roku.

[9] I. Mościcki, *Autobiografia...*, s. 105.

znaczną niezależność. Był liberałem i otaczał się ludźmi o podobnych poglądach, co zupełnie nie pasowało do „twardego kursu" realizowanego po Brześciu. Talenty Kwiatkowskiego w programowaniu i realizowaniu inwestycji wobec głębokiego załamania gospodarczego stawały się zbędne. Potrzebni byli ludzie nowi, zdolni do realizowania programu ograniczeń. Takim był niewątpliwie następca Kwiatkowskiego — Aleksander Prystor, wówczas jeden z najbardziej zaufanych ludzi Piłsudskiego. Nie wiemy, w jaki sposób pozbyto się Kwiatkowskiego. Ale metoda była skuteczna, skoro, pomimo starania Mościckiego, Kwiatkowski do śmierci Piłsudskiego nie wszedł już do rządu [10].

Przeniósł się do Tarnowa, obejmując stanowisko dyrektora Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Mościcach, a po dwóch latach dyrekcję Zjednoczonych Państwowych Fabryk Związków Azotowych. Powrócił więc do działalności zawodowej, co nie oznaczało jednak rozbratu z działalnością polityczną.

W niecały rok bowiem po odejściu z rządu opublikował w wydawnictwie Towarzystwa Szkoły Ludowej książkę *Dysproporcje. Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej*. Stała się ona wydarzeniem sezonu. Z wielu przyczyn. Przede wszystkim oczywiście ze względu na osobę autora. Już to, że wieloletni członek pomajowych gabinetów publikował w wydawnictwie związanym z opozycyjnym ruchem ludowym, miało posmak sensacji. Ale nie o sensacje tu chodziło. *Dysproporcje* okazały się być publicystyką najwyższej próby. Książka napisana klarownym, bogatym językiem przez autora o imponującej erudycji i własnym widzeniu spraw świata. Ten typ publicystyki, jakże różny od jałowego powielania cudzych myśli, zawsze znajduje

---

10. Wspomniane wyżej stwierdzenia M. M. Drozdowskiego, że Kwiatkowski sam zrezygnował i że manifestował w ten sposób zastrzeżenia wobec metod walki z opozycją, nie znajdują potwierdzenia w faktach. Logiczną bowiem konsekwencją takiej decyzji byłoby publiczne podanie jej motywów. Tego typu manifestacja uniemożliwiałaby również Mościckiemu starania o wprowadzenie Kwiatkowskiego do rządu.

czytelników i dobrze wytrzymuje próbę czasu. Najlepszym zresztą chyba świadectwem sukcesu książki był fakt, że w rok po pierwszym ukazało się jej drugie wydanie. W przedmowie do drugiego wydania Kwiatkowski bardzo rzetelnie przedstawił publikowane w prasie recenzje, co zwalnia z obowiązku referowania ich tutaj.

Znaczenie *Dysproporcji* wynikało również i z momentu, w którym się ukazały. Kończyła się bowiem jedna i rozpoczynała druga epoka nie tylko w dziejach Polski. Z trzaskiem załamała się światowa koniunktura gospodarcza i wielki, strukturalny kryzys ogarnął system kapitalistyczny. Było to wszystko dla przeciętnego człowieka całkowicie niezrozumiałe. Oto bez wojny i wywołanych nią zniszczeń, bez kataklizmu w rodzaju trzęsienia ziemi, powodzi czy suszy, bez żadnych widocznych powodów, nagle, właściwie z dnia na dzień, wszystko poczęło się walić i nie było sposobu, by proces ten zahamować. Skutki wielkiego kryzysu w psychice społecznej były nie mniej, a może bardziej ważne niż jego skutki gospodarcze.

Przeżywał też głęboki kryzys klasyczny system demokracji parlamentarnej. W kolejnych krajach, a Polska nie była tu wyjątkiem, padał pod ciosami wojskowych czy półwojskowych dyktatur. Prawa jednostki coraz częściej stawały się pustym dźwiękiem, a państwo coraz brutalniej wkraczało we wszystkie dziedziny życia.

Coraz wyraźniej załamywał się system wersalski. Miał on od początku, niejako genetycznie, zakodowane w sobie elementy klęski, ale teraz, w początku lat trzydziestych, stawały się one coraz bardziej widoczne. Europa znajdowała się u progu wielkich przeobrażeń. Nie zdawano sobie sprawy z tego, jakie one będą, ale już je przeczuwano. W takich przełomowych momentach wzrasta zapotrzebowanie społeczne na publicystykę polityczną. Ludzie poszukują bowiem odpowiedzi na podstawowe pytania rozumiejąc, że od odpowiedzi tych zależeć będą ich losy.

Dysproporcje ukazywały owe problemy, choć w propozycjach ich rozwiązań pozostawiały wiele niedosytu. I tym razem, jak to często w publicystyce politycznej bywa, diagnoza zarysowana była o wiele wyraźniej niż remedia.

Kwiatkowski szczególnie wiele uwagi poświęca zagrożeniu Polski przez Niemcy. Ukazuje rewanżystowskie idee dominujące w polityce Republiki Weimarskiej i konsekwencję jej linii politycznej, której głównym celem jest rewizja postanowień traktatu wersalskiego.

„Polska — powiada Kwiatkowski — została ograbiona nie tylko z wartości fizycznych i materialnych, ale jeszcze dotkliwiej została ograbiona z wartości moralnych. Dla utrwalenia zaborów, dla ich usprawiedliwienia w opinii świata, przesączała się przez cały wiek zorganizowana przez trzy zainteresowane państwa szczególna propaganda, szczepiąca nieufność do każdego słowa, do każdego argumentu wychodzącego z Polski. Wszystko, co mówili Polacy, było w opinii światowej uznawane za niesłuszne i niesprawiedliwe. W czasie tworzenia nowej, powojennej karty Europy zwyciężały nie nasze argumenty i dowody, ale niemieckie. Ich mapy, ich statystyki, ich opinie. A dziś, gdy Niemcy poczynają nazywać te dokumenty czystym bluffem, sporządzanym celowo dla zachęcenia społeczeństwa i parlamentu niemieckiego do dalszych nakładów i wysiłków w walce z polskością, to u wielu mężów stanu budzi się nieomal żal, iż tak nieprzezornie dali się uwieść Polakom, posługującym się tymi materiałami. Niemcy mają w opinii politycznej kredyt na rachunku otwartym, my mamy tylko kredyt hipoteczny, lichwiarsko oprocentowany. Niemcy — w razie potrzeby uzyskują pomoc nawet od swych politycznych przeciwników — my nie możemy uzyskać tej pomocy nawet od przyjaciół. Niemcy mają uznane prawo nawet do agresji, nasze prawo do obrony jest stawiane pod znakiem zapytania. Dla Niemiec wydaje się za mało miejsca nawet w potężnym, czterofrontowym domu; dla nas ma być za dużo we własnym, ciasnym «korytarzu». To jest atmosfera psychiczna, którą żyje współczesny świat; skorygowanie jej wymaga od nas wysiłku, powagi w każdym działaniu, wytrwałości i czasu.

Tak więc — kontynuuje Kwiatkowski — z powrotem Rzeczypospolitej Polskiej na kartę polityczną Europy wraca ponownie stary, zachodni problemat, stary konflikt, wciągający powtórnie w grę najbardziej żywotne i najbar-

dziej zasadnicze podstawy bytu i niepodległości państwa. Jest on naładowany napięciem tym silniejszym, im głębsza jest dziś świadomość potęgi wewnętrznej Prus, im głębszą jest ich potrzeba hegemonii gospodarczej i politycznej w Europie, im bardziej dzisiejsza Rzeczpospolita Polska jest zdecydowana bronić swych przyrodzonych i żywotnych praw do każdej piędzi polskiej ziemi, niż mogła to uczynić w wieku 18-ym" (s. 228—229).

Zaledwie kilka stron poświęca Kwiatkowski Związkowi Radzieckiemu. Jest na tych stronach zawarty bardzo stronniczy zarys stosunków polsko-radzieckich, jest wiele nieufności wobec radzieckiej polityki i zwykłego jej niezrozumienia. Publicystyka Kwiatkowskiego jest produktem określonej epoki historycznej. Obóz rządzący, do którego — mimo wszelkie rozbieżności — należał autor *Dysproporcji*, cechował antysowietyzm. Ale przy tym wszystkim stosunek Kwiatkowskiego do Związku Radzieckiego różnił się istotnie od prezentowanego w publicystyce sanacyjnej. Był pozbawiony owej wrogości, a również przekonania, że Polska winna dążyć do rozbicia Związku Radzieckiego.

Gdy czyta się *Dysproporcje*, nie sposób nie zwrócić uwagi na rozległość zainteresowań autora wyrażającą się choćby w lekturach, których ślady widoczne są w przypisach. Był więc Kwiatkowski uważnym czytelnikiem prasy polskiej i zagranicznej (niemieckiej i brytyjskiej przede wszystkim), czytywał — co oczywiste — prace ekonomiczne i różnego rodzaju opracowania statystyczne. I bardzo wiele książek historycznych. Historia nie była dlań bowiem zamkniętą kartą przeszłości. Służyła rozumieniu i wyjaśnianiu zjawisk współczesnych. Stąd argumentacja historyczna zajmuje w *Dysproporcjach* tak wiele miejsca. Kwiatkowski, wychowany na dziełach krakowskiej szkoły historycznej, jest surowym sędzią naszej przeszłości. Z perspektywy półwiecza, które dzieli nas od ukazania się *Dysproporcji*, skłonni jesteśmy stwierdzić, że jest sędzią może nazbyt surowym, że historyk mógłby z wielu ocenami autora podjąć dyskusję, że na wiele spraw patrzymy dziś inaczej. Ale *Dysproporcje* nie są książką o historii, choć historia zajmuje w nich tak wiele miejsca. Dlatego też nie

wydaje się celowe podejmowanie dyskusji z poglądami historycznymi Kwiatkowskiego.

Z pewnym uproszczeniem stwierdzić wszakże można, że wywody historyczne służą autorowi *Dysproporcji* do udokumentowania tezy, że warunkiem pomyślności Polski jest silne, demokratyczne państwo umiejące pobudzić inicjatywę jednostki i inicjatywę społeczną. Polsce zagraża wiele wewnętrznych i zewnętrznych niebezpieczeństw, ale nie oznacza to, że los Polski jest przesądzony. Przeciwnie — powiada Kwiatkowski — tak, jak w przeszłości, tak i obecnie los ten zależy przede wszystkim od nas samych. Od tego, czy potrafimy dostrzec i wykorzystać istniejące szanse. Państwo spełniać ma rolę organizatora życia społecznego. Nie oznacza to — zdaniem Kwiatkowskiego — ingerencji państwa we wszystkie dziedziny życia społecznego. Prowadziłoby to bowiem do nadmiernego rozwoju biurokracji i nie byłoby skuteczne. Państwo powinno jedynie stwarzać warunki rozwoju inicjatyw społecznych i gospodarczych. Rozbudowa sieci komunikacyjnej, budowa portu w Gdyni, budowa zakładów azotowych (nawozy dla rolnictwa) — to przykłady takiej właśnie działalności państwa. Rolę tę może spełniać tylko państwo silne.

Ta filozofia polityczna zbieżna była całkowicie z podstawowymi założeniami ideowymi obozu sanacyjnego. Kwiatkowski mógł nie zgadzać się — i nie zgadzał się — z różnymi decyzjami zarówno gdy był w rządzie, jak i gdy nie wchodził w skład gabinetu, ale były to rozbieżności dotyczące praktyki politycznej, a nigdy podstawowych założeń ideowych. Dlatego też *Dysproporcje*, których zresztą egzemplarze wręczył autor prezydentowi i premierowi, nie można traktować jako wypowiedzi opozycyjnej. Przeciwnie, była ta książka ważnym głosem w toczącej się w obozie sanacyjnym dyskusji ideowej.

Była też oczywiście głosem w dyskusji o przyszłości Polski, w której wypowiadali się przedstawiciele wszystkich obozów politycznych. Od lewicy po skrajną prawicę. W artykułach prasowych, w broszurach i książkach. Wielki kryzys był wielkim animatorem tej dyskusji. Poszukiwano nowych rozwiązań w polityce gospodarczej, formu-

łowano programy społeczne i polityczne. Był to czas wielkich dyskusji, o czym należy pamiętać przy lekturze *Dysproporcji*.

Do wielkiej polityki powrócił Kwiatkowski dopiero w kilka miesięcy po śmierci Piłsudskiego. Powracał po klęsce, którą obóz rządzący poniósł w jesiennych wyborach 1935 r., gdy w rezultacie rzuconego przez opozycję hasła bojkotu wyborów do urn poszła mniej niż połowa uprawnionych do głosu. Powracał w okresie ostrej walki i praktycznego rozłamu w elicie rządzącej i ostrych konfliktów społecznych. Wielki kryzys dobiegał już wprawdzie końca, ale w warunkach polskich wciąż jeszcze był odczuwalny. Stosunki polsko-niemieckie pozornie uległy odprężeniu, ale w rzeczywistości wzrost siły III Rzeszy stwarzał narastające zagrożenie.

W krótkotrwałym rządzie M. Zyndrama-Kościałkowskiego, a następnie w gabinecie F. Sławoja-Składkowskiego był Kwiatkowski wicepremierem i ministrem skarbu. W praktyce oznaczało to kierownictwo całą polityką gospodarczą. Był to rezultat wyciągnięcia wniosków z działalności w pierwszych gabinetach pomajowych. Kwiatkowski zrozumiał wówczas, że polityka gospodarcza powinna mieć jednolite kierownictwo i że kierujący nią powinien mieć prerogatywy szersze niż ministerialne. Realizacja tych założeń była możliwa wobec znacznego wzmocnienia po 1935 r. pozycji Mościckiego. Konstytucja 1935 r. dawała mu o wiele większe niż dotychczas uprawnienia, a śmierć Piłsudskiego możliwość korzystania z tych uprawnień.

Działalność autora *Dysproporcji* w latach 1935—1939 posiada już sporą literaturę i nie wydaje się celowe szczegółowe jej w tym miejscu omawianie[11]. Był twórcą i realizatorem koncepcji Centralnego Okręgu Przemysłowego, inicjatorem państwowego planowania gospodarczego, animatorem dalszej rozbudowy Gdyni. Nareszcie mógł działać pełną skalą swych możliwości ograniczony jedynie warun-

[11] Por. M. M. Drozdowski, *Polityka gospodarcza rządu polskiego 1936—1939*, Warszawa 1963.

kami obiektywnymi.

W obozie sanacyjnym znajdował się na liberalnym jego skrzydle. Paradoks polegał na tym, że w sposób istotny zmieniła się sytuacja w porównaniu z pierwszymi pomajowymi gabinetami, do których Kwiatkowski wchodził. Wówczas, do 1930 r., czyli do Brześcia, liberałowie mogli mieć jeszcze nadzieje, że uda się zachować istotne elementy demokracji. Ograniczanej — i z tym się zgadzali — gdy wymaga tego nadrzędny interes państwa. Misterna gra polityczna, którą prowadził Piłsudski w latach 1926—1930, mogła nadzieje takie utwierdzać. Zaostrzanie i łagodzenie walki z parlamentem i opozycją mogło potwierdzać przypuszczenie, że linia polityczna Piłsudskiego nie jest jeszcze ostatecznie określona, że można oddziaływać na jej kształtowanie się. Innymi słowy, że należy aktywnie uczestniczyć w działaniach obozu rządzącego, bo tylko w ten sposób można uzyskać realny wpływ na jego linię polityczną. Poszczególne posunięcia Piłsudskiego mogły budzić — i budziły — w tych środowiskach dezaprobatę. Nie należało jej jednak wyrażać publicznie. Z dwóch co najmniej powodów. Po pierwsze, w ostrej walce politycznej — a taka toczyła się w owych latach — nie czas i miejsce na ujawnianie rozbieżności we własnym obozie. Jedyną bowiem korzyść z tego odnieść może przeciwnik polityczny. Po drugie zaś, działania takie dostarczą skutecznej argumentacji zwolennikom twardego kursu.

Liberałowie w rodzaju Kwiatkowskiego znajdowali się więc pomiędzy Scyllą lojalności wobec własnego obozu i Charybdą obaw, by postępowaniem swym nie umocnić tzw. grupy pułkownikowskiej. Mniejszym złem, a liberałowie są zawsze skłonni do przyjmowania teorii mniejszego zła, wydało się im akceptowanie, a ściślej mówiąc nie przeciwstawianie się tym posunięciom, które w głębi duszy mogli nawet uważać za godne potępienia.

Im bardziej na uboczu wielkiej polityki znajdowała się ich sfera działalności, tym łatwiej było przyjąć postawę niejako indyferentną. Było to jednak możliwe tylko dopóty, dopóki Piłsudski usiłował stwarzać złudzenia demokratyczne. Brześć kończył ten okres i rozpoczynał okres

pogłębiania dyktatury. Dla liberałów nie było tu już miejsca.

Śmierć Piłsudskiego otworzyła jednak nowe perspektywy. W rezultacie ostrej walki politycznej w łonie obozu sanacyjnego wyeliminowana zostaje z gry grupa pułkowników z Walerym Sławkiem. Tego typu procesy zachodzące w elicie władzy mogą mieć dwojakie efekty. Może to być jedynie wyeliminowanie pewnej grupy czy koterii politycznej w ramach wewnętrznych przeobrażeń elity. Wbrew bowiem pozorom w systemach autorytarnych elity władzy nie są stabilne i ulegają permanentnym przeobrażeniom. Ale eliminacja grupy czy koterii politycznej może również powodować modyfikację dotychczasowej linii politycznej lub choćby — a często jest to równie ważne — zmianę metod jej realizowania. Nie należy bowiem zapominać, że najczęściej spór w ramach danego obozu politycznego pomiędzy liberałami a „twardymi" dotyczy właśnie metod realizowania celów uznawanych za wspólne.

To między innymi tłumaczy możliwość udziału liberałów w rządach autorytarnych. Można oczywiście powiedzieć — i będzie to stwierdzenie zasadne — że już sam ich akces przekreśla ich liberalizm, ale w tym wypadku chodzi nam o procesy zachodzące w świadomości, a nie o ich obiektywny wyraz.

Należy też pamiętać, że narastanie zagrożenia niemieckiego stanowiło dodatkowy czynnik motywacyjny.

Sprawy to niezwykle złożone i można je tu jedynie zasygnalizować. Wydawało się to konieczne, by zrozumieć, jak to się stało, że ludzie typu Kwiatkowskiego, Poniatowskiego czy Świętosławskiego znaleźć się mogli w sanacyjnej ekipie.

Czas wojny spędził Kwiatkowski internowany wraz z rządem w Rumunii. Tu dotarła doń wieść o tragicznej śmierci w kampanii wrześniowej jedynego syna. Była to tragedia tym większa, że zginął on przez pomyłkę, od kul polskich żołnierzy.

W czerwcu 1945 r. do Craiovej, gdzie przebywał wówczas Kwiatkowski, przyjechał Jerzy Borejsza namawiając go do powrotu do Polski i proponując stanowisko delegata

rządu do spraw odbudowy Wybrzeża. Po dwóch dniach namysłu Kwiatkowski wyraził zgodę i samolotem przez Odessę, Charków i Moskwę przybył do Warszawy. „Było to — pisał później w liście do Janusza Rakowskiego — wczesne południe. Tego wstrząsu nikt nie odtworzy. Nie zniszczonych budynków było zaledwie kilka, w tym Hotel Polonia, w którym dostałem pokój. Żadnych środków komunikacji. Poszedłem niezwłocznie na Rymarską, pod nasz dom. Wszystko było jedną kupą gruzów. Myśli trudno było opanować uczucie. Wracając zgubiłem na placu Teatralnym orientację; unosił się jeszcze zapach rozkładających się ciał. W tym czasie odwiedziła mnie ogromna liczba ludzi" [12].

Powrót Kwiatkowskiego do kraju był dużym sukcesem politycznym dla władz. Starano się go zdyskontować m.in. wysuwając jego kandydaturę do Sejmu Ustawodawczego. Wyposażono go też, jako delegata rządu, w znaczne uprawnienia. Z właściwą sobie energią przystąpił do działalności na Wybrzeżu. Ale już wkrótce narastać poczęły konflikty z władzami lokalnymi, a i klimat w Warszawie stawał się dlań coraz mroźniejszy. Po dwóch latach pracy na Wybrzeżu urząd delegata rządu został zlikwidowany, a Kwiatkowski przenieść się musiał do Krakowa. Nie ukończył jeszcze sześćdziesiątego roku życia, gdy został przymusowym emerytem. Przez pewien czas wykładał jeszcze w Szkole Nauk Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale i to mu wkrótce uniemożliwiono. Powrócił do chemii. Pisał wiele, ale już tylko na te tematy.

W ostatnich latach życia przypomniano sobie o Kwiatkowskim. Nadano mu złotą odznakę Zasłużonego Pracownika Morza, Krzyż Komandorski i Gwiazdę Orderu Odrodzenia Polski, a również przysłano do oceny projekt Portu Północnego. Uniwersytet Gdański nadał mu doktorat honoris causa. Były to gesty sympatyczne, ale nie mogły przekreślić goryczy narosłej w ciągu owych dwudziestu lat przymusowej emerytury. Zmarł 22 sierpnia 1974 r.

Andrzej Garlicki

---

[12] J. Rakowski, *Diariusz wrześniowego dramatu...*, s. 166—167.

Za podstawę obecnej edycji przyjęto tekst drugiego wydania *Dysproporcji*. Pisownia została dostosowana do zasad obecnie obowiązujących. Wszędzie tam, gdzie autor używał błędnie słowa „cyfra", zastąpiono je — bez zaznaczania tego w tekście — słowem „liczba". Zapis bibliograficzny przypisów oryginału został uporządkowany i uzupełniony bez zaznaczania tego w tekście. Przypisy redakcyjne — oznaczone gwiazdkami — ograniczono do minimum, stosując je jedynie w tych miejscach, w których tekst bez nich byłby niezrozumiały.

Dysproporcje

Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej

Przedmowa do wydania drugiego

Pierwsze wydanie tej książki, obejmujące 2 200 egz. numerowanych, zostało wyczerpane całkowicie w ciągu kilku miesięcy.

Fakt ten sam przez się nie charakteryzuje jeszcze istotnej wartości książki; bardzo często właśnie książki małowartościowe święcą triumfy wydawnicze a książki dobre, pożyteczne lub cenne, giną w morzu obojętności lub niechęci współczesnych. Gdy zaś idzie o książkę o treści naukowej, historycznej, politycznej lub ekonomicznej, nie będącej ani oficjalnie uznanym podręcznikiem szkolnym, ani przereklamowanym obowiązkowo kanonem wiary w twórcze siły partii, to wydawca polski z góry liczy się ze swoim niepowodzeniem. Wbrew tym pewnikom, ostatnio, kilka książek o poważnej treści polityczno-gospodarczej rozeszło się nadspodziewanie szybko. Oznacza to, że istnieje wśród Czytelników polskiej książki rozbudzone i silne a nie zaspokojone pragnienie syntezy współczesnego życia, pożądanie rozprawy z problematami ciążącymi coraz dotkliwiej nad naszą świadomością społeczną, pożądanie światła i drogowskazu w zamęcie, potęgującym się w całym świecie z dnia na dzień.

Czy ten głód syntezy — książki te, a wśród nich i *Dysproporcje* — zdołały choćby w małej mierze zaspokoić? Czy może spotęgowały one i głód syntezy i chaos myśli współczesnej?

Obiektywna wartość książki — pozytywna lub negatywna — ustala się zwykle po upływie długiego

szeregu lat. Chwilowo nie obiektywna wartość książki, lecz subiektywna reakcja, wywołana daną książką, winna budzić główne zainteresowanie.

Współczesne pokolenie przeżyło tak wyjątkowe dzieje, jak żadne przeszłe na świecie; na jego barkach ciąży też wyjątkowo wielka i nieunikniona odpowiedzialność za przyszłe losy narodu i państwa. Olbrzymie, graniczne fakty historyczne o fundamentalnym znaczeniu, które dawniej dojrzewały i formowały się w ciągu całych dziesięcioleci, dziś krystalizują się w ciągu miesięcy i dni. Przygniatająca wielkość historii współczesnej i zawrotnie szybkie tempo często niebezpiecznych przemian wymaga odpowiednio licznego zastępu wielkich ludzi, głębokich umysłów, syntetycznych i przenikliwych krytyków, działaczy społecznych i politycznych, zdolnych do jasnego i umotywowanego ustosunkowania się nie tylko do innych ludzi, ale i do obcych myśli lub zasad działania.

Stąd też jest sprawą ważną nie tylko to, co zawiera się wewnątrz jakiejś bardziej poczytnej, lub choćby tylko poruszającej bardziej ważkie tematy książki, ale również, jakie refleksje i sądy wywołała dana książka współcześnie u kierowników i twórców opinii publicznej tego wyjątkowego, historycznego pokolenia. Autor *Dysproporcji* sądzi też, iż zasłuży na pewną wdzięczność Czytelnika, gdy w granicach możliwie najpełniejszego obiektywizmu zapozna Go z niektórymi sądami, wypowiedzianymi w prasie o tej książce.

Sądy i opinie krytyków można ująć dość przejrzyście w dwie grupy. Jedni, zastrzegając się nieraz, że „nie w każdym szczególe" podzielają sądy, oceny czy tendencje autora[1], lub też wytykając pojedyncze błędy[2] lub niedociągnięcia zawarte w *Dysproporcjach* —

[1] Np. P. Min. Matuszewski w „Gazecie Polskiej".
[2] Np. P. Prof. L. Caro w „Przeglądzie Ekonomicznym".

zgadzają się w zasadniczej linii z poglądami autora. Takie krytyki, zawierające czasem i streszczenia pojedynczych rozdziałów książki, spotykamy np. w „Przeglądzie Literackim", zesz. stycz. 1932, pióra dr. W. Supińskiego, w „Polsce Zachodniej" z dn. 31 I 32 p. E. Rybarza, w „Gazecie Handlowej" z dn. 24 I 32 i z dn. 10 II 32 p. M. Szyszkowskiego, w „Słowie Polskim" z dnia 18 II 32, w „Kupcu" poznańskim z dn. 6 III 32 red. L. Gustowskiego, w „Gazecie Polskiej" z dn. 26 III 32 min. Ign. Matuszewskiego, w zeszytach z lutego i marca br. „Świata" pióra red. W. Giełżyńskiego, w „Dniu Pomorskim" z dn. 27 III 32 red. R. Lutmana, w „La Pologne" z dn. 1 IV 32 p. J. Sołtana, w „Rolnictwie" z marca br. p. St. Orlikowskiego, w „Nowym Państwie" zesz. 5, red. J. M. Życkiego, w „Przeglądzie Ekonomicznym" zesz. 8 br. prof. L. Caro i wiele dłuższych lub krótszych notatek recenzyjnych w „Ekspressie Porannym" (3 IV), w „Wieku" lwowskim (5 III), w „Wirtschafts-Korresp. für Polen" (14 V), w „Neue Freie Presse" (30 VII), w „Gospodarce Narodowej" i w in.

Poglądów tych oddzielnie streszczać nie potrzeba, gdyż, jak wspomniano, są one w zasadniczej linii zharmonizowane z poglądami autora. Sposób przyłączenia się do podstawowej myśli, wypowiedzianej w pewnej książce, może być oczywiście niezwykle oryginalny, a nawet twórczy, może wnosić nowe argumenty, niemniej jednak sugestionuje Czytelnika w tym samym kierunku, w jakim idzie wysiłek autora książki. Chcąc wzmocnić indywidualną i własną ocenę Czytelnika, należy raczej przytoczyć te opinie i myśli, które przeciwstawiają się opiniom i myślom autora i tworzą drugą grupę opublikowanych opinii o *Dysproporcjach.* Równocześnie, na tej właśnie drodze, Czytelnik spotkać się może z tendencjami i myślami innych ludzi, reprezentujących inne poglądy i inne ugrupowania, mo-

że poznać wartość tych przeciwstawnych ideologii, a więc uzyskuje możność skorygowania lub umocnienia własnych myśli i własnych poglądów. Oczywiście — autor niniejszej książki — nie uzurpuje sobie prawa wyjaśniać, ani tym bardziej polemizować z krytykami nawet wówczas, gdyby oni niesłusznie zrozumieli lub niewłaściwie interpretowali jego myśli; wszystko, co stanowi jego własną obronę, musi być zawarte w treści samej książki. Chronologicznie najważniejsze głosv krytyczne o książce dadzą się zestawić następująco:

Dnia 26 II br. zabiera głos w krakowskim „Czasie" krytyk ukrywający się pod pseudonimem „inż. F." i podkreślając, iż nie zamierza pisać sprawozdania o książce, gdyż leży to poza jego „sferą zawodowych zajęć", atakuje silnie rozdział *Dysproporcji*, zatytułowany: „Bilans podziałów i niewoli". Inż. F. stwierdza, iż do sądu i do oceny autora — w tej części, która mówi o społeczeństwie polskim w zaborze austriackim, „zakradły się rażące dysproporcje". Krytyk ten wymienia długi szereg znanych i niezaprzeczalnych faktów i przykładów, mających świadczyć dobitnie, jak niesprawiedliwą ocenę zestawił autor *Dysproporcji*, oraz udowadniających, iż „pod tymi austriackimi mundurami biło polskie serce", a „społeczeństwo dzisiejsze tej części Polski nie wstydzi się pokolenia, z którego wyszło".

P. W. Rokicki w czasopiśmie „Jutro Rzeczypospolitej" z dn. 14 III br. pisze: „Programu książka p. Kwiatkowskiego nie zawiera. Autor mówi, iż na tym miejscu, w którym żyjemy, może istnieć tylko państwo potężne — lecz jakie czynniki są naszej potęgi, w jaki sposób tę potęgę mamy wykrzesać? O tym cicho". „P. Kwiatkowski stawia wymagania — przetrwać. Po co, pytamy? Czy po to, by konserwować tę naszą biedę i nędzę i nasze zacofanie?" „Po przeczytaniu tej

książki pozostajemy w dusznej atmosferze — bo nie daje nam ona drogowskazu — nie daje miejsca na świecie — nie stawia wielkich zadań — nie wyznacza roli dziejowej. A bez tego żyć nie można". „Dalej od autora poszedł prof. Znaniecki w teoretycznych rozważaniach, dalej poszliśmy i my, ogłaszając nasz program federacji".

Dnia 24 III br. naczelny publicysta „Kuriera Warszawskiego" p. B. K. pisze o książce: „Idzie tylko o to, aby czytelnik nie był zbyt natarczywy pod względem praktyczno-politycznym. Wtedy bowiem ujrzałby, iż jedno najdonioślejsze pytanie pozostaje tu zawieszone w powietrzu: jakimi to drogami praktycznymi ma Polska zdążać do siły wewnętrznej". „P. Kwiatkowski jest moralistą. Jego gorąca książka pobudzi w czytelnikach uczucie patriotyczne, a także umocni w nich wiele zdrowych pojęć o zadaniach realnych, ale nie stanie się dla nich vademecum politycznym". „Postulat p. Kwiatkowskiego" (politycznego wychowania społeczeństwa) „jest niemożliwy do osiągnięcia drogą archaicznego hasła rządu opiekuńczego".

Dnia 8 IV br. „Polonia" zajmuje całkowicie krytyczne stanowisko zarówno co do treści książki, jak i do autora, który „okazał wiele zręczności i zdolności w sztuce demagogii".

Dnia 14 IV br. p. S. Sowiński w „Robotniku", pomijając całą treść książki, cytuje z zadowoleniem tylko pojedyncze zdania, dotyczące charakterystyki stosunków w tzw. okresie pomajowym.

Dnia 22 V br. p. M. R. Frenkel w „Wiadomościach Literackich" zamyka krótkie streszczenie książki, urozmaicone własnymi krytycznymi uwagami, taką sumaryczną opinią o książce: „Autor postawił drogowskaz ze strzałką ku Polsce szczęśliwej, nie podał tylko, jakich metod należy się trzymać, aby ją osiągnąć

i to w najkrótszym czasie!" „Mieszanka z etatyzmu i inicjatywy prywatnej gotowa nam zanieczyścić motor".

Następnie pod względem chronologicznym przychodzi dwugłos żydowski:

Dnia 8 VI br. dr L. Oberlaender w „Nowym Dzienniku" pisze: „Ukazanie się tej książki trzeba uznać za rzecz w naszych stosunkach bardzo cenną... Natomiast stanowisko autora sprawia duże rozczarowanie w kwestii żydowskiej... Autor to zagadnienie niezmiernie sobie uprościł, lecz nie przez lenistwo myśli, a tylko przez brak znajomości tego zagadnienia".

Dnia 18 VI br. krytyk podpisujący się pseudonimem Regnis wyraża w „Naszym Przeglądzie" niezadowolenie, że autor „pominął przyczynę zjawienia się swego w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, że nie wytłumaczył, jakim cudem skromny inżynier z Chorzowa zjawił się w gmachu przy ul. Elektoralnej". „Autor — pisze dalej p. Regnis — poprzestał na zdawkowym rzucie oka przy omawianiu przyszłości historycznej Polski, na rozwinięciu myśli programowych, wypowiadanych często przez organy prasowe obozu rządzącego o konieczności wzmocnienia władzy, o Batorym jako o ideologicznym ojcu bata". P. Regnis kończy: „Kongres pięknych słów, które zostały zebrane na 307 str. «Dysproporcji», pójdzie, niestety, na marne. To wszystko już zostało powiedziane, ale to wszystko już dawno przebrzmiało".

Wreszcie głosy te uzupełnił i zakończył na razie krakowski „Piast" z dnia 14 VIII br. w ten sposób: „Autor załamał myśl przewodnią wśród sprzeczności, w jakie wpadł przy omawianiu okresu sanacyjnego. Opuściła go jasność i trafność sądu, zabrakło zaś odwagi powiedzenia szczerej prawdy". „Żałować należy, że autor dał się sprowadzić na te manowce. Sprzeczne zasady i wykluczające się pojęcia nie mogą służyć

dobrze sprawie publicznej, a propaganda ich nie zasługuje na poparcie z funduszów publicznych"[1].

Oto ważniejsze głosy, nastawione krytycznie lub negatywnie w stosunku do poglądów i autora *Dysproporcji*, zebrane sumiennie i streszczone z najlepszą wolą i bez jakiejkolwiek tendencji oszczędzania książki. Wielka różnorodność kierunków, reprezentowanych przez te krytyczne głosy, daje autorowi przynajmniej tę satysfakcję, iż krytyka ta wynikała zawsze ze względów rzeczowych, była dyktowana głębszym sposobem rozumienia spraw publicznych, a nie płynęła z ciasnego uprzedzenia osobistego lub niechęci partyjnej.

W obecnym wydaniu *Dysproporcji* nie nastąpiły żadne istotne zmiany; kilka zauważalnych błędów, które przypadkowo dostały się do pierwszego wydania, usunięto. Drobne te poprawki w niczym jednak nie zmieniają treści pojedynczych rozdziałów i ustępów książki.

Autor

Październik, 1932

---

[1] Odnosi się do wydania książki nakładem TSL.

Przedmowa do wydania pierwszego

Książka, którą oddaję obecnie Czytelnikowi polskiemu, jest wyrazem ściśle indywidualnych, osobistych moich przekonań i poglądów. Nie jest ona przeznaczona tylko dla dnia dzisiejszego Polski; patrząc w przeszłość daleką i bliską, analizując pokrewne przyczyny i skutki, szukając syntezy współczesności, poza zewnętrznym chaosem walk i namiętności, całym uczuciem książka ta wybiega w przyszłość.

Zadania obecnego pokolenia Polski, a może i następnego, choć są niezwykle ciężkie, trudne i powikłane, nie są godne szczególnej zazdrości. Dziełem naszym może być tylko głębokie przeoranie gleby państwowej we wszystkich kierunkach, scalenie jej rozdartych części, wydobycie na wierzch najurodzajniejszych warstw, usunięcie wszystkich kamieni i grud, osuszenie wszystkich bagien i założenie skutecznych dren, zniszczenie wszystkich chwastów i pasożytów, a wreszcie posiew najlepszego i najzdrowszego ziarna w uprawioną i znawożoną ziemię. Bujny wzrost uprawy w promiennym i jasnym słońcu wiosny i być może obfite żniwo w pogodne lato będą już udziałem innych ludzi i innych pokoleń.

Choć więc życia człowieka nie starczy na doczekanie plonu tej ewolucji, to niewątpliwie starczy go narodowi i państwu. Przeżyje ono i przetrwa niejedną orkę, niejeden siew, niejeden plon. Życie narodu może bowiem być wieczne i wieczną może być jego młodość. Jest on dziś i za lat sto choć nie taki sam, to przecież ten sam.

Ci, którzy z pokolenia w pokolenie ginęli w imię całości i niepodległości Polski, nie doczekawszy się ani zapłaty największej, to jest świadomości zwycięstwa, ani zapłaty małej, to jest wdzięczności i chwały, kryjąc się symbolicznie pod płytą nieznanego żołnierza, składali swe życie, swój wysiłek, swe bohaterskie wyrzeczenia się dla nas żyjących.

My wyrównamy nasz rachunek życia, budując mocne i trwałe, z żelaza i betonu podwaliny dla przyszłych.

Patrząc w przyszłość całości, w przyszłość Polski bez reszty, bez nawiasów, bez wyłączeń, należało uniknąć w pracy tej oparcia się na wąskim zainteresowaniu polityki dnia dzisiejszego. Tak więc książka ta może być uważana za błędną lub złą z punktu widzenia bieżących nurtów i prądów politycznych, może ulec każdej krytyce z powodu niewłaściwego oceniania faktów i zjawisk historycznych, politycznych, społecznych, gospodarczych i socjalnych, lub z powodu niesłusznego wnioskowania. Jeden tylko stosunek urągałby poczuciu słuszności wobec pracy autora. Książka ta stanowi jedną, organiczną, związaną całość. Każda myśl, każde stwierdzenie, każdy wniosek, każdy sąd w oderwaniu od całości obrazu i całości myśli jest już dowolnym spaczeniem i nadużyciem woli i intencji autora.

Praca ta została napisana w dość ciężkich warunkach obok obfitej pracy ściśle zawodowej. To jedynie może uzasadniać pewne prawo autora do dedykacji.

Należy ją złożyć do rąk tych, którzy w przyszłości mogą ją najsumienniej i najwłaściwiej skrytykować, zmienić, rozwinąć i uzupełnić. Należy ją przekazać tym, którzy najlepiej wiążą symbolicznie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Są to związki dawnych organizacji młodzieży niepodległościowej oraz ta część młodzieży dzisiejszej i przyszłej, która w myśl tych

samych, bezinteresownych haseł rozumie, że sprawa utrwalenia i ubezpieczenia całości i niepodległości państwa jest zadaniem większym, cięższym, trudniejszym od tego, które pod koniec wojny światowej zostało dokonane, dając nam zjednoczoną i wolną Ojczyznę.

Eug. Kwiatkowski

W październiku 1931 r.

I. Cienie i światła przeszłości

Treść:

Przed zwierciadłem przeszłości. Spaczone lub zaniedbane problematy. Misja Polski na zachodzie i nad Bałtykiem. Miasta i handel. Drogi wodne. Marynarka handlowa i wojenna. Skarb państwa i podatki. Oświata. Obrona granic i wojsko. Polityka zagraniczna. Król i Rzeczpospolita. Sejm szlacheckiej demokracji. Zrównanie praw jednostki z prawem narodu. Ludzie jako wartości moralne. Praworządność i wymiar sprawiedliwości. Zanik władzy wykonawczej. Źródła upadku państwa. Utajone wartości odrodzenia.

Wbrew sugestionującym nieraz pozorom, historia nie stanowi tylko archiwum pouczających faktów, luźnych wydarzeń i zbioru chronologicznych dat. Każdy przejaw historycznej wartości ma swój odrębny rachunek w księdze głównej życia, postępu i cywilizacji, ma swoje procenty składane, swój bilans. Tak, jak prawa fizyczne mówią o niezniszczalności materii, tak samo fakty o doniosłości historycznej nie przepadają bez echa, nie są martwym nagrobkiem przeszłości, lecz żywym, wyposażonym w energię zbiorem atomów, nurtem utajonych sił, budzących nieraz nieprzeczuwane, nieobliczalne następstwa i reakcje. Stając w obliczu nowych faktów historycznych, należy myśleć nie tyle o ich strukturze współczesnej, ile raczej o konsekwencjach, które z nich nieuchronnie powstawać bę-

dą w przyszłości, należy oceniać je nie z punktu widzenia wartości w rachunku bieżącym, lecz pod kątem widzenia bilansu zamknięcia. I historia bowiem zna swoje akcepty, weksle z żyrami, które często po wiekach nawet oddaje do protestu. Operuje tylko inną skalą wartości, skalą dwuwymiarową, tj. materialną i moralną zarazem, w przeciwstawieniu do rachunków zwykłych operacji handlowych.

W bilansie płatniczym historii listopad 1918 r. stał się dla Polski punktem zwrotnym. Rachunek bierny naszej indywidualności politycznej został zamknięty, równocześnie zaś otwarta została nowa strona aktywów. Dwa, najistotniejsze źródła wielu naszych upokorzeń, strat, niedoli i klęsk, spychających stale rozwój życia kulturalnego i gospodarczego, społecznego i politycznego na najniższy szczebel wśród rodziny narodów zachodnioeuropejskich, tj. niewola i podziały, dokonane przez trzech potężnych sąsiadów, zostały gwałtownie zatamowane. Z oceanu wzburzonych, wciąż zmiennych, nieobliczalnych fal wiekowej niewoli wyłonił się nagle stały, choć może kamienisty, ale mocny ląd niepodległości i scałkowania wszystkich głównych obszarów polskich w jeden organizm polityczny i gospodarczy, wskrzeszający subiektywne prawa historyczne Polski, przerwane tak gwałtownie u schyłku 18 wieku, w okresie Konstytucji Majowej i powstania kościuszkowskiego.

Byłoby jednak zarówno naiwnym, jak i niebezpiecznym złudzeniem sądzić, lub gorzej jeszcze wierzyć, że przekreślenie faktu niewoli i podziałów Polski jest wyłączną zdobyczą i zasługą pokolenia współczesnego, a więc, że w konsekwencji nowa, samodzielna politycznie Polska jest naszą własnością, swobodnym obiektem dla naszego eksperymentowania, terenem dla niczym nieskrępowanego wyładowania naszych dodatnich i ujemnych instynktów narodowych i namięt-

ności, lub wreszcie wyładowania niechęci i emocjonalnego niezadowolenia, wynikających z zawodu, jaki sprawia nam różnica obrazu pomiędzy Polską realną, formującą dopiero stopniowo w najtwardszych warunkach życiowych swoje oblicze polityczne i społeczne, a Polską indywidualnie lub grupowo wymarzoną, wyczekiwaną w okresie niewoli, walki i początkowego stawania się. Tak samo powierzchowne byłoby mniemanie, że Polska powstała jako dzieło przypadku, lub jako wynik tarowania na szalach międzynarodowych — wedle klasycznych „reguł starej dyplomacji — tzw. „równowagi politycznej", lub wyłącznie jako rezultat potężnego starcia się sił i interesów pozapolskich, wyładowanych w czteroletniej wojnie światowej. Przełom, który się dokonał w dziejach państwowej organizacji Polski w latach 1918—1922, tkwi swymi najistotniejszymi, najważniejszymi pierwiastkami i korzeniami w wielowiekowej przeszłości naszej tak samo, jak historia wydarzeń współczesnych nie jest tylko epizodem przeżycia pokolenia dzisiejszego, lecz posiewem, który nieść będzie owoce zdrowe lub zatrute przez długie dziesięciolecia, a może i wieki.

Ostatecznym źródłem wydarzeń historycznych, tak samo, jak i faktów ekonomicznych, postępu i rozwoju cywilizacji są ludzie. Dlatego też, chcąc badać głębiej wszystkie pozycje polityczno-gospodarczego „bilansu otwarcia" nowo powstałego państwa polskiego, jego aktywa i pasywa należy rozpocząć od człowieka, od jego wartości dynamicznej i historycznej w stosunku do państwa.

Można by powiedzieć, że i w tej dziedzinie panuje prawo atawizmu. Przyszliśmy do starego dziedzictwa samodzielności państwowej dziedzicznie obciążeni. Oczywiście, iż w tym obciążeniu wiekowa niewola, różnorodne warunki polityczne, gospodarcze, społeczne, oświatowe, organizacyjne, a wreszcie środowiska

psychiczne państw zaborczych. ewolucje prądów myśli zachodnioeuropejskich, oraz łańcuch walk wyzwoleńczych, jawnych i ukrytych oporów przeciwko niewoli i naporowi zaboru uczyniły daleko idące zmiany. Okres ten pozostawił głębokie uskoki w psychice narodowej, niemniej jednak wydaje się ważnym sumienne przeanalizowanie zbiorowej psychiki Polski przedrozbiorowej, poznanie jej najistotniejszych wad, błędów lub braków, wymierzenie jej siły spoistości państwowej, by w tym refleksie ujrzeć z całą wyrazistością wartości dodatnie i ujemne pokolenia współczesnego oraz dziedzictwo psychiczne, jakie ono przekazać chce swoim następcom.

Jest to zagadnienie tym ważniejsze, że obiektywne warunki państwa stawiają ściśle określone postulaty dla dynamiki zbiorowej społeczeństwa, które jest i będzie odpowiedzialne za obecne i przyszłe losy państwa. Państwo, które mogłoby jeszcze istnieć współcześnie w obrębie struktury kolonialnej, byłoby całkowitym anachronizmem w centralnej lub zachodniej Europie. Ono musiałoby tu zginąć, podobnie jak ginęłaby flora lub fauna przeniesiona do niewłaściwej strefy klimatycznej.

Wiara w automatyzm trwania organizacji państwowej byłaby taką samą ułudą, jak wiara w samorzutny rozwój kultury, cywilizacji i gospodarstwa. Poglądy bowiem J. Sorela *, w odniesieniu do braku automatyzmu w rozwoju kultury, mają swoją istotną wartość również w odniesieniu do wszystkich objawów życia zbiorowego. Samo trwanie na zdobytej pozycji, na płaszczyźnie osiągniętego rozwoju wymaga zawsze wysiłku, zawsze dynamicznego napięcia twórczej pracy.

---

* Georges Sorel, francuski filozof społeczny i socjolog, twórca ideologii syndykalizmu. Przeciwstawiał się teorii mechanicznego postępu dokonującego się w drodze nieuniknionego procesu historycznego i ekonomicznych przemian.

Jest więc sprawą zupełnie jasną dla każdego, choćby najbardziej powierzchownego obserwatora, najmniej zdolnego do syntezy obywatela, że samo utrwalenie zdobytej niezależności politycznej i zjednoczenia Polski wymaga nieprzerwanego łańcucha napięcia energii i celowej woli całego społeczeństwa i jego kierowniczych instytucji, olbrzymiego wysiłku pracy zharmonizowanej i jednokierunkowej, składającej się z elementów, choćby różnorodnych, ale nie paraliżujących się wzajemnie. Jakże zaś potęguje się postulat wydobycia najwyższej sumy energii twórczej ze społeczeństwa polskiego, gdy się realnie stanie wpośród rzeczywistości dzisiejszej z jej poważnymi groźbami i niezliczonymi brakami, wpośród rzeczywistości, która zewsząd domaga się przebudowy wszystkich składników i elementów życia! W odniesieniu do położenia geograficznego, do gęstości zaludnienia, do potencjalnego bogactwa ziemi — całe istnienie nasze wydaje się niemal anachronizmem lub paradoksem, każdy szczegół woła o reformę, każdy kilometr ziemi woła o zorganizowaną pracę, a każdy dzień protestuje przeciwko wszelkiemu opóźnieniu i bezwładowi!

Tak jak dla przeprowadzenia odpowiedniego procesu technicznego lub odpowiedniej reakcji chemicznej są nieodzownie potrzebne specjalne urządzenia lub materiały o ściśle określonych właściwościach, określonej sumie energii lub określonym stopniu twardości, tak samo zabezpieczenie swobodnego istnienia społeczeństwa we własnym ustroju państwowym, zapewnienie jego rozwoju i postępu jest funkcją sił dynamicznych ludzi, tworzących dane społeczeństwo. Muszą oni być niejako biologicznie uzbrojeni i przystosowani do wykonania określonych zadań politycznych.

Z ujemnych rezultatów, zakończonych zniszczeniem samodzielności państwowej i podziałami, domyślamy się, że ludzie tworzący społeczeństwo polskie w 18 wie-

ku nie byli dostatecznie przygotowani do opanowania i rozstrzygnięcia zadań narzuconych im przez warunki życia i historię. Nie ugruntował się jednak w społeczeństwie porozbiorowym dostatecznie jasny sąd, jaką część tych ujemnych skutków należy przypisać czynnikom zewnętrznym, niezależnym od woli i wysiłku polskiego, a więc chciwości sąsiadów, opierających się na przemocy i doktrynie „siła przed prawem", jaką zaś należy odnieść na rachunek własnych błędów, win, własnego niedopatrzenia, własnych złudzeń i braku dostatecznie szerokiego horyzontu w ujęciu zadań politycznych, które tę zbrodnię podziału państwa umożliwiły. Raczej przeciwnie. Jest rzeczą psychologicznie zrozumiałą, że w okresie niewoli, w okresie wewnętrznego oporu przeciwko faktom realnej przemocy, szukaliśmy idealistycznej legendy w naszej przeszłości. Cała historia nasza stawała się coraz bardziej jedną, wielką wiarą w epopeję bohaterstwa wobec niezawinionego cierpienia. Czerpaliśmy ducha jej chętniej z trylogii sienkiewiczowskiej, z wielkiej, romantycznej poezji, z *Ksiąg Pielgrzymstwa*, z bezsprzecznie bohaterskich epizodów przeszłości, niż z zapleśniałych diariuszów sejmowych, z aktów konfederackich i sejmikowych, z rachunków kas skarbowych, sprawozdań wojskowych, z różnorodnych korespondencji dyplomatycznych, a wreszcie wielu przemilczanych lub przeoczonych dzieł, wykazujących jasno błędy nasze i przewidujących ich skutki. W ten sposób pragnienie zastępować musiało rzeczywistość, celowość zajmowała miejsce obiektywizmu, prawda przesycona została legendą o charakterze dydaktyczno-narodowym.

W obecnych, nowych warunkach jedynym postulatem musi być poznanie prawdy. Tylko na niej można zbudować trwały i rzetelny gmach koniecznej reformy. Jest więc naszym obowiązkiem kłaść dziś na stalowe kowadło historię naszej przeszłości, jako źródło kształ-

towania się psychiki społecznej, źródło naszego instynktu państwowego, kapitału zakładowego zbiorowej zdolności twórczej, i bić, bić weń bez przerwy stupudowym młotem prawdy. Niech wszelka złuda, legenda, dekoracja, wszelkie sztuczne wyidealizowanie odpadną i rozprysną się w gruz i strzępy. Niechaj pozostanie choćby najbardziej gorzkie ziarno prawdy. Jeśli źródłem jego będzie troska o przyszłość, to na małej, nikłej, choćby przykrej prawdzie przeszłości zbudujemy więcej, silniej, zwarciej, roztropniej i mądrzej niż na olbrzymim, pięknym kłamstwie, wsugestionowanym może tak głęboko w duszę społeczeństwa, że aż zatraca ono chwilami zdolność patrzenia na prawdę dnia dzisiejszego w słońcu samodzielności politycznej.

Jedno zastrzeżenie jest tu nieodzowne u samego wstępu. Idzie oczywiście i przede wszystkim ze względów metodycznych o analizę wad i błędów, które doprowadziły historyczną Rzeczpospolitą do upadku. Wobec wpływu wieków na kształtowanie się myśli i psychiki społecznej pokolenia współczesnego, dopiero w tym oświetleniu staje się możliwe zbadanie i ocena wartości dzisiejszych i kierunku rozwoju na przyszłość. Przed tym zwierciadłem historii będzie można ustalić w sposób najbardziej jasny, pewny i zrozumiały nie tylko te właściwości charakteru narodowego, które w nas pozostały z przeszłości, ale zarazem uwypukli się ich wpływ na losy państwa, a tym samym stworzy się i uświadomi pierwsze, wstępne kryteria w stosunkach jednostki i społeczeństwa do ich własnej organizacji państwowej. Byłoby jednak takim samym błędem i odchyleniem się od prawdy historycznej, gdyby — w przeciwstawieniu do dawnych tendencji idealizowania przeszłości i szukania przyczyn zguby samodzielności politycznej Polski prawie wyłącznie w machiavelizmie, w przewrotnej, chciwej, zaborczej tendencji państw sąsiedzkich — chcieć obecnie odwrotnie

cały ciężar win przerzucić na własne błędy. Przeszłość Polski, szczególnie w początkowym okresie, ma karty tak jasne, tak promienne przejawy głębokiego nieraz rozumu stanu, objawy tak rzadko spotykanego, bezinteresownego bohaterstwa i poświęcenia, że wobec historii innych narodów bynajmniej nie zasługuje na lekceważenie, a tym bardziej na ryczałtowe potępienie. Nic też bardziej dosadnie nie charakteryzuje gwałtu dokonanego nad Polską, jak słowa Fryderyka II, pruskiego, odzwierciedlające ówczesną moralność dworów zaborczych w stosunku do zagadnień politycznych: „Pozwólcie mi wprzód zwyciężyć — a potem może przyjść jakiś adwokat i uzasadnić, że miałem i mam słuszność". Jednakże — jak w wielu innych przypadkach — prawda historyczna przyczyn upadku Polski wiązała się nierozdzielnie z całym szeregiem zjawisk i czynników, wśród których dominowały równorzędnie dwa: nie licząca się z etyką i prawem polityka państw zaborczych i własne błędy i winy społeczeństwa polskiego, a raczej jego ówczesnych przywódców.

Przyjdzie kolej i miejsce na oświetlenie stron dodatnich, wartości pozytywnych, pozostawionych nam w spuściźnie przeszłości. Obecnie trzeba wejść w długi, cienisty wąwóz, którym w ciągu kilku wieków staczał się wóz naszej państwowości w kierunku dna zguby.

Podstawy najdawniejszej, najbardziej pierwotnej organizacji społeczeństw wynikają z pierwiastków ekonomicznych i materialnych. Naczelną zasadą zmuszającą ludzi do organizacji społecznej jest potrzeba zabezpieczenia owoców własnej pracy. Warunki tej pracy nie są jednolite. Różną też jest wydajność pracy, a stąd różnice w akumulowaniu dóbr użytecznych. Potrzeba zabezpieczenia się przed przemocą, gwałtem, rabunkiem stwarza pierwsze podwaliny klasowości społecznej. Zwycięscy obrońcy lub napastnicy w coraz szerszej mierze korzystają z owoców zwycięstwa, war-

sztatów produkcji, tj. ziemi i środków pracy, tj. niewolników; zdobywają więc w społeczeństwie, które zasłaniają przed wrogiem własną walecznością, coraz większą przewagę ekonomiczną i polityczną. Ich obowiązek śmierci stwarza dla nich specjalne prawa i przywileje życia. Ewolucja formalna przybiera w różnych czasach i różnych środowiskach różne formy, rzeczowo zjawisko pozostaje wszędzie to samo. Tak powstaje i w Polsce warstwa panująca szlachty-rycerzy. Że stan ten reprezentował w najdawniejszej Polsce wielkie, może nawet wyjątkowe wartości i to nie tylko pod względem organizacyjnym, ale również w znaczeniu głębokiego rozumu stanu, świadczy dobitnie kwitnący stan Polski, jej wszechstronny rozwój w ciągu kilku wieków i niezwykła siła atrakcyjna państwa, przyciągająca inne narody do historycznego współżycia. O tym okresie naszej historii państwowej pisze jeden z autorów ub. stulecia[1]: „Była to Polska dwóch mórz, Karpat, Dniepru i Dźwiny dotykająca. Widzimy rząd, wolność i oświatę, przemysł i handel; dobre mienie powszechne, słowem głęboki rozum stanu, na jaki w owych wiekach zdobyć się było można, i na jaki mało który naród zdobył się w Europie. Polityka zewnętrzna trzymała się na równej z wewnętrzną wysokości; błogi nawet stan wewnątrz w części z tamtej wypływał". Była to Polska, „którą odziedziczył Jagiełło po Mieczysławie I, Bolesławach: Chrobrym, Śmiałym i Krzywoustym, Władysławie Łokietku i Kazimierzu Wielkim, którą utwierdzili i wywyższyli Zygmunt I, Zygmunt August, Stefan Batory, Chodkiewicz i Żółkiewski".

Potęga państwa tej epoki przetrwała jeszcze samorzutnie lat wiele. Za dziełem niemieckim z połowy 17 wieku cytuje Kaj. Kwiatkowski w swej historii

---

[1] J. Alcyato (w:) L. Zienkowicz, *Wizerunki polityczne dziejów państwa polskiego*, t. I, Lipsk 1864, s. 46—47.

panowania Władysława IV: „Seym Rzeszy Niemieckiej w Ratyzbonie r. 1636 naznaczony, gdzie i obranie Króla Rzymskiego zayść miało. A lubo niektórzy Elektorowie niechętni będąc synowi Cesarskiemu, samego króla Władysława IV tajemnie a usilnie namawiali, aby się o koronę Rzymską dla siebie starał..." „Władysław IV zalecił tylko jeszcze posłowi swemu, aby imieniem iego zachęcał członków Rzeszy do ugruntowania stałego spokoyności w Niemczech od tak dawna woynami i rozruchami nadwyrężoney, która dla sąsiedzkiej Polski długo oboiętną bydź nie może"[1].

Tak mogło występować tylko państwo, które miało jeszcze w tradycji poczucie własnej siły, organizacji, poczucie walorów gospodarczych, wynikających z poszanowania pokoju przez sąsiadów. Rysy i pęknięcia w budowie gmachu Rzeczypospolitej wówczas już istniejące, na zewnątrz nie mogły być jeszcze dostrzeżone z całą wyrazistością. Ale potęgowały się one już nieustannie, coraz silniej i coraz wyraźniej, doprowadzając w ciągu półtora wieku do całkowitej ruiny.

Znacznie jednak wcześniej pojawiły się liczne zarody choroby wewnętrznej państwowego organizmu Polski. A choć były bardzo różnorodne, to jednak wszystkie z jednego wynikały źródła. Był to fałszywy stosunek jednej warstwy społecznej, a nawet pojedynczego obywatela do państwa i całego społeczeństwa; było to fałszywie pojęte, a jeszcze gorzej w czyn wprowadzone pojęcie wolności; była to głęboko i gęsto zawoalowana hipokryzja krańcowego egoizmu grupowego i jednostkowego, legitymującego się wciąż fałszywym, skoślawionym demokratyzmem i patriotyzmem. Złym i zgubnym był podstawowy stosunek obywatela do państwa, przejawiający się w zatraceniu linii racji stanu, w prawach kardynalnych, w ustroju władz, w

---

[1] K. Kwiatkowski, *Dzieje narodu polskiego za panowania Władysława IV*, Warszawa 1823, s. 145.

organizacji skarbu, wojska, oświaty, gospodarstwa i handlu. Były to ciężkie choroby organiczne, które jednak mogły być uleczone, którym podlegały przejściowo i inne społeczeństwa, może nawet w stopniu wyższym niż Polska, z którymi ostatecznie można żyć. Najgorszą jednak była choroba psychiczna, która zła nie pozwalała dojrzeć, która ze zła uczyniła uświęconą doktrynę życia, która powodowała szczere wzburzenie i szczery opór przeciwko każdemu lekarstwu, która każde zagadnienie, każdy problemat państwowy potrafiła nie rozwiązać, ale rozbroić, złamać, zniszczyć, usunąć doszczętnie i wypalić z powierzchni życia!

Twardy obowiązek wobec państwa i społeczeństwa mógł być ongiś moralnym uzasadnieniem przewagi i przywilejów stanu panującego; przez długi okres historii szły oba te czynniki w parze, dając raczej przewagę poczuciu obowiązku, stawiając prawo społeczeństwa przed prawem jednostki i grupy, prawo całości przed prawem części, potrzebę państwa przed potrzebą i wolą choćby najpotężniejszego obywatela. I wówczas Polska była wielką i możną na zewnątrz, spoistą i gospodarną wewnątrz.

Często jednak równolegle z dobrobytem ekonomicznym, budzącym poczucie siły, powstaje i rośnie egoizm klasy społecznej i jednostki, sięgający nawet poza granice samego wyzyskania dóbr materialnych, aż ku opanowaniu samych podstaw i źródeł władzy, jako czynnika zabezpieczającego i utrwalającego korzyści materialne.

Tak więc i w Polsce stopniowo, ze złowrogą konsekwencją, warstwa szlachecka po umocnieniu swych podstaw gospodarczych wchłania w siebie coraz większą pełnię władzy, siebie ogłasza za naród polski, zamyka się w wyłączności swego interesu, odcina się murem praw i instytucji od innych warstw społeczeństwa. Wprawdzie i inne narody przechodzą współcze-

śnie analogiczne ewolucje, jednakże z jedną, zasadniczą i decydującą o przyszłości różnicą. Tam warstwa panująca i uprzywilejowana wyłania ze siebie zorganizowaną i jednolitą władzę, w Polsce szlachta zabiera elementy i części władzy ze sobą do domu, nie akumuluje jej, ale ją roztrwania; tam warstwa panująca przejmuje na swe barki państwową rację stanu, solidaryzuje się z nią, z nią splata swój klasowy interes; w Polsce racja stanu wyparta zostaje przez rację istnienia zarówno całej warstwy panującej, jak i pojedynczego obywatela; tam utrwala się, czasem nawet potęguje się poczucie obowiązku wobec państwa, w Polsce obowiązek przestaje istnieć, zanika coraz wyraźniej, tak jak gdyby nie był właśnie podstawowym, pierwszym i ostatnim kamieniem węgielnym istnienia wszelkiej organizacji, a więc i organizacji państwowej.

Niezwykle jaskrawym światłem uderza w oczy ta szlachecka rozrzutność w spychaniu własnych obowiązków i zadań na cudze barki, w uchylaniu się przed celowym i konsekwentnym rozwiązywaniem najważniejszych problematów życia polskiego, z pełnią nieświadomości, że zrzeczenie się obowiązku jest synonimem rezygnacji z tych uprawnień, które są wynikiem spełnionego obowiązku. Wniknijmy w to głęboko dydaktyczne zagadnienie bardziej dokładnie.

Każde zorganizowane państwowo społeczeństwo, im bardziej oddalało się od swych prymitywnych podstaw organizacji, im bardziej, głębiej i dokładniej stapiało się w jeden, psychicznie zespolony naród, im więcej rozwijało własnych wartości kulturalnych i cywilizacyjnych, im wyżej stawało w hierarchii swej świadomości państwowej, tym wyraźniej — obok czynników materialnych — podlegało dyscyplinie czynników moralnych i ideowych. Coraz wyraźniej, coraz mocniej i coraz świadomiej stawały przed nim wciąż nowe,

historyczne problematy, skupiające w sobie dynamikę nieraz całych stuleci, związane jak gdyby z posłannictwem szczególnym tego właśnie społeczeństwa. Grzechy śmiertelne przeciwko temu posłannictwu mściły się w dziejach państw niesłychanie złowrogo i mszczą się dziś jeszcze w oczach naszego pokolenia.

Przed Polską historyczną wyrastały również kolejno wielkie zadania i obowiązki dziejowe, wielkie postulaty życia, tym bardziej ważkie, tym bardziej skomplikowane, a przede wszystkim tym bardziej pilne, że Polska od samego początku znalazła się geograficznie w miejscu ścierania się najsilniejszych prądów, na samym skrzyżowaniu się różnych kultur, różnych wiar i potężnych wirów politycznych.

Najdawniejszym, a może i najważniejszym posłannictwem Polski było ustalenie wyraźnej linii rozgraniczającej dwie rasy, dwa zawiązki kultur, dwie niezgłębione możliwości rozwoju: germańsko-niemiecką i słowiańsko-polską. Zjednoczenie zachodnich, pobratymczych Słowian, opartych szeroką i mocną podstawą o Bałtyk, wymagało oczywiście wiekowych, nieustannych wysiłków, ofiar, skoncentrowanej i świadomej woli; otwierało jednak nieocenione możliwości rozwoju, narzucało konsekwentnie linie ewolucji harmonizujące czynniki potęgi gospodarczej z czynnikami potęgi politycznej. Wielkie wybrzeże morskie, skierowane frontem ku Europie Zachodniej, byłoby nieodzownie zadecydowało o historii politycznej i gospodarczej, o rozwoju społecznym i kulturalnym Polski na całe tysiąclecia. Samodzielna praca na morzu, to najbardziej bezpośredni, najżywszy, najczynniejszy kontakt z cywilizacją całego świata; to nieodparty przymus rozwoju handlu, a w konsekwencji rozwoju produkcji, rozkwitu miast, podniesienia i doprowadzenia w głąb warstw społecznych dobrobytu, a więc i oświaty, to

źródło lepszej organizacji społecznej, doskonalszych praw, znaczniejszych środków obronnych.

Drogowskazami, słupami granicznymi tych epokowych zagadnień i prac ówczesnej Polski, tych warstw, które ześrodkowały w sobie państwową rację stanu, które rządziły i korzystały z wyłączności praw musiały być: przeszczepienie własnej kultury i zjednoczenie psychiczne z Polską zachodnich i nadbałtyckich szczepów słowiańskich, co w ówczesnych warunkach identyfikowało się niemal z posiewem chrześcijaństwa, następnie położenie własnym wysiłkiem podwalin pod rozwój gospodarczy tych właśnie dzielnic, tj. aktywne wyzyskanie wybrzeża morskiego, rozbudowa własnych miast, portów i floty handlowej i wojennej, a wreszcie uczynienie z handlu nie tylko czynnika równouprawnionego w państwie, ale nadanie mu charakteru głównego kamienia węgielnego, charakteru źródła, linii kierunkowej, drogowskazu, z którego wypływa całe polityczne nastawienie państwa. Przebłyski uświadomienia tej roli Polski dawnej, tego jej posłannictwa dziejowego przejawiały się nieraz i za Piastów i za Jagiellonów, i później nawet aż do ostatnich chwil upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej, ale najjaśniej może zostały sformułowane przez biskupa Dymitra Solikowskiego, który w roku 1573 pisał: „Każdemu panu i narodowi więcej na morskiem państwie zależy, niźli na ziemskiem. Kto ma państwo morskie a nie używa go, albo da sobie wydzierać, wszystkie pożytki od siebie oddala, a wszystkie szkody na siebie przywodzi, z wolnego niewolnikiem się staje, z bogatego ubogim".

Niestety, stopniowo, ale nieodwołalnie wzrok dawnej Polski odwraca się wciąż od Zachodu i wybrzeży Morza Bałtyckiego, ucieka od drogi wielkiego oporu, ale i wielkich korzyści, ucieka od naturalnego posłannictwa i obowiązku, oddala się od źródła swojej siły, kierując się coraz bardziej, coraz wyraźniej i zdecydo-

waniej, coraz konsekwentniej nawet na Wschód, do źródła swej słabości, gdyż pędzi ją tam interes warstwy szlacheckiej, zamieniającej stopniowo rycerski miecz na pług i dobra ziemskie, prawo obowiązku na prawo przywileju, redukującej prawo zbiorowe państwa do prawa indywidualnego pańszczyzny. Polityka różni się od mechaniki najistotniej tym, że w polityce droga najmniejszego oporu, droga łatwego efektu prawie zawsze jest nie najlepsza, ale najgorsza. W tym znaczeniu warstwa panująca w historycznej Rzeczypospolitej, szczególnie w drugiej epoce swego pełnego, nieskrępowanego wszechwładztwa, chciała być właśnie mechanikiem w polityce. Czerpać najpełniejszą garścią korzyści dnia dzisiejszego, a odsuwać lub spychać na cudze barki twardy obowiązek, choćby pod jego twardą skorupą kryło się najbardziej ożywcze, najbardziej życiodajne ziarno — to smutna mądrość polityczna warstwy rządzącej w Rzeczypospolitej szlacheckiej przez długie wieki.

Najpierw więc poświęcona została wielka część ludności nadbałtyckiej i ludności rozsiadłej szeroko na rubieży zachodniej. Trudny obowiązek zaszczepienia kultury łacińskiej, związanej nierozdzielnie z chrześcijaństwem, przerzucony został na barki rycerzy niemieckiego zakonu krzyżowego. Przez całe stulecia odbywał się — raz rozpoczęty bez sprzeciwu Polski — proces spychania i rugowania ludności słowiańskiej na Wschód, proces wynaradawiania, zacierania, kurczenia, dławienia polskości ludu nadbałtyckiego. Jedynie Polska mogła zaszczepić nową kulturę i nową wiarę ze zgodą, z rozkwitem nawet indywidualności dawnych mieszkańców ziem nadbałtyckich. Krzyżacy musieli to uczynić mieczem, w twardej, codziennej walce, a na walce i zwycięstwie musieli oprzeć swe bezwzględne prawa zdobywcy. Posiany zaś błąd polski potęgował się i rósł konsekwentnie przez całe stulecia.

Warstwa panująca, zapatrzona egoistycznie w swój zawód rolniczy, podniesiony prawem niejako do godności kapłaństwa — odsuwała od siebie drugi obowiązek, drugie podstawowe dla państwa zagadnienie organizacji miast i handlu. Miasta powstawały na fundamencie obcego prawa, zapełniały się obcą ludnością, niezrosłą z organizmem narodowym i społecznym Polski. Nie one to szukały lub pragnęły tej odrębności, odrębność ta ustanowiona została i utrzymana przez samo prawo, jako jedna z naczelnych, niezmiennych zasad polityki wewnętrznej państwa. W latach 1505, 1538, 1550 wyrosła zasada prawna, zakazująca szlachcie oddawania się zajęciom mieszczańskim pod grozą utraty szlachectwa[1]. Stopniowo został więc wzniesiony niejako mur chiński, który zatrzymywał Polskę na wsi przy produkcji zboża, a miasta, te ogniska handlu, bogactwa, kultury, oświaty, środowiska międzynarodowej wymiany myśli i dóbr użytecznych wyodrębniał w obce ciało, mające jednak prawo żyć i pracować na organizmie polskim. W ten sposób to co w innych państwach stawało się podwaliną siły i dobrobytu całego kraju, to co było promotorem postępu akumulacji bogactwa, to co niwelowało zbytnie rozpiętości społeczne, w Polsce musiało się stać elementem dezorganizacji, strażą przednią sił wrogich i obcych, raczej źródłem i przyczyną potęgującą powszechną nędzę niż normalny przyrost sił ekonomicznych kraju. A skoro już raz miasta i koncentrujący się tam handel zostały uznane za element Polsce obcy, nawet wrogi, skoro sztucznie wytworzono głęboką przeciwstawność interesów warstwy panującej i handlu, nic dziwnego, że odtąd prawo prześladowało miasta i dążyło konsekwentnie do ich upadku, zarówno w obawie, by tu nie wyrósł z czasem groźny konkurent, domagający się

---

[1] Por. S. Kutrzeba, *Historia ustroju Polski*, wyd. VII, Kraków 1931, t. I, s. 143.

współrządów w państwie, jak też i w fałszywym przeświadczeniu, że handel jest jedynie czynnikiem wyzysku produkcji rolnej. Przez długie stulecia historii Polski, przez liczne debaty sejmowe i postanowienia administracyjne przewija się stale, aż do okresu Sejmu Czteroletniego, tendencja ograniczania nie tylko praw miast, ale nawet praw pojedynczych obywateli miejskich, przerzuca się na nich największe ciężary i to w formach ekonomicznie najbłędniejszych, a nawet ogranicza się formę ich ubioru i strojów. Tendencje te w najbardziej jaskrawych formach uzewnętrzniają uchwały sejmowe z r. 1643 i 1645, jakkolwiek analogiczne uchwały i zarządzenia powtarzają się w naszej historii wielokrotnie. Pisze o nich W. Surowiecki: „Na Seymie r. 1643 wyznaczono osobnych komisarzów, którym nakazano po całym kraiu oznaczyć jednostayną cenę na towary i wyrobione płody tak wewnętrzne, jako i obce. Rzeczeni komisarze, zdając sprawę z powierzonego sobie obowiązku na Seymie r. 1645 wyznali, że towary, których wartość zależy od niezliczonych, i co chwila zmieniających się okoliczności, nie dadzą się w żaden sposób ograniczyć stałą i pewną ceną". Jednakże na tym właśnie Sejmie przeprowadzono ustawę „aby każdy kupiec wykonał przysięgę na to, że ieśli rodak przedawać towar będzie z zyskiem po 7 od sta, ieśli cudzoziemiec z zyskiem po 5 na stu, a żyd miał przysiądz, że przestanie na 3 od sta zarobku". Nawiasem można dodać, że ta właśnie uchwała zwiększyła znacznie poszukiwanie towaru przez szlachtę „u żyda", w nadziei, iż on właśnie obowiązany jest sprzedawać najtaniej. Dodaje dalej Surowiecki: „Gdyby nieprzyiaciel chciał zruynować przemysł kraiu iakiego i zniszczyć naród, który mu zawadza, nie mógłby do swego zamiaru wymyślić środków pewnieiszych, iak stanowiąc dowolną cenę na dzieła i płody iego". „Zastanowiwszy się naymniey nad skutkami takowego

prawa, widać, że innego nie mogłoby mieć zamiaru, jak tylko zruynować warsztaty rodaków, zniszczyć do szczętu ich handel, dogodzić w części cudzoziemcom, a żydów albo przywieść do nieochybnego bankructwa, albo skusiwszy ich do ostatniego zepsucia moralności zbogacić na koszt i szkodę wszystkich innych"[1].

Biorąc więc pod uwagę okres naszej historii od początków 16 wieku, niestety, trzeba się zgodzić ze zdaniem Surowieckiego, że „odtąd na seymach i obradach publicznych, prócz powtarzania skarg uroionych i staczania ciężarów na miasta i ich mieszkańców, nie pomyślano nigdy ani o ich losie, ani o ich potrzebach"[2]. Tak więc i ten drugi, zasadniczy problemat: stworzenia miast, jako ośrodków wiedzy, kultury i przemysłu oraz dania mocnych i racjonalnych podstaw dla rozwoju handlu polskiego, nie tylko został odepchnięty i odrzucony przez klasę społeczną, która wzięła formalnie i faktycznie odpowiedzialność za losy państwa na swe barki, ale przeciwnie czyniła ona wszystko, co było w jej mocy, by nawet polski element pozaszlachecki zagadnienia tego nie mógł rozwiązać, by samo zagadnienie zostało u podstaw spaczone i w zarodku obarczone chorobą gangreny.

Nie inny był stosunek i do szeregu dalszych, najdonioślejszych dla przyszłości państwa problematów.

Jeżeli fundamentem handlu wewnętrznego są i pozostaną zawsze miasta, to handel zewnętrzny, szczególnie w dawnych wiekach, prawie całkowicie musiał się opierać o drogi komunikacyjne wodne, rzeki i morze, a współzależność ta była wówczas znacznie nawet sil-

---

[1] Por. W. Surowiecki, *O upadku przemysłu i miast w Polsce*, Warszawa 1810, s. 216—221; następnie *Volumina Legum*, Petersburg 1855; wreszcie S. Kutrzeby, *Historia ustroju Polski*, s. 239.

[2] Por. W. Surowiecki, *O upadku przemysłu i miast w Polsce*, s. 210.

niejsza niż obecnie. Eksport tak wielkiego państwa jak Polska przedstawiał się całkiem poważnie. „Przez Gdańsk — pisze Surowiecki — od naydawnieyszych czasów, najwięcej z Polski wychodziło płodów za granice; w tym porcie opatrywała się w nie cała północ z zachodem Europy. W 14 iuż wieku prócz mnóstwa swoich, 300 okrętów obcych zatrudniało się na rok ich wywozem. Cellariusz z wielu innemi liczy 100 000 łasztów samego zboża, które wówczas co rok przedawano do obcych kraiów; w iednym zaś roku summa ta doszła podług niego do 365 000 łasztów, czyli do 10 950 000 korcy". Ponadto corocznie wywożono około 60 000 wołów, znaczne ilości koni, owiec, świń, drzewa, lnu, konopi, potażu, skór. Również niemałe ilości produktów polskich przechodziły przez inne porty nadbałtyckie, w których rozwijał się zarazem handel importowy. Tu więc przewijały się olbrzymie źródła bogactwa, związane najściślej z interesem warstwy szlacheckiej, oddającej poważną część produkcji swego gospodarstwa na wywóz, oraz stanowiącej prawie wyłącznego konsumenta dla towarów zagranicznych.

Przy tak znacznym nadmiarze wytworów rolnictwa cena eksportowa posiadała decydujący wpływ na kształtowanie się cen agrarnych na rynku wewnętrznym. Ta ostatnia zaś decydowała o stanie gospodarczym całego kraju. Ponadto jednak powtarzały się periodycznie dłuższe okresy, w których w Europie Zachodniej toczyły się wojny, Polska zaś korzystała z owoców pokoju. Wówczas to rolnictwo polskie zdobywało w zasadzie wyjątkowo korzystną sytuację mogącą potęgować niesłychanie szybko wzrost ogólnego dobrobytu i sił materialnych państwa.

Pełne zabezpieczenie i wyzyskanie narzucających się niejako automatycznie pomyślnych okoliczności było jednak uwarunkowane szeregiem postulatów. Wśród nich naczelne miejsce zajmowało oczywiście zagadnie-

nie organizacji własnego handlu morskiego, gdyż tylko w ten sposób można było uchronić kraj i jego podstawową produkcję przed wyzyskiem obcego pośrednika. Konsekwencją zaś tego programu musiało być rozwinięcie własnego aparatu handlowego, budowa własnych portów i własnej floty handlowej, a wreszcie organizacja obrony tego handlu, tj. floty wojennej. Niestety, przebłyski tego programu morskiego rozrzucające w historii fragmentaryczne, nieskoordynowane wysiłki i poczynania, rozrywające wątek raz za razem, jak próby budowy polskich portów w Elblągu, w Pucku i na Helu, jak organizacja Kaprów pod banderą królewsko-polską, jak zainteresowania morskie i Zygmunta Augusta i Henryka Walezjusza i Stefana Batorego i Władysława IV, nie pozostawiły po sobie trwalszych śladów nawet w psychicznym nastawieniu społeczeństwa polskiego. Były to bowiem raczej rapsody historyczne niż przemyślany wysiłek konsekwentnej polityki gospodarczej. W każdym z tych poczynań spotykamy chwiejność, niezdecydowanie, cofanie się pod naporem pierwszych trudności, trudności, które inne narody raczej zapalały w upartej pracy i celowym zmaganiu się z przeszkodami. Z rozlicznych współczesnych dokumentów tchnie znowu ta sama tendencja szukania, komu można by zepchnąć na barki te wielkie, może ciężkie, ale tak ważne w następstwa zadania.

Tak więc zagadnienia handlu morskiego Polski przejmuje w swoje ręce Gdańsk. Obowiązek historyczny społeczeństwa polskiego, tak ściśle związany z podstawami jego dobrobytu i rozwoju, ujmuje w swe ręce element obcy, poświęca wszystkie swe wysiłki temu jednemu celowi, oczywiście za cenę niezmiernie wysoką zachowania wyłącznie dla siebie wszystkich korzyści, które z natury rzeczy tak obficie spływały. Stan ten Polska utwierdziła prawem już w połowie 15 wieku. Przywilej Kazimierza Jagiellończyka oddawał

Gdańskowi niejako monopol eksploatacji handlu przy ujściu Wisły i handlu morskiego Polski, zastrzegał wyłączność tej wymiany towarowej na korzyść gdańszczan i zrzekał się — w nieuchronnych konsekwencjach — programu samodzielnego rozwoju potęgi morskiej, jednego z największych ówcześnie państw w Europie, opartego o własne wybrzeże morskie. „Błąd popełniony przez Kazimierza Jagiellończyka — pisze dr A. Czołowski w swej pięknej książce pt. *Marynarka w Polsce* — można było naprawić, ale brakło do tego silnej woli, energii i poparcia narodu i środków materialnych". Odwrotnie postępował i myślał Gdańsk. Nie brakło mu nigdy ani silnej woli, ani energii, ani środków materialnych — choć oczywiście te ostatnie właśnie tylko z Polski płynęły — do zachowania swego monopolowego stanowiska w handlu zewnętrznym Polski, do zniszczenia lub spaczenia w zarodku wszelkiej inicjatywy lub próby usamodzielnienia się Rzeczypospolitej na morzu. Nam pozostały dumne słowa, wypowiedziane za głosem powszechnej opinii przez wojewodę Jana Sierakowskiego w drugiej połowie 16 wieku na ratuszu gdańskim, iż Gdańsk „Polską zawżdy stał, bez Polski obejść się nie mógł i nie może", gdy równocześnie ci sami gdańszczanie zagarniali rokrocznie potężne bogactwa, oddając Polsce połowę ceny za wywożone zboże, bydło, len, konopie, żelazo, miedź, ołów, siarkę, glejtę, wosk, skóry, drzewo i dziwiąc się dobroduszności i bezczynnej cierpliwości potężnego wówczas narodu.

Jeszcze bardziej uprościła sobie ówczesna warstwa panująca zagadnienie obrony własnego wybrzeża morskiego i stworzenia floty wojennej. Ludzi śmiałych i obeznanych z trudami żeglugi w Polsce nie brakło, ale zagadnienie to nie mogło być rozwiązane ani junactwem, ani bohaterstwem indywidualnym; ono wymagało stałych ofiar i nakładów materialnych wielu

pokoleń, przepojonych jedną świadomością i jedną wolą. Gdy jednak miliony uciekały corocznie z Polski przez odseparowanie się szlachty od handlu, przez wyodrębnienie z właściwego organizmu państwowego miast, przez oddanie handlu zewnętrznego czynnikom obcym, to równocześnie żałowano tysięcy na zorganizowanie własnej siły morskiej, która by mogła rewindykować stopniowo i prawa ekonomiczne Polski na Bałtyku. Przerzucono ten obowiązek na barki króla-elekta. Było to niespotykane w historii uproszczenie sobie zagadnienia. Można by jeszcze łudzić się, że dynastia, wiążąca trwale swe losy z losami państwa, zainteresowana nie tylko w teraźniejszości, ale i w przyszłości, podejmie i utrwali tradycję rozbudowania potęgi morskiej państwa kosztem korony. Domaganie się jednak tego od chwilowego elekta, pozbawionego nawet nadziei zachowania następstwa tronu dla swego rodu, biorącego koronę polską jako niezwykłą przygodę, odartego ze wszelkiej władzy, wpływu i znaczenia, a nieraz znajdującego się wprost w kłopotach finansowych było absurdem samym w sobie. A przecież mimo to we wszystkich „pactach conventach", wpośród szeregu nierealnych zobowiązań znajdowało się zwykle i zobowiązanie stworzenia marynarki polskiej. Oczywiście musiało być to zobowiązanie mgliste, ogólnikowe, odpowiadające polskiemu „pobożnemu życzeniu", musiało być raczej konwenansem, potrzebą biurokratyczną, niż realnie ostemplowanym obligiem. Tak np. w akcie elekcyjnym „Stanów tey Rzeczypospolitey z posłami Iego Król. Mci Jana Kazimierza" umieszczono: „A iż na sposobieniu Classis maritimae wiele Rzeczypospolitey należy, tedy inibimus rationes ze Stanami Koronnemi, iakoby Classis iaka wedle potrzeby Rzeczypospolitey sposobiona bydź miała" [1]. Praktycznie

[1] *Volumina Legum*, t. IV, Petersburg 1859, pagina 197.

zobowiązania takie wydawały nikłe i przejściowe rezultaty i to wyłącznie w tych wypadkach, gdy pozapolska racja stanu korony tego wymagała. Tak słabe i tak sporadyczne poczynania te zjawiały się i przepadały razem z postronnymi interesami króla-elekta, jako nie wynikające organicznie z programu polityki polskiej. To wielkie i brzemienne w skutki zagadnienie sczezło bez śladu, prawie bez tradycji w przeszłej historii Polski pod wpływem konsekwentnego wymijania tych obowiązków, które z natury samego położenia geograficznego domagały się czynnego i rzetelnego stosunku że strony społeczeństwa i rządu Rzeczypospolitej.

Ale i na tym fakcie lista społecznych pasywów w stosunku do państwa nie zamyka się. Nic bardziej jaskrawego i uderzającego w oczy nie spotyka się w dziejach innych państw, jak właśnie stosunek społeczeństwa polskiego — a za takie deklarowała się zawsze warstwa szlachecka — do zagadnienia podatkowego. Był to paradoks życia publicznego Polski, utrzymujący się przez szereg stuleci. Z jednej strony widoczny, niezaprzeczalny, choć zbyt hałaśliwy patriotyzm, popisujący się przy każdej okazji całą gamą emocjonalnych frazesów o miłości ojczyzny, z drugiej całkowita negacja najelementarniejszych obowiązków wobec państwa. Tradycyjny opór przeciwko wszelkim świadczeniom materialnym na rzecz państwa musiał w konsekwencji doprowadzić do chronicznej pustki kas skarbowych, a ten jeden fakt wystarczał do zupełnego przekreślenia, zniszczenia w samym zarodku jakiejkolwiek celowości i ciągłości w polityce wewnętrznej i zewnętrznej państwa. Każda, najdrobniejsza nawet inicjatywa, każda najbardziej celowa myśl rozbijała się u samych podstaw o brak środków pieniężnych. Rzeczpospolita z biegiem wieków i dziesięcioleci była coraz bardziej, coraz widoczniej wyniszczona wojnami, upad-

kiem gospodarstwa, ruiną miast i handlu; lecz zjawiska te były nie przyczyną ruiny skarbu państwowego, lecz jedynie skutkiem tego stanu rzeczy. Nie starczyło pieniędzy dla wojska ani w czasie pokoju, ani w czasie wojny, nie starczyło na sprzęt wojenny, nie było środków materialnych dla szkół, nie można było marzyć ani o budowie dróg, ani o podtrzymaniu spławności rzek, o organizacji portów i floty, brakło nawet środków dla wykonania podstawowego obowiązku państwa wobec własnych obywateli, tj. wymiaru sprawiedliwości.

Jednakże nie sam fakt chronicznych pustek w skarbie państwa polskiego był zjawiskiem najgorszym; można bowiem zawsze znaleźć pewne usprawiedliwienie, gdy się rozumie, iż położenie skarbu państwa jest funkcją stanu gospodarstwa społecznego. Jednakże w Polsce istniała głęboko zakorzeniona niechęć, samorzutnie organizujący się opór przeciwko samej istocie świadczenia materialnego na rzecz własnego państwa. Jest to zjawisko wprost zadziwiające, iż w społeczeństwie o tak wybujałym indywidualizmie, o tak wielkich prężnościach odśrodkowych, które tak niezmiernie i tak często utrudniały jakąkolwiek akcję pozytywną, konstrukcyjną, twórczą — akcja negatywna, opozycyjna znajdowała prawie zawsze grunt niesłychanie podatny, znachodzący łatwo i nieomal samorzutnie formy organizacyjne. Tak działo się i w zakresie podatkowym. Ale i tu powtarza się zjawisko charakteryzowane już poprzednio. Gdy bowiem nieodparta konieczność, nieodparty przymus moralny w chwilach podniecenia lub zapału zmuszał do decyzji świadczeń na rzecz skarbu Rzeczypospolitej, klasa panująca oglądała się w tej chwili, jak by się uchylić od przyjętego zobowiązania lub przerzucić ten obowiązek na cudze barki. I barki te nietrudno było znaleźć. Mieli je przede wszystkim ci, którzy byli nieobecni przy uchwalaniu podatków:

mieszczanie i chłopi, tj. te warstwy społeczne, które nie były uważane nawet za naród, które były pozbawione wszelkich praw. System pańszczyzny został w ten sposób doprowadzony do absurdu. W najistotniejszym obowiązku wobec własnego państwa miał wyręczać obywatela, uważającego siebie za inkorporowane państwo i społeczeństwo, ten, kto się znajdował poza nawiasem i społeczeństwa i państwa. Obiektywizm tego właśnie sądu usprawiedliwiają aż nadto liczne przykłady z naszej historii. Tak np. uchwałą sejmu walnego koronnego roku 1661 ustanowiono „subsidium na teraźniejsze Rzeczypospolitej potrzeby". Podatek ten nałożony został na handel w Polsce, przez opłatę 6% od oszacowanej przez komisje wartości towarów. Mimo to zawarowano pod grozą konfiskaty całego towaru, „aby kupcy towarów żadnych nie podwyższali nad taxę zwyczayną"[1], w obawie, by pośrednio podatku tego nie zapłaciła szlachta.

Podatek „podymny", ustanowiony za Zygmunta III na potrzeby wojny szwedzkiej, później wszedł w stały zwyczaj. „Za Stanisława Augusta — pisze ks. W. Kalinka[2] — podniesiono go do pięciu złotych od komina. Zaledwo się szlachta o tem dowiedziała, poczęła jak najprędzej kasować kominy, po kilka ognisk do jednej sprowadzając trąby; nie dbali, że to grozi niebezpieczeństwem pożaru, byle nie dać pięciu złotych dla kraju". Nawet w chwilach uświadomienia grozy położenia ojczyzny, w chwilach przebudzenia z letargu politycznego, w okresie, który w dziejach dawnej Polski należy do wyjątkowo twórczych, w okresie Sejmu Czteroletniego, uwieńczonego dziełem Konstytucji Majowej, nastawienie umysłów w sprawach skarbowych było wciąż to samo. Zwołując sejmiki w 1788 r. król rozesłał okólnik „do osób ważniejszych w każdem województ-

---

[1] *Volumina Legum*, t. IV, pagina 699.

[2] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. II, Lwów 1884, s. 314—315.

twie", w którym żądał — w przeczuciu decydujących o losach państwa chwilach — „aby taka dla przyszłych posłów była uformowana instrukcja, której celem pryncypialnym byłoby pomnożenie wojska". Żądaniu królewskiemu stało się zadość, z tym jednak, że znaczna część instrukcji wojewódzkich zawierała następujące zastrzeżenie: „Ponieważ ratunek naszej ojczyzny spiesznego i znacznego powiększenia wojska potrzebuje, przeto mają JW. Posłowie takowego domagać się z tym jednak, aby obywatelom dosyć już uciążonym, żadnej to nie przynosiło ciężkości"[1]. Mimo to Stany zrozumiały niebawem, że mówić z największym entuzjazmem o powiększeniu armii, a odmówić podatku, to równoznaczne z przekreśleniem samej myśli o powiększeniu szeregu obrońców ojczyzny choćby o jedną kompanię. Toteż dla uspokojenia własnego sumienia, po nieskończonych, przewlekłych i wykrętnych dyskusjach nowy podatek mający wynosić „dziesiątą część intraty rocznej" uchwalono. Już jednak 30 III 1789 r. „poseł Strojnowski uwiadomił Izbę, że chociaż Stany zastrzegły wyraźnie, iż podatek dwory, a nie poddanych ma dotykać, to jednak w wielu miejscach dziedzice poważyli się wyciskać go z chłopów". Następnie „Marszałek ze swej strony nowe złożył doniesienia, iż w istocie na chłopów zwalają cały podatek"[2].

W rezultacie preliminowany dochód z podatku zawiódł całkowicie, wywołując gorzkie uwagi historyka tego okresu: „Jakże to wszystko dalekiem od owych szumnych zapowiedzi, wygłaszanych przy okrzyknięciu stutysięcznej armji: «połowę majątków oddamy, i zdrowie, i życie, i mienie, byleby tylko dźwignąć siły krajowe!» A gdy przyszło do płacenia zamiast dziesiątej ledwo trzydziestą część intraty złożono, z krzywdą

---

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. II, s. 137.
[2] Tamże, t. I, Lwów 1881, s. 514.

Ojczyzny i sumienia"[1]. Zeznania bowiem podatkowe oparto nie na wymiarze, ale na licznych przysięgach, nie tylko właścicieli ziemskich, ale nawet ich ekonomów, a wreszcie i członków komisji podatkowych. Wszystko to zawiodło całkowicie, skarb państwa w najbardziej decydującym o losach państwa momencie pozostał pusty, a uchwały o stutysięcznej armii nieskuteczne. Najbliższym rezultatem tego stanu rzeczy był drugi podział Polski. Grom ten uderzył potężnie w sumienie polskie, rozbudzone tak żywo pod koniec działalności Sejmu Czteroletniego. Odruch protestu zerwał się i uzewnętrznił w powstaniu kościuszkowskim. Do boju o niepodległość Polski zerwała się nawet garść ochotników chłopskich. Mogło się zdawać, że fakt ten — jak żaden inny — wstrząśnie umysłami szlachty, pchnie ją na drogę nowego stosunku do państwa i ludu wiejskiego. Ale nie, i tu powtarza się zjawisko przerzucania na włościan nałożonych przez Radę na dwory podatków, uchylenia się od podstawowego obowiązku, obecnie już w imię najbliższego własnego interesu szlachty, wywołując ustawiczne interwencje Rady w tej sprawie[2]. Smutny ten obraz uzupełnia również Kutrzeba[3]. Głównym podatkiem bezpośrednim był w Polsce 17 i 18 wieku podatek gruntowy, tzw. pobór od łanów. Ale „płaciły ten podatek tylko łany kmiece, szlachta jedynie, o ile sama uprawiała ziemię (szlachta zagrodowa)... uzupełniano go jednak podatkami dla ludności przemysłowo-handlowej, bezrolnej i małorolnej, od duchowieństwa obrządku wschodniego i od bydła we wsiach wołoskich". „Dochody skarbu państwa od r. 1717 do 1764 ostały się w tych granicach, gdyż żaden sejm za Sasów już podatków nie uchwalił".

---

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 572.

[2] Por. J. I. Kraszewski, *Polska w czasie trzech rozbiorów*, Poznań 1875, t. III, s. 543.

[3] Por. S. Kutrzeba, *Historia ustroju Polski*, t. I, s. 273—280.

Takie rozwiązanie problematu skarbowego, polegające na tym, że ci, którzy mogli i powinni byli ponosić świadczenia na rzecz państwa, uchylali się od podatku, przerzucając go na inne, zbiedzone, systematycznie pauperyzowane warstwy społeczne, z których najcięższą śrubą podatkową trudno było wycisnąć sumy niezbędne dla utrzymania i egzystencji państwa, stało się jednym z głównych powodów politycznego i gospodarczego upadku Polski. Znaczenie zaś tego błędu potęgował fakt, że równocześnie powstawał i doskonalił się nowy system skarbowy u naszych sąsiadów i głównych przeciwników, oddając do rąk tych państw potężne środki materialne, przekuwane stopniowo na oręż zarówno ekonomiczny, jak i militarny, mający w przyszłości zapewnić powodzenie ich celów państwowych, a przez tworzenie podstaw dobrobytu, rozwoju miast, handlu, dróg komunikacyjnych, przez rozwój nauk, przez rozbudowę przemysłu, organizację bankowości i kredytu, akumulować i potęgować wciąż nowe siły w najszerszych zastępach społeczeństwa.

W analizie tej można zstępować coraz głębiej i głębiej, można przechodzić od problematu do problematu, można badać różne zjawiska i różne pokolenia, wszędzie jednak spotyka się to samo nastawienie psychiczne, nakazujące nieomal — jak gdyby pod wpływem magicznego porozumienia — każdy obowiązek wobec własnego państwa i wobec własnego społeczeństwa wyminąć, przed każdym świadczeniem uciec, wobec każdej historycznej konieczności, nawet decydującej o losach państwa, zamknąć szczelnie oczy i uszy, stłumić głos rozumu i sumienia, a w razie nieodpartej konieczności obowiązek ten zepchnąć na cudze barki. W ten sposób zniweczone zostały potężne możliwości historyczne, ścieśnione zostały prawa Polski nad brzegami Bałtyku, wydane zostały na łup obcym i miasta polskie, i handel wewnętrzny i zewnętrzny, najistotniej-

sze podstawy rozwoju dobrobytu społecznego, a skarb państwowy, ten podstawowy element programowości polityki, pozostawał chronicznie tak pusty, jak pustą i bezwładną była polityka Polski 17 i prawie całego 18 wieku. Fala ta nie ominęła ani jednego z głównych, zasadniczych zagadnień. Tak potężny czynnik, budujący i potęgujący poczucie jedności narodowej, zakładający w umysłach i sercach ludzkich fundamenty obowiązku wobec państwa, utrzymujący nierozerwalność, ciągłość idei państwowej — jak oświata, został oddany prawie wyłącznie w ręce zakonów, które również przechodziły swoje własne wzniesienia i dekadencje. Usuwając prawie całkowicie oświatę spod wpływu państwa, stabilizowano chorobliwy stan, scharakteryzowany uprzednio. Aktywny walor tego właśnie czynnika wyjaśnia dobitnie działalność Komisji Edukacyjnej, która w okresie wzrostu jednego pokolenia, pomimo potężnych trudności, pomimo braku środków materialnych, pomimo ograniczonego pola działania dokonała cudów w przebudowie psychiki ówczesnego społeczeństwa, w przebudowie, która nie będąc jeszcze dość silną, by uchronić Polskę przed upadkiem politycznym okazała się dość głęboką, by uchronić nas przed nikczemnością w upadku, a w konsekwencji przed zagładą nieodwołalną.

Zagadnienie wojskowej obrony całości państwa i jego niezależności było pozornie obowiązkiem powszechnym, jednakże dopiero w chwili ostatecznego niebezpieczeństwa. Tak pojęta, doraźna powszechność — w zakresie tak twardego obowiązku — graniczy już tylko o miedzę z możnością powszechnego uchylenia się od tej konieczności. Ponadto z biegiem wieków poczęła się wytwarzać sztuka wojenna, przy której osobista odwaga i męstwo coraz bardziej ustępować musiały kroku technice, umiejętności i wyszkoleniu. Tak pojęte zagadnienie wymagało oczywiście ofiar stałych,

polityki ciągłej, wiążącej się nie tylko z oderwaniem pewnej ilości ludzi od pracy na roli, ale zarazem z zapewnieniem dotacji skarbowych na żołd i sprzęt wojenny, na fabryki broni, na budowę twierdz i ich wyposażenie, a wreszcie na utrzymanie szkół wojennych. Tę drogę obrali nasi sąsiedzi. Polskiej powszechności i doraźności obowiązku przeciwstawili oni kadry stałego wojska, zawodowo wyszkolonego i zorganizowanego, licznym, ale zarazem różnorodnym i sumarycznie małym armiom państwa i poszczególnych polskich magnatów, zarażonym polityką rodową, przeciwstawili oni jednolitą armię państwową, tłumowi niezdyscyplinowanych oficerów polskich, pozbawionych często żołnierzy, przeciwstawili oni logicznie i celowo zbudowaną hierarchię, opartą na niezłomnych zasadach karności, odwadze polskiej przeciwstawili technikę, szabli przeciwstawili armaty. W tych warunkach rezultaty starcia musiały być z góry przesądzone. Nawet nadludzkie bohaterstwo jednostek, tak rzadko spotykane w historii innych narodów, nie mogło się oprzeć naciskowi organizacji celowej i wyposażonej we wszelkie środki działania. Słusznie bowiem twierdzi J. I. Kraszewski[1], „że wojsko bohaterów bez ładu nic ważyć nie może przeciwko armii ludzi pospolitych, umiejących podlegać i słuchać". Stąd też nawet wówczas, gdy wygrywaliśmy bitwy, przegrywaliśmy coraz częściej i coraz dotkliwiej wojny. Mimo to ten stan faktyczny nie otworzył oczu odpowiedzialnym kierownikom polskiej polityki państwowej na konieczność gruntownej reformy w zakresie wojskowości aż do ostatnich prawie lat Rzeczypospolitej szlacheckiej. I tu bowiem stanęła w poprzek kolizja doraźnego materialnego interesu warstwy panującej z codziennym, trwałym i zbiorowym obowiązkiem wobec państwa. Zgodzono się więc raczej

[1] J. I. Kraszewski, *Polska w czasie trzech rozbiorów*, Poznań 1874, t. I, s. 150.

na przewlekłą i chroniczną chorobę, niezmiernie dokuczliwą dla całego społeczeństwa, gnębiącą często zarówno dwory, jak i wsie, byle nie ulec konieczności ponoszenia choćby nawet mniejszych, ale stałych obciążeń na rzecz armii państwowej w formie podatku. Źle opłacana, a często wcale nie opłacana armia musiała z natury rzeczy zarówno utracić swą zdolność bojową, jak też i stać się plagą dla własnego kraju. „Pod względem wojskowym — pisze W. Łoziński[1] — nie było chyba kraju, w którym by się tak ścierały ostateczności jak w Polsce. Nie miała stałej armii, a miała najdotkliwszy ucisk żołnierski". Wielu innych historyków wspomina, iż postój wojsk koronnych, nie utrzymujących tak często ani żołdu, ani zaopatrzenia na czas, był równoznaczny dla okolicy z najazdem Tatarów, wreszcie z powodu długotrwałych zaległości w wypłacie żołdu przeżywała Polska często zjawiska zorganizowanego strajku swej armii, i to właśnie w obliczu najazdu nieprzyjacielskiego.

To samo wymykanie się steru z rąk państwa obserwujemy w zakresie tak ważnym i tak funkcyjnie związanym z interesem państwa, jako całości, jak organizacja polityki zagranicznej. Coraz częściej i coraz jaskrawiej wpycha się na widownię odrębna polityka rodów magnackich, jak grzyb domowy czepia się ona wszelkich zakamarków przy dworach europejskich, niszczy ostatnie zewnętrzne przejawy jednolitości państwowej, paktuje zanarchizowana i rozdęta pychą w sprawach korony polskiej i ustroju państwa ze zdeklarowanymi wrogami państwa polskiego, gotowa zawsze przy konflikcie interesów rodowych i państwowych poświęcić te ostatnie na korzyść pierwszych. Ileż to zdrady i przekupstwa wyrosło na tym właśnie podłożu, ile pogardy i lekceważenia u obcych powstało na

---

[1] W. Łoziński, *Prawem i Lewem*, Lwów 1913, t. I, s. 205.

widok tego kłębowiska sprzeczności i zwalczających się nawzajem nienawiści rodów magnackich, które pierwsze dokonały podziału Polski, które ją rozerwały i rozszarpały między siebie, zanim jeszcze wrogowie jej odważyli się zbrojną przemocą dokonać na niej gwałtu rozbioru.

Temu prymitywnemu uproszczeniu i zlekceważeniu poczucia obowiązku wobec państwa przeciwstawia się zgubne skomplikowanie, splątanie ustroju i organizacji państwa, pomieszanie kompetencji, rozproszenie wszelkiej odpowiedzialności, opatrzne rozdzielenie ról w państwie, a wreszcie niezmienne przesycenie całej atmosfery państwowej dobroduszną ufnością tam, gdzie najprostsze przesłanki nakazywały stosowanie największej przezorności i rezerwy, a zjadliwą krytyką i bezgraniczną podejrzliwością tam, gdzie logika sytuacji i nieodparta konieczność państwowa wymagały ścisłej współpracy, opartej i zbudowanej na zaufaniu.

Jeżeli z dzisiejszego punktu widzenia można słusznie twierdzić i uzasadniać, że rola panującego monarchy jest całkowitym anachronizmem i przeżytkiem, który pod naciskiem samej struktury nowoczesnego życia musi stopniowo zanikać, to jednak byłoby całkowitym błędem odnoszenie tego twierdzenia i do przeszłości. Życie państw jest oparte również na zasadach ewolucji. Historia dostarcza obficie przykładów o aktywnej, niejednokrotnie epokowej roli panujących, jako uosobienia państwowej racji stanu, jako żywej ciągłości w rozwiązywaniu tych problematów, które przerastały życie poszczególnych pokoleń.

Można się zgodzić z twierdzeniem, że Polska szczególnie nie miała szczęścia do panujących, którzy — za zupełnie nielicznymi wyjątkami — raczej pomnażali elementy słabości państwa, niż im przeciwdziałali. Trudno jednak zgodzić się z profesorem A. Krzyżanowskim — mimo zacytowania licznych, ale hipote-

tycznych argumentów — że główną przyczyną upadku Polski byli jej królowie[1]. Nie można bowiem nigdy zapominać, w jak wyjątkowych warunkach mieli działać królowie elekcyjni w Polsce. Stopniowo byli oni odzierani ze wszelkiej władzy i wszelkiego znaczenia, aż wreszcie w okresie pierwszego rozbioru doszło do tego stanu rzeczy, iż ambasador rosyjski odgrywał rolę panującego, a król polski ograniczał się do roli skromnego posła Rzeczypospolitej przy dworze ambasadora. Upadek władzy królewskiej rozpoczął się w Polsce bardzo wcześnie; wyraźnym, sformułowanym już punktem zwrotnym jest konstytucja z 1505, zwana „Nihil novi", postanawiająca, iż w przyszłości nic nowego stanowionym być nie może przez króla bez zgody sejmu[2]. W artykułach henrykowskich z 1573 r. zastrzeżono następnie, iż za życia króla nie wolno obierać jego następcy, zrywając w ten sposób nie tylko ostatni, faktyczny łącznik polityczny między jednym panowaniem a drugim, ale ponadto stwarzając okres „interregnum" ułatwiający niezwykle targ z kandydatami do korony, zmierzający stale do ograniczenia i podważenia praw władzy wykonawczej króla, a ugruntowania nieproporcjonalnie rozbudowanych już prerogatyw stanu szlacheckiego i jego instytucji, tj. sejmów i sejmików. W ten sposób elekcja stawała się coraz wyraźniej kontraktem zawieranym z jednej strony przez liczną reprezentację stanu szlacheckiego, świadomego swoich egoistycznych postulatów, z człowiekiem często obcym Polsce, nieraz narzuconym, a prawie zawsze obojętnym na losy państwa, pragnącym jednak przy tej licytacji nie dać się pobić swoim konkurentom. Prawną już tylko konsekwencją tego stanu rzeczy była — ustalona

---

[1] Por. *Rosprawa nad zadaniem: z czyiej bardziey winy czy Królów, czy Narodu Polska upadła, napisana przez Adryana Krzyżanowskiego, profesora w Kielcach 1821 r.*, Kielce 1821.

[2] S. Kutrzeba, *Historia ustroju Polski*, t. I, s. 165.

w cyt. artykułach henrykowskich — nie tylko odpowiedzialność króla przed stanami, ale zawarowana możność wypowiedzenia posłuszeństwa królowi przez szlachtę, podcinająca same podstawy jego władzy. Wreszcie konstytucja z r. 1717 poszła jeszcze dalej, zobowiązując króla do wypełniania uchwał — już nie parlamentu — ale dodanych mu do boku senatorów-rezydentów. Tak więc zakres kompetencji sejmu ustawicznie wzrastał i obejmował poza ustawodawstwem coraz szersze dziedziny administracji; sejm wyznaczał poborców podatkowych, a nawet i szafarzy podatków[1]. W okresie tronu elekcyjnego władzą wykonawczą nie był już król, ale szlachta, a raczej — jeżeli idzie o stronę faktyczną a nie formalną — magnaci. Jeden ze starych autorów francuskich Raynal pisze: „Usiłuje się przedstawić ustrój Polski mianem republiki; w rzeczywistości jest to związek wielu małych tyranów przeciwko społeczeństwu. Każdy tam ma siłę i prawo przeszkadzać, nikt tworzyć i budować"[2].

Każdy stan pomieszania pojęć prawnych i zamętu organizacyjnego sprowadza nieuchronnie zgubne konsekwencje; w takim jednak stanie, i to w najważniejszej dziedzinie organizacji naczelnych władz w państwie, Polska przetrwała kilka wieków. Ewolucja organizacyjna zamarła w połowie drogi, stabilizując obok siebie na długo dwie sprzeczne zasady: republikańską i monarchiczną. „Kto chciał w Polsce władzy wybieralnej, chciał Rzeczypospolitej. Kto zaś chciał króla, powinien był chcieć dziedziczności tronu i monarchii. Dwóch form i prawideł przywiązanych do ich istoty bezkarnie mieszać z sobą nie można". W ten sposób więc „Polska była Rzecząpospolitą z królem i monarchią z prezydentem. Królowie zaś nie byli ani rzeczy-

---

[1] S. Kutrzeba, *Historia ustroju Polski*, t. I, s. 165.

[2] Fr. v. Raumer, *Polens Untergang*, Leipzig 1832, s. 8.

wistymi królami, ani prezydentami". „Prezydent w koronie stał się od razu republikanom podejrzany"[1]. Już więc samo prawo i jeszcze bardziej wroga atmosfera psychiczna, podejrzewająca króla o dążenie do „absolutum dominium", o spisek na wolność szlachecką, pętały wszelką tendencję korony do reformy stosunków wewnętrzno-politycznych. Łącznie z tym padło na społeczeństwo szlacheckie jakieś głębokie zaślepienie zakrywające wszelkie zewnętrzne niebezpieczeństwa dla państwa i tak namiętnie umiłowanej wolności, a zarazem potęgujące i wyolbrzymiające obawy przed obezwładnionym, własnym królem. Ten stan rzeczy zatruć musiał życie każdej większej indywidualności na tronie polskim, a wreszcie wykluczył możliwość objęcia tronu przez człowieka o zdecydowanym, twardym charakterze i skrystalizowanym programie.

Wspomina już St. Orzechowski w *Kronikach Polskich*, iż król Zygmunt August „uwiadamia polską szlachtę, wszystkim innym przez list donosi, iak się z nim posłowie ich niegodziwie na seymie obeszli... i do tego rzecz przywieść chcieli, aby żadney królewskiey powagi w państwie nie znano"[2]. Proces ten z biegiem lat potęguje się ustawicznie, dochodząc za Sasów i w pierwszym okresie panowania Stanisława Augusta do zenitu. Fikcyjna monarchia nawet w stosunkach panujących w 17 i 18 wieku była nieskończenie gorsza, zgubniejsza w skutkach, niż wprowadzenie ustroju czysto republikańskiego. Nikt bowiem w wytworzonych warunkach nie przyjmował na siebie historycznej odpowiedzialności za losy państwa. Każde zło, każdą klęskę można było zapisać na rachunek panującego. Błąd, tkwiący w samym założeniu, usuwał się tym

---

[1] J. Alcyato (w:) L. Zienkowicz, *Wizerunki polityczne dziejów państwa polskiego*, t. I, s. 53—56.

[2] Wydanie z r. 1805, Warszawa, s. 47.

bardziej spod krytyki, im powszechniej aprobowane było hasło, że „Polska" właśnie „nierządem stoi", im bardziej wszelka obojętność na sprawy publiczne przenikała społeczeństwo szlacheckie. Dopiero, gdy pod naciskiem wypadków zewnętrznych, pod wstrząsem wywołanym stopniowo przez zrozumienie konsekwencji pierwszego podziału, poczęła się odradzać aktywność polityczna polskiego mechanizmu państwowego, objaw chorobliwy republiki królewskiej ponownie wystąpił na światło dzienne, i to z całą jaskrawością.

Ten obraz szamotania się — nawet tak słabego króla, jakim był Stanisław August — z faktem wyzucia korony z jakiejkolwiek władzy i znaczenia, kreśli obszernie wszystkimi barwami ks. W. Kalinka w *Sejmie Czteroletnim* i *Ostatnich latach panowania St. Augusta*. Jakakolwiek osobista powaga króla wobec potężnych magnatów polskich leżała w gruzach. „Radziwiłłowie, Sapiehowie, Jabłonowscy, Sanguszkowie, Rzewuscy, Ogińscy, Sułkowscy, a nade wszystko Potoccy nie mogli patrzeć spokojnie, jak król przez radę (Nieustającą) władzę swą utrwala" [1]. Ks. Kaz. Sapieha mawiał otwarcie i głośno: „nie miałbym się za prawdziwego Sapiehę, gdybym nie czuł w sobie chętki do walczenia z królem" [2]. „Aby pohamować warcholstwo Branickiego, potrzebny był wyraźny rozkaz Katarzyny, aby Szczęsnego Potockiego... nakłonić do jednostajnego z królem działania, potrzebna była instrukcja od Potemkina; aby wreszcie Ks. Czartoryskiego ugłaskać i zbliżyć do Stanisława Augusta, potrzebna była nauka od kanclerza austryackiego. Tak ze wszystkich stron, zagranicznemi obręczami musiano zbijać do kupy te rozstrzeliwujące się, wybujałe członki państwa polskiego, a pomimo to na próżno!" [3]. Gdy wreszcie w jakiejkolwiek sprawie

---

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 363.
[2] Tamże, t. I, s. 260.
[3] Tamże, t. I, s. 135.

państwowej król powziął postanowienie wbrew woli chwilowych przywódców partyjnych, to „nie było gróźb i szykany, których by nie użyto, aby skłonić króla do odmiany zdania"[1].

Najważniejszym zagadnieniem w pierwszym okresie Sejmu Czteroletniego była niewątpliwie sprawa reorganizacji i pomnożenia armii. Był to okres względnej swobody działania Polski. Groźba dalszego podziału państwa wisiała w powietrzu. Możność odzyskania części ziem utraconych w pierwszym podziale nie była wykluczona. Niepowodzenie Austrii i Rosji w początkach wojny tureckiej, zabiegi króla pruskiego o przymierze z Polską, napięta sytuacja polityczna między zaborcami, usprawiedliwiały pewne nadzieje i możliwości. Wprawdzie skarb polski był notorycznie pusty; wprawdzie brak było oficerów, broni, umundurowania, organizacji, magazynów i koszar. Sejm przeszedł jednak nad tym wszystkim do porządku, a pod wpływem czynników emocjonalnych powzięto szybką uchwałę o stutysięcznej armii. Wywołało to nawet poważne zaniepokojenie w jednych państwach europejskich, uznanie i szacunek u drugich. Tylko ambasador angielski uwiadamiał swój rząd, że uchwała jest lekkomyślna i pozbawiona szans realizacji z powodu braku wszelkich podstaw materialnych, a Buchholtz, poseł pruski, donosił z ironią swemu rządowi, iż „jeśli ten sejm potrwa, nie jest podobna, aby Polacy nie zrobili jakiego głupstwa, które by nam dozwoliło wmieszać się do nich; dlatego potrzeba, aby wojska nasze stały nad granicą"[2]. Jak piszą współcześni historycy i pamiętnikarze, okrzyknięcie stutysięcznej armii w sejmie polskim odbyło się wśród entuzjazmu, całowano się i płakano z radości, jak gdyby naprawdę armia ta stała już pod bronią. Jak załatwiono sprawy podatkowe związane

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. II, s. 282.
[2] Tamże, t. I, s. 214.

z tym właśnie zagadnieniem, omówiono poprzednio. Przedtem jednak podjęto w sejmie najbardziej namiętny spór, kto ma tą nie istniejącą jeszcze armią dowodzić. Samo postawienie tej kwestii zatarło poczucie niebezpieczeństwa zewnętrznego, a wywołało przed oczyma sejmujących stanów potworny obraz skutków tak nieopatrznej uchwały. W fantazji — widziano już króla polskiego na czele potężnej armii łamiącego wszystkie przywileje szlacheckie, może nawet protegującego mieszczan i chłopów, by przy ich poparciu wprowadzić „absolutum dominium". Jeden z posłów, Gorzeński, widząc to nowe wykolejenie się najbardziej zasadniczej sprawy, przywoływał do opamiętania, wołając: „Mieliśmy Rzeczpospolitą wzmacniać, wojsko pomnażać, podatki uchwalać, a jak dotąd wojujemy tylko z królem" [1]. Odosobniony ten głos przeszedł bez echa. Najwybitniejsi bowiem posłowie nie mieli zaufania ani do króla, ani do swego rządu. Poszli więc na naradę do specjalnego wysłannika króla pruskiego, Lucchesiniego, który następnie [2] donosi swemu królowi: „Byłem obecny na ich tajnem posiedzeniu [3] i zwierzyli mi się, że chcą prosić W.K.Mości, aby korpus pruski zbliżył się pod Warszawę i zajął Kraków". Jeżeli zaś „Król polski potrafi zachować władzę prawie absolutną nad wojskiem, patrioci odmówią na nie podatków". Wreszcie sprawa ta przyszła pod rozstrzygnięcie sejmujących stanów. Na posiedzeniu tym wygłoszono przeszło 80 mów, roztaczając czarny obraz niebezpieczeństw, grożących ze strony króla polskiego, ustalając przez głosowanie tajne decyzje, iż władzę zwierzchnią nad wojskiem objąć ma obecnie... komisja sejmowa. Rezultat ten uważano wówczas za niepospolity sukces narodo-

---

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 299.

[2] Tamżę, t. I, s. 215, 216 (w październiku 1788 r.).

[3] Tzw. stronnictwa patriotycznego.

wy. „We wszystkich domach nie spano — pisze o tej nocnej uchwale sejmu Ks. Adam Czartoryski — oczekując rozstrzygnięcia sesji. Wszędzie taż sama radość rozeszła się, ściskano się, kobiety płakały z radości, dzieci skakały, klaskały w ręce"[1]. Kalinka zaś dodaje: „Zanotujemy mimochodem, że to fatalne usposobienie narodu, rządowi własnemu nieufne, o zwierzchność nad wojskiem zazdrosne, przetrwało jego zgon polityczny. Wszakże jeszcze w r. 1831 nie chciano oddać wodza naczelnego pod rozkazy rządu; sejm zatrzymał przy sobie prawo mianowania i odwoływania wodza naczelnego i to w czasie wojny! Błąd ten pochodzący z jednej strony z nieznajomości natury rządu i niedoświadczenia w interesach publicznych, a z drugiej z tego uczucia zarozumiałego wszechwładztwa, z jakim niejeden poseł czuł się u nas i prawodawcą i rządem zarazem"[2].

Uchwała Sejmu Czteroletniego weszła w życie, a konsekwencje jej nie kazały na siebie zbyt długo czekać. Pod koniec marca 1790 r. Polska zawarła znowu wbrew opinii swego króla fatalny traktat z królem pruskim Fryderykiem Wilhelmem, wierząc, iż przy jego pomocy zdoła odzyskać utracone w pierwszym podziale prowincje, a przede wszystkim zabór austriacki. Oczywiście, tendencje Prus były całkiem odmienne, a zmierzały wszelkimi drogami do dalszej grabieży ziem polskich. W tych warunkach nie było bez znaczenia dla króla pruskiego dokładne poznanie stanu armii polskiej. Zawarte przymierze dawało ku temu doskonałą okazję. W połowie r. 1790 wysłany został do Polski pruski generał Kalkreuth dla szczegółowego zbadania siły bojowej „sprzymierzonej" armii polskiej. Opinia ta pod każdym względem wypadła jak najgorzej, a w związku z tym historyk tej epoki podkreśla: „Wo-

---

[1] Ks. A. Czartoryski, *Żywot Niemcewicza*, Berlin 1860, s. 60.
[2] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 224—225.

bec tak bolesnego i upokarzającego rezultatu jego czynności, trudno powstrzymać się od uwagi, że pod zarządem królewskim i departamentu wojskowego żołnierz polski, choć nieliczny, zyskiwał ogólne uznanie europejskich oficerów; obecnie, gdy od dwóch blisko lat sejm pod swój zarząd przejął wojsko, choć go w trójnasób przybyło, stało się ono nieporządną ruchawką, zgoła do użycia niezdolną"[1].

Odwrotną zupełnie ewolucję w ciągu trzech ostatnich wieków politycznego bytu dawnej Rzeczypospolitej przechodziła główna i naczelna instytucja, uosabiająca demokrację szlachecką, tj. sejm. Omnipotencja jej wyparła i zniszczyła stopniowo wszelkie inne władze i instytucje w państwie. Pod jednym tylko względem sytuacja jej stała się podobna do wartości władzy wykonawczej i monarszej. Mianowicie stawała się i ona coraz bardziej bezsilną i nieproduktywną. Zagarniając bowiem w swe ręce coraz szersze, coraz liczniejsze, wciąż nowe kompetencje, rozpraszając się na tysiące drobnych kwestii, wtykając swoje „trzy grosze" do każdej sprawy, zatracając poczucie różnicy istniejącej między realnym rozstrzygnięciem zagadnienia, a wylewem oratorskim, między ograniczonymi możliwościami czynu, a nieograniczonymi kombinacjami słowa, odsuwała się coraz bardziej od swego właściwego i zasadniczego zadania, tj. doskonalenia i harmonizowania ustawodawstwa, od ustalenia najważniejszych i ogólnych wytycznych polityki państwowej, a wreszcie od zapewnienia państwu niezbędnych wpływów skarbowych i kontroli nad ich zużyciem. Sejm polski chciał być w państwie wszystkim: i sejmem, i rządem, i sędzią, i oskarżycielem, i szefem armii, i poborcą, i dystrybutorem podatków, i dyplomatą, a ponad wszystko dobrodziejem społeczeństwa szlacheckiego, obrońcą jego nieskrępowanej wolności zagrożonej jakoby usta-

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. II, s. 146.

wicznie przez te instytucje w państwie, które od dawna pozbawione zostały jakiejkolwiek żywotności i siły. Ponadto ufał niezłomnie w przywilej swej nieomylności, szczególnie zaś w ciskaniu wszelkich oskarżeń. Nie przyjął jednak na siebie konsekwentnie obowiązku formalnej i faktycznej odpowiedzialności za państwo, a podtrzymywał fikcję i rządu i monarchii, jako czynników, na które najłatwiej było przerzucić odpowiedzialność za każde zło gnębiące państwo i obywateli.

Stwierdza to ponad wszelką wątpliwość olbrzymi materiał historyczny. Było to zasadnicze i zgubne pomieszanie pojęć. Ciało zbiorowe, liczne, a ponadto związane sprzecznymi a obowiązującymi instrukcjami sejmikowymi, skrępowane w najwyższym stopniu zasadą obowiązującej jednomyślności, odzwierciedlające ustawicznie zmienne nastroje wyborcze, zmuszone przez swą konstrukcję do demagogii nie jest w stanie — nawet przy najlepszej woli i przy najwyższym wysiłku organizacyjnym, przy wrodzonym zmyśle dyscypliny i głębokim odczuciu mechanizmu państwowego — stać się dobrym rządem wielkiego i rozległego, a tym bardziej zagrożonego w swym bycie państwa. Jednakże właśnie w ówczesnym społeczeństwie szlacheckim brakło coraz bardziej dobrej i wytrwałej woli, brakło i zmysłu organizacji i zmysłu dyscypliny, a zaniedbania w dziedzinie oświatowej zacierały w umysłach coraz bardziej i coraz wyraźniej możność zrozumienia mechanizmu państwowego, źródeł jego sił i jego słabości. Toteż rząd radził, projektował i bał się wykonania czegokolwiek, a sejm rozbudowujący i utrwalający swą supremację w państwie usiłował rządzić. A że zbierał się okresowo, więc wytworzył tradycję władzy przerywanej, a że nie znał mechanizmu spraw państwowych i najczęściej podlegał wpływom emocjonalnym, więc rządził źle.

Już świat starożytny ustalił najgłębszą, najistotniej-

szą, najważniejszą zasadę, niewzruszony wiekami fundament, na którym spoczywa wartość i trwałość organizacji państwowej. Tukidydes powiedział: „siłę państwa stanowią nie mury i nie okręty, lecz jedynie tylko ludzie". Natura uzbraja i przystosowuje organizmy do trwania i rozwoju w określonych warunkach. Człowieka nie uzbraja w nic więcej, jak tylko w rozum. Jest to broń potężniejsza niż wszystkie inne. Ale użycie tej niezwyciężonej broni przez pojedynczego człowieka opiera się na innych zasadach, niż działanie rozumu zbiorowego. Tej cechy użycia rozumu zbiorowego dla osiągnięcia powszechnego dobra, dla umocnienia własnej organizacji państwowej jako źródła rozwoju i pomyślności jednostek, ówczesne społeczeństwo szlacheckie nie posiadało. Horyzont jego był ciasny i niedaleki. W ewolucji ustroju polskiego jednostka przynależna do warstwy panującej staje się na forum sejmu osią, alfą i omegą Rzeczypospolitej. Jej interes, jej indywidualna wola, jej odseparowane od społeczeństwa „ja" wyparło całkowicie z powierzchni życia publicznego Polski nie tylko inne warstwy społeczne, nie tylko wszystkie zagadnienia dotyczące całości i przyszłości państwa, wyparło nie tylko króla i rząd, ale nawet i sam sejm, jako instytucję zbiorowego życia. Wola — dobra lub często zła — przypadkowej jednostki, uwolnionej od wszelkiej odpowiedzialności i wszelkiej kontroli, stawała się w tej instytucji samych jednostek silniejsza, bardziej ważka niż wola całego sejmu i wszystkich instytucji państwowych razem wziętych.

Jeden z autorów politycznych ubiegłego stulecia pisze: „Równość obywateli między sobą nie może nigdy zrównywać każdego z nich z ogółem narodu. Tymczasem w prawodawstwie polskim rzeczy te wzięte były za jedno. Równość doprowadziła do najpotworniejszej nierówności, a wolność pojedynczych obywateli stała

się tyranią dla całego narodu"[1]. Inny autor, charakteryzując ustrój polski i nieprawdopodobną przewagę słowa „nie pozwalam" nad słowem „zgadzam się" w sejmach polskich, zaznacza: „Liberum veto na tyle stanów towarzystwo dzieli, ile jest obywatelów. Ieden obywatel jest nieskończoną liczbą, a wszyscy gołą cyfrą"[2]. Ustrój państwa nie może się rozwijać w formach oderwanych, całkowicie niezależnych od warunków, w jakich konkretnie musi żyć i rozwijać się państwo. Czysta doktryna, ślepa na otaczający ją świat, uparta wobec codziennych wypadków historycznych jest najgorszą siłą pociągową. Prowadzi życie milionów ludzi ku katastrofie. Taką jednak była doktryna ustrojowa Rzeczypospolitej szlacheckiej. Gdy sąsiedzi Polski stwarzali spoistą i twardą organizację państwową, gdy kształcili jej instynkty agresywne, gdy zakładali typ organizacji rabunkowej, Rzeczpospolita rozbrajała swe siły i wartości obronne na każdym polu życia zbiorowego, pozbawiała się podstawowych elementów instynktu samozachowawczego. W ten sposób na przełomie 17 i 18 wieku powstawał w Polsce ujemny typ idealnego państwa, skodyfikowany później w *Umowie społecznej* J. J. Rousseau. Doktryna o państwie, w którym niczyja wola nie może być pogwałcona, w którym naród nie tylko jako całość, ale i jako zbiór jednostek stanowi jedyne, istotne, i faktyczne źródło prawa, w którym rząd jest wynikiem tylko doraźnego kontraktu, umowy społecznej mogącej być każdej chwili przy braku jednomyślności zerwaną, znalazła swój prototyp w Polsce z doby Sasów. Uzupełnia jednak ten sąd charakterystyczną uwagą W. Kalinka: „W naszej Rzeczypospolitej umowa społeczna wiązała rząd,

---

[1] J. Alcyato (w:) L. Zienkowicz, *Wizerunki polityczne dziejów państwa polskiego*, t. I, s. 59.

[2] S. Staszic, *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*, Warszawa 1787, s. 47.

nie wiązała indywiduów; obywatele nie należeli do państwa, owszem, państwo należało do nich". „Z *Umowy społecznej* przyjmowali Polacy to wszystko, co im dogadzało, nic, co by mogło ich krępować" [1].

Zło wybujałe i rozpanoszone w sejmach polskich nie zostało jednak stwierdzone dopiero na podstawie skutków ostatecznych, tj. dopiero po upadku politycznym Polski. Świadomość ta jest bardzo starej daty. Odczuwali ją nieraz sami posłowie, ale nie mieli siły wewnętrznej do opanowania i przełamania zła. Widzieli je i oceniali trafnie liczni mężowie stanu i pisarze polityczni już od początku 16 wieku; ale głos ich przestrogi ginął albo w obojętności, albo w potopie złośliwej krytyki. Podtrzymywały to zło jawnie i pieczołowicie dwory sąsiedzkie zdeklarowanych wrogów Polski; ale i to nie było wystarczające do otwarcia oczu zaślepionych przywódców sejmowych.

Warto niektóre z tych uwag i przestróg dawnych pisarzy zacytować, gdyż dopiero pod wpływem żywych, współczesnych słów uwypukla się cała ślepota polityczna i zasklepienie w doktrynie, a może tylko w nałogu, wielu pokoleń polskich.

Już w 16 wieku woła o „naprawę Rzeczypospolitej" znakomity pisarz, znany i ceniony szeroko w świecie Andrzej Frycz Modrzewski, a zwracając się w kierunku stanów sejmujących przestrzega: „A tak niechaj tego pilnie strzegą posłowie, aby dla nich kiedy Rzeczpospolita wielkiej szkody nie wzięła, z wielką stanu ich sromotą i nędzą" [2].

Stanisław Łaski, kasztelan przemęcki, przyjaciel Modrzewskiego, po wzięciu udziału na sejmie piotrkowskim w r. 1535, wydaje drukiem wspólnie ze Stanisławem Odrowążem, wojewodą podolskim, niezmier-

---

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. II, s. 416.

[2] A. F. Modrzewski, *O naprawie Rzeczypospolitej* (przekł. polski 1577 r.), Lwów 1887.

nie charakterystyczny dialog, który świadczy o niezwykłej sile ujemnych wrażeń przepełniających atmosferę tego sejmu. W przekładzie polskim tytuł tego pamfletu brzmi następująco: *Dialog o Sejmie azjatyckim, czyli raczej o obradach piotrkowskich w grudniu 1535 r. odbywanych*[1]. Dialog ten toczy się między Rzecząpospolitą i jej „piastunem", który zwie się „Nikt". Rzeczpospolita zaniepokojona tym, że nikt w państwie nie dba o jej przyszłość, zapytuje swego opiekuna o przyczyny tego stanu rzeczy. „Nikt" odpowiada: „Słuchaj więc, jeżeli pragniesz wiedzieć... oto następne okoliczności sprawę twoją gubią". A po wyliczeniu całej litanii wad, błędów i win „możnowładców" polskich dodaje: „Na koniec kulawe o wszystkiem zdanie. W ostatku wszystkim razem zaszkodziła druga izdebka gminowładna, która miała tylu przewodników, ile dosyć było do popsucia choćby najlepszej sprawy. Tłum ogromny, ludzi mało; nie własnym, lecz cudzym duchem tchnący, a tę trzodę prowadziły dwunożne potwory... wściekłością swoją wszystko wichrzące". - - „Rzeczpospolita: O ja nieszczęśliwa! czyż do tego już doszła niegodziwość tych ludzi, że mię — matkę i karmicielkę swoją - - chcą gubić?" „Nikt: O niegodziwości nie wiem; ale duma, chciwość nienasycona, zwady, nienawiść i zazdrość wzajemna, oto co ciebie do szczętu gubi". Autor nie ogranicza się jednak tylko do krytyki sejmu. Padają tu gorzkie słowa i pod adresem „Rady dworskiej". Gdy bowiem Rzeczpospolita zapytuje, czy jest jeszcze nadzieja ratunku dla niej, „Nikt" odpowiada: „Pozostała jeszcze rada dworska, która jeśli zajmie się z taką gorliwością poprawą niniejszego sejmu, z jaką usiłowała popsuć przeszły, co i teraźniejszy zjazd skaziło, wierz, że wszystko pomyślnie pójść może".

[1] Stanisława Łaskiego, wojewody sieradzkiego *Prace Naukowe i Dyplomatyczne*, Wilno 1864, t. XLVII.

Ks. Skarga nie przeoczył również zła płynącego z ówczesnego koła poselskiego. Mówi on: „Seymy, które wam były lekarstwem na wszytki Rzeczypospolitey choroby, w jad wam się obróciły." Mikołaj Rey również niezwykle ostro charakteryzuje sejm i posłów. „Zabrnęli w tak głęboki brud", mówi on, „a snać bym mógł rzec w głębokie błoto, iż ani wiedzą ani umieją, jako się z tego wyplątać mają". Stanisław Karnkowski, Łukasz Górnicki, Krzysztof Warszewicki, Jan Kochanowski, Herakliusz Lubomirski, Szymon Starowolski i w.i. coraz jaśniej widzą zło płynące z rozstroju Polski. Im bardziej i głębiej zakorzenia się dezorganizacja, im bardziej przybliża się dzień zguby i upadku, tym bardziej mnożą się głosy krytyczne.

Król Stanisław Leszczyński nie bez odcienia ironii zauważa: „Kiedy sobie wystawuję obraz obrad naszych, nie mogę go lepiej komparować, jako do kapeli wyśmienitej, z przednich muzykantów zebranej, w której przy instrumentach niestrojnych, każdy inszą nutę i pieśń wygrywając, miasto wdzięcznej harmonii, głuszą przykro słuchających" [1]. I tak płynie coraz szerszym korytem krytyka „z przywar sejmowania wynikająca", dotycząca działalności władzy prawodawczej i rządu aż do ostatnich lat Sejmu Czteroletniego. Najpełniej i najostrzej ujął ją może Stanisław Staszic. W *Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego* [2] znajdujemy kolejno następujące najważniejsze dla omawianego tematu wywody: „Seym, na którym Zygmunt III był Królem obrany... zaszczepia długie między narodem niezgody; wznieca woynę z Cesarzem, i Karolowi daie pochop do pustoszenia Inflant. Ten Seym rzucił nasienie wszystkich nieszczęsnych woien z Szwedami". „Taki zły sposób do odprawienia seymów elekcyjnych

---

[1] S. Leszczyński, *Głos wolny, wolność ubezpieczający*, wyd. Kraków 1858, s. 70.

[2] Wyd. z r. 1787, s. 44 do 70.

obrany, bywał w początkach przyczyną obywatelów poróżnień; rzucał daley Królestwo w przepaść i wzniecał woyny domowe"... „W wieku szesnastym seymy elekcyjne zamieniały się w targowisko, na którym Polska Korona towarem bywała". „1582 roku na pierwszym seymie... zamiast gotowania się iak nayprędzej przeciw grasującym Tatarom, obywatele, ieszcze od elekcyi królowi zawistni... osobistemi sprawy czas, seymowi opisany, zwlokłszy, niedozwalali królowi radzić o publicznych potrzebach". „Król Batory, który wielkie był powziął myśli, nawet oświadczyć ich narodowi na seymie sposobu nie znalazł. Tak iest łatwo na polskich seymach czas wyznaczony publiczney radzie, przywłaszczyć osobistości". „Za tegoż Zygmunta (III), kiedy Kozaki Podole łupili, Michał Woiewoda Wołoski Pokucie ogniem niszczył, Karol Xiążę Sudermanii Inflanty zabierał, i wiele innych nieprzyjaciół na Królestwo Polskie zmawiało się, samoiści obywatele zapomniawszy, iż z wszystkimi, i oni ginąć muszą, na seymach chwytali się wszystkich sposobów, z przywary seymowania wynikających, dla strawienia czasu. Na koniec... wszystkim posłom krzyczeć, ale nikomu radzić nie pozwolili". „Przez co dzieie się, iż nie Rzeczpospolita na każdą sposobność polepszenia swego dobra czuwa, ale zdarzone dobro ieszcze na nią czekać musi". „Że sprawy osobiste wielką łatwość maią mieszania się do spraw publicznych, więc każdy, zły człowiek, prędko sposób nayduie dla zakończenia seymu, aby do ustanowienia prawa, całemu towarzystwu użytecznego, ale iego osobistości szkodliwego, czasu nie było." „Źli obywatele ieszcze w samym seymowania sposobie naydowali łatwość zwłóczenia ugody podatków". A wreszcie o stosunku władzy ustawodawczej do wykonawczej podaje Staszic takie uwagi: „Magistratura, praw wykonania strzegąca, będąc przez władzę prawodawczą ustawicznie podchodzona, nienawidzona i prześladowa-

na, w narodzie troskliwym żadnego ku sobie zaufania nie doznaiąc, we wszystkich przedsięwzięciach równie do dobrego, iako do złego nieskończone przeciwności, kłótnie i zmartwienia widząc, sprzykrzy sobie, opuści się, na koniec wcale trwać będzie nieczynną". „I to iest prawda: że w społeczeństwach ludzkich nay-mędrsze prawo, gdy wykonane nie iest, staie się szkodliwym. Przykładem tego nieszczęśliwego państw stanu, jest Królestwo Polskie".

Przytoczone myśli staszicowskie są tylko dowolnym wyborem szczegółów z olbrzymiego, wszechstronnego obrazu, rysującego systematycznie zło, które spływało na cały kraj z zamętu pojęć prawnych i organizacyjnych, o którym mówi St. Orzechowski w *Kronikach Polskich*, iż „w pośrzód iest zło zawarte, które w samych Rzeczypospolitej utknęło wnętrznościach" [1], a które już Stefan Batory ujął z punktu widzenia ustrojowo-politycznego, mówiąc: „Wasza Rzeczpospolita, Polacy, ani porządkiem, którego wcale nie znacie, ani rządem, którym pogardzacie, lecz samym przypadkiem się rządzi".

Wreszcie, jak gdyby bilansując te opinie, nikt inny tylko najpłomienniejszy demokrata, najbezwzględniejszy zwolennik udziału społeczeństwa w rządach i kontroli państwa, wódz rewolucyjny, patrząc okiem i umysłem historyka, a sercem złamanego patrioty na dzieje narodu, Joachim Lelewel, tak charakteryzuje wartość dzieła sejmów starej Rzeczypospolitej: „wszystko zamieniło się tam w zwarcie się i udry niezgodnych z sobą żywiołów, które się wzajem trudziły, męczyły, osłabiały, odrętwiały, a wycieńczały wnętrze i żywotność rzeczypospolitej! Obrady sejmowe wystawują obraz nieczystej walki stronnictw, zasad, namiętności, huczą nieustannym wichrem" [2].

---

[1] S. Orzechowski, *Kroniki Polskie*, s. 131.

[2] J. Lelewel, *Polska, dzieje i rzeczy jej*, t. III, Poznań 1855, s. 321.

Tak więc sejm dawnej Rzeczypospolitej, jako naczelna instytucja w państwie, doprowadził stopniowo do tego, iż „rozbił maszynę rządową, a na jej miejsce nic nie skleił, i on to był sprawcą tej anarchii, jaka się wkradła do wszystkich wydziałów służby krajowej" [1].

Jeszcze gorzej jednakże przedstawiali się ludzie, jako wartości moralne, społeczne, intelektualne i organizacyjne, którzy kolejno, z pokolenia w pokolenie, zasiadali przez kilka wieków w tej instytucji ustawodawstwa polskiego i swoją indywidualnością nadawali charakter i kierunek sejmowi.

Brak zmysłu posłuszeństwa, karności społecznej, solidarności, łączących dobrowolnie niewidzialnym węzłem setki tysięcy obywateli dla wspólnego dobra, dla celów wyższego rzędu, lekceważenie każdej własnej władzy, a zbytnia uległość wobec obcych, wreszcie nadmierne roznamiętnienie partyjne, przeciwstawiające się każdej, choćby najsłuszniejszej myśli przeciwnika partyjnego, to pierwszy z grzechów głównych obywateli Rzeczypospolitej 17 i 18 wieku. Nawoływanie do zgody, do zaniechania prywaty, stało się nieodzowne przy każdej ważniejszej potrzebie Rzeczypospolitej. Tak np. odezwa Prymasa Polski Łubieńskiego z r. 1648, zawarta w „Acta Interregni post mortem Serenissimi et Gloriosissimi olim Vladislai IV" głosi m.in.: „Przez tęż miłość Ojczyzny, wszystkich W-mościów Moich Mciwych Panów proszę, żebyście wszelakie niechęci y niesnaski, które by między kim zachodziły, dla dobrego Oyczyzny w którey zdrowiu y całości zdrowie każdego z nas zamyka się, z serc swoich złożywszy y prywatnych pożytków albo respektów zaniechawszy, w zgodzie oney świętey Staropolskiey do teraźnieyszych rad y spraw Rzpltey przystępowali" [2].

Poseł Bonawentura Małowieski w mowie swej do stanów sejmujących w r. 1788 wskazuje: „Wada nay-

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 579.
[2] *Volumina Legum*, t. IV, pagina 147.

większa, w całey społeczności ludzkiej zagęszczona, naybardziey podobno Polskiego chwyciła się kraiu, iż zamiast ieden drugiemu pomagać, iego wspierać potrzeby i całą szczęśliwić społeczność, szuka nie ieden zguby, niszczy naypożytecznieysze zamiary"[1]. Cytowany już wielokrotnie W. Kalinka, na podstawie szczegółowej analizy czasów, które poprzedziły Sejm Czteroletni, krytyk ostry, ale przenikliwy i przepojony głębokim uczuciem miłości ojczyzny, stwierdza jasno: „W słowniku polskich cnót publicznych mogły być wszystkie cnoty, tylko posłuszeństwa w nim nie znajdzie, a bez tego, jak rządu utworzyć, tak i państwa utrzymać niepodobna"[2]. „Od kilku już pokoleń obywatel polski nie znał władzy publicznej nad sobą"[3]. „Od dawna duch opozycyjny był górą w narodzie, przez opozycyą prędko zarabiało się na popularność, daleko prędzej i bezpieczniej niż pracą. Od dawna rząd w Polsce był nad wyraz trudny i wymagał tak wielkiego natężenia, aby usunąć przeszkody od swoich, że wtedy, gdy się je przełamało szczęśliwie, mało już pozostawało sił, aby zrobić coś dodatniego. Na marnem szamotaniu, na bezpłodnej i zjadliwej krytyce, na drobiazgowym dokuczaniu tracono czas i zasoby"[4].

O poszanowaniu autorytetu władzy państwowej w wieku 17, a szczególnie już w wieku 18 trudno mówić. Każda większa indywidualność, każdy mąż stanu, który ośmielił się najsłabiej choćby przeciwstawić prądowi zwyczajowego zła, prowadzącego państwo nieuchronnie do zguby, miał drogę życia wysłaną cierniami i kamieniami w Polsce; przebaczano mu dopiero po

---

[1] B. Małowieski, *Pisma różne patryotyczne, moralne, ekonomiczne i listy w ważnej materyi w roku 1794 zebrane, teraz na nowo do druku podane*, Warszawa 1810, s. 69.

[2] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 343.

[3] Tamże, t. I, s. 341.

[4] Tamże, t. I, s. 357.

śmierci, gdy nie był już w stanie zamącić spokoju zanarchizowanej braci szlacheckiej. Każde, najbardziej niesprawiedliwe, najbardziej perfidne i złośliwe oskarżenie rzucone pod adresem najlepszego, najgorliwszego syna Ojczyzny, stawało się natychmiast niewzruszonym pewnikiem w umysłach opinii publicznej. Każde uznanie było przyjmowane sceptycznie lub przemilczane zazdrośnie, chyba, że odnosiło się do człowieka tak złego, jak złymi byli sami przywódcy opinii.

Żółkiewskiemu zarzucono na sejmie 1618 r., że: „pozwolił Tatarom bezkarnie plądrować kraj". Sobieskiemu zarzucono na konferencji gołębskiej, że wszedł w tajne porozumienie z Turcją. Za opór przeciwko pierwszemu podziałowi Polski „chcąc zastraszyć opozycję sąd ogłosił wyrok na Rejtana i Korsaka, jako na nieprzyjaciół Ojczyzny, odsądzając ich od czci i skazując na śmierć" [1].

W rok po bitwie pod Ostrołęką ogłoszono Bema na emigracji za „zdrajcę i wroga ojczyzny", a dnia 12 lipca 1832 r. porucznik Pasierbski strzelał do niego. Na początku wojny węgierskiej Ksawery Kołodziejski strzelał ponownie do Bema i ranił go. Młodzież polska zgromadzona w Budapeszcie wydała w obronie zamachowca broszurę pt. *Zamach na zdrajcę Bema*, twierdzącą, że „Bem dopuścił się zdrady pod Ostrołęką i jest agitatorem panslawistycznym". Agitacja prowadzona przeciwko Bemowi doprowadziła do tego, że rząd węgierski nie mógł powierzyć Bemowi naczelnego dowództwa, przeznaczając go na drugorzędny teren operacyjny w Siedmiogrodzie [2].

W chwili gdy rząd rosyjski po upadku powstania listopadowego skazywał Adama Czartoryskiego zaocznie

---

[1] J. I. Kraszewski, *Polska w czasie trzech rozbiorów*, Poznań 1874, t. I, s. 90.

[2] Powyższe dane zawdzięczam informacjom p. dr. T. Ciświckiego.

na karę śmierci, w odezwach emigracyjnych nazywano go publicznie „wyrodkiem", twierdzono, że „obudza zgrozę przez oszukańcze trwonienie pieniędzy emigracyjnych", a wreszcie w tzw. akcie z Poitiers z dnia 29 lipca 1834 r. ogłoszono go za „nieprzyjaciela emigracji". Gdy M. Mochnacki stanął w obronie Czartoryskiego, ogłoszono go za „zaprzedanego arystokracji"[1].

Natomiast wszyscy warchołowie, zawadiacy, rebelianci, a nawet bezpośredni zdrajcy Polski, o ile umieli uderzyć w ton opozycji, cieszyli się niemałą popularnością. Tak np. Poniński w okresie pierwszego rozbioru Polski cieszył się wielką sławą i uznaniem. Jeden z posłów w Sejmie bez czyjegokolwiek protestu wołał do Ponińskiego: „zjednałeś nie tylko nasz szacunek i wdzięczność, ale i od później potomności wielbionym być powinieneś"[2]. Podobną popularność zyskał późnięj nieco Branicki. Kalinka[3] wskazuje, że „akt gwarancji[4] ani setnej części nie obejmował tych spraw, do których dobrowolnie przyzywaliśmy Imperatorową i jej ambasadora, jakkolwiek te sprawy wyłącznie do króla i magistratur polskich powinny były należeć. Owa nieustająca żebranina Polaków w Petersburgu daleko więcej niż gwarancja trzymała Rzplitę w niewoli rosyjskiej. Krnąbrni i zuchwali wobec swego rządu, potulni aż do upodlenia przed obcym, dawaliśmy Rosji dużo pierwej niż gwarancja stanęła, wszelką możność przeprowadzenia swej woli u nas". Sąd ten, niestety, znajduje całkowite potwierdzenie i w źródłach obcych. W wydanych w Londynie w r. 1845 *Diaries and Correspondence* przez Jamesa Harrisa, lorda Malmesbury,

---

[1] Informacje p. dr. T. Ciświckiego.

[2] J. I. Kraszewski, *Polska w czasie trzech rozbiorów*, t. I, s. 117.

[3] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 244.

[4] Akt gwarantujący swobody polskie i nienaruszalność reszty Polski po pierwszym rozdziale.

znajdujemy następujące uwagi o stanie Polski w latach poprzedzających pierwszy rozbiór: „Poseł rosyjski wydaje rozkazy z wyniosłością, które są wypełniane z pokorą. Ks. Repnin większą rolę odgrywa w Warszawie, aniżeli Król. W łonie delegacji sejmowej daje rozkazy swe z jak najzupełniejszym despotyzmem i każe milczeć, skoro który z delegatów pozwoli sobie być innego zdania".

Twórcy konfederacji targowickiej, którzy mieli oparcie nie tylko w bagnetach i armatach rosyjskich, ale i liczne rzesze zwolenników w kraju, wystosowali pozew w r. 1792 przeciwko autorom Konstytucji Majowej, oskarżając ich o „wprowadzenie rządu absolutnego i wywrócenie Rzeczypospolitej i poddanie jej całkowicie pod władzę króla, o dopuszczenie do złamania pactów conventów, o nakazywanie narodowi i wojsku krzywoprzysięstwa, o szafowanie skarbem publicznym, o nieprawne ustanowienie sądów z formy srogiej, despotów tylko godnych etc.". Samo sformułowanie takiego oskarżenia mogło się dokonać tylko w warunkach zupełnego zamętu w zakresie poczucia obowiązku obywateli wobec państwa, przy zatraceniu podstawowych pierwiastków moralności politycznej. Ten fatalny nałóg „postawienia na swoim", choćby z widoczną szkodą całego państwa, nie zatracił się, niestety, nawet po tak ciężkich, tak bolesnych i upokarzających wypadkach, jakimi były trzy kolejne rozbiory i utrata polskiej samodzielności politycznej.

W *Wizerunkach politycznych dziejów państwa polskiego*[1], po skreśleniu obrazu rozdwojenia opinii publicznej polskiej w r. 1831, pragnącej częściowo bezwzględnej walki z zaborcą rosyjskim, częściowo zaś dążącej do oparcia rewolucji listopadowej na negocjacjach z caratem, spotykamy opis następującego faktu:

---

[1] J. Alcyato (w:) L. Zienkowicz, *Wizerunki polityczne dziejów państwa polskiego*, t. I, s. 177.

„Opinia, zmierzająca do układów z Mikołajem, od steru rządu i wojska usunięta, dwudziestotysięczny korpus odciągnąwszy od stolicy oblężeniem zagrożonej, nie chciała ani przybyć jej na pomoc, ani połączyć się z wyszłą z niej załogą, ale uprowadziła go za granicę. Fakcya rzeczona tak politykowała: kiedy powstanie z pod naszego wyszło kierunku, powinno przepaść".

Nikt może jaskrawiej nie ujął tego zgubnego doktryneryzmu polskiego, jak właśnie historyk i polityk doby powstania listopadowego, Maurycy Mochnacki. Charakteryzując dwie przeciwstawiające się grupy pisze: „Kaliscy mężowie mówią: Zgiń, a nie odmieniaj swego przekonania, choćby te przekonania cała Europa odrzuciła, choćbyśmy razem przepaść mieli... Rewolucjoniści zaś mówią: Zgiń, ale dokaż swego; przepadnij, byle naród ocalał... Tamci gotowi umrzeć dla jednej politycznej wiary; ci gotowi umrzeć dla tego, aby żadna polityczna wiara na przeszkodzie zbawienia ojczyzny nie stawała" [1].

Jednakże nieraz stawała ona na przeszkodzie i w latach późniejszych.

Drugim grzechem głównym, jeszcze cięższym i jeszcze obrzydliwszym, było rozkrzewione w 18 wieku przekupstwo na rzecz obcych interesów i obcych mocarstw. Przekupstwo materialne i przekupstwo oparte na wygrywaniu ambicji polskich możnowładców. Nawet jednak czasy odległe trudno jest analizować spokojnie Polakowi w odniesieniu do tej materii. Więc aby tylko gołosłownie nie postawić tego twierdzenia w rejestrze win i błędów — nie społeczeństwa polskiego — ale jego przypadkowych może luminarzy, można zacytować za Kalinką: „Sejm podziałowy zasłynął przekupstwem. Trzy mocarstwa zaborcze złożyły do wspólnej kasy 80 tysięcy dukatów na opędzenie wydatków; wszakże

---

[1] M. Mochnacki, *Dzieła*, Poznań 1863, t. IV, s. 274.

ta suma niemal cała przeszła w ręce Ponińskiego i jego kolegi Radziwiłła, kasztelana wileńskiego, z których pierwszy otrzymał 2 000 dukatów, drugi tysiąc dukatów miesięcznie przez czas trwania delegacji" [1]. „Gangrena korupcji rosyjskiej ciągnie się przez wiele lat i obejmuje wiele wybitnych nazwisk. Nie są od tego wolni nawet duchowni". (Jak biskup Kossakowski i biskup Rybiński). Natomiast delegat króla pruskiego odradzał posługiwania się przekupstwem, jak to czyniła Rosja. Doradzał on swemu królowi, że „schlebiając miłości własnej Polaków, pobudzając ich próżność narodową i ich anarchiczne narowy, można dalej, pewniej i prędzej zajść, niż wszelkim, innym sposobem" [2].

Trzecim grzechem głównym wobec własnego państwa było całkowite lekceważenie prawa, deptanie ustaw i konstytucji, władz i wyroków sądowych, pozbawianie ich wszelkich istotnych sankcji karnych, a płynące nie tylko z dołu, od szerokich warstw szlacheckiego społeczeństwa, ale przede wszystkim z góry. Jeżeli słuszne jest twierdzenie Kalinki, iż „w miarę jak słabła nasz organizacja państwowa, naród i politycznie i moralnie upadał; widne to od 16 wieku, jak dobrego wciąż u nas ubywa, a złe wciąż rośnie", jeżeli słuszne jest, iż „było to wzajemne a zgubne oddziaływanie; poddani psuli swój rząd, który też coraz mniej mógł ich zasłaniać od zepsucia, jakie bezkarność za sobą ciągnęła" [3], to odnosi się to przede wszystkim do lekceważenia i łamania prawa, do ustawicznego burzenia go i budowania na nowo, bez istotnej i twardej woli podporządkowania mu naprawdę norm zbiorowego współżycia. Zarówno w kraju, jak i poza jego granicami utarło się niezbyt zaszczytne dla nas powiedzenie: „Leges Polonae similes mutanti lunae". W rzeczywistości

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 323.
[2] Tamże, t. I, s. 326.
[3] Tamże, t. II, s. 316.

było jeszcze gorzej, gdyż „przychodziło do tego, że kto chciał, aby prawo było wykonane, sam je wykonywać musiał, a wtedy nie mogło być inaczej, jak tylko, że prawa stawały się pozorem, legalnym tytułem występków, narzędziem gwałtu, środkiem przemocy, sankcją samowoli"[1]. J. Lelewel zaś pisze[2]: „Powtarzał szlachcic, że nie było nadeń pod słońcem wolniejszego człowieka. Rzeczywiście wynosił się nad prawo, przywodził go do milczenia, wykładał, nakręcał na swą korzyść, jak mu dogodniej". I istotnie w tradycji i legendzie urastał do rozmiarów pewnego rodzaju bohaterstwa szlachcic podbijający szubę wyrokami sądowymi, depcący prawo, które ośmielało się przeciwstawiać jego woli i jego bujnej indywidualności. To właśnie zaślepienie niszczyło najbardziej podstawowe elementy, cementujące najsilniej społeczeństwo w jednolity organizm państwowy.

Z tą tradycją złego wymiaru sprawiedliwości i złych sądów przestała istnieć politycznie dawna Rzeczpospolita. W jednym z pierwszych aktów, ogłoszonych przez króla pruskiego po rozbiorze Rzeczypospolitej, w listopadzie 1795 r. czytamy na wstępie, iż konieczną jest zmiana praw polskich w zabranych polskich prowincjach, gdyż zmierzają one „ku uwiecznieniu bezprawiów pewnych, przez które polski niegdyś sądzenia sposób — chociaż osobliwie w czasie nowszym wiele do poprawienia onego jest czynione — przez całą Europą w nienaylepszey był sławie"[3]. I dokonuje się niebawem charakterystyczny przewrót psychiczny; to samo społeczeństwo, nawet ci sami przywódcy, którzy nie mogli ścierpieć łagodnych praw polskich, którzy nagi-

---

[1] W. Łoziński, *Prawem i Lewem*, t. I, s. 8.

[2] J. Lelewel, *Polska, dzieje i rzeczy jej*, t. III, s. 454 i 458.

[3] *Publicandum względem niektórych w sądzenia sposobie w Prusiech Południowych na dobro obywatelów krajowych uczynionych rozporządzeń*, Berlin, 16 XI 1795, *Wstęp*.

nali je i łamali stosownie do własnych potrzeb, a nawet zachcianek, ugięli się sami potulnie i cicho wobec twardego prawa zaborcy.

Wymienione wady i błędy były najbardziej zasadnicze, pozbawiły Rzeczpospolitą najwięcej sił, rozluźniły spoistość społeczeństwa polskiego do tego stopnia, iż pierwszy zamach na całość, integralność i prawa Polski, przeminął prawie bez echa oporu. Ale i to wszystko listy wielkich grzechów nie wyczerpuje. Gdziekolwiek dotknąć to smutne i czarne rumowisko 18 wieku z epoki Sasów i pierwszych lat panowania Stanisława Augusta, szczególnie w warstwach najwyższych, wszędzie ślad ciężkiej choroby, rozkładu, zarodów śmierci, upadku organizacyjnego i bezgranicznej obojętności na losy państwa. Tak więc formalnemu bojkotowi potrzeb skarbu państwa przeciwstawia się krańcowa chciwość indywidualna i rozrzutność w życiu prywatnym. Każda okazja była dobra do zagarniania grosza i dóbr, które legalnie należały się państwu, a których zabór na rzecz ludzi prywatnych podcinał nieraz najbardziej żywotne korzenie Rzeczypospolitej. Wł. Łoziński[1] przypomina, iż „samowolne, prywatne myta i cła były klątwą i zgubą obrotu handlowego nie tylko dla producentów rolniczych, ale i dla całego ruchu ekonomicznego i komercjalnego. Samowola i zdzierstwo przybierały cechę otwartego rozboju na gładkiej drodze". Po przebyciu kilkunastomilowej drogi kupiec tracił połowę wartości swego towaru na opłatę haraczu mniejszym i większym potentatom, co oczywiście, poza innymi, wymienionymi już względami zabijało wszelki handel bezapelacyjnie. J. Lelewel[2] zaś wspomina, że „szlachta co miała wstręt do handlu, która w mieście garcem, łokciem mierząc, funtem ważąc byłaby się bezecniła, w posiadłościach swych sól na uncje, trunki na kwaterki

[1] W. Łoziński, *Prawem i Lewem*, t. I, s. 156.
[2] J. Lelewel, *Polska, dzieje i rzeczy jej*, t. III, s. 344—345.

sprzedawała". Ponadto „szlachta zastrzegła sobie sól z Wieliczki po cenie, która nie pokrywała łożonych na jej dobycie kosztów; otrzymywała ją stosunkowo do swych posiadłości i takową handlowała". Było to jawne obdzieranie skarbu państwa i to w okresach, w których na najniezbędniejsze, najbardziej żywotne potrzeby państwa, na obronę jego całości i egzystencji grosza w skarbie nie stawało. Jakąż odrazę musi budzić w tych okolicznościach cytowany przez Kalinkę[1] wyjątek z listu Lucchesiniego do rządu pruskiego, iż „naczelnicy sejmu chętnie by ofiarowali Gdańsk i Toruń z jakimś małym okręgiem, pod warunkiem, żeby Prusy, w razie śmierci cesarza, poparły ich pretensje do Austrii, celem odzyskania Wieliczki".

A wreszcie nie bez znaczenia politycznego był fakt gwałtownych wybuchów namiętności, sporów i walk, nienawiści partyjnych, powstających z najbardziej błahych, drugo i trzeciorzędnych przyczyn, nieraz z powodu fałszywej plotki, insynuacji lub przewrażliwionej podejrzliwości, gdy równocześnie dla spraw ważnych i wielkich, mogących istotnie i z pożytkiem dla sprawy wywołać różnicę zdań i polemikę, przejawiała się całkowita obojętność, głębokie lekceważenie, albo jak pisze w swej broszurce Jenerał Kniaziewicz[2] „niestałość umysłu i brak wszelkiej energii". Kalinka zaś w przedmiocie tym pisze: „Przypomnijmy, jakie to sprawy w epoce, która nas zajmuje, roznamiętniały cały naród w sejmie i poza sejmem. W r. 1782 nie było ważniejszego pytania nad to: czy Sołtyk oszalał albo nie; w r. 1785 proces nikczemnej intrygantki Dogrumowej rozdzielił kraj na dwa nienawistne obozy; w rok później dekret marszałkowski w tymże procesie wydany i nazwisko Branickiego w nim zamieszczone

---

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 623.

[2] K. Kniaziewicz, *Czy Polacy mogą się wybić na niepodległość*, wyd. II, Warszawa 1831.

stały się pierwszorzędną kwestią stanu w gabinetach, na sejmikach i w sejmie; a im lichsze były sprawy, z tym większą zapalczywością walczono za nie, marnując siły, które sfornie i roztropnie użyte, mogły były dźwignąć kraj. W tak opłakanym roztroju, ukazać narodowi jakiś wyższy cel, mogło już samo przez się stać się ratunkiem"[1]. A w innym miejscu dodaje: „Roztropniejsi nie chcieli podać sobie rąk, więc nieroztropni musieli brać górę"[2].

Oto prawdziwe, nie upiększone legendą wielkie i szare tło ludzkie, na którym trwał w coraz większej bezsile i bezczynności zarówno sejm polski, jak i król, mając formalnie stanowić najwyższą, najbardziej odpowiedzialną magistraturę w państwie. Czyż trzeba jeszcze wyświetlać tu rolę i charakter rządu, który w wiekach 17 i 18 stawał się najistotniejszą sprężyną mechanizmu państw europejskich, a u nas mógł się rzetelnie chować pod kryptonimem „nikt"?

Historycy powierzchowni przypisywali rozwój potęgi Prus Fryderykowi II; przenikliwsi badacze stwierdzali jednak, że w dziele tym najwybitniejszą rolę odegrała przezorna, sprawna administracja, kierowana umiejętnie przez silny rząd, świadomy swych celów, praw i obowiązków, wierzący, iż w swej roli sługi narodu i państwa ma za sobą społeczeństwo zharmonizowane z ideą państwową.

Tak jak magnes, dźwigający nieraz potężne ciężary, składa się z cząsteczek i drobin o bardzo małej i słabej sile, potęgującej się jedynie przez uszeregowanie i zwrócenie wszystkich indywidualnych sił w jednym kierunku i dla jednego celu, tak samo społeczeństwa ludzkie zorganizowane i świadome celu mogą doprowadzać do nadzwyczajnych rezultatów przy użyciu pozornie małych wysiłków. Zorganizowani i przeniknięci

---

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 61.

[2] Tamże, t. I, s. 559.

określoną ideą ludzie, odznaczający się indywidualnie słabym patriotyzmem i małą dynamiką twórczą, stanowią nieraz potęgę wobec ludzi o nadzwyczajnych wartościach osobistych, którzy nie chcą lub nie potrafią poddać tych wartości pewnej dyscyplinie, celem osiągnięcia zbiorowym wysiłkiem tych rezultatów, które nawet stokrotnie większym wysiłkiem indywidualnym, ale zdezorganizowanym nigdy osiągnięte nie będą.

Tej zasady kierownicy polityki dawnej Rzeczypospolitej zupełnie nie rozumieli. Tak samo, jak w ustawicznej trwodze o naruszenie lub ograniczenie wolności i przywilejów szlacheckich stopniowo pozbawiono króla istotnej mocy, władzy i znaczenia w państwie, tak też wykruszono powoli wszelki autorytet rządu, zniszczono walor władzy wykonawczej, pozostawiając pusty dźwięk bez istotnej treści. „Bez wątpienia — pisze Kalinka — potrzebny jest podział władz w państwie, tego porządek interesów wymaga, ale podział to nie rozdział, to nie ich wzajemna od siebie niezawisłość. Jedność władz tak jest konieczna w państwie, jak jedność władz w duszy człowieka. Człowiek, w którym by choć jedna władza chciała żyć niezależnie od drugich, skończyłby na szaleństwie, które jest rozkładem ducha. Coś podobnego zdarzyło się w naszym ustroju politycznym" [1].

W rzeczywistości w przełomowym okresie 17 i 18 wieku Polska poszła jeszcze dalej, gdyż nie tylko władze państwowe rozdzieliła, ale stopniowo władzę wykonawczą doprowadziła do stanu całkowitej anemii, na korzyść wybujałego zanadto parlamentaryzmu. Być może, iż równowaga pojedynczych czynników władzy w państwie jest wartością zmienną, iż w różnych warunkach politycznych, społecznych i ekonomicznych muszą zachodzić wahania, koncentrując raz większą

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 224.

dynamikę w ciałach reprezentacji społecznej, tj. w sejmach, innym razem w organach wykonawczych. Ale właśnie Rzeczpospolita popełniała błąd asynchroniczny, tj. doprowadzała do absurdu i krańcowości władzę ustawodawczą właśnie wówczas, gdy w całej Europie wzrastała w znaczenie skoncentrowana i jednolita władza wykonawcza. Upadek władzy wykonawczej właśnie w okresie dekadencji ideowej i moralnej nie wywoływał nawet poważnych refleksji. Dopiero w kilkanaście lat po pierwszym rozbiorze Polski rozbudzony został krytycyzm, początkowo jeszcze bardzo nieśmiały, w odniesieniu do tego wielkiego zagadnienia. W początkach obrad Sejmu Czteroletniego twierdzi w przemówieniu kasztelan Ostrowski, iż przyczyną tylu nieszczęść kraju, oderwania wielkich prowincji, całkowitego utracenia autorytetu wśród mocarstw i państw europejskich było nic innego, jak „rząd nieczynny, a właściwie brak rządu". Jak długo jednak nie zjawiły się groźne i wyraźne widma nowych nieszczęść narodowych, dopóki nie odczuto bezpośrednio zbliżania się ze wszystkich stron nowej nawałnicy, mogącej i mającej przewrócić w gruzy ostatnie zręby gmachu Rzeczypospolitej, tak długo obojętność albo nawet wroga niechęć towarzyszyła myśli o zasadniczej reformie ustroju państwa nawet u najświatlejszych ludzi. Przeciwnie, sejm, który zaniedbał wszystkiego, co dotyczyło bezpieczeństwa państwa, ufny i wierzący nadal w omnipotencję przemówienia poselskiego i uchwały sejmowej, żadną realną siłą nie popartej, w związku z natarczywym i natrętnym naleganiem Prus dobrowolnego wyrzeczenia się przez Polskę Gdańska, Torunia i okręgu poznańskiego uchwalił konstytucję... o nierozdzielności krajów Rzeczypospolitej. Stało się to w przededniu drugiego i trzeciego podziału Polski, ale, jak pisze Kalinka, „Sejm rozumiał, że dobrze obmyślaną redakcją

uchwały zawaruje się bezpieczeństwo Rzeczypospolitej"[1]. Dopiero bieg wypadków i załamywanie się wiary w uczciwość pruskiego przymierza rozjaśniły horyzont części społeczeństwa światłem nadciągających z burzą błyskawic. „W pierwszej epoce tego Sejmu Ignacy Potocki i jego przyjaciele głosili, że w wolnej Rzeczypospolitej władze rozdzielać, nie łączyć należy; obecnie gdy już nie walczyć z rządem, ale coś dodatniego — jako rząd — zrobić chcieli, zmienili jak widzimy swe zdanie. Wówczas skarb, wojsko, dyplomacja niezawisłe od rządu wydawały się najwyższą mądrością polityczną; obecnie stracono wiarę w tę mądrość. Po upływie piętnastu miesięcy chcieli odbudować to, co sami zburzyli, a zburzyli z takiem zmarnowaniem czasu... i narażeniem państwa na nieodwrotne niebezpieczeństwa"[2].

Zejście z fałszywej i błędnej drogi zupełnego zahamowania funkcji i zdezorganizowania istoty niezbędnego w organizmie państwowym czynnika władzy wykonawczej nie mogło oczywiście wydać natychmiastowych rezultatów. Każdy podobny błąd ma swoje konsekwencje w czasie i zwykł się mścić najbardziej dopiero wówczas, gdy się już z błędnej i zgubnej drogi zeszło. W odniesieniu i do tego zagadnienia znajdujemy u Kalinki myśli niezwykle głębokie, rzucające światło jak przepotężny reflektor w dal, na dziesiątki nowych, przyszłych pokoleń i przyszłych wypadków politycznych: „Naród, który dobrowolnie roztrwonił elementa rządowe, tylko długim trudem może do nich przyjść na powrót. Dopóki słuchać i wspierać rządu na nowo się nie nauczy, dopóty nie wyda on ludzi, którzy by rządzić nim umieli; dopóty lekkomyślności albo niesforności rządzonych odpowiadać będzie chwiej-

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 245.
[2] Tamże, t. II, s. 123.

ność albo gwałtowność, albo twarda pycha rządzących; rządu trwałego tam nie będzie!" [1].

Zmiana orientacji zdrowszej, lepszej, uczciwszej i mądrzejszej części posłów Sejmu Czteroletniego dla najbliższych, katastrofalnych wypadków politycznych pozostała już bez praktycznego, zapobiegawczego znaczenia. Nie pozostała jednak — jak każda dobra i słuszna decyzja — bez dodatnich, głębokich i dalekich historycznych konsekwencji.

Na niej, jak na cudownym kamieniu węgielnym, wyrósł gmach Konstytucji 3 Maja, ten najrzetelniejszy testament dla społeczeństwa polskiego mierzonego wszerz i w głąb, dla Polski już nie wyłącznie szlacheckiej, ale i dla Polski chłopa i Polski mieszczanina o obowiązku odbudowania państwa, o obowiązku ofiar krwi, Sybiru, więzień, ale i o pewności zwycięstwa!

Dziesięć wieków historii politycznej i indywidualności państwowej, historii bohaterstwa i tragizmu, zwycięstw i klęsk, rozumu stanu i zaślepienia, defilowało przed oczyma tego nieszczęsnego pokolenia, które w osłupieniu i zgrozie, niezdolne nawet do uwierzenia w rzeczywistość musiało przeżywać zgubę Polski. Podobno w umyśle ginącego człowieka, w ostatniej chwili świadomości rysuje się nagle, z nadrzeczywistą jasnością obraz całej przeszłości, synteza wyrazista i mocna najwyższych wzniesień i najgłębszych upadków życia.

Takie chwile jasnej świadomości przenikać musiały i społeczeństwo polskie w ostatnich, beznadziejnych już godzinach samodzielności politycznej z gorzkim poczuciem własnych błędów i win.

Czyż moglibyśmy być narodem naprawdę niezdolnym do pokierowania losami własnego państwa? Czyż byliśmy pozbawieni tych cech i wartości, które nawet małym i biednym narodom pozwalały na utrzymanie

---

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 361.

lub wywalczenie na powrót swej niepodległości i szacunku narodów świata? Przeczyło temu stokrotnie tysiąclecie historii państwa polskiego. Było ono niegdyś wielkie i potężne. Było ongiś jednym z najpotężniejszych państw w Europie. Od czasów Bolesława Wstydliwego do końca panowania Stanisława Augusta przetrwała Polska zwycięsko lub odpornie zwyż 90 wojen, 90 napadów nieprzyjacielskich, budując wciąż na nowo z własnych piersi przedmurza zachodniej cywilizacji. Ale nie tylko oręż polski święcił niezwykłe, dziejowe triumfy pod Płowcami, Grunwaldem, Połockiem, Kirchholmem, Chocimem czy Wiedniem, ale i wewnętrzne życie Polski pozostawiło tyle historycznych pomników wielkiej pracy cywilizacyjnej, tyle pomników kultury, tyle tradycji wielkości, że późniejszy upadek musiał się wydawać czymś niezrozumiałym. Kroniki współczesne, akty grodzkie z 15 i 16 wieku wspominają, iż np. „Czersk liczył po stronie królewskiej domów 193; pod zamkiem Czerskim opisują lustratorowie w r. 1564 znaczną winnicę, z której wina jest niemało... Garwolin liczył domów na stronie królewskiej 260, rzemieślników 192... Ostrów, 13 mil od Warszawy, liczył domów 447... Łomża, prócz zamku i wielu kamienic wolnych, liczyła 540 domów podatkujących... Przasnysz liczył domów podatkowych 689, rzemieślników podatkujących 399... Można by tu jeszcze wyliczyć mnóstwo przykładów, dowodzących rozkrzewionego przemysłu w Polsce do 16 wieku, można by okazać, że jak w samym wiślickim powiecie liczono cztery huty szklane i dwie żelazne, a pod Warszawą znaczne papiernie, tak podobnie i w innych miejscach znajdowały się już wówczas rozmaite fabryki, wyrabiające surowe płody i opatrujące kraj we wszelkie potrzeby"[1]. A idąc z czasem wstecz, spotykamy

[1] W. Surowiecki, *O upadku przemysłu i miast w Polsce*, s. 174—184.

wzmianki, iż „przed 10 wiekami już morze bałtyckie okrywane bywało statkami słowiańskimi”[1]. Rzeki polskie przez długie stulecia były spławne, a królowie łożyli wielkie sumy na podtrzymanie spławności rzek. Handel polski rozwijał się dość znacznie. „Zygmunt I potężny i gospodarny, wiódł kray do kwitnącego stanu, ożywiwszy mocą handel na morzu Bałtyckiem, ubogacał go”[2]. „Zboże wystarczało dla kraju i na eksport, do samego Gdańska zawijało rocznie morzem po pięć tysięcy statków... Zgoła mało który zakątek w Europie nie zasilał się polskim produktem”. „Twierdzi Starowolski, że na jarmarku jarosławskim[3] bywało koni 20 tysięcy, wołów przeszło 40 tysięcy, toż dopiero innego bydła”[4]. A równocześnie z gospodarstwem rozkwitała również kultura. Uniwersytet krakowski miał okresy sławy wychodzącej daleko poza granice państwa. Wzrastały budowle monumentalne i bogate po całym państwie. Moskwa liczyła się z orężem Polski, Prusy hołd publiczny składały, Austria o sukurs orężny prosiła.

„Dopóki tron monarchów polskich — pisze W. Surowiecki — nie został odarty z władzy i powagi potrzebnej rządzącym, dopóty kwitnęły porówno wszystkie klassy narodu, dopóty rozkrzewiał się i wzrastał każdy rodzay przemysłu. Ze zmianą stanu politycznego, zmieniła się nieszczęściem cała postać kraiu”[5].

Ponad dnem zguby i upadku narodu polskiego pod koniec 18 wieku wznosiły się szczyty wielkiej, potężnej i dobrej przeszłości. Mówiły one o tym, że był

[1] Por. W. Surowiecki, *O rzekach i spławach*, Warszawa 1811, s. 49.

[2] S. Kaczkowski, *Myśli o handlu naszym*, b.m.w. 1818, s. 23.

[3] W Małopolsce.

[4] W. Kalinka, *Galicja i Kraków pod panowaniem austriackim*, Paryż 1853, s. 174, 175.

[5] W. Surowiecki, *O upadku przemysłu i miast w Polsce*, s. 202.

okres w historii naszego państwa, który usprawiedliwiał dumę każdego Polaka z faktu przynależności do własnego narodu. W porównaniu z innymi narodami, przy uwzględnieniu realnych warunków siły militarnej i wprost nieograniczonych możliwości, Polska wykazała najmniej instynktów agresywnych i zaborczych. Wojny jej w olbrzymiej większości miały charakter defensywny. Dobrowolny związek narodów dla realizacji wspólnych celów i wspólnej obrony stanowił przez długie wieki jedną z podstaw polityki zewnętrznej państwa. Mimo silnego i głębokiego przywiązania narodu do kościoła katolickiego, wykazywał on długo dobrze pojętą tolerancję, unikając zgubnych i krwawych wojen religijnych, które były udziałem wielu państw zachodnich. W wielu dziedzinach życia społecznego i publicznego nie znała Polska przez długie wieki ani części tego zła, które rozmnożyło się współcześnie w innych narodach i państwach. Aż wreszcie przyszła choroba daltonizmu politycznego. Rosła ona i potęgowała się szybko. Zaczęła się i doszła do zenitu na najwyższych szczeblach społecznego uwarstwienia. Coraz bardziej wyrzekał każdy z możnowładców szlacheckich, dużych i mniejszych, na stosunki panujące w Polsce, niechętnym okiem patrzał na króla, urągał na rząd, dziwił się bezwładowi gospodarczemu, skarbowemu i organizacyjnemu, przeciwstawiał i wychwalał bezkrytycznie wszystko, co istniało w innych państwach, przepoił wszystko złośliwą krytyką, a nie widział, że on sam był najważniejszą, najistotniejszą przyczyną zła i upadku; że z władzy królewskiej uczynił fikcję, że własnemu rządowi zamknął wszystkie możliwości czynienia dobrze, a później nawet czynienia czegokolwiek, że zagarnął na własny, prywatny użytek lwią część majątku państwowego, że wycieńczył skarb, że zdezorganizował armię, że prawo pozbawił wszelkiego znaczenia, że ze sprawiedliwości społecznej uczy-

nił parodię, że politykę zagraniczną unicestwił lub poszarpał na sztuki, że handel i miasta zrujnował swą krótkowzroczną polityką! Swą własną chorobą zarażał coraz silniej i coraz szerzej tysiączną brać szlachecką, pojąc ją wciąż fałszywą legendą, iż „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie". Równość ta nie mogła się przejawić w życiu osobistym, które coraz liczniejszymi węzłami uzależniło się od woli możnowładcy, więc przejawiało się w życiu publicznym, w „liberum veto", w potwornym uzależnieniu każdego przejawu życia państwa od chimerycznej woli sejmików szlacheckich. W chorobie ślepoty przestał już dostrzegać prawdziwy lub tytularny „wojewoda", że ongiś mimo silnej władzy wykonawczej, mimo dyscypliny społecznej, a nawet mimo monarchii de facto dziedzicznej i potężnej, żył swobodny i wolny w ustroju rozumnej demokracji, gdy następnie przy pozornej omnipotencji demokratycznej ulegał zamaskowanej tyranii, nie pozwalajcej choćby nawet całemu, zjednoczonemu narodowi wbrew woli jednostki ratować własnej Ojczyzny, jej bytu i wolności jej obywateli!

Ta zmiana stosunku obywatela do państwa umożliwiła i ułatwiła zniszczenie Polski przez jej wrogich sąsiadów. Rok 1795 wykreślił — potężne i rządne dawniej państwo — z karty Europy. U progu kolebki Polski wbite zostały słupy graniczne z napisem Prusy, Austria, Rosja.

Ale popielisko polskie dymiło. Raz za razem zrywało się nowe hasło zmartwychwstania, a pokonane raz, wzrastało niebawem na nowo!

Kościuszko — Legiony — Księstwo Warszawskie — Rok 1830 — 1848 — 1863 — 1905 — 1914 — to jeden, ciągły protest przeciwko zbrodni podziałów i lichwiarski procent, płacony za błędy i zaślepienie Polski szlacheckiej 17 i 18 wieku.

Ważniejszy jeszcze proces dokonywał się głęboko

pod tym wielkim popieliskiem Polski jednostanowej.

Powstawał, mnożył się i rósł nowy, młody, liczniejszy, zdrowszy, twardszy, wielostanowy naród polski, budził się na Śląsku i na Pomorzu, hartował się w Wilnie i we Lwowie, prostował swe barki przy pługu i przy warsztacie fabrycznym, w podświadomym przeczuciu, że wreszcie przyjdzie dzień wyzwolenia!

II. Bilans podziałów i niewoli

Treść:

Pielęgnowanie warunków zguby Polski przez jej sąsiadów. Tragiczne konsekwencje upadku. W Polsce bez zmian. Zabór austriacki. Eksploatacja ekonomiczna i demoralizacja psychiczna. Zabór pruski. Dwa fronty. Potęgujące się fale germanizacji. Opór i zwycięstwa bezbronnych. Zabór rosyjski. Panslawizm i możliwości ugody politycznej. Rosnące rozdźwięki. Wybuch r. 1830. Rusyfikacja. Rok 1863. Dalszy ciąg martyrologii. Konflikt na Dalekim Wschodzie. Rewolucja. Nadzieje i rozczarowania. Drugi, ukryty bilans podziałów i niewoli. Pozycje gospodarcze i moralno-polityczne. Nowy posiew odrodzenia. Wielka wojna.

Nikt bardziej nie jest obowiązany do podsumowania i wysaldowania długiego i ważkiego rachunku stuletniej niewoli politycznej i podziału między trzy państwa zaborcze, jak właśnie współczesne pokolenie Polski. W oczach naszych dokonał się najbardziej zasadniczy i brzemienny w skutki przełom polityczny, który zmienił całkowicie warunki naszej egzystencji. Po tylu pozornie bezowocnych, czasem nawet beznadziejnych walkach, ofiarach, wysiłkach i tęsknotach, po próbach oporu rewolucyjnego z bronią w ręku, po strajkach szkolnych dzieci i młodzieży, po krwawych rozprawach o polskość Kościoła, po niespotykanych w historii zapasach o każdy hektar ziemi polskiej z przeciwnikami

wyposażonymi we wszelkie elementy potęgi i siły, dziś Polska jest znowu wolna i zjednoczona we własnym ustroju państwowym i w granicach najbardziej może zbliżonych do wymagań obiektywnej sprawiedliwości dziejowej. Ciąży więc na nas obowiązek obejrzenia się wstecz, krytycznego przekontrolowania wszystkich wyników i rezultatów zamkniętego właśnie okresu niewoli i podziałów, dokładnej, uczciwej i obiektywnej oceny skutków, które wynikły nie tylko z niezgodnej i nieuczciwej, zaborczej i chciwej polityki naszych sąsiadów, ale również z powodu całego splotu własnych błędów i win, przeanalizowanych i zsyntetyzowanych uprzednio. Rachunek ten winien być dokonany jak najprędzej, zanim jeszcze ustalimy ostatecznie zasady i drogowskazy dla naszego życia państwowego na przyszłość, gdyż wykaże on z uchwytną dokładnością i ścisłością nie tylko wszystkie wartości odzyskanej samodzielności politycznej — jeżeli nauczymy się obecnie z niej korzystać — ale również postawi w jasnym i pełnym oświetleniu te wszystkie zagadnienia i problematy, które odrobić musimy dziś za całą wiekową, zmarnowaną przeszłość. Ponadto analiza ta wykaże ponownie głęboki związek i nieprzerwaną ciągłość faktów historycznych; jeżeli bowiem wniknięcie w strukturę psychiczną i organizacyjną ostatniego okresu życia państwowego Rzeczypospolitej wykazało jej błędy i ich skutki potencjalne, to uświadomienie następstw, wynikających z faktów niewoli i podziałów ujawni skutki dynamiczne, stanowiące tylko konsekwencję pierwszych.

Wreszcie dołącza się tu i pewien argument szczególny i aktualny, nakazujący baczne zwrócenie uwagi na poruszony temat. Tak więc z punktu widzenia międzynarodowego uważa się powszechnie, iż ten wielki rachunek historyczny, tułający się przez całe stulecie pod nazwą „sprawy polskiej", jest dziś całkowicie wyrów-

nany i zamknięty i to w sposób nadspodziewanie korzystny dla narodu polskiego. W fakcie odbudowania niepodległego państwa polskiego ci wszyscy, którzy uważali się za dawnych i wypróbowanych przyjaciół naszych, a jeszcze bardziej ci, którzy tymi przyjaciółmi stają się dopiero obecnie, chcą widzieć całkowite wyrównanie wszystkich krzywd, usunięcie gwałtów i bezprawia, dokonanych tylokrotnie w Polsce w ciągu 18 i 19 stulecia. Oni to zdają się ustawicznie nam przypominać: w imię poczucia czystej i bezinteresownej sprawiedliwości oddajemy wam, Polacy, wszystko, co zabrali wam wasi niesprawiedliwi i chciwi sąsiedzi, oddajemy wam wolną i zjednoczoną ojczyznę. A zaledwie to wymówili, już na dnie duszy tego lub innego z Parcivalów powstaje i rodzi się wątpliwość, czy włócznia, którą zwrócili Polsce, nie jest za długa, za bogata i naprawdę uzdrawiająca! Jeżeli jednak jest zrozumiałe, że z punktu widzenia międzynarodowego nie może być dostrzeżony ogrom ruiny i wszechstronnych destrukcji i dewastacji, kładących się jak warstwy geologiczne, wciąż nowe i wciąż twardsze, na rozdartej i zakutej w niewolę ziemi polskiej, jeżeli na zewnątrz nie mogą być dostrzeżone złowrogie i trudne do wyrównania konsekwencje tego faktu, to nie wolno zapominać o nich w samej Polsce. Tymczasem właśnie polska opinia publiczna prawie powszechnie, choć podświadomie nastawiona jest na negację następstw niewoli i podziałów, choć one obecnie i długo jeszcze w przyszłości ciążyć będą nad życiem Polski.

Przy obserwacji i badaniu zjawisk fizycznych liczymy się zawsze z tym, że podlegają one ściśle określonym prawom i rozumiemy, że przeciwstawianie się tym prawom byłoby nonsensem. Gdy mamy w określonych warunkach roztwór nasycony soli, to wiemy, że byłoby już bezcelowym dalsze dorzucanie kryształów soli i usiłowanie rozpuszczenia ich przez najgwałtowniejsze

choćby wstrząsanie naczyniem. Dopiero przez zmianę istotnych warunków, np. temperatury lub ośrodka rozpuszczalnego, możemy spowodować praktyczny rezultat. W polityce jednak wciąż usiłujemy dokonywać tych sztuk, a gdy wrzucana przez nas do roztworu nasyconego sól nie chce się już w danych warunkach rozpuszczać, popadamy w stan wysokiego podrażnienia. Tak więc każdy przeciętny obywatel uważa, że odzyskaliśmy niepodległość polityczną, nowe, niczym nie obciążone państwo i całkowicie oderwane od przeszłości. Zachowuje on w pamięci tylko to z przedwojennej przeszłości, co posiadało dodatni refleks w jego indywidualnym życiu; nie może lub nie chce natomiast dostrzec, że w ciągu całego wieku były systematycznie niszczone wszystkie te elementy, na których wyłącznie musi się oprzeć rozwój i byt samodzielnego państwa polskiego. Porównuje więc setki szczegółów naszego życia z prawdziwymi, a nieraz i urojonymi obrazami bytu innych narodów, utrwala w swej pamięci legiony statystycznych, dziennikarskim pokostem zaprawionych liczb, dotyczących Stanów Zjednoczonych, W. Brytanii, Niemiec, Italii, Francji lub Czechosłowacji, zestawia je z liczbami, faktami i opiniami dotyczącymi Polski i nie jest w stanie pohamować wylewu swej goryczy i żółci pod adresem nieudolności rządu i władz administracyjnych. Fakt ten posiada jednak swoją symetrię uzupełniającą. Gdy więc wejdzie się za kulisy tzw. „czynników miarodajnych", spotyka się zupełnie identyczne nastroje, odwrócone tylko frontem w przeciwnym kierunku. Jest to zjawisko całkowicie niezależne od kierunku politycznego rządu. I tu przemiela się jeszcze obficiej liczby statystyczne i zestawienia, wykazujące na każdym kroku, że obywatele innych państw są znacznie dotkliwiej i silniej obciążeni świadczeniami na rzecz własnych państw, płacą większe podatki, wyższe frachty kolejowe, że korzystają w mniejszej mie-

rze z bezpośredniej pomocy państwa, że pracują lepiej i wydajniej, że gdy mówią „prywatna inicjatywa", to nie rozumieją jej zastosowania choćby pośredniego do eksploatacji funduszów państwowych, a co najważniejsze nie spychają wciąż i całkowicie odpowiedzialności tylko na rząd, a więc, że dynamiczna wartość jednostki w mechanizmie państwowym jest tam zdecydowanie większa niż u nas. To symboliczne naczynie z roztworem nasyconym soli przechodzi wciąż z rąk do rąk, wstrząsane jest najgwałtowniej w nadziei rozpuszczenia większych ilości soli, i to przy akompaniamencie wzajemnych wyrzutów, oskarżeń, a czasem wyzwisk i obelg, oczywiście bez żadnego pozytywnego i praktycznego skutku.

Mimo to, te i podobne subiektywne wrażenia i oceny nie są pozbawione obustronnie pewnych cech słuszności. Dodać tylko wypada, że zarówno analiza całego tego zagadnienia, jak też i synteza wniosków muszą się oprzeć na zupełnie innych, głębszych i ściślejszych podstawach, jeżeli zamiast potoków żółciowych oskarżeń i bezcelowych zadrażnień mają przyjść prędzej lub później dodatnie, pożądane, wzmacniające istotnie organizm państwowy wyniki.

Wówczas należy przede wszystkim spojrzeć wstecz, i to z wolą ujrzenia niezabarwionej prawdy, ocenienia w sposób politycznie uczciwy, z jakimi zasobami i walorami otwarliśmy rachunek naszej samodzielności państwowej oraz jakie warunki dziś własną pracą wytworzyć musimy, jeżeli chcemy żyć, jeżeli ponownie państwa na hazard postawić nie chcemy, jeżeli istotnie mamy wolę pójść naprzód i stopniowo zrównać się z przodującymi narodami współczesnej cywilizacji.

Dawna Rzeczpospolita przestała istnieć właśnie w momencie, w którym społeczeństwo dojrzewało do przeprowadzenia jakkolwiek wstępnych, to jednak zasadniczych, gruntownych i zdrowych reform. Zło we-

wnętrzne zostało wreszcie dojrzane i zrozumiane. Niestety, na to, by mogło być wykorzystane, brakło już czasu. Nowy, zdrowszy, odpowiadający bardziej realnym warunkom ustrój nie zaczął nawet prawidłowo funkcjonować, gdy Polska jako państwo przestała istnieć. Długi okres niewoli do zastarzałych obciążeń i pasywów dołączył obficie nowe. Niewola i podziały zahamowały bowiem własną mocą tysiące objawów budzącego się życia, spaczyły normalną, zapoczątkowaną już ewolucję w zakresie politycznym, społecznym, socjalnym i gospodarczym, wbiły zapory i kliny w sam środek żywego i jednolitego organizmu, wykoleiły tysiące możliwości rozwoju, wsączyły w społeczeństwo polskie nowe, niezliczone zarazki chorobotwórcze, ścieśniły kąt patrzenia na ludzi, zdemoralizowały wzajemny stosunek klas, zatruły atmosferę współżycia Polaków z przenikającymi się wzajemnie narodowościami pobratymczymi, zaszczepiły świadomie ujemną opinię o Polakach w świecie, stwarzając jedno wielkie cmentarzysko problematów pozytywnych i podatną pożywkę dla fermentacji problematów negatywnych, które właśnie wśród innych społeczeństw dojrzewały i realizowały się — lub ginęły bezpowrotnie, o ile były niezdrowe — w świetle samodzielności i w szkole obywatelskiej, rozwijającej się na podłożu wolności politycznej.

Tych tragicznych i czarnych kart historii wieku niewoli i podziałów Polski nie możemy jednak żadną miarą zapieczętować stwierdzeniem, iż byliśmy tylko bezwolnym obiektem w ręku państw zaborczych. Zabory były w znacznej części konsekwencją wewnętrznego rozstroju państwa naszego, szczególnie w 18 wieku.

A gdy Rzeczpospolita szlachecka rozbijała systematycznie wszystkie elementy siły zbiorowej, gdy pod urokiem wolności indywidualnej przygotowywała niewolę zbiorową i jeszcze od niej gorsze podziały, to

równocześnie dwie naczelne idee przenikały i pochłaniały całkowicie mózgi, dusze i instynkty polityczne ludzi, stanowiących kierownicze i odpowiedzialne sprężyny sąsiadujących z Polską państw. Idea pierwsza i zasadnicza, to wielkość i potęga ich państw i ich dynastii. Wszystko zostało temu celowi podporządkowane. Przebudowywało się pod tym kątem widzenia prawo państwowe, gospodarstwo społeczne, oświatę, skarb i wojsko. Druga idea — zaostrzająca i skupiająca jeszcze więcej uwagi rządów tych państw — ukryta została pod eufemiczną nomenklaturą tzw. „równowagi politycznej". Rzeczowo i praktycznie zasada ta oznaczała równy udział w wartości nabytków terytorialnych i łupów, mający wykluczać taki przyrost sił jednego z mocarstw, który by uwolnił je na przyszłość od konieczności „sprawiedliwego" podziału dalszych zdobyczy. Zasada ta miała walor bezapelacyjny! Mogło więc np. czułe serce wyciskać łzy z oczu Marii Teresy nad dolą nieszczęsnej, rozdzieranej żywcem Polski, ale na samą myśl, że zasada równowagi politycznej mogłaby zostać złamana, wojska austriackie pierwsze otrzymały rozkaz zajmowania ziem polskich, jeszcze przed uprawomocnieniem się traktatów podziałowych, a Austria w imię „Trójcy Przenajświętszej" razem z Prusami i Rosją traktat podziałowy podpisała i wyegzekwowała.

Obie zasady mogły być oczywiście realizowane tylko czyimś kosztem. Inaczej straciłyby znaczną część praktycznej wartości. Stałyby się zbyt idealne, a na idealizm bez praktycznych korzyści było wówczas miejsce tylko w książkach, ale nie w życiu. Prawa biologicznej walki o byt miały w tym wypadku swoje głębokie znaczenie. Jeżeli więc opowiadają naturaliści, iż egzotyczne węże-olbrzymy sugestionują i unieruchamiają wprzód wzrokiem upatrzoną ofiarę, wyczekując cierpliwie na najdogodniejszy moment do ataku, to to samo

prawo rządziło polityką międzynarodową 18 wieku. Tą właśnie tendencją tchnie cały testament polityczny Fryderyka II.

Toteż każdy błąd, każde zło i zaślepienie, każdy objaw destrukcji i dezorganizacji w publicznym życiu Polski był skwapliwie notowany w gabinetach i poselstwach państw sąsiednich; podkreślano i sumowano ustawicznie rachunek tych błędów, obliczano ich polityczną wartość, oceniano dokładnie skutki każdego, nowego upadku sił i zaniku pulsu w życiu państwowym Rzeczypospolitej, pochłoniętej całkowicie walką otwartą i podjazdową między stronnictwem dworskim a opozycją. Ministrowie dworów sąsiednich wyczekiwali zaś cierpliwie, kiedy nadejdzie sposobna i dojrzała chwila do działania w Polsce. Tylko czasem przerywał się ten złowrogi spokój, gdy zjawiała się w Polsce najsłabsza choćby świadomość zła, gdy wyrastała z niej jakakolwiek tendencja reformy, mająca na celu przebudowanie anarchicznej niezależności — szczególnie możnych — jednostek wobec państwa w zorganizowaną i istotną wolność, opartą na jednym prawie, obowiązującym cały naród, tj. rządzonych i rządzących, wszystkie warstwy społeczne i wszystkie czynniki polityczne. Wówczas to uruchamiane były najaktywniejsze sprężyny olbrzymiej zakulisowej maszynerii, umiejącej tak często — bądź to środkami pieniężnymi, bądź też intrygą i sianiem nieufności, bądź wreszcie budzeniem niezdrowych ambicji magnackich — wznowić zamęt i odwieść od zamierzonego dzieła reformy.

Przez długi czas rządy i dwory późniejszych państw zaborczych różniły się w poglądach swych na stosunek ostateczny do Polski. Tak więc Rosja wyobrażała sobie, iż celem jej polityki winno być wciśnięcie swego autorytetu politycznego jak najdalej na zachód, osiągalne przez zachowanie decydującego wpływu na Rzeczpospolitą i władanie nią w sposób jawny lub częściowo

maskowany jak własną prowincją. Dzielenie się łupem polskim nie leżało początkowo w zamiarach Rosji. Prusy natomiast skrystalizowały od razu swój program jasno i zdecydowanie, zmierzając do zaboru takiej części Polski, jaka się tylko da zagarnąć, oczywiście oględnie i na raty, tak, by nabytki te całkowicie zabezpieczyć na przyszłość. Czytamy w pismach Fryderyka Wielkiego: „Polska jest krajem elekcji tronu. Po śmierci każdego z królów popada ona w zamęt walk partyjnych. To właśnie należy wykorzystać, każąc sobie płacić za neutralność to miastem, to znów inną prowincją, aż pożądaną całość się połknie"[1].

A „pożądana całość" zdradzała apetyt nie lada, gotowa zawsze konstruować nazwy dla nowych nabytków, mające udowodnić najoczywiściej, iż idzie tylko o reinkorporacje własności pruskiej. Były więc gotowe nazwy i West-, i Süd-, i Neuostpreussen aż po Niemen i Bug, i Neu-Schlesien łącznie z Krakowem. Aby te zamierzone i później w znacznej części zrealizowane nabytki utrzymać, potrzebne były polityce pruskiej podziały i wykreślenie Polski całkowicie z karty Europy. A że po Niemen, Bug i San to były — wedle opinii twórców historii stosowanej — ziemie „odwiecznie ruskie", więc już uzasadnienie gotowe, że w ogóle istnienie Polski było tylko dziejową pomyłką, gdyż miejsca w Europie dla Polaków nie było i nie ma. Wreszcie Austria, widząc przede wszystkim dla siebie groźbę powiększenia Prus kosztem Polski, gotowa była zawsze energicznie przeciwdziałać temu jednostronnemu powiększeniu potęgi pruskiej, oczywiście przez zabór jak największej części Rzeczypospolitej.

Jednakże w jednym punkcie polityka Prus i Rosji była od początku zgodna. Polska może uczynić dowolnie i swobodnie jak najwięcej kroków wstecz w za-

---

[1] Friedrich der Grosse, *Briefe und Schriften*, t. II, s. 170.

kresie swej organizacji i spoistości państwowej, ale ani jednego kroku naprzód.

W okresie Sasów polityka ta nie wymagała właściwie szczególnych zabiegów lub wysiłków. Dezorganizacja postępowała samorzutnie i nieustannie, można by powiedzieć planowo z punktu widzenia interesów i tendencji politycznych przyszłych zaborców. Wskaźnik sił państwa malał zarówno pod względem moralnym, jak i materialnym. Samodzielność państwowa Rzeczypospolitej istniejąca jeszcze „de jure", „de facto" topniała już z roku na rok. Wbrew nadziejom rosyjskim wybór Stanisława Augusta, narzucony Polsce przez Moskwę, nie przyspieszał rozkładu wewnętrznego. Pomimo całego upadku Rzeczypospolitej, pomimo pomnażania początkowo szeregów stronnictwa filorosyjskiego, zaczęły się budzić pierwsze, słabe jeszcze i nieśmiałe głosy krytyki ustroju wewnętrznego, zaczęły wyrastać pierwsze zarysy świadomości, że fałszywie pojęta doktryna pseudodemokracji szlacheckiej prowadzi nieuchronnie do autokratyzmu czynników obcych, że wolność doprowadzona do granic anarchii nie tylko przestaje być wolnością społeczeństwa, ale nawet przeradza się w tyranię jednostek, mogącą łatwo przemienić się w powszechną niewolę, że swoboda uchylania się od ponoszenia ciężarów na rzecz własnego państwa prowadzi w pierwszym rzędzie do indywidualnej ruiny i nędzy jego obywateli, że całkowite rozbrojenie sił obronnych narodu przynosi często nieodwołalny ucisk obcego militaryzmu.

Tak więc zasugerowana i bezwładna dotychczas ofiara ocknęła się. Toteż zaniepokojona Katarzyna II wysyła w r. 1764 instrukcję do hr. Kajzerlinga i do Repnina, przedstawicieli Rosji w Polsce, w której podkreśla wyraźnie: „Polska jest słaba; zależy więc na tem, by jej się nie dać wzmocnić. Niczem wszelako nie zaskarbisz sobie tak bardzo naszej łaski, jak gdy sprawisz,

że sejm polski zażąda naszej interwencji i gwarancji dla praw fundamentalnych Rzeczypospolitej"[1]. A właśnie nic bardziej nie było źródłem bezsiły Polski jak prawa kardynalne. W październiku 1766 r. oświadczył na sejmie polskim Repnin wyraźnie, „że uchylenie liberum veto, że pomnożenie podatków i wojska uważać będzie za wypowiedzenie wojny Rosji"[2]. W listopadzie tego samego roku pisze poseł angielski w Berlinie do swego rządu: „ani Rossya, ani Prusy nie pozwolą na żadną taką zmianę w konstytucji polskiej, która by nadać mogła Rzeczypospolitej więcej niezależności, zrobić ją potężniejszą i nadać jej więcej znaczenia, aniżeli go dotąd posiadała w Europie"[3]. W korespondencji cytowanego już Lorda Malmesbury znajdujemy również uwagę, wskazującą, iż główną rzeczą, o którą szło Rosji, „było zrobić niepodobnym wszelki rząd w Polsce, było zniweczyć rząd jako rząd!"

Wszystko to przed pierwszym podziałem Polski spełniało się dokładnie na skutek całkowitego zaślepienia opinii publicznej, rządu i przywódców sejmowych w Polsce.

W tych warunkach, w rezultacie zabiegów dyplomatycznych Fryderyka II, przyszło w r. 1772 do pierwszego podziału Polski, przy czym jako uzasadnienie i usprawiedliwienie rozbioru podano „rozkład państwa polskiego". Natychmiast jednak w akcie gwarancyjnym zawarowano dalszą stabilizację tego rozkładu, wzięto go pieczołowicie pod swój sąsiedzki protektorat, zobowiązując Polskę do zachowania tych wszystkich zgubnych czynników ustrojowych i administracyjnych, które były źródłem zła, rozkładu i słabości, a których państwa rozbiorowe nigdy by u siebie nie

---

[1] L. Żychliński, *Obraz machinacji mocarstw ościennych przeciw Polsce*, Poznań 1864, s. 26, 27.

[2] Tamże, s. 40.

[3] Tamże, s. 43.

tolerowały. Zawarowano więc wolną elekcję króla, i liberum veto, i omnipotencję sejmu, i bezwładny rząd, i zredukowaną armię, i nierząd finansowy. Sejm pod przewodnictwem Ponińskiego i Radziwiłła, mimo oporu kilku posłów, zaakceptował wszystko, czego domagali się posłowie obcych mocarstw. Zaakceptował to stanowisko wreszcie i król Stanisław August. Jedynie w najgłębszych, odsuniętych od głosu warstwach społeczeństwa budził się na razie podświadomy protest; rósł on choć powoli, ale stopniowo, ogarniał coraz szersze i coraz głębsze warstwy społeczeństwa, nie zatrzymał się już wyłącznie na warstwie szlacheckiej, ale przelewać się począł do miast, aż wreszcie znalazł swój konkretny wyraz w Konstytucji Majowej. Ale i do niej nie doszło łatwo i prędko. Poza naturalnymi oporami wewnątrz kraju, podjęte zostały przeróżne wysiłki zewnętrzne, celem uniemożliwienia zdrowej reformy ustroju w Polsce. Herzberg, minister pruski, określa zupełnie wyraźnie cele swej polityki w Polsce, pisząc w grudniu 1788 r. do swego króla: „Niech Polska wróci do rządu, jaki miała za czasów saskich, niech w tej formie używa swojej wolności i niepodległości mniemanej"[1]. A gdy zwykłe intrygi do sparaliżowania reformatorskich tendencji w Polsce okazały się już niewystarczające, Prusy chwyciły się nowych metod, jeszcze bardziej przewrotnych i niemoralnych, postanawiając doprowadzić Polskę do zguby przez zawarcie z nią ścisłego przymierza! Idea ta opierała się na aksjomacie zupełnego niewyrobienia przywódców życia polskiego w zakresie stosunków międzynarodowych, a obliczona była zarówno na powstrzymanie tendencji reformy ustroju Polski, jako rzekomo zabezpieczonej już protekcją silnych Prus, jak też i na wymuszenie zgody rosyjskiej na nowy podział. Posunięcie zostało obliczone dobrze, gdyż natychmiast postawiło Polskę

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 294.

w ostrym konflikcie z Rosją, a zarazem uświadomiło carową i rząd rosyjski, iż liczenie na wyłączne opanowanie Polski, a więc bez potrzeby dzielenia się łupem z innymi sąsiadami Rzeczypospolitej, opiera się na niezwykle kruchych podstawach. Prowadzący tę misterną grę w Polsce Lucchesini, pisząc w połowie sierpnia 1789 r. do ministra Herzberga, wyraża obawę, że „tak tu, jak i gdzie indziej, zaczyna się odgadywać nasz projekt izolowania Polski"[1]. Niestety, najmniej „tu" rozumiano istotne cele polityki pruskiej i przymierze zostało zawarte[2]. W jednym tylko kierunku nie spełniło ono nadziei pruskich. Przywódcy życia politycznego Rzeczypospolitej przyjęli podpis Prus pod aktem przymierza za całkowicie „dobrą monetę", a wierząc, że obecnie państwo jest podwójnie ubezpieczone, tj. od strony Prus, ze względu na przymierze i od strony Rosji, ze względu na polityczne wzmocnienie przez to samo przymierze, podwoili wysiłki dla przyspieszenia dzieła reformy wewnętrznej. Tak więc dnia 3 maja 1791 r. na drodze zamachu stanu wprowadzono i ogłoszono nową konstytucję, wyrażającą decyzję najświatlejszej części narodu zatamowania istotnych i najważniejszych źródeł zła i całkowitego zerwania z hasłem „Polska nierządem stoi".

Wartość nowego dzieła najlepiej uwypukla się w opiniach naszych zaborców. Dwór rosyjski jest głęboko zaniepokojony i podrażniony. Herzberg, minister „sprzymierzonych" Prus, pisze o konstytucji tej do Lucchesiniego dnia 12 maja 1791 r.: „Polacy zadali cios ostateczny monarchii pruskiej, wprowadzając tron

---

[1] B. Dembiński, *Źródła do dziejów drugiego i trzeciego rozbioru Polski*, Lwów 1902.

[2] Traktat prusko-polski z 29 III 1790 r. warował wzajemne poręczenie posiadłości, pomoc zbrojną na wypadek zaczepienia przez państwo trzecie, a wreszcie niedopuszczenie obcych państw do mieszania się w sprawy polskie.

dziedziczny i ustanawiając konstytucję, która warta więcej niż angielska". A w liście datowanym o dwa dni później dodaje: „Zdaje mi się, że Prusy nie mogą już więcej myśleć o opanowaniu Gdańska, odkąd... Królestwo Polskie otrzymało ustrój silniejszy i lepiej zorganizowany, aniżeli angielski. Sądzę, że Polska stanie się przezeń także dla państwa pruskiego niebezpieczną i prędzej czy później zabierze mu Prusy Zachodnie, a może nawet także Wschodnie" [1].

Konstytucją Majową, która wywołała liczne głosy uznania w Europie Zachodniej, zaprzeczyła Polska najdobitniej i najwłaściwiej argumentom, które posłużyły za pretekst do pierwszego rozbioru; mimo to konstytucja przyspieszyła drugi podział, tak jak powstanie kościuszkowskie przyspieszyło podział ostatni. Fakty bowiem świadczące tak wyraźnie o uzdrawianiu państwowego organizmu Polski, a wraz z tym o budzącej się sile odporu przeciwko przemocy i brutalnym gwałtom zaborców, fakty świadczące o głębokim przełomie psychicznym zrywającym z państwem jednostanowym, a kładącym pierwsze podwaliny pod państwo wielostanowe, świadczące o budzącym się zrozumieniu, na czym polega istotna siła państwa, uświadomiły nagle sąsiadom, że upatrzona, oszacowana już ofiara zaczyna widocznie wymykać się z misternie nastawionych sieci, a więc, że zbliżyła się ostatnia chwila zdecydowanego działania. I dalej z całą jaskrawością zarysował się przed rządami zaborczymi dylemat, że pozostawienie w nowych, zdrowszych warunkach choćby tylko części Polski przy życiu państwowym spowoduje narastanie tu wciąż nowych sił, skieruje oblicza, myśli i uczucia wszystkich Polaków w stronę własnego, odradzającego się moralnie państwa, a więc, że prędzej czy później — jak pisał minister pruski — postawi pod znakiem za-

---

[1] B. Dembiński, *Źródła do dziejów drugiego i trzeciego rozbioru Polski.*

pytania dotychczasowe, nieprawne moralnie i politycznie nabytki rozbiorów. A więc konsekwentnie postanowili zniszczyć całą Polskę, zaprzeczyć jej tysiącletniemu istnieniu, a na ziemiach jej wypisać: Rosja, Prusy i Austria.

Państwa i społeczeństwa, nie zainteresowane bezpośrednio w rozdarciu Polski, bolały oczywiście serdecznie nad naszym twardym losem, zwłaszcza gdy walki kościuszkowskie i obrona Warszawy, gdy pełen bohaterstwa marsz Legionów Dąbrowskiego, rozniosły chwałę imienia i oręża polskiego po świecie. Jednakże niedole cudze znosi się łatwiej niż własne, a najłatwiej zawsze znosi się niedole pokonanego. Żadna więc akcja konkretna zagranicznych gabinetów — w którą społeczeństwo polskie tak niewzruszenie i niezłomnie wierzyło — do pełnego skutku nie doszła. Czasem tylko padały pojedyncze, nieraz niezwykle znamienne i odważne niespotykaną uczciwością głosy potępienia dla bezprawia i gwałtu dokonanego nad Polską. Tak np. jeden ze współczesnych rozbiorom autorów angielskich[1] pisze: „Gdyby Polska była dobrze rządzonym krajem, który przez rewolucję popadł w anarchię, to wówczas dla całego przedsięwzięcia (tj. rozbiorów) można by wynaleźć jakieś usprawiedliwienie. Skoro jednak Królestwo, które od dawna przysłowiowo źle było rządzone, zjednoczyło się w zamiarze wprowadzenia przez rewolucję ustroju, który znalazł poklask całej Europy, którego doskonały sposób ujęcia i wprowadzenia w życie nie ma wprost równego przykładu w historii, a Prusy w tych właśnie okolicznościach stworzyły koalicję przeciwko Polsce, aby ponownie wyciągnąć korzyści z obrabowania Polski, to takie postępowanie jest bardziej niegodne, niż cokolwiek innego".

---

[1] Shelburne, *Letters on the subject of the Concert of Princess and the Dismemberment of Poland and France, by a calm observer*, 1793.

Drugi autor, Niemiec, Fr. v. Raumer w broszurze wydanej w Lipsku w r. 1832 pt. *Polens Untergang*, charakteryzując bardzo ostro błędy i wady społeczeństwa polskiego, pisze o drugim rozbiorze: „Bez jakiejkolwiek winy, bez podrażnienia lub choćby obrażenia swoich sąsiadów padła Polska właśnie w momencie swego najradośniejszego odrodzenia, jako ofiara wiarołomności i chciwości Prus i Rosji" [1].

Takie i podobne głosy, odosobnione opinie, padały nieraz w sprawie polskiej i później, w ciągu całego stulecia niewoli. Ale w gabinetach rządowych i wśród decydujących czynników politycznych poczytywane one były za niesforne wyskoki nierealnych idealistów, a opłacana w całym świecie publicystyka, w imię interesów trzech wielkich mocarstw, ustalała coraz silniej i coraz bezwzględniej miarodajną opinię, że żadnego problematu polskiego już nie ma, że krzyk jakichś resztek polskich warchołów i rewolucjonistów, to tylko drobny incydent skierowany przeciwko prawowitym władzom i przeciwko uświęconemu porządkowi rzeczy.

I rzeczywiście opinia świata coraz bardziej — od czasów Kongresu Wiedeńskiego — zadowalała się monotonnym komunikatem: na pograniczu Austrii, Prus i Rosji „bez zmian". Współczesne pokolenie, które przeżyło wojnę światową z lat 1914—1918, wie dobrze, co oznaczają te złowrogie i krótkie słowa: „na froncie bez zmian", wie, że tomy wstrząsających historii można zapisać lub odnaleźć w aktach zatytułowanych „nic nowego".

Należy więc i w danym wypadku choćby najpobieżniej przerzucić karty historii, zapisywanej w ciągu stulecia całego na ziemiach dawnej Polski pod tytułem „nic nowego".

---

[1] Fr. v. Raumer, *Polens Untergang*, Leipzig 1832, s. 123.

Wbrew wszelkim pozorom zewnętrznym, najcięższy i najgorszy los przypadł w udziale Polakom pod zaborem austriackim. Szczególnie w okresie następującym bezpośrednio po zaborach aż do czasów utrwalenia się i rozwinięcia systemu konstytucyjnego nie było dla rządów austriackich tak nieuczciwej, tak zatrutej broni, której by nie zastosowały w dawnej polskiej prowincji, przezwanej obecnie „Galicją". Zaborca ten nie posiadał psychicznie i faktycznie takiego poczucia brutalnej siły jak Prusy lub Rosja. Toteż nie siła i przemoc były jego orężem codziennym; nauczony sam cofać się przed siłą, wyuczył i wydoskonalił wszystkie organy swego zlepionego z wrogich sobie kawałków państwa do stosowania tej metody, która krótko i jasno zwie się „sztychem w plecy". Gdy Prusy i Rosja przez całe dziesięciolecia stały twarzą w twarz wobec społeczeństwa polskiego pod hasłem walki bez pardonu, gdy zmuszały Polaków do oszańcowania się i obrony na każdym kroku i każdym odcinku, to w Austrii walka ta była pokryta często najprzyjaźniejszym, serdecznym uśmiechem, a jako agent jej występował najczęściej „Schwierigkeits-Kommissär", który, o ile nie mógł użyć niewidocznego a symbolicznego gazu trującego, to oplótł każdą sprawę, każdy postulat taką siecią trudności i wątpliwości biurokratycznych, iż najoczywistsza, najsłuszniejsza sprawa nie mogła przebrnąć pozytywnie przez te zasieki z drutu kolczastego i tłuczonego szkła. Jakże charakterystyczne, dziś już prawie tragikomiczne, są fakty cytowane przez Ks. W. Kalinkę[1] na podstawie współczesnych dokumentów, dotyczące tego szczególnego systemu zastosowanego przez Austrię w Galicji. „Prosiły Stany w r. 1827 — pisze cyt. autor — o zniżenie podatku gruntowego i urbaryalnego i o ulgę w podatkach na przypadek

---

[1] W. Kalinka, *Galicja i Kraków pod panowaniem austriackim*, Paryż 1853, s. 17—19.

nieurodzaju. Odpowiedział Najjaśniejszy Pan w dniu 22 VI 1829, że Stany powinny się zaspokoić widokiem troskliwości Cesarza o dobro Galicyi. Prosiły w r. 1828 Stany o utworzenie wydziału lekarskiego przy uniwersytecie lwowskim; odpowiedział N.Pan, że jest szkoła lekarska we Wiedniu, a przy niej stypendia dla kilku Galicyanów. Przypominały Stany w r. 1828 potrzebę założenia Instytutu Kredytowego; odpowiedział N.Pan dnia 29 I 1829, że uchwała później nastąpi. Prosiły Stany o zniżenie ceny soli w r. 1830, której wysokość zabraniała wszelkiego z niej użytku w gospodarstwie; odpowiedział N.Pan, że na to nie zezwala, bo już wielorakie i znaczne środki dla wsparcia Galicyi z ojcowską troskliwością obmyślił. Prosiły Stany w r. 1830, jeżeli nie o zmniejszenie podatku konsumpcyjnego, to przynajmniej o ułatwienie utrudniającej w jego poborze manipulacji; na prośbę tę N.Pan wcale nie odpowiedział. Prosiły Stany w r. 1834 o rozszerzenie mowy ojczystej w szkołach publicznych, odpowiedział N.Pan odwołaniem się do dawniejszych decyzji (oczywiście negatywnych). W r. 1837 uchwaliły Stany wsparcie dla teatru polskiego we Lwowie z 2000 złr, podnieść z własnego funduszu do 4000 złr; odpowiedział na to N.Pan, iż nie znajduje powodu do zezwolenia na tę propozycję. Prosiły więc Stany w r. 1840 o przyspieszenie rozpraw nad Towarzystwem kredytowem. Już upływało lat jedenaście jak ta rozprawa w biurach zalegała. N.Pan na dniu 31 I 1841 odpowiedział, że na ten przedmiot szczególną zwrócił uwagę. Stany prosiły o wprowadzenie języka polskiego w sądownictwie; N.Pan odpowiedział, że w tym względzie należy oczekiwać dalszej decyzji. Prosiły Stany w r. 1842, aby przynajmniej nauka religii wykładana była po polsku; odpowiedział N.Pan, na dniu 7 III 1843, że nie uznaje za potrzebne do próśb tych przychylić się".

Pomiędzy każdą wymianą tych niesamowitych kore-

spondencji — między Stanami, tak butnymi dawniej wobec własnego rządu, a zbiurokratyzowaną i niechętną monarchią austriacką — następowały fakty rujnujące same podstawy życia polskiego w tej prowincji. W urzędzie, w sądach, w szkole zapanował język niemiecki. Uniwersytet lwowski, a później i krakowski zostały zgermanizowane. Kościół nawet został poddany ścisłej kontroli biurokratycznej i w miarę możliwości niemczony. Tłumy najgorszych, zdemoralizowanych urzędników Niemców lub zniemczonych Czechów zalały Galicję, biurokratyzując całe życie społeczne i publiczne aż do najdrobniejszych szczegółów. System fiskalny wyciskał z wynędzniałego kraju corocznie coraz większe sumy podatków, wielokrotnie większe niż kiedykolwiek w czasach Rzeczypospolitej polskiej[1], odprowadzał je do kas rządowych w Wiedniu, powstrzymując się od jakichkolwiek nakładów i inwestycji w Galicji. Miasta chyliły się szybko ku upadkowi, jeszcze głębszemu i jeszcze widoczniejszemu, niż za czasów polskich. Polski element w miastach i miasteczkach nikł z przerażającą szybkością. Choroby dziesiątkowały bezradną ludność kraju. „W cztery lata po zaborze Galicji, w r. 1776 ludność jej wynosić miała 2½ miliona mieszkańców. W r. 1786 obliczano ją na 2 798 000; w owe czasy Królestwo było mniej ludne. Lecz już w r. 1846 Królestwo ilością ludności wyprzedza Galicję. Od r. 1840 do 1850 nie było niemal przyrostu ludności w Galicji", gdyż była ona niszczona przez choroby i znajdowała się w skrajnej nędzy, przy całkowitej bezczynności rządu centralnego. „Kto nam

---

[1] W chwili, kiedy Galicja przechodziła pod zabór austriacki, Skarb Rzpl. pobierał z niej dochodu 1,9 miliona złotych polskich, a drugie tyle z salin, razem 3 800 000 zlp. W r. 1840 rząd austriacki wycisnął z tej samej prowincji prawie 54 miliony zlp, mimo że ogólny stan gospodarczy był raczej gorszy, niż lepszy. (por. W. Kalinka, *Galicja...*).

zda rachunek z miliona istnień ludzkich zagubionych w Galicji?" — pyta ten sam autor [1].

System policyjny śledził każde poruszenie polityczne. Jeżeli o Józefie II pisano, że „z bezwzględnością deptał odwieczne prawa i zwyczaje miejscowe, że każdemu dał uczuć rękę rządu i nad wszystkiem rozciągnął kontrolę nieznośnej biurokracji" [2], to system ten przede wszystkim odnosił się do Galicji i przetrwał długo jeszcze erę józefińską.

Tym bardziej oczywiście dążono do całkowitego odseparowania trzech zaborów, do zerwania wszelkiej łączności kulturalnej, gospodarczej i politycznej, do wystawienia między dawnymi dzielnicami polskimi muru chińskiego, licząc na szybsze złamanie polskości oddzielnie w każdym z zaborów. Już więc w r. 1797 rządy zaborcze zawarły traktat w Petersburgu, zobowiązując się do najdalszego utrudniania Polakom przejazdu z jednego zaboru do drugiego oraz do śledzenia wszelkich ruchów politycznych pośród ludności polskiej i wzajemnej wymiany informacji o tych zjawiskach.

Najsystematyczniej i najdłużej jednak pracowano nad ekonomicznym zabiciem Galicji. Wiek 19-ty, określany jako wiek pary i elektryczności, wysunął zagadnienia gospodarcze we wszystkich cywilizowanych państwach na miejsce naczelne. Postęp, który się zarysował w tym właśnie okresie, przewyższał wszystko, co dokonane zostało uprzednio. Galicja jest niezwykle predestynowana dla zdrowego i wielkiego rozwoju przemysłowego i handlowego. Posiada niewyczerpane bogactwo surowców, olbrzymie źródła energii, gęstą ludność, rozdrobnione gospodarstwa rolne, a więc taniego robotnika. Nie posiadała, tak samo, jak cała

---

[1] W. Studnicki, *Wykład ekonomii politycznej*, Kraków 1900, s. 154.

[2] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. II, s. 13.

Rzeczpospolita, dostatecznych kapitałów dla gospodarczej rozbudowy. Rząd austriacki rozpoczął jednak właśnie od wyciągnięcia resztek jakiegokolwiek kapitału własnego z Galicji. Znaczną część dóbr państwowych i królewskich rozsprzedał; depozyty sądowe ze Lwowa, Stanisławowa, Tarnowa, a później i Krakowa zabrał do Wiednia. Przeszkadzał ustawicznie powstawaniu banków w Galicji, nawet filii banków wiedeńskich. Traktat wiedeński z r. 1815 nałożył na państwa rozbiorowe obowiązek ułatwienia obrotów handlowych między dawnymi dzielnicami polskimi, a zabronił wprowadzania wyższych ceł niż 10% wartości towarów, stanowiących obrót międzydzielnicowy, oparty o wiekowe tradycje handlowe. Już jednak traktat handlowy austriacko-rosyjski z r. 1818 pogwałcił całkowicie to zobowiązanie, wprowadzając „de facto" zupełną prohibicję w obrocie między dwoma dzielnicami. A później, prawie we wszystkich traktatach handlowych zawsze i systematycznie, nieraz bez potrzeby i jakiejkolwiek głębszej myśli, postulaty Galicji były pomijane lub sprzedawane za korzyści uzyskane dla przemysłu austriackiego lub czeskiego. „Zaprawdę — pisze W. Kalinka[1] — gdyby fakta nie mówiły, byłoby trudno uwierzyć, z jak bezprzykładnym rygorem prześladował rząd wszelkie objawy życia przemysłowego Galicji. Gdzie do zabicia jego nie wystarczało odmówienie pomocy, tam stawiano utrudniający przepis, gdzie i to nie pomogło, tam wydawano formalny zakaz". Można wyciągnąć ze źródeł wiarygodnych i obiektywnych legiony jaskrawych i krzyczących faktów, świadczących o nie stosowanych nigdzie w cywilizowanym świecie metodach rządów austriackich niszczenia i zabijania gospodarstwa polskiego w Galicji. Tak więc były niszczone placówki przemysłowe Galicji przez wymaganie

---

[1] W. Kalinka, *Galicja i Kraków pod panowaniem austriackim*, s. 215.

ostemplowania ich wyrobów w Wiedniu, i to zakomunikowane dopiero po wybudowaniu fabryki; analogicznie były stawiane takie wymagania podatkowe, które uniemożliwiały uruchomienie produkcji, taryfy kolejowe w Galicji były dogodniejsze dla węgla górnośląskiego lub czeskiego niż dla węgla własnej produkcji, wytwórczość soli była hamowana ze względu na interes innych krajów austriackich, a zarząd kolejowy w wielu wypadkach czynił takie trudności w dostarczaniu wagonów, że sprzedany i wyprodukowany towar nie mógł być z fabryk i kopalni galicyjskich na czas dostarczony. Tę historyczną analizę wysiłków przemysłowych Galicji reasumuje Kalinka następująco: „Na tym polu każdy krok musi być uważany za rodzaj buntu w oczach rządu, który tę piękną ziemię na targ fabrykantów, na kolonię austriackich prowincji zamienił"[1].

Najczarniejszą jednak kartę historii przymusowego współżycia części naszego narodu w ramach monarchii austriackiej stanowi niewątpliwie praktyczne wcielenie naczelnej zasady polityki austriackiej „divide et impera" do systemu rządów w Galicji. Raz wlana do organizmu polskiego trucizna i jad czyni automatycznie dalsze spustoszenia, których usunięcie wymaga z naszej strony głębokiego rozumu stanu, rozwagi, spokoju nerwów, a nawet wielkiej wyrozumiałości. Inaczej zło będzie się ustawicznie potęgować. Tak więc zaszczepiona została umiejętną, choć zbrodniczą ręką nienawiść między chłopem a dworem, przewyższająca siłą naturalne objawy socjalnych przeciwieństw, rozbudzona została niechęć między wsią i miastem, jako ogniskiem handlu, rozdmuchana została zacięta walka między żywiołem polskim a ruskim, złączonym na tej

[1] W. Kalinka, *Galicja i Kraków pod panowaniem austriackim*, s. 215.

ziemi od tylu wieków i przenikającym się silniej i szerzej, niż innych narodowości na granicach ich zetknięcia się. Już w r. 1843 Stany galicyjskie uchwaliły powołać do życia Komisję dla opracowania projektu ustawy o zniesieniu pańszczyzny. Zrozumiały one wyraźnie, że system ten jest już całkowicie sprzeczny z duchem czasu, a narodowo niezwykle szkodliwy. Rząd austriacki jednak dopiero po dwu latach zgodził się na utworzenie tej Komisji, a gdy ona natychmiast rozpoczęła swe prace, rozwiązał ją. Równocześnie emisariusze rządowi podburzali ludność włościańską przeciwko dworom, wskazując, że jedynie z powodu oporu szlachty rząd nie może przeprowadzić uwłaszczenia włościan. A gdy ponownie w tej sprawie w r. 1848 przedstawiciele ziemiaństwa zwrócili się do gubernatora Stadiona, otrzymali odpowiedź odmowną; wbrew temu rząd przeprowadził niebawem dekret o uwłaszczeniu, wygrywając ten atut przeciwko dworom i szlachcie. W walce tej pamiętny jest rok 1846. W obawie przed wybuchem powstania narodowego polskiego i odnowienia tradycji kościuszkowskiej przyciągnięcia do walki politycznej ludności włościańskiej, rząd austriacki zorganizował zarówno pod hasłem wierności dla monarchii i tronu, a przeciwstawienia się czynnego tendencjom powstańczym, jak też i pod hasłem zniesienia pańszczyzny ferment wśród włościan zachodniej Galicji, który przy dalszej akcji agentów rządowych przerodził się w tragiczną „rzeź galicyjską". Wymordowano wówczas około 2000 osób, przy zupełnej bezczynności władz i wojska, a cesarz Ferdynand ogłosił nawet manifest z podziękowaniem dla ludu wiejskiego za „dowód wierności dla tronu". O tych wydarzeniach na terenie Galicji pisze autor, niewątpliwie dobrze poinformowany o wszystkich zakulisowych akcjach i dokumentach, a na pewno wolny całkowicie od sentymentu dla żywiołu polskiego, mianowicie Ks. Bismarck:

„Urzędnicy austriaccy nakładali ceny na głowy polskich powstańców"[1].

Należy wyraźnie stwierdzić, że stosunek dawnej Rzeczypospolitej do ludności włościańskiej zasługuje na całkowite i bezwzględne potępienie. Kto żądał dla siebie, tak jak szlachta polska, nieograniczonej wolności, ten nie ma nawet prawa zasłaniania się argumentem, że w innych despotycznych lub feudalnych krajach chłop znajdował się w jeszcze cięższej niewoli. Niemniej jednak tendencja reformy tych stosunków była w Polsce pod koniec jej bytu niepodległego silniejsza i wyraźniejsza niż w innych krajach. Tymczasem rząd austriacki wykazał najmniejsze dążności do polepszenia doli chłopa polskiego; utrzymywał go w ciemnocie średniowiecznej, wyciskał z niego w sposób bezwzględny podatki i rekruta, demoralizował go systematycznie konsumpcją alkoholu, poświęcał jego interes materialny i polityczny stale, prawie do ostatnich lat przedwojennych, a również i w czasie wielkiej wojny. Ale nie zawahał się użyć go, wyzyskać jego ówczesnej ciemnoty do rozbijania wewnętrznej spoistości elementu polskiego.

Temu samemu celowi miała posłużyć kwestia rusińska. I na tym odcinku popełniliśmy w przeszłości historycznej liczne błędy. Były one jednak raczej natury społecznej i socjalnej, niż politycznej. Ci z Rusinów, którzy znaleźli się w rodzinie szlacheckiej Rzeczypospolitej, używali wszystkich praw i przywilejów, uważali się za równouprawnionych, współrządzących w państwie, a Rzeczpospolitą uważali zawsze za swą jedyną, prawowitą i dobrą ojczyznę. Ciężką była dola chłopa ruskiego czy ukraińskiego analogicznie do doli chłopa polskiego. Ale oddziaływanie w szerokich warstwach społecznych było wzajemne i w wytworzonych warun-

---

[1] O. v. Bismarck, *Gedanken und Errinerungen*, Stuttgart 1926, s. 584.

kach inaczej być nie mogło. Część elementu polskiego ulegała bez żadnego przymusu ukrainizacji czy zruszczeniu, tak jak odwrotnie część elementu ruskiego ulegała polonizacji. Namiętna walka narodowościowa datuje się dopiero w Galicji od czasów zaboru austriackiego, a skrystalizowany początek tej walki wiąże się z nazwiskiem gubernatora Stadiona.

W tej sytuacji rządy austriackie czuły się dopiero dobrze i pewnie w Galicji. Chłopi byli w najostrzejszym antagonizmie z dworami, wieś z zażydzonymi miastami i wciskającą się już do wsi żydowską agenturą austriackiego monopolu spirytusowego, proletariat żydowski, zubożony, chwytał się wszelkich lichwiarskich sposobów, zapewniających doraźną, choć najmarniejszą egzystencję. Polacy znaleźli się w otwartej wojnie z Rusinami, a wreszcie i Rusini zostali rozbici na dwa nienawistne sobie obozy, tzw. starorusinów, sympatyzujących z carską Rosją, i Ukraińców, marzących na razie o podziale Galicji na część polską i ukraińską, z „wypędzeniem Lachów co do ostatniego za San". Rządy austriackie zaś każdemu czyniły po cichu przyrzeczenia i obietnice, dla każdego z ruchów miały jakiegoś specjalistę lub nawet przedstawiciela licznej rodziny Habsburgów, tu Wasyla Wyszywanego, tu znów Jana Olbrachta, a wszystko razem wygrywały w swej polityce zewnętrznej, szachującej Rosję, wykpiwając się stale i od budowy osławionych „kanałów galicyjskich", i od kreacji uniwersytetu ukraińskiego. Żydzi i Ukraińcy byli już uważani za najbardziej patriotyczny element austriacki, mimo skrajnej nędzy; „Koło polskie" w Wiedniu toczyło się prawie zawsze w wozie prorządowym, a podręczniki szkolne wychowywały od najwcześniejszych lat młodzież polską w fałszywym konglomeracie pojęć „cesarza i ojczyzny", rodziny inteligenckie marzyły dla swych synów o karierze urzędniczej z dochrapaniem się do „złotego kołnierza", i na

Wawelu, królewskim i majestatycznym, przez długi okres czasu biwakowało wojsko austriackie, jak gdyby dla zadokumentowania przewagi karabinu austriackiego nad tysiącletnią historią wolnej i samodzielnej Rzeczypospolitej i wielką kulturą przeszłości Krakowa.

Czyż mógł być większy sukces zaborcy, który jak nieuczciwy bankier czuł się zawsze najlepiej w okresie symbolicznej inflacji, tj. fałszywej monety, jak ten, który osiągnęły c.k. rządy w b. dzielnicy Polski? Galicja, kraj potencjalnie bogaty, znajdował się w skrajnej nędzy, bogacąc swymi surowcami, handlem, podatkami inne kraje monarchii, rozbity na grupy i partie, gubiące często w pogoni za drobnymi koncesjami zasadniczą linię interesu polskiego, zmuszone do nieszczerych zapewnień o swej absolutnej lojalności austriackiej i habsburskiej, wygrywane w nieustannych intrygach przeciwko sobie i paczące swym niejasnym stanowiskiem niewyrobioną i wciąż bałamuconą opinię publiczną w kraju.

Mimo więc wielu pięknych i wielkich wysiłków — zarówno w dziedzinie kultury narodowej, jak też i w zakresie organizacyjnym i gospodarczym — wychodzących szczególnie w ostatnich dziesięcioleciach z samego społeczeństwa polskiego, mimo szybko postępującego uświadomienia narodowego wśród ludu wiejskiego i klasy robotniczej, mimo szczególnie owocnych prac prowadzonych z największym zapałem przez młodzież akademicką i jej organizacje niepodległościowe, ogrom spustoszeń moralnych i materialnych w tym zaborze jest tak wielki, że nawet gdyby dzielnica ta nie przeszła najokropniejszych zniszczeń w czasie wojny światowej, a następnie w czasie wojny ukraińskiej i bolszewickiej oraz powojennych perturbacji gospodarczych, to i wówczas wymagałaby całych dziesięcioleci wytężonej, zorganizowanej i programowej pracy, poważnego nakładu kapitału i niezwykle rozumnego kierow-

nictwa, by zniweczyć to fatalne dziedzictwo, które pozostawiła wiekowa administracja austriackiego zaborcy.

Całkowicie odmienne metody zastosował zaborca pruski najpierw w stosunku do tych dzielnic Polski, które objął w posiadanie w wyniku rozbiorów Rzeczypospolitej, a w okresie ostatnim i do Górnego Śląska, gdy żywioł polski począł i tam przejawiać swoją zorganizowaną siłę. Żywiołowa walka dwóch elementów rozgorzała tu dość wcześnie, a natężenie jej potęgowało się stale i widocznie z każdym nowym dziesięcioleciem. Najbezwzględniejszą i najzaciętszą stała się ta walka właśnie wówczas, gdy Galicja najcięższą dolę miała już poza sobą. Nie było ani miejsca, ani instytucji, ani zagadnienia, które by w zaborze pruskim było z tej walki wyłączone. Toczono ją w kościele, w urzędzie, w szkole, w gminie, w parlamencie, w wojsku, w sądzie, w mieście i na wsi, w architekturze i w sztuce, w publicystyce i w literaturze, toczono ją o każdy dom, o każdy hektar ziemi, o każdą duszę, o każdą nazwę. Sytuacja była jasna, wyraźna i zdecydowana. Po jednej stronie frontu było zmobilizowane wszystko, co czuło, co myślało i pragnęło, co politykowało po prusku, a więc dom panujący, rząd, parlament, administracja, armia, policja i więzienie, banki i kapitały, junkrzy i koloniści, najwyższy kler i nauczyciele, przymus i prawa wyjątkowe, wszystko z otwartą przyłbicą i pruską dokładnością w planowej walce. Tak, jak mówił o sobie b. kanclerz Ks. Bülow, iż „w walce przeciwko Polakom był wolny od jakiegokolwiek uczucia i sentymentu"[1], lub w jeszcze mniej wersalskiej formie ks. kardynał Kopp, nazywając tę część swoich diecezjan „psami polskimi"[2], tak myślał i czuł, i mówił głośno cały front pruski. Po drugiej stronie tego fron-

---

[1] B. v. Bülow, *Denkwürdigkeiten*, Berlin 1930, t. II, s. 564.
[2] Tamże.

tu stali pozornie mali i szarzy ludzie, Polacy, pozbawieni wszelkich innych środków obrony poza własnym charakterem, własną wytrwałością i zdolnością do pracy, opancerzeni tą resztą prawa, która nie była specjalnie dla nich przykrojona, jako wyjątkowe prawo antypolskie, zbici w jedną, wielką gromadę. Tu stał obok chłopa ziemianin, obok kupca lub rzemieślnika ksiądz, obok inteligenta robotnik, obok starego młody, obok mężczyzn kobiety. Mogli się oni społecznie różnić, mogli się ścierać lub nawet walczyć ze sobą, ale w obliczu frontu pruskiego wszyscy wyznawali jedną wiarę, a wiarą tą była chęć pozostania Polakami i wola niepoddania się choćby najpotężniejszemu naciskowi pruskiemu. Miał więc całkowitą rację Bismarck, gdy w swej antypolskiej mowie w r. 1886 stwierdził, że „Polacy uznają swą przynależność do Prus tylko terminowo, z prawem wypowiedzenia". Te „psy polskie" rzeczywiście odczuwały podświadomie, że gwałt dokonany na Polsce pod koniec 18 wieku nie może się ulegalizować, że bezprawie nie może się stać prawem i strzegły swej polskości z bohaterską wiernością, walcząc zaciekle przeciwko wyrugowaniu ich z ich własnej, ojczystej ziemi.

Można by niewątpliwie zdumiewać się, skąd powstał ten hart moralny żywiołu polskiego w zaborze pruskim, a później i na Śląsku, z jakich źródeł wypływała ta nieznana nigdy w dawnej Polsce siła magnetyczna, która dla jednego celu scementowała i spoiła tak mocno i jednolicie różnorodne żywioły, która nieraz przejawiała się w takiej formie, że cała potęga państwa pruskiego, tak groźna dla największych mocarstw Europy, rozbijała się u progów małego domu polskiego i w niejednym wypadku nie mogła pokonać polskiej organizacji społecznej.

Wynikało to ze szczególnego charakteru walki prusko-polskiej. Nie można bowiem zapominać, że gdy

Austria, szczególnie w erze przedkonstytucyjnej, miała w programie przede wszystkim eksploatację swej polskiej kolonii na rzecz innych krajów tej przymusowej federacji, gdy Rosja, choć stopniowo odgryzała i asymilowała pojedyncze części dawnej Rzeczypospolitej, to jednak na naczelnym miejscu stawiała swoiście pojęty program hegemonii wszechsłowiańskiej, w którym rezerwowała miejsce i dla Polaków, jako jednego ze „szczepów" słowiańskich, to Prusy zmierzały jawnie i zdecydowanie do całkowitego przetworzenia swych polskich łupów na prowincje rdzennie pruskie i niemieckie, w których dla polskiego elementu miejsca nie było. Gdy w Rosji i w Austrii zwalczano, tłumiono i obawiano się separatyzmu państwowego żywiołu polskiego, gdy dla osłabienia siły emancypacji wygrywano jedne ugrupowania polskie przeciwko drugim, gdy przerzucano się od jednej polityki narodowościowej w stosunku do Polaków do drugiej, to jednak zawsze uznawano w takiej czy innej formie istnienie etnicznego elementu polskiego, zajmującego rozmaicie określane, ale własne terytorium. W Prusach natomiast wobec wielkiej, może nadmiernej wiary we własną potęgę, liczono przede wszystkim, iż uda się w każdych okolicznościach nie dopuścić do powstania niezależnego państwa polskiego. W tezach polityki pruskiej fakt ten, aż do chwili rezygnacji ze zwycięstwa w wielkiej wojnie światowej, był wykluczony a limine. Ponadto jednak dwa momenty wpływały decydująco na ukształtowanie się polityki polskiej Prus. Po pierwsze istniała tam całkowita świadomość, że Polska pozbawiona Poznańskiego, a przede wszystkim Pomorza i swobodnego dostępu do Bałtyku, odcięta od Górnego Śląska, państwem prawdziwie samodzielnym i trwałym w nowoczesnej strukturze gospodarczej być nie może, i musi konsekwentnie popaść w całkowitą zależność od najsilniejszego sąsiada. Po wtóre, najistotniejszym celem

polityki pruskiej było stworzenie jednolitego, ekskluzywnie pruskiego państwa, o charakterze czysto niemieckim. Obie linie zlewały się całkowicie zgodnie w jeden postulat jak najspieszniejszego i doszczętnego wyparcia „kwestii polskiej" z granic Prus i stworzenia faktu dokonanego wobec wszelkich ewentualności, negującego samą choćby tylko możność sporu w odniesieniu do terytorialnego status quo monarchii pruskiej. Tak jak w korpusie wojskowym dowódca nie mógłby spokojnie znosić widoku obok umundurowanych żołnierzy jakiejś grupy „cywilów" włączonych do jego korpusu, ale wierzących w inne prawo niż prawo komendy, tak samo w garnizonie państwa pruskiego było miejsce tylko dla jednej kategorii obywateli, symbolicznie jednolicie umundurowanych, śpiewających z najgłębszym przekonaniem „Deutschland, Deutschland über alles".

Trudno tu silić się na bardziej jasne i krótkie sformułowanie tego programu pruskiego w stosunku do Polaków niż to, które dał w sejmie pruskim przy aplauzie i aprobacie olbrzymiej większości Izby dnia 17 stycznia 1898 r., przy uzasadnianiu polityki antypolskiej rządu, przywódca stronnictwa narodowo-liberalnego dr Sattler: „Przeciwieństwo między nami, Niemcami, a Wami, Panowie Polacy — deklarował on wówczas — jest koniecznością przyrodniczą; nie jest więc wynikiem złej woli poszczególnych osób, ani też wynikiem chęci krzywdzenia poszczególnych członków narodu polskiego, ale przede wszystkim wynikiem geograficznego rozsiedlenia obu narodów. My, Niemcy, nie możemy pozwolić na to, aby w odległości kilku godzin jazdy od naszej stolicy panowała obca nam narodowość. Z tego punktu widzenia musicie przyznać, że jesteśmy zmuszeni do wyparcia tej obcej narodowości..., że jest naszym naturalnym obowiązkiem dążyć do tego, aby Prusacy narodowości polskiej nie tylko

byli dobrymi Prusakami, co jest ich obowiązkiem, ale aby stali się zupełnie Niemcami"[1].

Hasło wytępienia Polaków w granicach państwa pruskiego, ujęte jako zawołanie w jednym wyrazie „ausrotten", stało się tak powszechnym wyznaniem programu politycznego w Niemczech, że wreszcie opanowało nawet umysły uczonych i profesorów niemieckich, wyprało ich nie tylko z naukowego obiektywizmu, ale nawet ze zwykłego poczucia ludzkości. W akcji tej brali udział ludzie o tak znanych nazwiskach, jak Edward Hartmann, który głosił ideę wytępienia Polaków, jak prof. uniwersytetu berlińskiego, Treitschke, i uniwersytetu lipskiego Haase, a prof. Mommsen ogłosił list otwarty do swoich rodaków, z wezwaniem, by „silnie bili w twarde czaszki słowiańskie".

Te więc okoliczności i wiele, wiele podobnych momentów, odkrywanych z brutalną szczerością przed społeczeństwem polskim, wepchnęło „twarde czaszki słowiańskie" do jednej linii obronnej najpierw w Poznańskiem i na Pomorzu, a następnie i na Górnym Śląsku. Dzieje tej długotrwałej martyrologii żywiołu polskiego pod zaborem pruskim są na ogół lepiej i szerzej znane niż chytra i podjazdowa walka na terenie Galicji. Poszczególne momenty jej wstrząsały wielokrotnie umysłami wszystkich Polaków, gdziekolwiek na kuli ziemskiej się znajdowali, odbijały się nieraz głośnym echem po całym świecie, a czasem wydobywały nawet z najbardziej odpowiedzialnych miejsc głosy potępienia[2]. W chwili obecnej, z punktu widzenia ujęcia tematu, wydaje się też niemożliwym historyczne i chronologiczne opisywanie tej walki, która

---

[1] J. Buzek, *Historia polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków*, Lwów 1909.

[2] Np. przemówienie bryt. ministra kolonii Chamberlaina w Edynburgu dnia 25 X 1901; opinie prezydenta T. G. Masaryka w *Rewolucji światowej*, t. I, Warszawa 1830, s. 102, itd.

by przy sumiennej analizie musiała zająć zbyt wiele miejsca ze względu na olbrzymi materiał faktyczny. Natomiast najważniejszym wydaje się wniknięcie w sam proces krystalizacji antypolskiej polityki Prus, która przejawiając swe tendencje od pierwszych chwil zaboru i utrwalając się stopniowo w coraz bardziej wyraźną i zdecydowaną linię, wykazuje jednak charakterystyczne wzmocnienia i wybuchy, tak jak gorący gejzer, który przy pogłębianiu daje wciąż nowe wytryski, coraz silniejsze i coraz wyższe.

Bezpośrednio po pierwszym podziale Polski, a nawet po podziale ostatnim antypolska polityka Prus nie była jeszcze ujęta w ramy systematycznie przemyślanego programu. Wprawdzie już za rządów Fryderyka II rzucono na ziemie polskie pierwsze kadry kolonistów niemieckich, szczególnie na Śląsk odebrany cesarzowi austriackiemu oraz dla zgermanizowania okręgu nadnoteckiego, celem przecięcia łączności żywiołu polskiego na Pomorzu z resztą ziem polskich oraz stworzenia niemieckiego korytarza, tworzącego łączność z Prusami Wschodnimi, w zasadzie jednak polityka ówczesna nie odbiegała zbytnio w zaborze pruskim od stanu wytworzonego w Galicji. Fryderyk II w pismach swych wspomina o wyegzekwowaniu zaraz po zajęciu ziem polskich kontrybucji i świadczeń na sumę wzwyż 5 milionów talarów, a więc i tu przyświecały początkowo pewne tendencje eksploatacyjne. Ale nie sama myśl dochodów z nowej prowincji przyświecała ówczesnemu rządowi pruskiemu. Znacznie ważniejszym wydawało się inne zagadnienie, związane z zajęciem znacznej części polskiego Pomorza. Istotne cele i wartości tego zaboru charakteryzuje sam Fryderyk Wielki w ten sposób: „Główna korzyść tego nabytku polega na tym, że uczynił on rząd pruski panem Wisły, a z tem i handlu polskiego" [1]. Uzupełnia zaś tę opinię później-

[1] Friedrich der Grosse, *Briefe und Schriften*, t. II, s. 355.

szy badacz w wydawnictwie tzw. Ostmarkenverein następująco: „Prusy przez posiadanie ujścia Odry miały już dawno handel eksportowy Wielkopolski w swoim ręku. Potem, po pierwszym podziale Polski, przyszedł do skutku traktat handlowy z r. 1775, który sparaliżował stanowisko Gdańska i oddał Prusom decydujący wpływ na handel polski"[1].

Po wojnach napoleońskich walor polityczny żywiołu polskiego wzrósł w oczach całej Europy. Pewnym oddźwiękiem tego faktu była odezwa Fryderyka Wilhelma III do Polaków w zaborze pruskim[2], wydana i opublikowana urzędowo w związku z wynikami prac Kongresu Wiedeńskiego, który postanowił, że „Polacy, będący poddanymi tak Rosji, jak Austrii i Prus otrzymają reprezentację i instytucje narodowe". W odezwie tej król pruski oświadcza, że Polacy w ramach państwa pruskiego „nie potrzebują wyrzekać się własnej narodowości", gwarantuje wszystkie prawa cywilne ludności polskiej, zapewnia równorzędność języka polskiego w urzędzie i sądach, powołanie szefa administracji spośród ludności miejscowej, a wreszcie wolność religii. Uzupełnia ten akt analogiczna odezwa Aleksandra I „do Polaków", w której znajduje się następujący ustęp: „W końcu... zgodzono się jednomyślnie, aby nawet w obszarach Polski, podległych władzy Austrii i Prus, byli na przyszłość mieszkańcy rządzeni przez własnych, z kraju powoływanych urzędników".

Już wiemy, jak Austria wykonała zobowiązania traktatu wiedeńskiego. W Prusach, w rok po wydaniu wspomnianej odezwy, generał Grollmann opracował i przedłożył królowi memoriał, zawierający szczegółowy plan germanizacji polskich prowincji. Plan ten był wówczas realizowany częściowo i dorywczo, ograni-

---

[1] O. Hoetzsch, *Nationalitätenkampf und Nationalitätenpolitik in der Ostmark*, (w:) *Die Deutsche Ostmark*, Lissa 1913, s. 570.

[2] Z dnia 15 maja 1815 r.

czając nabywanie ziemi przez Polaków, wzmacniając żywioł i język niemiecki w zabranych prowincjach, kasując stopniowo szkoły polskie, pozostałe jeszcze z czasów Rzeczypospolitej, wprowadzając wzmocnioną kontrolę policyjną i cenzuralną.

Pierwszym okresem systematycznie zakrojonej akcji germanizacyjnej, planowej i programowej, jest czas prezydentury E. H. Flottwella w Poznaniu. W sprawozdaniu niemieckiego Ostmarkenvereinu czytamy: „Natychmiast po wybuchu warszawskiego powstania, w grudniu 1830 r., nadprezydentem Poznania został mianowany Flottwell pochodzący z Prus Wschodnich. Jego nazwisko jeszcze dziś oznacza program. On stał się świadomym wyrazicielem tendencji stopniowego usunięcia wszystkich polskich urządzeń, przyzwyczajeń i skłonności, które przeciwstawiały się ścisłemu związkowi polskich części kraju z państwem pruskim, a poparcia i rozszerzenia wszystkich elementów życia niemieckiego, zarówno w odniesieniu do wartości materialnych, jak i kulturalnych"[1]. Teoria ta w latach następnych przybrała realne kształty. Tak więc wyrugowano całkowicie język polski z administracji, sejm krajowy został rozwiązany, wójtowie-Polacy usunięci. Wszystkie sądy, urzędy administracyjne, policję, personel nauczycielski zniemczono. Jakkolwiek powstanie listopadowe przestrzegało najskrupulatniej neutralności wobec Prus, a Prusy tę neutralność całkowicie i jawnie pogwałciły, ustanowiono sąd na podejrzanych o uczestnictwo w powstaniu; spadły więc bardzo dotkliwe kary na obywateli polskich połączone z konfiskatą dóbr, które parcelowano intensywnie między niemieckich kolonistów. Korzystając z faktu zadłużenia wielu dóbr ziemskich w bankach niemieckich, Flottwell spowodował obecnie nagłe wymówienie tych kredytów; oprócz wielu mniejszych majątków, 30 wielkich dóbr

[1] *Die Deutsche Ostmark*, Lissa 1913, s. 50.

rycerskich przeszło w jednym tylko roku 1833 w ręce niemieckie. Na ten cel zarówno poważne kwoty przeznaczyły banki niemieckie, jak też i rząd, oddając milion talarów do dyspozycji Flottwella na cele kolonizacyjne.

W okresie tym zniemczenie polskich prowincji posunęło się znacznie naprzód. Gwarancje królewskie i zobowiązania wynikające z traktatu wiedeńskiego zostały jawnie naruszone. Program przetworzenia struktury narodowej dzielnic polskich przy użyciu przemocy i środków państwowych został już w zarysie wykończony i ustalony. Wszystko to jednak działo się jeszcze na odpowiedzialność władzy lokalnej i formalnie przynajmniej w granicach jednolitego dla całego państwa prawa. Teoretycznie przynajmniej pozostawała dla ludności polskiej możność odwołania się do władz centralnych i do korony.

Te możliwości zostały całkowicie przekreślone i to w formie możliwie najbardziej brutalnej i cynicznej w okresie bismarckowskim. I obecnie walka koncentruje się na dwu problematach: usunąć Polaków z ziemi, która pozostała jeszcze w ich posiadaniu, oraz wydrzeć im ich ojczystą mowę. Środki jednak tej walki zostały niezwykle spotęgowane. Przygotowując wprowadzenie ustawy kolonizacyjnej oraz rozszerzenie ustaw dotyczących szkolnictwa i wychowania, Bismarck w mowie antypolskiej, wygłoszonej 28 I 1886 r. w Sejmie pruskim, przede wszystkim zdecydowanie przekreśla — przy entuzjastycznych przytakiwaniach całej prawicy sejmowej — dawne zobowiązania Fryderyka Wilhelma III, oświadczając: „Ja ze swej strony ani złamanego szeląga nie dałbym za jakiekolwiek odwoływanie się na ówczesne proklamacje!" [1]. Następnie zaś rozwija program „konieczności zmiany stosunku ilo-

---

[1] H. Kraemer, *Reden des Fürsten Bismarck aus den Jahren 1847—1895*, Halle, b.r.w.

ściowego między ludnością polską i niemiecką" w prowincjach polskich. 26 kwietnia 1886 r. przyjmuje Sejm pruski ustawę kolonizacyjną, asygnując natychmiast 100 milionów marek do dyspozycji specjalnej komisji na wykup ziemi polskiej i zakładanie kolonii niemieckich. Z biegiem lat, wedle zestawień samej komisji kolonizacyjnej, zwiększano ustawicznie dotacje na wyrugowanie elementu polskiego z ziemi, doprowadzając je w r. 1912 do sumy 600 milionów mk[1], a do 1914 r. do 1000 milionów mk. Komisja ta, jak pisze sprawozdawca H. v. Both w wydawnictwie *Die Deutsche Ostmark*, do r. 1911 założyła i wyposażyła całkowicie w Poznańskiem i na Pomorzu 450 wsi niemieckich, w 300 wsiach istniejących zwiększono silnie element niemiecki, zbudowała 450 nowych szkół i 80 kościołów ewangelickich. Kolonie te w sposób prawny zostały zabezpieczone przed przejściem w posiadanie polskie, a zarazem zostały w ten sposób wyposażone pod względem kapitału i urządzeń technicznych, „by ludność niemiecką uczynić gospodarczo silniejszą od tubylczych Polaków"[2]. Osiągnięte wyniki wypierania elementu polskiego miały być „tak dodatnie", jak twierdzi z dumą sprawozdawca utworzonego w r. 1894 Ostmarkenvereinu (Ha-Ka-Te), że Rosja poczęła akcję tę naśladować.

Jeszcze wcześniej i jeszcze silniej zorganizowano akcję państwową przeciwko szkole polskiej i polskiej mowie. W latach 1872 i 1876 przeprowadzono ustawę i rozporządzenia wykonawcze rządu w sprawie „nadzoru szkolnictwa i wychowania". Następnie w latach 1886 i 1887 przeprowadzono analogiczne normy prawne w odniesieniu do „stosunków służbowych nauczycieli i nauczycielek w szkołach ludowych okr. poznań-

[1] Por. H. v. Both, *Das Ansiedlungswerk* (w:) *Die Deutsche Ostmark*, s. 423.

[2] Tamże, s. 423.

skiego i pomorskiego" oraz w sprawie „języka polskiego w szkołach ludowych". Te niewinnie zatytułowane, a na wniosek i żądanie Bismarcka wprowadzone w życie ustawy i rozporządzenia uderzały tak samo silnie w moralne wartości narodu polskiego, jak ustawa kolonizacyjna w wartości materialne. Realizacja tej akcji przybrała następujące formy. Dnia 7 września 1887 r. wydane zostało rozporządzenie ministra oświaty do regencji poznańskiej i pomorskiej, które głosi: „Na mocy Najwyższego upełnomocnienia postanawiam, aby nauka języka polskiego we wszystkich bez różnicy szkołach ludowych została zniesiona i aby zwolnione w ten sposób godziny naukowe obrócić na naukę i ćwiczenie w języku niemieckim. Przykładam wagę do tego, aby do wykonania niniejszego zarządzenia jak najrychlej przystąpiono..." Analogicznie zgermanizowano szkoły średnie. W dalszym ciągu należy stwierdzić, że wszystkim księżom polskim odebrano prawo wizytowania nauki religii w szkołach, wykładanej obecnie już w języku niemieckim, prefekci gimnazjalni zostali usunięci ze swych stanowisk, w związku z czym w szkołach tych przez lat 10 wcale nie uczono religii, a kazania kościelne zostały poddane cenzurze. Gdy arcybiskup Ledóchowski zaprotestował przeciwko temu stanowi rzeczy, został uwięziony, a następnie wydalony z Niemiec. Ten sam los spotkał biskupów Janiszewskiego i Cybichowskiego, około 100 księży katolickich, Polaków, więziono, a wielu skazano na karę grzywny. Kraszewskiemu wytoczono proces i skazano go na kilkuletnie więzienie. Na zebraniach rad gminnych, nawet we wsiach, w których nie było ani jednego Niemca, zabroniono mówić po polsku. Poczęto zmieniać polskie nazwy miast, wsi, a nawet ludzi na nazwiska i nazwy niemieckie. Resztę urzędników Polaków przesiedlono do czysto niemieckich obszarów. Wreszcie wyrugowano osiedlonych w Poznańskiem i na Pomorzu

od wielu lat Polaków, obywateli austriackich i rosyjskich, a liczba tych ludzi zrujnowanych materialnie jednym rozporządzeniem pruskim dosięgała 40 000 osób.

Ten nieskończony łańcuch udręczeń, szykan, niepewności jutra dokonywał się na starej piastowskiej ziemi polskiej z taką gwałtownością i taką pewnością siebie, w obliczu całej cywilizacji światowej, jak gdyby to nie Prusy były najeźdźcą, obcym na tej ziemi, ale Polacy. A przecież wówczas jeszcze nie próbowano poważnie argumentować, iż są to ziemie praniemieckie. Teorie te dorabiano później, gdy nawet nieczułe sumienie niemieckie sporadycznie burzyć się poczynało przeciwko gwałtom stosowanym przez Prusy wobec bezbronnego elementu polskiego, nie posiadającego wówczas ani odwołania do Ligi Narodów, ani prawa... choćby o „mniejszości narodowej". Jedyne odpowiedzi, które słyszeli przedstawiciele społeczeństwa z ust Bismarcka, były cynizmem jawnym, swobodnym, głośnym, niezażenowanym. Jedynym, wielokrotnie powtarzanym argumentem było to, że ziemie polskie są państwu pruskiemu zarówno ze względów gospodarczych, jak i militarnych potrzebne! „A że ze swoimi Polakami mamy już dość kłopotu — mówił w r. 1886 w Sejmie pruskim Bismarck — przeto musimy się pozbyć Polaków obcych". A gdy dotknął kwestii masowego przenoszenia urzędników-Polaków do dalekich prowincji niemieckich, to twierdził, że czyni się to jedynie w tym celu, „aby dać im możliwie najwięcej sposobności rozpatrzenia się w niemieckich prowincjach i poznania, jakie to są błogosławieństwa niemieckiej cywilizacji". A gdy mówił o wywłaszczeniu Polaków z ziemi, to doradzał im, by z otrzymanymi sumami za ziemię polską pojechali „na Zachód do Paryża i Monaco!"

W tej sytuacji mogło się wydawać, że akcja anty-

polska w Prusach dosięgnęła swego zenitu. Na czele tej akcji stanął oficjalnie rząd pruski i kanclerz Rzeszy, rugując całkowicie język polski ze szkoły, sądu, administracji i zebrań publicznych, rugując resztki urzędników Polaków z ziem polskich, rugując wszystkich osiadłych tu Polaków z obcych zaborów, wypierając przy pomocy olbrzymich, państwowych środków materialnych, na które składali się i obywatele narodowości polskiej, ludzi zamieszkałych na tej ziemi od pradziadów. Wszystkie gwarancje publiczno-prawne zostały złamane w sposób jawny, brutalny i drwiący. Nie pozostawiono nawet jakiejkolwiek instancji odwoławczej lub łagodzącej, do której ludność polska postawiona przed dylematem — musicie się stać Niemcami, albo będziecie doszczętnie zniszczeni i wyrugowani — mogłaby apelować.

A przecież, jak się niebawem okazało, można było pójść w akcji antypolskiej jeszcze dalej. Dokazał tego rząd pruski za czasów Bülowa, w wieku 20-ym, w drugim okresie panowania Wilhelma II. Dla wzmocnienia bowiem akcji antypolskiej zostały wprowadzone do walki trzy nowe czynniki. Rugowaniu Polaków z ziemi nadano obecnie charakter przymusu prawnego, język niemiecki wtłaczano pod „twarde czaszki słowiańskie" przymusem fizycznym, a wreszcie do akcji antypolskiej zaangażowano bezpośrednio najwyższy w państwie pruskim czynnik, tj. cesarza Wilhelma. Dnia 20 marca 1908 r. ogłoszono nową ustawę „O środkach wzmocnienia niemieckości w Prusach Zachodnich i w Poznańskiem", w myśl której komisja kolonizacyjna została upoważniona do przejmowania majątków polskich „w drodze przymusowego wywłaszczenia". Tę metodę zastosował rząd skrajnie konserwatywny, wyznający aż do zaślepienia doktrynę nienaruszalności własności prywatnej; ale w stosunku do żywiołu polskiego nie obowiązywała żadna zasada, ani moralna, ani prawna,

ani polityczna, i to właśnie pogłębia znaczenie samego faktu. Przy uzasadnianiu tej ustawy w pruskiej Izbie Panów w styczniu 1908 r. z bismarckowskim cynizmem wyznał Bülow, że „bez możności wywłaszczenia nie może być mowy o celowej kolonizacji, bez polityki kolonizacyjnej zaś utracimy nasze wschodnie prowincje"[1]. Prawo przymusowego wywłaszczenia zostało też wielokrotnie praktycznie zastosowane; ponadto zaś dla wzmocnienia akcji kolonizacyjnej oddano na ten cel wiele domen państwowych, stanowiących ongiś własność Rzeczypospolitej[2]. W tym czasie powiększono znacznie fundusze komisji kolonizacyjnej, a do ustawy osadniczej wprowadzono uzupełnienie, postanawiające, iż postawienie nowego domu na zakupionym gruncie wymaga zezwolenia władzy administracyjnej. Ostrze i tego prawa zostało zastosowane do ludności polskiej, na tym tle rozegrała się głośna sprawa Drzymały, stanowiąca niezniszczalny symbol całego frontu polskiego, głoszący, iż mimo całej potęgi nacisku pruskiego front ten trzyma się solidarnie, walczy i nie zamierza wywiesić białej chorągwi poddania się. Jeszcze głośniejszym echem odbiły się w całym społeczeństwie polskim wypadki z Wrześni w r. 1901, gdzie na tle bicia opornych dzieci, przeciwstawiających się przymusowej nauce religii w języku niemieckim, przyszło do krwawych rozruchów i następnie skazania kilkudziesięciu osób na dłuższe więzienie. Na tym samym tle w jesieni 1906 r. przyszło do strajku szkolnego około 50 tysięcy dzieci w Poznańskiem. I w tym wypadku używano nie tylko przemocy fizycznej wobec dzieci, ale również stosowano kary wydalania z gimnazjum starszego rodzeństwa strajkujących, a rodzicom wytaczano procesy.

---

[1] B.v. Bülow: *Denkwürdigkeiten*, t. II.

[2] Por. H. v. Both, *Das Ansiedlungswerk*, (w:) *Die Deutsche Ostmark*, s. 424.

Wreszcie nie chciał pozostać choćby pozornie obiektywnym lub biernym w sprawie ludności polskiej i Wilhelm II. Drażniła go zawsze czyjakolwiek silniejsza aktywność, niż jego własna; pragnął więc i w tym wypadku być wodzem. Po sławnych mowach w Kielu w r. 1897 o „opancerzonej pruskiej pięści" i w r. 1900 w Bremerhaven „o konieczności naśladowania Hunów" przyszła w r. 1902 z okazji święta Joannitów w Malborku kolej na mowę „polską". Po dłuższych wywodach — jak pisze w swych pamiętnikach Ks. Bülow — „nastąpił ognisty zew, domagający się poparcia cesarza w jego walce przeciwko Polakom" [1].

Karty tej długotrwałej, niewspółmiernie nierównej walki stanowią niewątpliwie jeden z najmniej zaszczytnych rozdziałów historii Prus. To spaczenie psychiczne, leżące tak głęboko w naturze pruskiej, było może przyczyną mobilizacji tylu narodów świata przeciwko Niemcom w ostatniej wojnie. Naród, któremu najbardziej zdeklarowany przeciwnik nie może odmówić wybitnych i nieprzeciętnych wartości, który umie pracować zbiorowo z najwyższą wydajnością, który pod względem zdolności organizacyjnych tylekrotnie zdał świetnie egzamin, niszczył często najwyższe wartości własnej, twardej i dobrej pracy przez błędy taktyczne i przez wiarę, że wszystko pod naciskiem stopy pruskiej musi się załamać lub ugiąć.

Szczerby we froncie polskim wywołane zwyż 100--letnim, wciąż potęgującym się atakiem pruskim na bezsprzecznie wielkie i głębokie. Sporą część majątku narodowego utracił żywioł polski w rdzennie polskich ziemiach na rzecz elementu niemieckiego; na Śląsku, w najłatwiejszych początkowych okresach rozwoju gospodarczego, żywioł polski został pozbawiony możności odegrania aktywnej roli; stał się więc tylko tłumem roboczym, odsuniętym od głównych źródeł korzyści

[1] B. v. Bülow, *Denkwürdigkeiten*, t. I, s. 569.

ekonomicznych; lwia część handlu polskiego i produkcji, konsumowanej przez Polaków, opanowana została przez żywioł obcy; pomimo znacznego odpływu nalotu niemieckiego z tych dzielnic polskich w okresie powojennym, pozostały głębokie ślady pracy komisji kolonizacyjnej, impregnujące kolebkę państwa polskiego elementem wrogim, niechętnym, niezadowolonym, gotowym w każdej sprawie utrudniać i tak ciężkie zadania państwa i społeczeństwa polskiego.

Z drugiej jednak strony nie można zaprzeczyć, iż akcja rządu pruskiego najczęściej mimo woli oddała żywiołowi polskiemu poważne usługi. Nie demoralizowała go tak jak Austria, lecz zmusiła go do organizacji i twardego wysiłku pracy gospodarczej i społecznej; nauczyła go dyscypliny i karności w wysiłku zbiorowym; przez silne rozgraniczenie dwu obozów walki zahartowała go i umocniła w narodowości polskiej. Wreszcie należy przyznać, że dzielnice te nie były gospodarowane i administrowane systemem rabunkowym tak, jak to miało miejsce w Galicji.

Hart polski w tych dzielnicach stwierdzają nawet najbardziej wrogie czynniki niemieckie. H. v. Both w cyt. pracy pisze: „Polska opinia publiczna piętnuje każdego sprzedającego ziemię jako zdrajcę ojczyzny; zmusza to wprost do podziwu, z jaką opornością zachowują się wszyscy właściciele polscy wobec przynęty sprzedania po drogich cenach swej ziemi Niemcom lub komisji kolonizacyjnej"[1]. Prawie identyczną opinię wypowiada w swych pamiętnikach kanclerz Bülow[2]. Komisja kolonizacyjna wydała szereg obszernych i gruntownych publikacji, wskazujących, iż bilans działalności kolonizacyjnej w wielu okręgach mimo największych wysiłków jest sparaliżowany lub negatywny,

---

[1] Por. H. v. Both, *Das Ansiedlungswerk*, (w:) *Die Deutsche Ostmark*, s. 424.

[2] B. v. Bülow: *Denkwürdigkeiten*, t. II, s. 488.

bądź to z powodu szybszego przyrostu elementu polskiego, bądź to ze względu na akcję świetnie zorganizowanych instytucji polskich, wykupujących na odwrót ziemię z rąk niemieckich, bądź wreszcie z powodu wpływów polonizacyjnych niewiast polskich w małżeństwach mieszanych. Ten hart milionów ludzi, broniących zaciekle swej polskości w b. dzielnicach zabranych przez Prusy, zadecydował w latach 1918—1922 o dzisiejszych granicach Polski, o jej prawie do własnego wybrzeża morskiego, o odzyskaniu Śląska, a pośrednio o egzystencji i niezależności naszego państwa.

W końcu nie wolno przeoczyć jednego, charakterystycznego i ważnego zjawiska. Trzykrotnie szła na polskie dzielnice zachodnie zdecydowana fala walczącego germanizmu. Za każdym razem coraz wyższa i coraz groźniejsza. Za każdym razem wyposażona w nowe, bardziej mordercze uzbrojenie. Były to fale kierowane przez Flottwella, Bismarcka i Bülowa. Każda z nich wiązała się z wybuchem akcji zbrojnej w imię odzyskania niepodległości w zaborze sąsiednim. Daty tych natężeń w akcji antypolskiej w b. dzielnicach pruskich określają się latami 1830, 1863, 1905! Nie można powstrzymać się przed myślą, że przecież gdzieś na dnie sumienia pruskiego każdy nowy wybuch walki o nieprzedawnione prawa państwowe Polski wywoływał wątpliwości w słuszność dziejową posiadania zagrabionych ziem polskich! Rosło niejasne widmo, myśl-zmora, że może trzeba będzie kiedyś zwrócić to, co cudze. W zaniepokojeniu i pośpiechu formowała się nowa fala usiłowań takiego przekształcenia oblicza i duszy politycznej tych ziem, by ich przeszłości, ich pochodzenia nie można było już poznać; by stały się na wskroś pruskie i niemieckie. Ale mimo największych wysiłków, najbezwzględniejszych metod, najpotężniejszych środków... nie zdołali dobiec do mety na czas. Spóźnili

się — dzięki wewnętrznej sile odporu ludu polskiego.

Nie mniej tragiczne i ciężkie były losy tej części Rzeczypospolitej Polskiej, która w wyniku rozbiorów dostała się pod panowanie rosyjskie. Już sam zewnętrzny wygląd tej dzielnicy, samo przebycie granicy w zaborze rosyjskim, kazały się domyślać każdemu obcemu, że znajduje się w kraju rządzonym prawem wojennym. Stan ten trwał w ciągu całych dziesięcioleci. Sarkastyczne wyrażenie G. Clemenceau, iż „cywilizacja nasza chlubi się tym, że czasami pozwala żyć niemal normalnie"[1], traciło tu wobec realnej i codziennej oczywistości cały posmak paradoksu i ironii. W historii tych wiekowych zmagań się polskości z całym aparatem państwowym moskiewskim odnajdziemy prawie wszystkie metody walki, przemocy i ucisku, które zostały zastosowane zarówno w zaborze austriackim, jak i pruskim. Ale forma tej walki, rozbrzmiewającej nieraz głośnym echem w całej Europie, była tu chwilami o tyle bardziej brutalna, o tyle bardziej krwawa, niszcząca, bezpośrednia, a nawet perfidna i złośliwa, o ile poziom metod politycznych, o ile środowisko kulturalne, o ile psychika sterników państwa, a wreszcie i potrzeba liczenia się z opinią świata były różne w Rosji carskiej z jednej strony, a w Prusach i Austrii z drugiej. W zaborze rosyjskim skoncentrowały się wszystkie główne walki orężne o wyzwolenie Polski; tu więc rugowanie i niszczenie elementu polskiego dokonywało się nie tylko w skomplikowanych formach prawnych i prawno-państwowych, ale i w najbardziej uproszczonych formach stanu wojennego. Tu obok „ukazu" zastępującego prawo, obok biurokracji zastępującej nie tylko rząd i parlament, ale czasem i władzę sądowniczą, działały armaty, karabiny, lance, szubienice, zesłania i sądy wojenne. Tu człowiek tylko w wyjątko-

---

[1] G. Clemenceau, *Blaski i nędze zwycięstwa*, Poznań 1930, s. 75.

wych sytuacjach lub wyjątkowych okresach żył normalnie, często zaś zbliżał się do położenia i roli jeńca wojennego. Tu wreszcie, obok antagonizmu politycznego, motorem działania były i złość, i nienawiść, i żądza zemsty elementu czynowniczego, który czuł za sobą siłę fizyczną i całkowitą bezkarność we wszelkiej akcji antypolskiej.

Gdyby szło o wewnętrzną, uczuciową świadomość społeczeństwa polskiego, to ostrze jego oporu i walki, jego obrony i ofensywy kierowało się też najsilniej i może najbardziej jednolicie przeciwko Rosji. W przeciwieństwie do tego faktu sumienna i naukowa analiza czynników politycznych wskazywała, że antagonizm na tym froncie polskim mógł być nieporównanie mniejszy niż w zaborze pruskim, a nawet austriackim. Tendencje Prus, a nawet ich historycznych poprzedników, były już od dawna skrystalizowane i wykluczały nawet teoretyczną możność kompromisu. Naczelną zasadą ich polityki było wypieranie krok za krokiem w nieubłaganej walce elementu słowiańskiego na wschód i przetwarzanie zdobytego kraju na prowincje rdzennie pruskie i niemieckie. Z postępem i ugruntowaniem się świadomości narodowej, szczególnie w ciągu 19 wieku, akcja germanizacyjna była coraz trudniejsza. Wymagała coraz potężniejszych środków i dawała proporcjonalnie coraz mniejsze rezultaty. Była też funkcją czasu. Dlatego też idea odbudowania państwa polskiego mogła być dla Prus w chwilach wyjątkowych argumentem taktycznym, gromochronem mającym zniszczyć, zneutralizować działanie piorunu, ale programem nigdy stać się nie mogła. Zaanektowanie całej Polski — w jakiejkolwiek, jawnej lub maskowanej formie — przez Prusy byłoby natychmiast stworzyło trwały konflikt prusko-rosyjski, zamiast mniej niebezpiecznego dla nich konfliktu prusko-polskiego. Dlatego też niezłomną zasadą polityki niemieckiej musiały być po-

działy Polski i zniszczenie jej ustroju państwowego. Inny był stosunek monarchii austriackiej do zagadnienia polskiego. Monarchia ta zeszyta została przeważnie z cudzych resztek, które w żaden sposób nie dały się ufarbować na jeden kolor. Obok narodowych kompleksów węgierskiego i czeskiego, Austria posiadała większe lub mniejsze skupienia Niemców, Polaków, Rusinów, Słowaków, Rumunów, Włochów, Słoweńców, Kroatów i Serbów, z których każdy spoglądał z tęsknotą w inną stronę. Egzystencja Austrii opierała się na idei dynastycznej, a nie państwowej. Każda próba stworzenia jakiegokolwiek cementu państwowego wymagała jednolitego materiału wiążącego, germańskiego, madziarskiego lub słowiańskiego, a sam fakt wyboru takiego materiału przekształciłby metodą alchemiczną cement na dynamit. Dualizm monarchii naddunajskiej miał wyraźnie charakter niestały, trializm byłby ją rozsadził. Toteż pozytywnego programu ogólnopolskiego Austria mieć nie mogła, a gdy o nim mówiła, to łudziła bardziej Polaków i inne, zainteresowane w tej sprawie państwa, niż siebie.

Szeroki i pełny program polski mogła w zasadzie mieć tylko Rosja, podobnie jak ongiś, przed wiekami unię dynastyczną z Moskwą mogła inicjować Polska. Nie można zaprzeczyć, że idea wszechsłowiańska, obejmująca i przenikająca związek szeregu wolnych i równych państw i narodów, mogła się stać niezwykle twórczym czynnikiem cywilizacyjnym, politycznym, a nawet gospodarczym; mogła zmienić całkowicie stosunki polityczne w Europie i uchronić ją od wielu katastrof; mogła się stać źródłem wewnętrznej przebudowy ustroju w duchu demokratycznym na olbrzymiej przestrzeni Europy; mogła wyzwolić tysiące drzemiących sił twórczych, a każdemu spośród sfederowanych państw słowiańskich dać tyle wartości pozytywnych, otworzyć takie nieograniczone perspektywy rozwoju i postępu,

że trudności i przeciwieństwa związane z jej realizacją byłyby niewątpliwie pokonywane z coraz większą łatwością. Należało tylko realizacji tej nadać od początku właściwą treść i właściwe formy. Myśl ta w pewnych momentach historycznych, szczególnie na początku 19 wieku, nie była obca ani politykom, ani panującym rosyjskim, a psychicznie miała przygotowany grunt w społeczeństwie polskim. Była to w Polsce niejako naturalna reakcja po wszystkich nieszczęściach i zawodach doznanych w okresie rozbiorów, po upadku i Konstytucji Majowej, i powstania kościuszkowskiego, po załamaniu się nadziei związanych z walkami legionów, z wiarą w gwiazdę napoleońską, po rozwianiu się nadziei związanej z utworzeniem Księstwa Warszawskiego i wiary w odbudowanie samodzielnej Rzeczypospolitej w granicach przedrozbiorowych. Wówczas to, w dobie Kongresu Wiedeńskiego i w latach następnych, społeczeństwo polskie gotowe było wykreślić z pamięci i fakt złamania wszystkich gwarancji przez Rosję, i fakt niecnego wyzyskania ciemnoty politycznej konfederatów targowickich, i fakt spisku z Prusami i Austrią na całość i niepodległość Rzeczypospolitej, i haniebny fakt rzezi na Pradze, i fakt więzienia najznakomitszych Polaków, którzy zawinili jedynie wiernością wobec własnej ojczyzny i własnego obowiązku. Myśli i nadzieje polskie kierowały się wówczas z zaufaniem w stronę Aleksandra I, z którego słów coraz wyraźniej i mocniej zdawał się przebijać wielki program polski. Myśl o unii dynastycznej dwu wielkich państw słowiańskich, podporządkowanych wspólnej i jednolitej polityce zewnętrznej, a nawet supremacji rosyjskiej w tej dziedzinie, tworzących wspólny obszar gospodarczy wydawała się nie tylko bliską urzeczywistnienia, ale nawet pożądana, oczywiście za cenę choćby stopniowego odbudowania samoistnego państwa polskiego, jednoczącego te obszary, które w ówcze-

snych stosunkach miały charakter polski, względnie od wieków do polskiego organizmu państwowego ciążyły. Rezultaty prac Kongresu Wiedeńskiego rzuciły na ziemie polskie silny cień rozczarowania i goryczy. Błąd popełniony wówczas w stosunku do narodu polskiego był istotnie paradoksem sztuki dyplomatycznej. Uznano bowiem wówczas nie tylko istnienie jednolitego obszaru etnicznego polskiego, ale zgodzono się ponadto na wspólność interesów gospodarczych na tym terenie. Podkreślono więc konieczność nadania samorządu ziemiom polskim, stworzono klauzule dotyczące szczególnie ułatwionych sposobów wymiany towarowej między dawnymi dzielnicami Polski. Nowo utworzone, małe Królestwo Polskie otoczone było ze wszystkich stron ziemiami polskimi, rozczłonkowanymi, jak gdyby dla ustawicznego uświadamiania, że gwałt podziałów Polski został całkowicie usankcjonowany. Nawet Rosja wystąpiła formalnie w stosunku do Polski w roli podwójnej: przyjaciela i sprzymierzeńca oraz zaborcy, oddzielając olbrzymią część swego zaboru od nowego Królestwa. Mimo to myśl o swobodnym związku z Rosją nie została w Polsce i wówczas przekreślona. Liczono bowiem na to, że to, co nie mogło być osiągnięte natychmiast, zrealizowane będzie stopniowo, później, a nadzieje te i wnioski podsycały różne deklaracje, odezwy i poczynania nowego króla polskiego. Stopniowe pogrzebanie tej idei miało przyjść w latach następnych, pozostawiając zawsze jeszcze jakiś nikły wątek, jakąś niezagaszoną iskierkę, jakieś łudzące widmo aż do ostatnich lat wojny światowej.

Przyczyny zwichnięcia tej wielkiej możliwości politycznej, mogącej nieść przez całe wieki nieocenione, wielkie i ważkie konsekwencje nie tylko dla obu narodów i obu państw, ale również i dla wielu innych państw europejskich, a przede wszystkim dla wielu narodów słowiańskich, były bardzo różne i skomplikowa-

ne. Przede wszystkim więc należy stwierdzić, że w polityce rosyjskiej tkwił zawsze jakiś pierwiastek nieobliczalności i niespodziewanych decyzji. Nawet najsilniejsze, najbardziej zdecydowane i skrystalizowane pozornie dążenia, najbardziej ustalone prądy myśli politycznej załamywały się w Rosji nieraz w sposób zupełnie nieoczekiwany, gwałtowny i nagły, tak jak na skutek głębokich, niewidocznych perturbacji wulkanicznych łamią się i przeskakują warstwy geologiczne. Polityka ta była często konglomeratem wielkich i wzniosłych idei, przeimpregnowanych małymi, czynowniczymi, ciasnymi lub chytrymi, a nawet złośliwymi pomysłami. Samodzielność i oryginalność myśli rosyjskiej na każdym odcinku twórczości ludzkiej przerzucała się nagle, nieraz bez jakiegokolwiek uzasadnienia, a nawet bez bodźca zewnętrznego, do niewolniczego i nieumiejętnego naśladowania przeważnie złych wzorów Zachodu. Sprzeczności i ekstremy szły tu nieraz ręka w rękę, obok siebie, tak jak gdyby były odbiciem duszy rosyjskiej złożonej z pierwiastków o najwyższym i najniższym ciężarze gatunkowym równocześnie.

Ta właśnie nieobliczalność i zmienność zasad polityki rosyjskiej zaciążyła złowrogo i na stosunku do zagadnienia polskiego.

Panslawizm rosyjski również był specjalnego gatunku. Nie wyrósł on na podłożu federacyjnej idei wolnych i państwowo zorganizowanych narodów słowiańskich, zjednoczonych dla osiągnięcia wspólnych celów politycznych, kulturalnych i gospodarczych, ale na pożywce skrajnego nacjonalizmu; był on w identycznym aliansie nie tylko z zastraszoną demokracją lub eksplodującym chwilami rewolucjonizmem, ale również z carskim autokratyzmem, z czarnosecinnym archirejem i reakcyjną biurokracją. Stosunek Rosji carskiej do narodów słowiańskich miał charakter wybitnie agre-

sywny i zaborczy; Rosja chciała rozciągnąć swe panowanie nad Słowiańszczyzną, chciała jej narzucić swój autokratyczny ustrój, swoje prymitywne formy organizacyjne, chciała zniweczyć w zagadnieniu tym konstrukcję polityczną, a pozostawić elementy sentymentu, chciała z idei tej uczynić rozpuszczalnik, który by roztopił zwarte i samodzielne krystalizacje w morzu „jedynej, wielkiej Rosji”. W ten sposób wielka dynamicznie możliwość została w samym zarodku spaczona, stając się wyrazem gorzkiego szyderstwa dla Polski, która musiała zetknąć się z karykaturalną jej realizacją.

Nie można wreszcie przeoczyć faktów, które samodzielnie mnożyły i potęgowały wszelkie trudności spiętrzone przed eksportowanym z Rosji panslawizmem. Były nimi przede wszystkim prawosławie i najdłużej w Europie zachowany, bezwzględny autokratyzm. Były to czynniki uświęcone w konstrukcji życia rosyjskiego, nie dopuszczające żadnego odchylenia aż do dwu ostatnich katastrof wojennych Rosji, z których pierwsza w nieznacznym stopniu podważyła autokratyzm, a druga, wzmacniając ponownie autokratyzm, podważyła i rozkrusza polityczne znaczenie prawosławia. Na tym ogólnym, pobieżnie zarysowanym tle dzieje zaboru rosyjskiego występują bardziej wyraziście i jasno.

Na wiele dziesięcioleci przed dokonaniem podziałów Polski tendencje te wypełzały z różnych zakątków dworów europejskich. Celem jednak polityki rosyjskiej było owładnięcie i opanowanie całej Rzeczypospolitej Polskiej i rozciągnięcie w ten sposób wpływów imperium moskiewskiego jak najdalej na zachód. Tendencja ta — wobec nieskrystalizowania jeszcze późniejszej potęgi Prus, a równocześnie widocznego już załamywania się znaczenia i siły Habsburgów — miała swoje szczególne uzasadnienie. Następnie jednak pod wpływem akcji dworu pruskiego Rosja zgodziła się na

pierwszy podział Polski, przerzucając się natychmiast ponownie do tezy utrzymania reszty Polski w wyłącznej zależności od Rosji i wykluczenia dalszego wzrostu potęgi Prus kosztem bezsilnej Rzeczypospolitej. W dwadzieścia lat później linia ta została ponownie załamana i to w sposób, który odpowiadał całkowicie tendencjom i interesom politycznym Prus, ale dla Rosji niósł już zarodki przyszłej wielkiej klęski i wielkich konfliktów. Karol Marks, w jednym ze swych pism, charakteryzuje lapidarnie tę politykę rosyjską: „Prusy, niegdyś wasal Polski, urosły do poziomu pierwszorzędnego mocarstwa jedynie dzięki opiece Rosji i przez podziały Polski"[1].

Realizując ostatnie podziały, Rosja — spośród trzech zaborców — zastosowała najbardziej brutalne metody w Polsce. Kilkanaście tysięcy Polaków znalazło się natychmiast w więzieniach rosyjskich, a wśród nich Kościuszko, Niemcewicz, Ignacy Potocki i wielu innych. Ruch powstańczy krwawo został zduszony. Mienie i życie ludności cywilnej wydane zostało na łup żołdactwa. Knut i bezprawie stały się jedynymi regulatorami życia. Instytucje publiczne zamarły.

Pewna zmiana stosunków na lepsze nastąpiła pod koniec 1796 r. po objęciu tronu przez cara Pawła.

Niebawem rozpoczęła się wielka epopeja napoleońska. Jakże promienne nadzieje budziła ona w umysłach Polaków. Przewalały się trony, rozpadały się niezwyciężone i butne armie, zmieniały się granice państw. Przy boku Napoleona Legiony polskie! Każda godzina zdawała się przybliżać wyzwolenie. Każda bitwa podniecała niecierpliwość. Czekanie wydawało się męką. W duszę polską wrastała świadomość: „ile cenić Cię trzeba, ten tylko się dowie, kto Cię stracił".

Cały ten gmach nadziei i pragnień zawalił się wresz-

---

[1] K. Marks, F. Engels, K. Liebknecht, *Odbudowanie Polski*, Warszawa 1910, s. 150.

cie w latach 1814—1815. Trzeba było zwrócić się w inną stronę. Zrozpaczony człowiek chwyta chciwie i łakomie każde słowo nadziei. Więc przylgnął i budował teraz w Polsce na słowach Aleksandra I, na słowach, które nigdy dawniej z ust cara nie padały. „Nauczyliśmy się szanować wzajemnie na polach bitew” — głosił car do Legionów polskich, odsyłając je do Warszawy. „To nowe państwo będzie Królestwem Polskim, tak gorąco upragnionym, od tak dawna pożądanym przez naród, za cenę tyle krwi i ofiar uzyskanym” — głosiła odezwa Aleksandra do Polaków z dnia 25 maja 1815 r.

Królestwo Kongresowe nie mogło oczywiście w najmniejszym stopniu zaspokoić aspiracji społeczeństwa polskiego. Na podstawie jednak szeregu klauzul i zobowiązań traktatowych, na mocy licznych oświadczeń samego cara i króla, na zasadzie jego odezw kierowanych ogólnie „do Polaków”, a mówiących i o zaborze pruskim i o dzielnicy pod panowaniem austriackim, wierzono, iż jest to dopiero akt wstępny do odbudowania całej Polski. Pierwsze myśli i pierwsze aspiracje kierowały się w stronę tych ziem, które były bliższą ojczyzną Korsaka, Reytana i Kościuszki, o których akt Unii Lubelskiej z r. 1569 już mówił: „Korona Polska i W. Księstwo Litewskie jest jedno, nierozdzielne i nieróżne ciało, a także nieróżna, ale jedna i wspólna jest Rzeczpospolita”. Te same aspiracje opanowały całkowicie umysły w Wilnie, mającym się stać niebawem Piemontem myśli polskiej, stolicą duchową polskiej nauki i polskiej twórczości literackiej. Gdy jednak realizacja tego postulatu odwlekała się, całe napięcie woli i myśli tego okrojonego ze wszystkich stron Królestwa skupiło się na zagadnieniach wewnętrznych i ustrojowych. Naród, któremu tylekrotnie nie dotrzymano traktatów i zobowiązań pieczętowanych podpisami monarchów, który tylekroć był oszukany, wydrwiony, zdeptany na

forum międzynarodowym, stał się niesłychanie podejrzliwy, nieufny, wrażliwy i czujny wobec każdego, najdrobniejszego nawet pogwałcenia przyznanych mu uroczyście praw. Z uzyskanej raz pozycji nie chciał się cofnąć ani na krok, chciał walczyć w ramach nadanej mu konstytucji o nowe koncesje i nowe prawa polityczne, a w świadomości całej dysproporcji siły i dysproporcji ustroju w Królestwie i w Cesarstwie wiedział, że musi staczać uciążliwy i codzienny bój o odseparowanie konstytucyjnego króla polskiego spod wpływów autokratycznego cara Rosji. Zarzewie ostrych konfliktów tliło się od pierwszych dni pokongresowych. Całkowite usunięcie przyczyn do wybuchu było w tych warunkach niemożliwe. Było natomiast możliwe zmniejszenie źródeł konfliktów i tarć przez stworzenie jednolitej władzy i jak najprostszej, najuczciwszej konstrukcji organizacyjnej. Tymczasem organizacja Królestwa i mechanizmu rządowego była od początku przeciwieństwem prostoty, jednolinijności, a przede wszystkim zharmonizowania przepisów konstytucyjnych z ich wykonaniem.

Na czele państwa postawiony został namiestnik Zajączek, człowiek może nawet dobrej woli, ale pozbawiony tej siły prawnej i autorytetu, które by zapewnić mu mogły decydujący wpływ na rząd i jego stosunek do sejmu i społeczeństwa. Obok cywilnego namiestnika, a więc teoretycznie najwyższej władzy w państwie, funkcjonował naczelny wódz, Ks. Konstanty. Formalnie nie ponosił on żadnej odpowiedzialności za rządy cywilne Królestwa. Praktycznie jednak wpływ Ks. Konstantego, opartego o autorytet dynastyczny i siłę zbrojną, był nieporównanie większy niż jakiegokolwiek innego czynnika w państwie. Liczył się z nim i rząd, i namiestnik, a gwałtowność jego charakteru przyczyniała się niejednokrotnie do potęgowania konfliktów między rządem i sejmem. W tych warunkach bowiem

nie można było uniknąć częstego łamania praw zasadniczych, które obowiązywały rząd, z którymi jednak liczyć się nie chciał Ks. Konstanty. Tak więc wbrew konstytucji wprowadzono niebawem bardzo znaczne ograniczenia wolności słowa, cenzurowano, konfiskowano i zamykano pisma, pieczętowano drukarnie[1], ustanowiono pod patronatem Nowosilcowa, Kuruty, Lubowidzkiego całą organizację wywiadowczą, wojskową i cywilną, wciskającą się wszędzie, do domu, do szkoły, do urzędu, do organizacji społecznych i politycznych, podsłuchującą pod drzwiami ministrów, śledzącą każdego posła, każdą aktywniejszą jednostkę, doprowadzając tę akcję — przez swą bezgraniczną głupotę i tępotę — aż do krańcowego absurdu[2]. Z dnia na dzień rosło więc niezadowolenie, mnożyły się źródła wciąż nowych konfliktów, nastroje opozycyjne niejako mechanicznie potęgowały się Zawiedzione i rozgoryczone społeczeństwo rozumiało dobrze, że nie tylko nadzieje dalszych koncesji terytorialnych i ustrojowych zostały już ostatecznie przekreślone, ale nawet konkretne zobowiązania dotyczące małego, ścieśnionego, okrojonego zewsząd Królestwa są z każdym dniem coraz bardziej zagrożone. Każdy rok przynosił nowe podniety, nowe zarzewia wzrastającego antagonizmu. Szczególnie z ziem zabranych dochodziły odgłosy bezwzględnej walki przeciwko wszystkiemu, co mogło przypominać dawny związek z Rzeczpospolitą. Dwa miliony unitów „nawrócono" już na wiarę prawosławną. Szkoły polskie ulegały redukcji bez przerwy. Młodzieży akademickiej wytaczano masowo procesy, po których spadały niewspółmierne z „przewinieniem" kary „za szerzenie nierozsądnej narodowości polskiej".

---

[1] Por. M. Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie*, t. III, Warszawa 1931, s. 77.

[2] Por. N. W. Berg, *Pamiętniki o polskich spiskach i powstaniach 1831—1862*, Kraków 1894, s. 8 i następne.

Tak więc i od wewnątrz, i z zewnątrz zbiegały się wciąż nowe źródła konfliktów, zlewały się razem i huczały już potężnym nurtem. W tych niezmiernie ciężkich, powikłanych warunkach, przy ścieśnionej samodzielności, przy niekończących się tarciach na forum sejmowym, podsycanych drobnymi, ale bolesnymi złośliwościami, aplikowanymi posłom sejmowym, trudno było myśleć o aktywnej i twórczej działalności rządu. A przecież mimo to okres ten pozostawił dużo pozytywnych i trwałych prac po sobie. Oceniono to dopiero znacznie później.

Początkową deficytową gospodarkę rządu i pamiętne walki budżetowe w sejmie opanował niebawem Lubecki, doprowadzając od r. 1823 nie tylko do równowagi budżetowej, ale nawet do uzyskania nadwyżek kasowych w skarbie. Gospodarstwo narodowe — mimo gwałtownych oporów przeciwko śrubie podatkowej — weszło w fazę organizacji i stopniowego rozwoju. Bank Polski porządkował finanse i inicjował akcje przemysłowe, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie podnosiło szybko stan rolnictwa krajowego, zaufanie zagranicy do gospodarki polskiej wzrastało.

Istotne podwaliny i początki rozwoju przemysłowego na ziemiach polskich wiążą się jednak przede wszystkim z okresem wojny celnej prusko-rosyjskiej, zapoczątkowanej w r. 1823, w której główna akcja rozgrywała się między Prusami a Królestwem Polskim. Rząd polski, a przede wszystkim minister Lubecki, nie zmarnował tej okazji dla zapoczątkowania emancypacji przemysłowej Królestwa. Toteż wojna ta — pomimo chwilowych trudności — przyniosła Polsce w ostatecznym rezultacie trwałe i niemałe korzyści.

Bilans handlowy Królestwa Kongresowego kształtował się od dłuższego czasu biernie; szczególnie ciężkie były lata nieurodzaju, w których zjawiała się konieczność importowania zboża dla celów aprowizacyj-

nych. Były to dotkliwe wydatki dla urządzającego się dopiero państwa, wyniszczonego przejściami wojennymi. Ale i w latach urodzaju zjawiało się nowe zło. Eksport zboża napotykał na poważne trudności, i to nie bez wpływu nieprzyjaznej polityki handlowej Prus, ceny produktów agrarnych spadały gwałtownie, np. żyta poniżej 12 złt, za korzec, „nie wynagradzając nawet włożonych nakładów"[1]. Złe położenie rolnictwa odbijało się natychmiast ujemnie na położeniu gospodarczo-finansowym kraju. Wypłacalność dłużników pogarszała się gwałtownie, konsumpcja wewnętrzna kurczyła się, rzemiosło przeżywało ciężki kryzys, a wpływy skarbowe malały. Ponadto jednak nieuprzemysłowione Królestwo zmuszone było importować wytwory fabryczne po bardzo drogich cenach z zagranicy, szczególnie z sąsiednich Prus. Najdotkliwiej ciążył na tym bilansie handlowym przywóz towarów włókienniczych i żelaza. W obu więc dziedzinach rozwinął rząd Królestwa żywą działalność, powołując do życia — w dogodnej koniunkturze wojny celnej — zaczątki przemysłu krajowego. Prusy, w tej wojnie celnej, nie pozostały oczywiście bezczynne. Mając w swym ręku polskie wybrzeże morskie i główny port handlu polskiego w Gdańsku, wiedziały — w myśl wskazań Fryderyka II — że na tej drodze mogą wywrzeć największy nacisk na ówczesną Polskę. Zaostrzyły więc natychmiast restrykcje przy wywozie polskich produktów rolnych drogą morską. I w tym wypadku jednak Lubecki nie myślał o kapitulacji. Podjęta została natychmiast energiczna rozbudowa Kanału Augustowskiego, łączącego komunikacyjnie Wisłę i Niemen, a więc pozwalającego na okrążenie granicy celnej pruskiej i wyzwolenie się spod monopolu handlowego Gdańska. Fakt

---

[1] Por. S. Kaczkowskiego, *Myśli o handlu naszym,* Warszawa 1818, K. Kurowskiego, *Rzut oka na przyczyny tak ciężkich czasów,* Warszawa 1829, i inne.

ten wywołał wprawdzie niezwykle ostre ataki Gdańska na rząd polski, ułatwił jednak późniejsze porozumienie traktatowe z Prusami, zabezpieczające zarówno interesy eksportu rolniczego, jak też ochraniające zaczątki przemysłu polskiego.

W biegu tych prac padł nagle grom rewolucji listopadowej. Był on naturalną i logiczną konsekwencją zarówno błędu zasadniczego, tkwiącego w rezultatach decyzji Kongresu Wiedeńskiego, jak też i następstwem splotu sprzeczności, w które wpychała coraz głębiej społeczeństwo polskie Kongresówki i instytucje życia publicznego ręka moskiewska. Był on rezultatem dwoistości metod, konstytucyjnej i autokratycznej, ścierających się coraz silniej na terenie Królestwa. Był on wynikiem złamania wszystkich nadziei, rozbudzonych przez koronę w pierwszych latach pokongresowych. Był on wreszcie odporem i buntem przeciwko tysiącznym i codziennym szykanom, stosowanym w coraz dotkliwszy sposób przez wciskające się do życia polskiego czynniki rosyjskie.

Warunki polityczne i militarne powstania z r. 1830 były szczególnie korzystne; warunki wewnętrzne były jak najbardziej niesprzyjające. Tendencje i programy wodzów powstania, sejmu, partii politycznych, członków rządu, wojska, a wreszcie i opinii publicznej były rozbieżne. Myśli i czyny walczyły ze sobą, paraliżowały się wzajemnie. Brakło jednolitej i silnej decyzji. Chwiejność ubezwładniła stopniowo wojsko, naród obdarła z zapału. To były drzwi otwarte dla nieuchronnej już klęski.

Mimo wszystko powstanie listopadowe pozostawiło jednak jeden, bezcenny walor. Stwierdziło ono, że naród polski nie chce i nie może nigdy stać się częścią Rosji; przez napływ powstańców z zaboru pruskiego i austriackiego, przez podniesienie walki w ziemiach zabranych zadokumentowało jedność narodu polskie-

go i krwią przekreślało pieczęcie podziałowe. Przypomniało ono, że sprawa odbudowania państwa polskiego jest otwartym zagadnieniem międzynarodowym.

Ale klęska powstania przywlokła za sobą cały łańcuch nieszczęść i bezgranicznych, nowych strat wewnętrznych.

Jeden z autorów tej epoki popowstaniowej pisze: „Kto nie zostawał choćby tylko przez czas krótki pod rządem moskiewskim i nie uważał z bliska szczegółowych ruchów tej potwornej machiny, ten nigdy dobrze nie pojmie owych niegodziwości, podstępów, fałszów i zdrad rządu, jakich tylko w krajach pod knutem cara jęczących doznać można" [1].

Konstytucja Królestwa została niebawem zniesiona. Rosja, uważając teraz Polskę za kraj zdobyty, nie tylko skasowała odrębne wojsko polskie, nie tylko zrusyfikowała administrację, ale rozgromiła szkolnictwo polskie i wszystkie instytucje społeczne. Rejestr dóbr ziemskich „na rzecz rządu zabieranych, wypełniał przez wiele miesięcy kolumny gazet urzędowych" [2]. Skonfiskowano wówczas zwyż 200 tysięcy hektarów ziemi związanej z ćwierć milionem ludności włościańskiej i rozdarowano je lub rozsprzedano w ręce generałów, wojskowych i czynowników rosyjskich. W ten sposób prawie 10 proc. prywatnej własności ziemskiej w Królestwie wydarto z rąk polskich. Pomimo skasowania odrębności prawnopolitycznej Królestwa wprowadzono jako represję granicę celną między dawną Kongresówką a resztą ziem zabranych i Rosją, co spowodowało gwałtowne załamanie się przemysłu, a nawet przenoszenie fabryk polskich do Rosji. Rolnictwu nakazano dostawić znaczne ilości zboża w formie rekwizycyjnej; za zboże to wydano Polakom niepokryte

---

[1] L. Zienkowicz, *Wizerunki polityczne dziejów państwa polskiego*, t. II, s. 52.

[2] Tamże, s. 48.

kwity, a zboże władze rosyjskie sprzedały za bezcen Prusom. „Więzienia warszawskie nie mogły objąć niezmiernej liczby ofiar"[1]. Amnestia wydana w listopadzie 1831 r. została pogwałcona; wracających b. wojskowych chwytano na granicy i deportowano w głąb Rosji. „Piotr Wysocki, sławny autor rewolucji, który na okopach Woli pod Warszawą ranny, popadł w ręce moskiewskie, został wkrótce ukryty w niedocieczonem więzieniu... Widziano go tylko, jak raz był prowadzony w najcięższych kajdanach ku Brześciowi Litewskiemu"[2]. Uniwersytet warszawski, wileński i liceum krzemienieckie zostały zniesione. Językiem urzędowym stał się język rosyjski, poczęto osiedlać chłopów rosyjskich pod Modlinem, podjęto budowę cytadeli w Warszawie oraz urządzono twierdze z dźwięcznie brzmiącymi nazwami: Iwangorod * i Nowogeorgiewsk **. Sterroryzowany kraj składał adresy wierności Paskiewiczowi, a w połowie roku 1832 przybyła do Petersburga delegacja polska pod przewodnictwem Ks. W. Radziwiłła, prosząc cara „o przebaczenie za powstanie, wzniecone przez garstkę burzycieli"[3]. Ale i te ciężkie i bolesne upokorzenia, zadawane ręką własnych rodaków, pozostały bez skutku. Jeszcze gorszy ucisk i prześladowania zapanowały na terenie ziem zabranych. „Zemsta Mikołaja nad ludnością polską Litwy i Rusi nie miała żadnego hamulca"[4]. Skonfiskowano tu po powstaniu około 3000 majątków, a 45 000 rodzin polskich, przeważnie drobnej, zagonowej szlachty, wysiedlono nad Wołgę. Wszystkie szkoły polskie w tych ziemiach znie-

---

* Dęblin.

** Modlin.

[1] L. Zienkowicz, *Wizerunki polityczne dziejów państwa polskiego*, t. II, s. 52.

[2] Tamże, s. 74.

[3] Por. M. Bobrzyński, *Dzieje Polski w zarysie*, t. III, s. 137.

[4] Tamże, t. III, s. 138.

siono. Cztery miliony unitów przeszło pod wpływ prawosławia.

I tak rok za rokiem spadały nowe cięgi na społeczeństwo polskie, rok za rokiem potęgowała się akcja rusyfikacyjna, zmierzająca do zatarcia wszystkich śladów dawnej Rzeczypospolitej Polskiej. Pod naporem tak potężnych środków stosowanych gwałtownie i od wschodu i od zachodu kurczyła się Polska, niegdyś jedno z największych i najpotężniejszych państw w Europie.

Niebawem więc rządy rosyjskie zniosły podział kraju na województwa, wprowadzając analogicznie do stosunków rosyjskich gubernie. W r. 1840 zniesiono „statut litewski" i wzmocniono i tak już bezwzględną akcję rusyfikacyjną. Zbiory uniwersytetów polskich przekazano uniwersytetowi w Kijowie. Biblioteki, zbiory, muzea, pamiątki narodowe konfiskowano i wywożono do Rosji. Wreszcie wypróbowaną metodą austriacką usiłowano rozkołysać antagonizm społeczny między wsią a dworem, a rozbudzić nienawiść narodową między Polakami, Litwinami, Białorusinami i Ukraińcami. Ciężka ręka biurokracji, opartej o siłę zbrojną, zaciążyła nad całym życiem polskim, budząc powszechne niezadowolenie i nienawiść. Ciężkie chmury gromadziły się ponownie nad tą częścią Polski. Na ulicach Warszawy pojawiły się demonstracje patriotyczne i religijne, które krwawo zostały stłumione. Nawet kościoły nie zostały uszanowane przez wojska rosyjskie. Napięcie wzrastało do najwyższych granic. O wypadkach tych referuje w marcu 1862 r. w Izbie Lordów W. Brytanii lord Carnarwon [1]: „Towarzystwo Rolnicze, przedstawiając siły materialne i umysłowe kraju, które w swych czynnościach szczególną okazywało przyzwoitość i którego rady rząd nieraz zasięgał, ofiarowa-

[1] *Sprawa Polski w Parlamencie Angielskim w r. 1862*, Paryż 1862.

ło swoje pośrednictwo przy uspokojeniu. Rząd postąpił roztropnie i właściwie przyjmując tę posługę... Zaufanie poczęło wracać i porządek się ustalał, gdy raptem i bez żadnego jawnego powodu rząd rozwiązał Tow. Rolnicze". Mówiąc zaś o odezwie Gorczakowa, wprowadzającej pewne ustępstwa dla polskości, Carnarwon zapytuje: „Jakie były ustępstwa zawarte w odezwie Gorczakowa? Było ich trzy: ustanowienie polskiej Rady Stanu, utworzenie obwodowych i miejskich rad na podstawie wyborczej i na koniec zezwolenie na osobną Komisję Oświatową... Wprawdzie Radę Stanu zamianowano i część jej składali Polacy, lecz członkowie jej byli tylko tytularni, nie mając żadnego prawa i inicjatywy. Co do drugiej koncesji wybory w istocie nastąpiły i odbyły się ze szczególnym umiarkowaniem, lecz od owego czasu do dnia dzisiejszego wybrańcy nie zostali do zebrania się powołani. Na koniec co się tyczy Komisji wychowania i religii, szkoły zamknięto i zamknięcie ich trwało sześć miesięcy, a gdy je otworzono, tylko mała liczba uczniów przystęp do nich otrzymała... Jakiż jest więc obecnie stan w Polsce? Warszawa w stanie oblężenia, Polska poddana pod wojenne prawo, zwyczajnych sądów czynności zawieszono, stosunki życia domowego ścieśnione; Tow. Rolnicze rozwiązane".

Dalsze nieroztropne i brutalne pociągnięcia rządu centralnego i Wielopolskiego wybuch tylko przyspieszyły. Był on w samym zawiązku swoim prawie beznadziejny. Zniszczone i zdezorganizowane społeczeństwo nie mogło wydobyć z siebie niezbędnych sił materialnych i militarnych. Osaczone było ze wszystkich stron. Cóż w tych warunkach mogło pomóc niespotykane w dziejach bohaterstwo i poświęcenie? W połowie kwietnia 1863 r. przyszła słowna, a więc bezskuteczna interwencja Francji, Anglii i Austrii. W Polsce zaś wierzono w złudę pomocy czynnej, ponawiano wy-

siłki, podsycano opór, rozpalano wciąż nowe ogniska walki partyzanckiej, łączono ponownie w szeregach powstańczych Polaków ze wszystkich zaborów i wierzono nadal w cud uczciwości politycznej w Europie tak samo, jak wierzono w słuszność polskiej sprawy.

Wszystko okazało się daremne. Dnia 5 sierpnia 1864 r. stracenie Traugutta, Jeziorańskiego, Krajewskiego, Toczyskiego i Żulińskiego było symbolem zwycięstwa Europy milczącej i wiwatującej Moskwy nad narodem polskim.

Powstanie to, sięgające głębiej niż poprzednie do wielkich warstw społeczeństwa polskiego, przyniosło nowy, realny protest przeciwko gwałtom niewoli. Przyniosło też w rezultacie wolność dla ludu wiejskiego, który ruchu tego, nie z własnej winy, jeszcze nie rozumiał. Powstanie upadło, ale pierwszy jego akt społeczny, ogłoszony w dniu wybuchu — a stwierdzający, że uwłaszczenie włościan, które „pomimo ogólnej chęci kraju z powodu stawianych przez rząd najezdniczy przeszkód dotąd do skutku nie doszło", ma się stać obecnie rzeczywistością — został faktycznie zrealizowany. Ten testament polityczny stłumionej polskiej rewolucji wykonał rząd carski ze względów konkurencyjnych wobec chłopa polskiego i groźby powstań następnych.

Tym większą jednak zemstę gotował rząd rosyjski dzielnicom polskim pod względem narodowym. Odtąd polityka antypolska w zaborze rosyjskim idzie już ręka w rękę z pruską polityką Bismarcka. Pod przewodnictwem Czerkaskija i Milutina powstaje „Komitet urządzający" dla b. Królestwa, którego wytycznym celem jest przetworzenie kraju polskiego na dwunarodowy: rosyjsko-polski. Obok więc ponownej, masowej i przymusowej deportacji elementu polskiego w głąb Rosji skonfiskowano w Królestwie 1660 majątków polskich i około 1800 na Litwie. Wszystkie one przeszły w for-

mie donacji w ręce rosyjskie. Nawet w gminach — obecnie już „prywislinskiego kraju" — wprowadzono urzędowy język rosyjski. W r. 1867 zniesiono warszawską Szkołę Główną i otwarto uniwersytet rosyjski. Tępienie przyrostu inteligenckiego elementu polskiego zostało doprowadzone do absurdu; tak na przykład w r. 1874 w całym Królestwie tylko 17 uczniów zdało egzamin dojrzałości. Na Litwie szalał Murawiew „wieszatiel". Ziemię wykupywano masowo z rąk polskich, a w r. 1865 wydano ukaz zabraniający Polakom nabywania ziemi na Litwie i Rusi.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia atak rusyfikacyjny na całej przestrzeni zaboru dochodzi do najsilniejszego napięcia. Na widownię występują pamiętne w Polsce nazwiska, oznaczające program w tej walce: Hurko, jego żona, Apuchtin... A potem już system sam stwarza automatycznie szeregi faktów, zarządzeń, ukazów, uderzających wciąż taranem w polskość podziemną, przytajoną, ale żyjącą! Napisy i szyldy przemalowują się na język rosyjski, z przedsiębiorstw prywatnych język polski gwałtem wypierany, podatki stają się narzędziem walki politycznej, nauczanie języka polskiego w domu nawet staje się karalne, a nad wszystkim unosi się zgroza rzezi krożańskiej* w walce o kościół.

Ale bieg historii nie zamiera... Teraz nadzieje polskie koncentrują się przy wypadkach na Dalekim Wschodzie. Ta bezmierna potęga moskiewska, drwiąca z każdego przeciwnika, ku zdumieniu świata całego pada raz za razem pod naporem nieznanej, dalekiej siły.

---

* Kroże, litew. Kražiai, miejscowość na Żmudzi (obecnie Litewska SRR). W 1893 r. władze carskie podjęły decyzję o zamknięciu kościoła klasztornego w Krożach. Wobec oporu ludności sprowadzono wojsko i Kozaków dokonując masakry. Zginęło wówczas ok. 50 osób. Sprawa ta odbiła się głośnym echem w Europie.

W ogniu rewolucyjnym carat poczyna się wreszcie cofać na każdym polu. W Polsce wydaje się, że godzina oczekiwana, utęskniona, wymodlona już bije. Wewnętrzne prądy poczynają już ścierać się nie o zagadnienie główne: czy Polska będzie, ale o zagadnienie wtórne, o oblicze społeczne przyszłej Polski.

Ale i tym razem polityce rosyjskiej udaje się wyjść z opresji. Wielkie idee skierowuje się na małe, praktyczne partactwa. I Polska przeżywa okres tragicznych rozczarowań i pomyłek w Dumie. Pierwszy kongres reprezentacji narodowej zostaje rozwiązany po kilku tygodniach; druga Duma załatwiła budżet i pobór wojskowy, ale okazało się, że dla stworzenia większości rządowej niezbędne są głosy polskie. Wniosku Koła Polskiego o autonomię Królestwa nie załatwiono jednak. Za to liczbę mandatów polskich do Dumy następnej zmniejszono do jednej trzeciej i w ten sposób od razu wagę delegacji polskiej przekreślono.

Wreszcie przyszła Duma, która spełniła nadzieje carskiego régime'u, która zharmonizowała się z hasłem: non habemus aliam legem nisi Caesarem! Gwałtowne prądy rewolucyjne i liberalne zniknęły tak szybko, jak nagłe zjawiły się. W nowym zgromadzeniu usadowił się mocno skrajny i bojowy nacjonalizm i reakcja. Pokwitował on dawne metody ucisku w Polsce i dodał nowe. Wszystkie, groźne naloty rewolucji zostały starte doszczętnie. Wróciła szkoła rosyjska, której już nie złamał kilkuletni strajk szkolny, wrócił na nowo i pop, i butny czynownik rosyjski, zamknięty został i „Sokół" polski, i „Macierz Szkolna", wywłaszczono i zrusyfikowano kolej warszawsko-wiedeńską, a wreszcie ukoronowano dzieło przez wydzielenie „guberni chełmskiej". Tym razem zatriumfował nad Polską nie generał, nie Suworow i nie Paskiewicz, nawet nie kozak i nie knut, ale biskup prawosławny Eulogjusz.

Któż mógł przewidzieć lub przeczuć, jak potężne nie-

spodzianki, jak bezmierne wstrząsy, burze i huragany skrywa milcząco i niepozornie historia najbliższych już lat?

Tak wyglądał naprawdę stały, codzienny, suchy, urzędowy komunikat wydawany przez trzy państwa zaborcze dla opinii świata cywilizowanego: w dzielnicach byłej Polski bez zmian! W kraju prywislinskim nic nowego, w pruskiej marchii wschodniej nic nowego, w Królestwie Galicji i Lodomerii nic nowego...

A gdy właśnie w ciągu całego 19 wieku i w początkach 20 stulecia koło rozpędowe historii, postępu, cywilizacji, kultury, gospodarstwa, a wreszcie praw osobistych człowieka toczyło się energicznie naprzód i to ruchem ustawicznie przyspieszonym, gdy na zachodzie Europy, w Ameryce, a nawet w Azji Wschodniej ostatnie dziesięciolecia zapisywały się większym i bardziej wszechstronnym rozwojem niż wieki poprzednio przez ludzkość przeżyte, to na ziemiach polskich odwrotnie koło to cofało się wstecz, rujnując stopniowo, ale coraz zdecydowaniej cały mechanizm zbiorowego życia.

W epoce, w której zdobywali radośnie prawo obywatelstwa Murzyni, w której emancypowały się politycznie i gospodarczo nawet najodleglejsze kolonie, w środku Europy egzystował kraj rozbity kordonami przez sam środek swego organizmu, poddany trzem różnym dyspozycjom politycznym i ekonomicznym, egzystował naród, mający za sobą świetne momenty historyczne i prawie dziesięciowiekową tradycję państwową, pozbawiony nie tylko wszelkich praw politycznych, nie tylko rządzony prawem wyjątkowym, ale zmuszany siłą do przetworzenia swej duszy polskiej na pruską lub moskiewską.

I gdy setki tysięcy Polaków szły bez przerwy pod przymusem w świat na zatracanie, nad Wołgę, na białe pola Sybiru, w góry Kaukazu, gdy biegły fale za fala-

mi polskich emigracji politycznych i gospodarczych na zachód, gdy olbrzymie obszary ziemi polskiej konfiskowano i wywłaszczano, gdy rozrastał się tu żywioł obcy, uprzywilejowany, wspierany całą potęgą państw, gdy miliony ludzi pozbawionych było we własnym kraju własnej narodowej szkoły, gdy wbijano w jeden, żywy organizm gospodarczy kilka tysięcy kilometrów wewnętrznych granic celnych, gdy szalonym naciskiem z zachodu, północy i wschodu kurczono ustawicznie obszar etniczny polski, gdy w potokach krwi gaszono każdy protest i opór, gdy eksploatowano przez cały wiek społeczeństwo polskie dla obcych i wrogich celów, gdy rabowano pomniki kultury polskiej, gdy bito dzieci polskie we Wrześni, gdy usuwano wóz Drzymały, gdy mordowano bezbronnych ludzi w Krożach, gdy na stokach cytadeli warszawskiej ginęli na szubienicach ludzie z okrzykiem „Nie zginęła!" oznaczało to, że w zaborach polskich Rosji, Austrii i Prus „bez zmian!".

A przecież wszystko to, to tylko widoczny, odczuwany, uchwytny rachunkowo, stwierdzalny dokumentarycznie, znany i jawny bilans podziałów i niewoli. Istnieje i drugi bilans, drugi rachunek strat, kto wie, czy nie większy, ale ukryty, utajony, zamglony, nieuchwytny.

Pierwszy bilans odpowiada na pytanie, co działo się na ziemiach polskich w ciągu całego stulecia niewoli. Tu odpowiedź może być i musi być jasna. Drugi odnosi się do pytania: co w Polsce nie doszło do skutku, co nie mogło się stać w tym deficytowym dla nas wieku? Tu odpowiedź, nie pozostawiająca w ocenie wątpliwości, jest trudna; tu nie ma odwołania się do dokumentów i źródeł tak oczywistych i tak znanych, jak w wypadku pierwszym. Największe salda pasywne w tym drugim rachunku, w tym bilansie tajnym odnoszą się do polskiego życia i rozwoju gospodarczego. Może

kiedyś przyjdzie czas na dokładniejsze zanalizowanie i podsumowanie wszystkich pozycji; obecnie wystarczy ocenić ich ogólną dynamikę.

Gdyby więc dziś postawić przed areopagiem ekonomistów tak nieprawdopodobne zadanie: w jaki sposób można by zahamować i spaczyć rozwój gospodarczy dzisiejszej Polski, to prawdopodobnie jednomyślna odpowiedź opiewałaby: należy kraj ten podzielić wewnętrznymi kordonami celnymi i politycznymi, tj. należy ponowić podziały. Będzie to najbardziej mordercza broń. Przy bliższym wniknięciu w to zagadnienie okazałoby się ponadto, że temu, urągającemu współczesnej cywilizacji celowi najbardziej odpowiadałyby granice podziałowe zbieżne lub zbliżone do granic ustalonych w rezultacie rozbioru ziem polskich w 18 i 19 stuleciu.

Warunki naturalne Polski same przez się skoncentrowały najważniejsze problematy gospodarcze w najbliższym sąsiedztwie dawnych granic podziałowych. Tu koncentrowały się bogate złoża soli, tu istnieje jedno z najbogatszych złóż węglowych w Europie, a więc magnes rozwoju przemysłowego, tu zbiegały się bogactwa rud żelaznych, cynkowych, ołowianych. Fakt istnienia bogactw mineralnych w ziemi znany już był w starożytności. Ale rozwój eksploatacji wiąże się dopiero z faktem nowoczesnej rozbudowy komunikacji. Na ziemiach polskich jednak powstały koleje, nie tyle w imię celów gospodarczych, ile raczej pod kątem widzenia interesów strategicznych państw zaborczych. Zadanie ich polegało raczej na uniemożliwieniu i przeszkodzeniu komunikacji w szerokim pasie pogranicznym niż na ułatwieniu ruchu. Drogi wodne, a mianowicie najważniejsze arterie komunikacyjne podzielone zostały również odcinkami między dwu lub nawet trzech zaborców. O jednolitej więc polityce komunikacji wodnej mowy być nie mogło. Dla zaboru austriac-

kiego i rosyjskiego często łatwiejszy był dostęp do Morza Adriatyckiego i Czarnego niż do polskiego wybrzeża Bałtyku. Wszystkie więc drogi komunikacyjne uciekały od najważniejszych zagadnień gospodarczych, kładły się jak barykady w poprzek interesów polskich, ignorowały postulat ekonomiczny, gdy stawały wobec zagadnienia strategicznego. Potężne zapory celne doprowadziły prawie do całkowitego zaniku wymianę towarową między trzema dzielnicami polskimi. W ostatnich latach przedwojennych obrót międzydzielnicowy wahał się w granicach 6—8% obrotu sumarycznego ziem polskich, gdy obrót z rynkami państw zaborczych przekraczał w imporcie i w eksporcie 80%. Znaczenie tego zjawiska potęgował fakt, że wszystkie państwa zaborcze niechętnym okiem spoglądały na budzenie się ruchu przemysłowego na ziemiach polskich, a w pewnych wypadkach uniemożliwiały nawet jego egzystencję. Miało to miejsce przede wszystkim w odniesieniu do tych dziedzin przemysłu, które z natury rzeczy uzależnione były od polityki lub dostaw rządowych lub instytucji publicznych, jak cały przemysł militarny, jak budowa parowozów, jak przemysł elektrotechniczny i wiele innych. Ponadto przy pomocy polityki celnej, taryfowej, podatkowej, koncesyjnej rządy państw zaborczych regulowały sprawy przemysłowe zawsze na korzyść własnej, narodowej produkcji, przeciwko interesom produkcji polskiej lub nawet tylko położonej w obszarze etnograficznym polskim. Stąd też ziemie polskie jako całość wykazywały bądź to chaos gospodarczy i produkcyjny, bądź też ograniczały się do produkcji wstępnej, surowcowej, a więc najmniej rentownej. Ropa naftowa z zaboru austriackiego była wywożona w najlepszych latach za bezcen w stanie surowym do przeróbki w innych krajach monarchii, gdy równocześnie Kongresówka i zabór pruski sprowadzały naftę, oleje pędne i smary z głębi Rosji lub Ameryki; na

Śląsku Górnym kwas siarkowy produkowany ubocznie nie mógł znaleźć zastosowania, w zaborze rosyjskim zaś dla produkcji superfosfatów wytwarzano umyślnie kwas z pirytów zamorskich; łódzkie towary włókiennicze wędrowały w poszukiwaniu rynków zbytu do Azji, ale nie mogły dotrzeć ani do zaboru austriackiego, ani do zaboru pruskiego. Produkcja soli w Wieliczce była ograniczana ze względu na interesy produkcyjne innych krajów monarchii, ale nie mogła wejść na rynek Kongresówki; a gdy przemysł włókienniczy Królestwa, będąc wielkim konsumentem sody produkowanej ze soli, zwrócił się do rządu austriackiego z prośbą o sprzedanie solanki do mającej powstać na granicy fabryki sody, Austria dała odpowiedź odmowną. Rozbudowie produkcji soli potasowych w Małopolsce czyniono trudności ze względu na interesy niemieckiego syndykatu potasowego. Odkrycia geologiczne na terenie Polski bywały zatajone, a badania naukowe w tej dziedzinie hamowane. Odkryty gaz ziemny w Małopolsce uchodził bezużytecznie w powietrze. Wysokie cła na węgiel, koks i żelazo pomiędzy b. Królestwem a Górnym Śląskiem stworzyły zupełnie różne warunki powstania i rozwoju wielu dziedzin przemysłu w dwu sąsiednich dzielnicach polskich, niosąc w sobie zarodki przyszłych komplikacji i trudności gospodarczych. Znaczna część handlu, szczególnie związanego z obrotem międzynarodowym, musiała z natury rzeczy wpaść w ręce elementu obcego, hamując przez całe stulecie rozwój kapitalizacji na ziemiach polskich. Każda z trzech dzielnic uzależniła się tysiącznymi węzłami gospodarczymi z nieporównanie większymi rynkami finansowymi i handlowymi odpowiednich państw zaborczych, a zerwała kontakt z resztą ziem polskich. W wielu wypadkach najcięższa praca pionierska, związana z ryzykiem, była udziałem elementu polskiego, a gdy wreszcie dochodziła do pomyślnych rezultatów,

wobec braku poparcia ze strony państwa, przechodziła w ręce kapitału obcego, który nie sporadycznie prowadził kolonialną i rabunkową gospodarkę. W końcu obok granic celnych i politycznych, obok rozbicia finansowego i handlowego, obok rozczepienia zagadnień komunikacyjnych od problematów gospodarczych, pogłębiało ustawicznie rozbieżność interesów ekonomicznych różnorodne prawo gospodarcze, które, jak cztery bieguny elektromagnetyczne, układały niewidocznie i nieznacznie, ale przecież trwale i skutecznie odśrodkowe linie prądów życia polskiego.

A wreszcie najmniej widoczne i uchwytne pozycje w tym drugim, utajonym bilansie podziałów i niewoli. Są to pozycje moralno-polityczne. Wielka powierzchnia życia dzielnic dawnej Polski podlegała coraz silniej prawu „mimikry", prawu przystosowania się do warunków. Stopniowo rozdrabniały się i kruszyły wielkie problematy narodowe, łamali się ludzie, paczyły się charaktery. A że prawo życia jest zawsze silniejsze niż prawo nieszczęść i śmierci, więc trzeba było mimo niewoli i podziałów żyć i deptać codziennie w tym potrójnym kołowrotku, uganiać się za małymi, lokalnymi koncesjami, ochraniać ludzi przed drobnymi szykanami i złośliwościami i toczyć „koła polskie" po mieliźnie nieszczęsnej ugody. „Znakomici ludzie stanu tam się najprędzej pojawiają i rozwijają, gdzie jest wielka działalność, wielkie przedsięwzięcie" [1]. Dla Polski przez całe stulecie mogło jedynie istnieć negatywne, wielkie przedsięwzięcie, tj. walka zbrojna o wolność. W okresach pośrednich „prawie normalnego życia" wszelka akcja wielka, wybiegająca swymi celami na całe dziesięciolecia naprzód, była zakazana, zamknięta, nierealna. Warunki te hodowały masowo skurczone indywidualności, z załamanym lub przegiętym stosem pa-

---

[1] J. Alcyato (w:) L. Zienkowicz, *Wizerunki polityczne dziejów państwa polskiego*, t. I, s. 189.

cierzowym, nauczone do oddawania swych głosów w wyborach i parlamentach za drobne, indywidualne koncesje. Jeżeli zaś wewnątrz dusz ludzkich tkwiło poczucie odrębności rasowej i narodowej, jeżeli budził się w świadomości przebłysk protestu przeciwko gwałtom niewoli, to wyraz swój znajdował w wewnętrznym cichym oporze przeciwko państwu. Ono, samo w sobie, stawało się symbolem zła; ono, jako obce, jako narzucone przemocą, nie miało prawa do dobrej woli obywateli.

Taką była szkoła wychowania publicznego, której rezultaty miała odziedziczyć później wolna i nowa Polska. Taką była wielka i zewnętrzna powierzchnia życia w Polsce podzielonej, w której „pogłębiła się znacznie troista dzielnicowa rozbieżność interesu, myśli i czucia, wyżłobiły się kręte i ciasne łożyska stronnicze; roztyło się samolubstwo gromadne i prywatne" [1].

Pod tą jednak powierzchnią dokonywały się wolno, stopniowo, nieraz niewidocznie głębokie przemiany, znamienne i ważkie procesy, które w syntezie, scałkowane, tworzyły przypływ a nie odpływ sił polskich. Jak lawina ruszyły już ze szczytów i toczyły się w głąb coraz silniejsze, mocniejsze, coraz bardziej zwarte i groźne, choć jeszcze do mety swej nie doszły...

Żywioł polski wyparty w zaborze pruskim i rosyjskim z instytucji państwowych, odgrodzony od wszelkiej służby publicznej musiał szukać egzystencji w rolnictwie, w handlu i w przemyśle. Tu i tam coraz intensywniej począł narastać polski „stan trzeci". Organizm polski począł wypełniać swe braki, począł zbliżać się pod względem struktury społecznej do wielkich narodów zachodu. W ciągu ostatnich trzydziestu lat wartość produkcji przemysłowej wzrasta w b. Królestwie zwyż dziesięciokrotnie. Łącznie z tym powstaje

---

[1] S. Askenazy, *Uwagi*, Warszawa 1924, s. 11.

nowa warstwa geologiczna w społecznym uwarstwieniu Polski, młoda, niezużyta, bojowa i zapalna klasa robotnicza. Organizuje się jak wszędzie na świecie na podłożu klasowym, ale fundament tej pracy oparła na programie walki o wyzwolenie polityczne Polski. Podobnie z przenikaniem oświaty do chaty chłopskiej, oświaty tajnej, nieraz zakazanej, a więc tym chciwiej wchłanianej, budzi się nowy ruch, włączający stopniowo i chaty wiejskie do szeregów walki o wyzwolenie polityczne. Nie dociera on jeszcze wszędzie, nie ma charakteru masowego przebudzenia świadomości własnej siły, nie tworzy jeszcze jednolitego frontu, ale stwarza już zahartowane jednostki, rozrzucone po całym kraju i wszystkich zaborach, które od wewnątrz poczęły budzić w morzu chłopskim wiarę, a nawet pragnienie odrodzenia nowej Polski obejmującej cały polski kraj i miliony jego obywateli. Jeszcze silniejszy prąd, nowy, ożywczy, jasny przebiega i skupia szeregi młodzieży akademickiej, a potem rzemieślniczej, robotniczej i wiejskiej. W tym środowisku najłatwiej o zerwanie z wszelkim oportunizmem; to środowisko nie zna ani kompromisów, ani trudności. Więc rodzi się bunt przeciwko wszystkiemu, co nie stoi dostatecznie wyraźnie przy sztandarze walki o niepodległość. Z inicjatywy Józefa Piłsudskiego powstają pierwsze kadry Związków Strzeleckich, a potem tworzą się i rosną Drużyny Strzeleckie, Drużyny Bartoszowe, stałe drużyny „Sokoła".

Tak więc Polska spychana pod naporem przemocy ku środkowi, trzebiona, rozrzedzana obcym elementem, rugowana, wywłaszczana, grabiona, przetwarzana po kawałku, dusza za duszą, hektar za hektarem, dom za domem, kościół za kościołem, instytucja za instytucją, gubernia za gubernią, rosła i wzmagała się, budziła się i uświadamiała w głąb, powstawała na nowo, coraz liczniejsza i pewna swego jutra...

Był to wielki zasiew oziminy, leżącej jeszcze pod śniegiem.

Przyszedł wreszcie słoneczny lipiec 1914 roku. Wyczekiwana wojna ludów stała się nagle rzeczywistością. Nikt jednak nie zdawał sobie jasno sprawy z ofiar, których ona zażąda. Były to już ostatnie, ale jakże ciężkie, jak tragiczne, jak liczne i wielkie pozycje w polskim bilansie podziałów i niewoli.

Przywdziani w obce mundury poszli Polacy setkami tysięcy mordować się wzajemnie. Zwyż 80% powierzchni państwa polskiego stało się terenem wojennym. W niezwykle ciężkiej i tragicznej sytuacji znalazła się Belgia i część Francji objęte akcją wojenną; ale przecież wiedziały dobrze, że po jednej stronie stoi wróg, po drugiej przyjaciel. W Polsce wszystkie wojska były wrogie, wszystkie zdzierały, łupiły, niszczyły nieszczęsny kraj i nieszczęsną ludność. Były miasta, w których zwyż 75% budynków uległo zniszczeniu, były wsie, które całkowicie, doszczętnie zginęły z powierzchni ziemi, gdzie dosłownie kamień nie pozostał na kamieniu. W zbombardowanym Kaliszu poprzez rozwalone ściany widniały nakrycia stołów zastawione do posiłku; Żyrardów, Stanisławów, Tarnopol, Kazimierz, Śniatyń, Sochaczew, Łódź, Łowicz i setki innych miast świeciły ruinami, jak po najstraszniejszym trzęsieniu ziemi. Zwyż 100 milionów korcy zboża i produktów rolnych uległo zniszczeniu „na pniu" w dwu pierwszych latach wojny. Na przestrzeni 4½ miliona hektarów zaprzestano uprawy. Zabito lub zarekwirowano zwyż 4 miliony koni, bydła i trzody. W byłej Kongresówce i prawie całej Galicji zniszczyła wojna prawie wszystkie warsztaty przemysłowe, z bezcelowym nieraz barbarzyństwem. Wykopywano z ziemi kable elektryczne, wyrywano kilogramy miedzi z najcenniejszych, olbrzymich maszyn, zarekwirowano prawie 100 tysięcy ton mosiężnej armatury fabrycznej

i prawie 10 tysięcy motorów, silników i obrabiarek. Fabryki, które przed wojną konkurowały samodzielnie z produkcją niemiecką, zniszczono z premedytacją, a zapasy produktów gotowych spalono. Wysadzono w powietrze setki mostów, zniszczono wszystkie arterie i środki komunikacyjne. Prawie 2 miliony hektarów lasów polskich uległo zniszczeniu, zwyż 130 milionów metrów kub. masy drzewnej wywieziono z Polski bez jakiegokolwiek odszkodowania. Około 3 milionów ludzi wysiedlono gwałtem z Polski, niszcząc nie tylko cały ich dobytek, ale dziesiątkując samą wygnaną ludność, a przede wszystkim dzieci, których śmiertelność doszła do zastraszających liczb.

Któż może jednak pokusić się o wierne choćby naszkicowanie tego piekielnego obrazu czteroletniej zgrozy wszelkiego bezprawia? Kto sam przeżył te chwile, ten zachowa ich tragizm na zawsze w pamięci; kto nie przeżył tych lat w Polsce, ten nie odczuje ich nigdy.

Po burzach tych pozostał w środku Europy kraj nędzarzy, wolny od potężnych najeźdźców. Po wieku niewoli i rozdarcia dokonał się wreszcie odwrót. Spustoszony jakby po przejściu Hunów kraj — był wolny. Powstała tu ponownie nowa, inna, mniejsza terytorialnie i większa społecznie Polska niepodległa i zjednoczona!

III. Rafy i miny podwodne

Treść:

Drogi dziejowe Polski. Upiory zmartwychwstałych konfliktów. Zagadnienie polsko-niemieckie. Kwas pruski. Ofensywa polityczna Niemiec na zachodnie granice Polski. Rozprawa z argumentami historycznymi, etnograficznymi i ekonomicznymi. Cele polityki antypolskiej Niemiec. Gdańsk na rozdrożu. Polska i Rosja. Wojna sowiecko-polska. Sejsmograf polityczny Berlin—Moskwa. Cele „piatiletki". Uroszczenia litewskie. Mniejszości narodowe w Polsce.

W szarym listopadzie 1918 r. po wiekowej, beznadziejnej niewoli, po tragicznym i niszczącym rozdarciu państwa polskiego, po wielu bezskutecznych porywach zbrojnych, po bezmiarze klęsk i upokorzeń, po nowej próbie podziału w Brześciu, po doszczętnym zrujnowaniu wielkiej części majątku narodowego, po wyeksploatowaniu kraju ze wszystkich sił żywotnych, po całkowitej zagładzie podstaw walutowych, kredytowych, komunikacyjnych, na zgliszczach przemysłu, rolnictwa i handlu, zajaśniał wreszcie ten oczekiwany od tylu pokoleń dzień wolności. Pod jednym silnym wstrząsem rozleciało się spróchniałe już jarzmo niewoli i okupacji. W oczach naszych dokonał się prawdziwy cud, zaszedł nieprawdopodobny, fantastyczny fakt równoczesnego rozgromienia i upadku potęgi wszystkich trzech państw zaborczych. W gigantycznej wojnie światowej Prusy obaliły organizację hierarchiczną caratu, rozwi-

jając w ten sposób warunki militarnego rozkładu Rosji, a zwycięska koalicja Zachodu, wsparta siłą gospodarczą i wojskową Stanów Zjednoczonych i autorytetem prezydenta Wilsona, złamała agresywną potęgę Niemiec i spoidła państwa Habsburgów. Tak się przynajmniej wówczas wydawało, tak wierzono po obu stronach frontu bojowego.

Jednym z punktów programu wielkiej koalicji stało się odbudowanie niepodległej, zjednoczonej Polski, opartej o własne narodowo i historycznie wybrzeże morskie. Postulat ten stał się naturalną i logiczną konsekwencją szeregu faktów i okoliczności. Najpierw więc dopiero w dniach ważenia się losów całej Europy przecięły się w jednym punkcie, skupiły się w jedno ognisko wszystkie wysiłki zbrojne narodu polskiego od walk kościuszkowskich począwszy, aż do akcji czynnej współczesnych legionów w Polsce i we Francji, wszystkie bezimienne nieraz opory na Śląsku, w Poznańskiem, na Pomorzu, w Kongresówce, na terenie ziem zabranych, i stworzyły moralną zaporę, która nie pozwalała już na przeskoczenie i pominięcie sprawy narodu polskiego przy akcji niszczenia samych podstaw zbrodni historycznych w Europie. Drugim czynnikiem umożliwiającym realizację sprawiedliwości dziejowej wobec Polski był fakt uwolnienia się koalicji od zobowiązań sojuszniczych wobec nowej Rosji, przypieczętowany ostatecznie i formalnie aktem brzeskim. Gdy jeszcze całkiem niedawno jeden z najpoważniejszych organów angielskiej opinii publicznej pisał dosłownie, iż „Polacy, którzy nie ufają manifestowi W.Ks. Mikołaja, są wrogami Anglii"[1], to obecnie zerwał się ten hamulec dyplomatyczny, który w ciągu całych dziesięcioleci zmuszał do częstowania Polski najgorętszymi słowami, przy równoczesnym popieraniu celów polityki głównego spośród państw zaborczych. W szybkiej ewo-

[1] „Times". Por. S. Askenazego, *Uwagi*, s. 247.

lucji pojęć i stosunków politycznych, wywołanych naporem przedłużającej się wojny, ten sam manifest, jak gdyby dla zaprawienia goryczą ironii, zakwalifikował nie kto inny tylko tymczasowy rząd rosyjski w r. 1917, jako „obłudny i oszukańczy". W tych warunkach oficjalna opinia Zachodu nie mogła już nakłaniać opinii polskiej do radości z powodu wielkoksiążęcej odezwy, zwłaszcza gdy i ze strony państw centralnych zjawił się w listopadzie 1916 r. akt podobnej wartości moralnej i politycznej w sprawie polskiej. Pod wpływem zaś dwu istotnie Polsce życzliwych czynników, doceniających dynamicznie znaczenie Polski w przyszłej Europie, tj. Francji i prezydenta Wilsona, problemat uwolniony spod wpływu Rosji, a spaczony i skarykaturowany przez Austrię i Niemcy, znalazł wreszcie jasne i pełne sformułowanie ze strony całej koalicji. Trzecim czynnikiem była klęska militarna państw centralnych. Ona to zarówno przekreśliła najstraszniejszy ze wszystkich dotychczasowych, najzgubniejszy dla Polski i grożący jej nowy podział, jak również umożliwiła realizację najważniejszych postulatów polskich. Czwartym wreszcie konkretnym faktem był odruch czynny społeczeństwa polskiego na terenie Galicji i okupacji austriackiej, następnie na terenie okupacji niemieckiej, w końcu zaś w Poznańskiem i późniejsze powstania na Górnym Śląsku. Rozbrojenie wojsk austriackich i niemieckich dokonało się błyskawicznie, przy samorzutnym wyładowaniu energii społeczeństwa, niemniej jednak stało się ono możliwe dzięki akcji przygotowawczej Polskiej Organizacji Wojskowej, powołanej do życia przez Józefa Piłsudskiego, następnie dzięki jego osobistym wystąpieniom na terenie tzw. Rady Stanu, wskazującym całemu społeczeństwu drogę oporu wobec okupantów, uświadomioną najsilniej przez jego aresztowanie i internowanie w Magdeburgu, a wreszcie przez rozproszenie znacznej liczby jego le-

gionistów, przenikających obie okupacje i stających się wszędzie elementem przygotowującym psychikę buntu wobec narzuconej władzy i niewoli. To były główne, istotne i samodzielne czynniki, krystalizujące proces naszego wyzwolenia i zjednoczenia we własnej organizacji państwowej. Fakty te nie tylko umożliwiły akcję zewnętrzno-polityczną zarówno poszczególnych, wybitnych osób ze społeczeństwa polskiego[1], jak też i specjalnych organizacji, przede wszystkim Komitetu Narodowego w Paryżu i jego oddziałów, ale zarazem mogły uczynić ją produktywną i skuteczną. Skomplikowana historia tej działalności, związana z całym szeregiem faktów i wystąpień dotychczas jeszcze nie znanych wszechstronnie i wyczerpująco, nakazuje jak najdalszą oględność w ferowaniu sądów i opinii. Pomimo chęci trudno tu uwolnić się od subiektywnych nastawień. Z tym zastrzeżeniem, można prawdopodobnie oczekiwać potwierdzenia historii, że wystąpienia polityczne oficjalnych reprezentacji polskich na początku wojny zarówno na terenie Austrii, jak też i w Rosji były całkowicie błędne i szkodliwe, a wynikały z rozbicia ideowego i programowego trzech zaborów. Zamiast koniecznego współdziałania i świadomego rozdzielenia ról, niezbędnego wobec niewiadomego wyniku wojny, zamiast organizowania resztek sił społeczeństwa polskiego zostało spotęgowane zaślepienie partyjne i roznamiętnienie orientacyjne, mnożące chaos i bezwład na ziemiach polskich. Ten partyjny kąt patrzenia na sprawę ogólnonarodową, to nieprzerwane insynuowanie zarzutów i wzajemnych oskarżeń nie wygasło całkowicie i w drugim okresie wojny, choć tendencje państw centralnych i Rosji carskiej w stosunku do Polski wyjaśniły się całkowicie, a ewolucja wypadków wojennych wskazywała również na stale wzrastające

---

[1] W pierwszym szeregu wymienić tu należy H. Sienkiewicza, I. Paderewskiego i R. Dmowskiego.

szanse ostatecznego zwycięstwa koalicji. Tak bystry, przenikliwy a głęboki i niezwykle zrównoważony obserwator życia politycznego Europy, jak prezydent T. G. Masaryk, omawiając podstawy powodzenia politycznej akcji czeskiej w Europie i Ameryce, pisze: „W kierownictwie nie było żadnej rywalizacji. Wypowiadaliśmy stale te same zdania. Tym różniliśmy się od Słowian południowych i od Polaków, wśród których programowe, stronnicze i osobiste nieporozumienia występowały dosyć ostro" [1]. Tę samą opinię powtarza raz jeszcze w tej samej pracy: „Nie mieliśmy ani tych sporów, ani walk wewnętrznych jak nasi przyjaciele, a zjednywaliśmy sobie sprzymierzeńców przez naszą karność i określoność, gdy tymczasem Słowianie południowi i Polacy skarżyli się jedni na drugich wobec sprzymierzeńców" [2]. Rozdźwięki te i niechęci partyjne szkodziły niejednokrotnie sprawie polskiej. Niemniej jednak można obiektywnie stwierdzić, iż niezależnie od licznych błędów taktycznych wynikających z przeciwieństw partyjnych, sprawa polska w swym całokształcie była na terenie państw koalicji zachodniej broniona dobrze i energicznie, tysiączne wrogie intrygi były w miarę możliwości paraliżowane, a co najważniejsze akcja czynna w kraju i akcja polityczna za granicą — choć formalnie przeciwstawiające się sobie — w ostatecznym efekcie zewnętrznym przyniosły Polsce rezultat pozytywny. Czyny bowiem, jak to często ma miejsce w Polsce, niezależnie od tego, skąd wychodziły, były znacznie bliższe siebie niż słowa i programy.

W wyniku tych procesów dziejowych zjawiła się na naszym pustym maszcie narodowym państwowa bandera polska.

Już jednak pierwsze miesiące i lata wykazały, że droga wyznaczona przez losy i dzieje dla naszego stat-

---

[1] T. G. Masaryk, *Rewolucja światowa*, t. I, s. 127.
[2] Tamże, t. I, s. 332.

ku państwowego nie jest ani łatwa, ani wygodna, ani bezpieczna. Jeżeli nawet przy pomocy dobrego i precyzyjnego kompasu, przy dobrym dowództwie, przy sprawnej, energicznej i świadomej swych obowiązków załodze, przy najlepiej skonstruowanej maszynie moglibyśmy z góry wykluczyć niebezpieczeństwo wtoczenia się na mieliznę, to tylko nadzwyczajna czujność i niezłomny wysiłek całej załogi i sterników mogą uchronić nasz statek przed rafami i minami podwodnymi.

Rafy, jak wiadomo, są zjawiskiem strukturalnym na pewnych szlakach; wytworzyła je sama natura, a są one wynikiem wielkich procesów, są związane z geograficznym położeniem. Żaden wysiłek woli nie usunie ich spod powierzchni żeglownej, żaden dziób okrętowy ich nie rozbije, żadne zamknięcie oczu nie przekreśli ich istnienia. Przeciwnie, trzeba je zawsze widzieć, zawsze o nich pamiętać i myśleć, wymierzyć dokładnie ich wysokość i ich rozległość, ich związek z innymi skałami podwodnymi i zawsze je wyminąć sprawnie. Miny natomiast są założone ręką zbrodniczą człowieka, są tworem pirata morskiego. W tym wypadku pozostaje tylko sam fakt, a ręka i mózg, które tym faktem kierowały, chowają się daleko w cień. Miny czyhają na okręt nie przygotowany, na załogę zajętą innymi sprawami, waśnią domową lub snem, podsuwają się skrycie pod dno okrętu, by wreszcie poczynić jak największe spustoszenia lub zniszczenia. Jednakże roztropną i systematyczną pracą i wysiłkiem dadzą się one wychwytać i unieszkodliwić, nieznużoną wytrwałością można oczyścić szlaki morskie i ubezpieczyć swój statek od tych zdradliwych, ukrytych napaści podrzuconych min.

Taką właśnie musi być niezmiennie droga państwowego statku polskiego pośród raf i min. Pewien przedsmak tych ustawicznie czyhających niebezpieczeństw

dały nam pierwsze lata wykuwania granic Polski i ubezpieczania jej niepodległości. Ze wszystkich stron wybuchały z hukiem miny, ze wszystkich stron wstrząsy dna dawały znać, że ocieramy się o skały podwodne, a szybkość poruszania się statku wskazywała, że fale toczą ku niemu potężne sidła wodorostów. Rozpalały się pożary walk, niemieckiej, czeskiej, ukraińskiej, sowieckiej, litewskiej, zakwestionowane zostały ze wszystkich stron prawa Polski, a w tym krwawym chaosie odbywały się plebiscyty i ustalały się wewnętrzne stosunki w państwie.

W organizm skutej i spętanej niewolą Polski wgryzło się zbyt głęboko wszelkie robactwo, by obecnie chciało dać za wygraną, by pogodzić się mogło z odrodzeniem nowej Polski, by uciekło z własnej woli. Tu obcęgami, boleśnie trzeba wyrywać z żywego ciała wszystkie symboliczne pasożyty i jemioły.

Z pierwszego huraganu walk wyszliśmy względnie zwycięsko. Groźny atak sowiecki został odparty *, burza ukraińska we wschodniej Małopolsce została pokonana, polskie Wilno zdobyte, Poznańskie i Pomorze w granicach etnograficznych złączone z Polską. Górny Śląsk w poważnej części odzyskany, a antagonizm zbrojny czesko-polski załagodzony. Granice Polski rozpatrywane sumarycznie, oceniane z uwzględnieniem zarówno najważniejszych argumentów etnograficznych, jak też i aktualnych jeszcze argumentów historycznych, korygowane zarówno oceną faktu rugowania elementu polskiego w kierunku dośrodkowym w ciągu całego wieku, przy użyciu metod gwałtu i bezprawia, jak również liczbą Polaków pozostawionych poza granicami państwa, stworzyły pewien realny kompromis, mogący być

---

* Autor ma na myśli kontrofensywę Armii Czerwonej w wojnie 1920 r. Por. na ten temat np. A. Garlicki, *U źródeł obozu belwederskiego*, Warszawa 1978.

uważany z polskiego punktu widzenia — za trwały i sprawiedliwy. Wprawdzie pozostały poza granicami Polski zwarte narodowo okręgi polskie; wprawdzie ilość pozostających poza państwem polskim obywateli, którzy w ciągu wiekowej niewoli zostali wywłaszczeni ze swej polskiej narodowości, a stanowili od stuleci rdzennych mieszkańców tych ziem, idzie w olbrzymie, może wielomilionowe liczby, jednakże musimy uznać, że wobec procesów przenikania się narodowości, i to w Europie Centralnej i Wschodniej znacznie głębszego niż na Zachodzie, o idealnie sprawiedliwym uregulowaniu granic państwowych mowy być nie może. Musimy pamiętać, że w obręb państwa polskiego i my włączyliśmy poważną liczbę obywateli innych narodowości; musi więc zgodzić się, iż rodacy nasi, znajdujący się dziś poza granicami państwa naszego, powinni stanąć na stanowisku tak pełnej, uczciwej i całkowitej lojalności wobec państw, których stali się obywatelami, jakiej domagamy się sami od obywateli niepolskiej narodowości, wchodzących obecnie w skład naszego państwa.

Zajmując takie stanowisko, jesteśmy też w stanie ustalić zasadę, iż z polskiego punktu widzenia nie może być zainicjowana przez nas — w jakichkolwiek okolicznościach — wojna terytorialna. Zasada ta jest i zawsze być musi niewzruszonym dogmatem polityki polskiej. Jeżeli jednak chcemy po męsku spojrzeć prawdzie w same źrenice, to musimy sobie uświadomić natychmiast z całą wyrazistością, że istnieją liczne, więcej lub mniej potężne czynniki, które nie tylko granic naszych nie uważają za trwałe i sprawiedliwe, ale dla których sam fakt istnienia Polski niezależnej i niepodległej jest nienawistny, jest nieznośnym ciężarem i przyczyną wybuchów niepohamowanej namiętności. Siły te są chwilowo uwiązane; dziś jeszcze rykowi ich przysłuchujemy się tak samo, jak rykowi tygrysa w

klatce ogrodu zoologicznego. Ale pręty klatki są już głęboko przeżarte rdzą. Nigdzie bardziej jak w Polsce nie należy zapominać ani w dzień, ani w nocy, że sytuacja podobna do tej, którą przeżywaliśmy w latach 1914—1917, to jest pełnego i naturalnego konfliktu między dawnymi zaborcami Polski, jest już nie do powtórzenia, przynajmniej tak długo, jak długo istnieć będzie Polska. Natomiast wszystkie siły zewnętrzne, które dążyły do zniszczenia państwa polskiego i plan ten przy wykorzystaniu całego łańcucha błędów polskich na przełomie 18 i 19 wieku z całą dokładnością urzeczywistniły, nie tylko żyją, ale i pielęgnowane i popierane ze wszystkich stron wzmagają się i potęgują codziennie. Wielka wojna została doprowadzona do ostatecznej konsekwencji, tj. do zwycięstwa wielkiej, demokratycznej koalicji; ale zwycięstwo samo, im bardziej oddalamy się od niego, coraz bardziej i coraz widoczniej rozpływa się bezkształtne we mgle, ginie i roztrwania własne konsekwencje. „Toć po dziesięciu latach i zwycięzcy, i zwyciężeni równocześnie starali się niszczyć, jedną za drugą, wszystkie gwarancje powodzenia" [1]. Gwarancje zaś miały dotyczyć stabilizacji stosunków politycznych i pokoju w Europie.

Więc okręt nasz, statek państwa polskiego, nie po spokojnym morzu będzie żeglował. Im dalej od brzegu, tym więcej skał, raf i min podwodnych, tym większa i burzliwsza fala, tym mniej dostrzegalny drogowskaz latarni morskiej, tym groźniejsze niebezpieczeństwo rozbicia.

I znów, jak przed wiekami, wzrok nasz musimy kierować przede wszystkim na zachód gdyż tu leżą i dziś najważniejsze, najbardziej życiodajne źródła naszej siły i tu krzyżują się zarazem największe, najgroźniejsze niebezpieczeństwa.

---

[1] G. Clemenceau, *Blaski i nędze zwycięstwa*, s. 112.

Chcąc rozważać, badać i syntetyzować źródła, napięcia i cele konfliktu niemiecko-polskiego, chcąc oprzeć na tej analizie wnioski trwałe i jasne, należy przede wszystkim pokonać w sobie samym jedną siłę, przesycającą całą atmosferę po obu stronach granicy niemiecko-polskiej, tj. wewnętrzną niechęć i niezgłębione uprzedzenie psychiczne. Wydaje się, że z całym obiektywizmem można twierdzić, iż uprzedzenie to jest wielokrotnie silniejsze i głębsze po stronie niemieckiej niż polskiej; tam przeradza się ono coraz szerzej i coraz wyraźniej w zaciętą, rozumowaną, zimną nienawiść polskości, gdy w Polsce jest wprawdzie chwilami więcej wybuchowe, ale mniej głębokie i mniej istotne. Mimo to, uprzedzenie istnieje, zbudowane na podświadomym nawet odczuciu, że słowa: Niemiec i wróg, to synonimy.

Wszelka jednak namiętność w traktowaniu zagadnień politycznych zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych jest całkowicie bezużyteczna, a nawet niezwykle szkodliwa. Nie wyjaśnia ona zagadnienia, ale je zaciemnia. Rozprasza ona snop światła, zamiast koncentrować go w jedno ognisko. A więc należy z nią zerwać, z niej się wyleczyć i wyzwolić całkowicie.

Mogą Niemcy — jeżeli chcą, jeżeli uważają to za celowe, godne i mądre — uprawiać politykę tzw. „codziennych szpilek"; mogą niemieccy ministrowie wygrażać butnie pod adresem Polski, mogą nas lekceważyć, mogą stosować codziennie tysiące drobnych szykan i ukłuć, insynuować afery polityczne przy pochwyceniu zabłąkanego lotnika, przy wciągnięciu jakiegoś nieroztropnego urzędnika polskiego w obręb granic niemieckich, mogą Niemcy śpiewać nad granicami polskimi prowokacyjne pieśni, mogą napadać na teatry i aktorów polskich, mogą wypisywać wszelkie brednie o nas w swojej i zagranicznej prasie. Nie po-

winniśmy tego w najmniejszym stopniu naśladować, nie powinniśmy szukać „szpilkowych" rewanżów, choćby zignorowany fakt bolał chwilowo naszą ambicję narodową. Polityka nasza wobec Niemiec winna być poważna, jasna, równa, zdecydowana i świadoma swego głównego celu i raczej przeceniająca siły i walory dodatnie przeciwnika, niż nie doceniająca go lub lekceważąca. Nie oznacza to bynajmniej biernego zajęcia pozycji defensywnej w zakresie zagadnień najistotniejszych. Przeciwnie, znamieniem charakterystycznym hałaśliwej „polityki szpilek" jest zaniedbywanie zagadnień głównych i ważnych. Wystarcza jej demagogia gorącego słowa i grożącej z daleka pięści wówczas, gdy roztropna, spokojna i celowa polityka domaga się systematycznego budowania zapory ze stali, betonu i drutu kolczastego.

Cele i metody polityki pruskiej wobec Polski pozostają niezmienne od dawna. Źródła tej polityki uległy jednak w ciągu ostatnich dziesięcioleci gruntownemu przeobrażeniu.

Już w 18 wieku polityka pruska z żelazną konsekwencją dążyła do odebrania Polsce Pomorza z Toruniem i Gdańskiem, do odcięcia Polski od Bałtyku przez położenie równoległej do wybrzeża granicy pruskiej, a następnie do zaboru Wielkopolski i zagarnięcia Śląska, będącego wówczas w posiadaniu cesarza austriackiego. Kwestie narodowościowe nie grały jeszcze w tych wiekach obecnej roli; jedynym argumentem w Europie była siła militarna. Nad wolą narodu własnego lub cudzego górowała wola panującego. Sama chciwość powiększenia państwa dynastycznego i siła dostateczna dla przeprowadzenia zamiaru decydowały ostatecznie. O zasadach prawnych i moralnych w polityce 18 wieku mowy być nie mogło.

Toteż nastawienie rządów pruskich w stosunku do Polski uwarunkowane było jedynie celami. Jeżeli może

on być zrealizowany przez wojnę z Polską, to dobra jest wojna; jeżeli można dojść do tego samego przez rozbiór słabej Rzeczypospolitej, to oczywiście należy skorzystać z tego środka. Gdy zaś kolejno, w stosunkach ustawicznie zmiennych, wydawało się, że trzeba będzie prowadzić wojnę z Austrią, niechętną tak znacznemu powiększeniu Prus kosztem Polski, to dobra jest wojna z Austrią; jeżeli wreszcie realizacja tych celów zdawała się wymagać przymierza z Rosją, albo przymierza z Polską, albo nawet sojuszu z Turcją, lub też odwrotnie złamania zobowiązań sojuszniczych i wobec Polski i zdrady interesów tureckich, to każda z tych dróg wydawała się dobra i zmieniana była tylekrotnie, ile razy ulegała zmianie sama sytuacja polityczna w Europie. A gdyby w końcu okoliczności międzynarodowe miały wszystkie te rachunki przekreślić, to w aktach ministra Herzberga istniała przygotowana i opracowana idea odszkodowania Polski za zabór Pomorza, oczywiście nie przez same Prusy, ale kosztem trzeciego, a Anglia w latach dziewięćdziesiątych 18 stulecia miała swoich współczesnych, wpływowych Lloyd George'ów, uważających te postulaty pruskie jako słuszne i nadające się dla „dobra" Europy do realizacji.

Prusy doszły do znaczenia i potęgi przez połączenie walorów pozytywnych, organizacyjnych, przez konsekwentną politykę dynastii, rządów, administracji i niezmordowaną pracę społeczeństwa, z walorami negatywnymi systematycznego zaboru ziem słowiańsko-polskich, ustawicznego najazdu zbrojnego i przetwarzania opanowanych części na organizm germański. Olbrzymie i wyczerpujące materiały historyczne, szczególnie dawniejsze i najdawniejsze, od 18 wieku wstecz aż do wieku 12 dochodzące, nie pozwalają wątpić w obiektywizm tego twierdzenia. Jest to oczywiście materiał ważniejszy niż wszelkie publikacje ad hoc two-

rzone w czasach najnowszych, gdy do zagadnień politycznych wciska się „nieco moralności”, gdy poczyna się choć w części uwzględniać prawa ludności i narodów, gdy więc stało się koniecznością nadrabianie uzasadnień historycznych dla faktów dokonanych. Tych „obowiązków” historycy przeszłości nie mieli, gdy jeszcze trzonem historii były dynastie, a nie narody. Zarówno więc w dziełach Adama Bremeńczyka i Schrama, J. Wedela i Hartknocha, w książce II historii pomorskiej Mikreliusza, w t. II i III historii Naruszewicza, w kronikach Bielskiego, w Kromera *De situ, populis, moribus, magistratibus et Republica Polonici*, w Ostrowskiego *Dzieiach kościoła polskiego* etc. etc. zawarte są niewyczerpane dowody poprzedniego twierdzenia.

Jest sprawą dokumentarycznie i ponad wszelką wątpliwość ustaloną, że zachodnie granice Polski w 11 stuleciu opierały się o rzekę Łabę, a początek 12 wieku doprowadził panowanie Polski nad brzegami Bałtyku aż po Rugię, łącznie więc ze Szczecinem, Kołobrzegiem i Gdańskiem. K. Hampe w pracy swej pt. *Der Zug nach dem Osten* wykazuje, że w ciągu 10 wieków zdobyto podbojami na ludności słowiańskiej 200 tysięcy km^2, a więc obszar wynoszący zwyż połowę dzisiejszej Polski, a równy dwu piątym terenu obecnej Rzeszy Niemieckiej. Jan Długosz, kronikarz dawnej Polski, mówi o Krzyżakach: „Latrones cruce signati”, zbójcy krzyżem znaczeni, charakteryzując wyraźnie tą lapidarną metodą, kto na tym terenie był zaborcą, a kto obrabowanym.

Tak poważne źródło jak *Pomerellisches Urkundenbuch* wydany przez „Westpreussischer Geschichtsverein” w Gdańsku, w roku 1882, we wstępie, pag. X, źródło nie mogące chyba być podejrzane o filopolonizm, podaje taką opinię o najstarszych dokumentach odnoszących się do Pomorza: „Stanowią one niejako

dokumentarne rusztowanie dla dziejów kraju, który w XIII wieku posiadał oblicze zupełnie słowiańskie i do dziś dnia jeszcze go zupełnie nie utracił. Przy wstępie w okres dziejów było Pomorze częścią państwa polskiego". Tomasz Święcki[1] w swej głęboko ujętej pracy z pierwszych lat 19 stulecia pisze o podstawach polityki pruskiej, formujących się już w pierwszych okresach państwowego istnienia Polski, w ten sposób: „Niemcy nie przestając na zdobyczach słowiańskich pomiędzy Elbą a Odrą zyskanych, iuż za rzekę Odrę przedzierać się poczęli; i tu iest właśnie ta epoka[2], w którey Margrabiowie Brandeburgscy wzniosłszy się w potęgę z odrywków od Wielkiey Polski — korzystając z niezgody podrobnionych Xiążąt — Nową Marchią z tey strony Odry formować zaczęli". I później „szczególnym celem zaboru Niemców ziemia pomorska bydź zaczęła, z jednej strony Krzyżaki iuż po prawej stronie brzegów Wisły Prusy, Xiążęce późniey zwane, posiadający, z drugiey Margrabiowie Brandeburgscy, w potęgę nad rzeką Odrą zmocnieni, na rozerwanie oney czuwać nie przestawali". Wreszcie po wyczerpującym szkicu historycznym, po zacytowaniu wielu obcych, szczególnie niemieckich autorów, Tomasz Święcki dochodzi do następującej konkluzji: „Ten iest zbiór znakomitszych zdarzeń, których nieprzerwane pasmo dowodzi, iż ziemia Pomorska po nad brzegami morza Bałtyckiego od uyściów Odry aż do uyściów Wisły rozciągająca się, iednorodnym z Polakami mieszkańcem zasiedlona, ciągle, a szczególniey od r. 1012 w mocy naszey zostawała"[3]. Wreszcie należy zaznaczyć, że przed pierwszym rozbiorem Polski nasza granica pań-

---

[1] T. Święcki, *Historyczna wiadomość o ziemi pomorskiey, mieście Gdańsku oraz żegludze y panowaniu Polaków na morzu Bałtyckim,* Warszawa 1811, s. 23—25.

[2] Około w. XIII.

[3] T. Święcki, *Historyczna wiadomość...*, s. 80.

stwowa dosięgała prawie rzeki Odry, a więc i na zachodzie i na północy nie odzyskała nowa Polska nawet tego, co bezspornie posiadała tuż przed rozbiorami.

Najpobieżniejsze przytoczenie tych faktów historycznych jest ważne dla ustalenia źródeł pruskiej polityki w drugiej połowie 18 wieku w stosunku do Polski. Wówczas jeszcze szło o samo powiększenie Prus kosztem słabej Polski, o opanowanie i uzależnienie jej handlu, o eksploatowanie podstaw jej bogactwa, o uczynienie z Prus mocarstwa terytorialnego pierwszego rzędu. Na zaborach ugruntowały Prusy swą wielkość w przeszłości, przez kontynuowanie tej polityki zamierzały dojść do szczytu potęgi europejskiej. To, że Pomorze i Wielkopolska były ziemiami rdzennie polskimi, wówczas nie grało decydującej roli. O prawo nie pytano się, rozstrzygał bowiem miecz. Tak na przykład w czerwcu 1790 r. pisał minister Herzberg do króla pruskiego: „Położenie terytorialne naszego państwa wymaga raczej zaokrąglenia i rozszerzenia się, nie zaś przedłużenia, co by nam właśnie nabycie Górnego Śląska przyniosło. Zresztą, W.K.Mość nie ma do Śląska żadnego tytułu, jeden tylko wyjąwszy, koszt naszego uzbrojenia" [1]. Lucchesini zaś w styczniu tego samego roku w raporcie do Berlina, podając, iż ze strony magnatów polskich możliwa jest zgoda na ustąpienie Prusom części ziem Rzeczypospolitej za koncesje dla handlu zbożem, dodaje, że tylko drobna szlachta „zżyma się na samą myśl ustąpienia jakiejś cząstki ziemi polskiej obcemu państwu" [2]. Wprost więc i cynicznie w tajnych aktach urzędowych pisało się wówczas, że jest „nadzieja wydarcia tych ziem Polakom" [3].

Sytuacja uległa dopiero zasadniczej zmianie po do-

---

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. II, s. 148.
[2] Tamże, s. 26.
[3] Z tego samego raportu Lucchesiniego.

konaniu rozbiorów Polski. Kilkakrotne walki rewolucyjne o wyzwolenie Polski, przenikanie świadomości narodowej i to wbrew przeszkodom stawianym przez zaborców do najgłębszych warstw społecznych, odrodzenie kulturalne i moralne datujące się od okresu walk kościuszkowskich, legionowych i rozkwitu literatury romantycznej wskazały Prusom, że utrwalenie tych ostatnich zaborów polskich nie będzie już tak łatwe, jak zaborów dawnych. Stąd też, jak wykazano to w części drugiej tej pracy, zastosowane zostały stopniowo coraz gwałtowniejsze metody germanizacji ziem polskich, a równocześnie ustalono i przestrzegano konsekwentnie aż do pozornego załamania w r. 1916 zasady, że państwo polskie, samodzielne i niepodległe, powstać i istnieć nie może. Jasno i niedwuznacznie sformułował tę zasadę historyk pruski Stenzel, przed stu z górą laty. Pisze on: „Jest rzeczą niewątpliwą, że albo niemieckie Prusy, albo słowiańska Polska musiały ulec w walce... Było to wewnętrzną koniecznością i jakkolwiek fakt ten przejmuje nas jako ludzi głębokim współczuciem, jakkolwiek rozmaicie możemy oceniać zastosowane przy tym środki, należy jednak wyrzec głośno, że monarchia pruska i Rzeczpospolita polska nie mogły obok siebie istnieć" [1]. Ta myśl powtarza się już następnie przez całe stulecie, staje się wyznaniem wiary wszystkich, dużych i małych, Bismarcków i Bülowów.

Wbrew wolnościowym tendencjom w społeczeństwie niemieckim w okresie 1830—1850, a nawet tendencjom przyjaznym dla Polski, rząd pruski zawsze współdziałał czynnie w tłumieniu ruchu wolnościowego w zaborze rosyjskim właśnie w myśl tezy wykluczającej możność powstania państwa polskiego.

Tak więc w okresie powstania listopadowego rząd

---

[1] K. Smogorzewski, *Propaganda korytarzowa za granicą*, Toruń 1930, s. 9.

pruski deklarował wobec posła francuskiego w Berlinie: „Prusy oświadczają, że życzą zwycięstwa Rosji i użyją wszystkich środków stojących do ich dyspozycji, by do tego dopomóc... ponieważ Polska w razie odzyskania niepodległości odebrałaby z powrotem W. Ks. Poznańskie, Toruń i Gdańsk" [1]. Dnia 16 sierpnia 1831 r. w czasie polskiej debaty w parlamencie angielskim przewodniczący Evans oświadczył: „Chcę skierować uwagę Izby na szczególny punkt, dotyczący zachowania ścisłej neutralności przez państwo, które sąsiaduje z Polską i odcina ją od morza. Stosownie do otrzymanych informacji gabinet pruski oświadcza, że w stosunku do Polski nie znajduje się w stanie neutralności, gdyż życzy z całego serca zwycięstwa swemu dobremu sprzymierzeńcowi, cesarzowi rosyjskiemu. Jako powód podają, iż w razie zwycięstwa Polski, mogłyby i one utracić pewne prowincje znajdujące się pod panowaniem pruskiem" [2]. Nie można zaś zapominać, że w r. 1830—31 Królestwo Polskie było jeszcze formalnie samodzielnym państwem, uznanym przez Prusy, że samo niczym nie dało powodu do naruszenia neutralności, że poseł pruski w Warszawie nie tylko bez przeszkód urzędował, ale — co było powszechnie wiadome — zorganizował całą sieć szpiegowską na rzecz Rosji. Jak wynika z licznych not rządu narodowego, Prusy jawnie występowały agresywnie przeciwko ruchowi polskiemu, a wspierały armię rosyjską materiałem wojennym, żywnością i sztabem oficerów. Fakty te popiera pisemny protest magistratu m. Królewca przesłany pod adresem króla pruskiego, wskazujący, iż skutkiem tego została zawleczona cholera z armii rosyjskiej do Prus Wschodnich. Identyczne stanowisko zajął rząd pruski i w r. 1863, i w r. 1905.

---

[1] Por. *Aktenstücke und Beilage über den Bruch der Neutralität Preussens gegen Polen*, Fürth 1832, s. 73 i następne.

[2] Por. tamże, s. 78.

Bülow wspomina w swych pamiętnikach, iż w kołach niemieckich utrzymywało się swego czasu twierdzenie, jakoby następca Bismarcka, Caprivi, nosił się z zamiarem — na wypadek wojny z Rosją — przywrócenia do życia bliżej nieokreślonego państwa polskiego. Po czym Bülow dodaje: „Uważam zarzut ten za niesprawiedliwy. Caprivi miał bowiem zbyt dużo staropruskiego odczucia i zbyt dużo zmysłu państwowego, by miał ulec takiemu obłędowi"[1]. W r. 1905, gdy rewolucja rosyjska zdawała się przybierać poważne rozmiary, w Prusach odżyły natychmiast dawne tendencje zaborcze. Cesarz Wilhelm II kładł nacisk na zabór państw bałtyckich. Bülowa zaś i rząd niemiecki niepokoiła inna myśl, mianowicie obawa przed powstaniem państwa polskiego, choćby tylko w granicach zaboru rosyjskiego. „Przedkładałem cesarzowi wielokrotnie — pisze on w swych pamiętnikach — że państwo polskie w sąsiedztwie naszej granicy wschodniej oznaczałoby stworzenie naturalnego sojusznika naszych zachodnich wrogów, a armia polska w Warszawie oznaczałaby to samo, co wojska francuskie na naszym skrzydle wschodnim"[2].

Wreszcie byłoby krańcową naiwnością polityczną sądzić, że w latach 1916—1918 Niemcy zasadniczo zmieniły swój program polski, że pod naciskiem wypadków wojennych pogodziły się z myślą egzystencji jakiegokolwiek niezależnego państwa polskiego. Zmieniła się tylko taktyka, istotny program nie uległ zmianie w najmniejszym stopniu.

Dziś, gdy wielka część odnośnych tajnych dokumentów została już opublikowana, należy stwierdzić, że antypolskie projekty Prus muszą wywołać zgrozę, już nie z polskiego punktu widzenia, ale w obliczu cywili-

---

[1] B. v. Bülow, *Denkwürdigkeiten*, t. I, s. 563.
[2] Tamże, t. II, s. 243 i 425.

zacji 20 stulecia. W zestawieniu z planami doby współczesnej, całe splątanie sieci intryg pruskich pod koniec 18 wieku, cała gra, prowadząca do drugiego podziału Polski przez zaofiarowanie jej przymierza ze strony Prus, musi się wydawać jeszcze polityką na wskroś uczciwą i lojalną. Akt z dnia 5 listopada 1916 r. miał na oku cele bardzo daleko idące, a każdy z nich był diametralnie sprzeczny z interesem polskim. Był więc przede wszystkim naciskiem politycznym w stronę Rosji dla skłonienia jej do zawarcia odrębnego pokoju. Gdyby to się nie udało, to miał umożliwić wyciśnięcie z Polski setek tysięcy rekruta i skompromitowanie jej w oczach koalicji państw zachodnich. Niezależnie od tego przygotowany został nowy podział ziem polskich nie tylko pogłębiający ruinę gospodarczą pozostałej, chwilowo „niepodległej" reszty, nie tylko wyciskający na tej reszcie wyraźne piętno państewka wschodniego, ale przede wszystkim wykluczający całkowicie samą możność egzystencji tego tworu, jako państwa niezależnego. Takiego właśnie podziału b. Kongresówki domagały się nie tylko czynniki militarne, polityczne i gospodarcze z katowicką organizacją „Związku Górniczo-Hutniczego" i Izbą Handlową w Opolu na czele[1], taki podział był omawiany w szczegółach nie tylko na naradzie pszczyńskiej w dniu 26 sierpnia 1915 r. w obecności cesarza Wilhelma, kanclerza Bethmanna, gen. Falkenhayna,. gen. Beselera i adm. Tirpitza, ale taki właśnie podział zaproponowany został przez gen. Beselera Kwaterze Głównej i rządowi Rzeszy, podział, który domagał się wcielenia do Prus około 33 tys. km² b. Kongresówki, tj. uprzemy-

---

[1] Memoriały złożone rządowi niemieckiemu przez „Handelskammer für d. Bez. Oppeln" i „Oberschl. Berg — und Hütten — Verein" z listopada 1915 r., 3 września 1916 r., 24 września 1916 r., z lipca 1917 r. etc.

słowionych okręgów, mający pozbawić resztę Polski wszystkich podstawowych surowców przemysłowych i około 3 200 000 głów ludności[1]. Należy z naciskiem podkreślić, że ten program wyciśnięcia z zaboru rosyjskiego wszystkich soków żywotnych i wartości materialnych i odkopnięcia bezużytecznej reszty — uważany był w Prusach aż do dni katastrofy w listopadzie 1918 r. za program minimalny! Nacjonaliści i wpływowe siły w sztabie głównym w swych zapędach zaborczych szły jeszcze dalej, a nawet tak pomyślaną proklamację polską uważały za błąd. Toteż program ten uważał za nieodzowne uzupełnić dalszymi warunkami sam marszałek Hindenburg, przedkładając rządowi swe postulaty polskie w memoriale z dnia 5 lipca 1918 r., opublikowanym świeżo przez brukselski dziennik „Le Soir"[2]. Podstawą rozumowania tego elaboratu Kwatery Głównej jest następująca myśl wypowiedziana przez prezesa „Królewsko-pruskiej komisji kolonizacyjnej" na naradzie w urzędzie kanclerskim w lipcu 1915 r.: „Jestem zdania, że państwo polskie mogłoby być tolerowane jedynie w wypadku, gdyby styczność geograficzna między naszymi prowincjami na wschodnim pograniczu a Królestwem Polskiem była przerwana przez strefę czołową, zaludnioną tylko przez Niemców. W konsekwencji niezbędne jest: 1) oczyścić z obcych żywiołów pogranicze, aż po linię, nadającą się do obrony wojskowej; 2) zgermanizować strefę czołową, uzyskaną przez przesunięcie granicy". Potwierdzając te tezy marszałek Hindenburg dodaje, że „nowoczesne sumienie prawnicze uległo zmianom w kwestiach wolności i własności prywatnej", a więc nic nie stoi na przeszkodzie, by z anektowanego pasa wyrzucić doszczętnie całą ludność polską i zapełnić go niemieckimi kolonistami. Wreszcie w obawie przed skru-

[1] Por. S. Askenazy, *Uwagi*, s. 256.
[2] „Le Soir", nr 253 z dnia 10 IX 1930 r.

pułami prawnymi władz cywilnych proponuje Hindenburg powierzenie po wojnie tej egzekucji władzom wojskowym „aż do zakończenia procesu kolonizacji!"

Wszystkie, wymienione tu szkicowo, plany nie zaspokajały jednak całkowicie polskiego programu Prus. Sprzeciwiły się one stanowczo przydzieleniu tej okrojonej reszty Kongresówki do monarchii austriackiej w obawie, iż w ten sposób element polski się wzmocni i w zmiennych kolejach losów może się kiedyś upomnieć o swe prawa do nowych i starych nabytków zagarniętych przez Niemcy. Następnie w pokoju brzeskim stanęły Niemcy całkowicie na płaszczyźnie polityki carskiej i nacjonalizmu rosyjskiego, odcinając od Polski ziemię chełmską i znaczną część Podlasia. Wreszcie poczęły formować w Kijowie państwo ukraińskie, a w Wilnie państwo litewskie pod patronatem pruskim, choć sama oczywistość wskazywała, że współcześnie pretensje litewskie do Wilna posiadałyby takie samo uzasadnienie jak pretensje polskie np. do Wrocławia. Szło jednak wyraźnie o namnożenie konfliktów dookoła Polski, o zbałkanizowanie tej części Europy, o wytworzenie licznych źródeł fermentu, który zmusiłby te narody do częstego szukania arbitrażu pruskiego, a równocześnie nie zamknąłby drogi Prusakom dla nowego porozumienia się z przyszłą Rosją i za cenę rzucenia jej pod nogi tego całego „bałaganu" ukraińsko-polsko-litewskiego pozwolił uzyskać nie tylko dobrowolne już uznanie nowych granic pruskich na wschodzie, ale równocześnie włączyłby i samą Rosję do pruskiego systemu politycznego w Europie.

Oto bez osłonek, bez obłudy politycznej i bez naiwnych złudzeń wypływający z dokumentów i działań program polityczny Prus w stosunku do Polski, zrodzony jeszcze w 18 wieku, pogłębiany systematycznie przez cały wiek 19 i początki wieku 20, a skrystalizowany ostatecznie w okresie wielkiej wojny. Oznaczał

on w jednym zdaniu nie co innego, ale tak doszczętną zagładę polskości, by problemat ten przestał egzystować w Europie. Znane jest powszechnie, iż najsilniejszą trucizną, zabijającą bez ratunku i natychmiast, jest tzw. cjanowodór, czyli kwas pruski. W akcie z dnia 5 listopada 1916 r. ze wszystkimi tajnymi uzupełnieniami, realizowanymi już konsekwentnie i stopniowo, przeznaczona została dla Polski najsilniejsza dawka kwasu pruskiego z ordynacji doktora honoris causae Hindenburga i akceptu obu „najmiłościwszych" cesarzy.

Istnieją jednak w chemii reakcje, które potrafią rozłożyć całkowicie ten zjadliwy kwas pruski na szlachetne elementy: na wolny azot znajdujący się w wolnej atmosferze, na wodór będący głównym składnikiem wody morskiej i na węgiel — tak obficie zgromadzony w podziemiach dzielnicy śląskiej.

Dzięki zwycięstwu koalicji wszystkie misterne plany pruskie w stosunku do Polski zostały... sparaliżowane na jakiś czas.

Z punktu widzenia polskiego jest rzeczą niezwykle ważną, iż dziewięć dziesiątych społeczeństwa niemieckiego planów się tych nie wyrzekło, przeciwnie, front antypolski w Niemczech jest dziś bardziej jednolity i zwarty, jest szerszy i głębszy zarazem, bardziej żądny nie tylko rewindykacji dawnych zaborów polskich, ale i zemsty, niż kiedykolwiek dawniej. Nastawienie antypolskie w każdym calu, w każdej sprawie jest dziś w Niemczech wstępnym warunkiem egzystencji każdego z rządów.

Z faktem tym musimy się liczyć na zimno, z przekreśleniem wszelkich odruchów namiętności czy obrażonej ambicji, musimy zrozumieć i ocenić należycie jego źródła. Współczesne nastawienie polityki pruskiej w stosunku do Polski nie jest już jak dawniej rezultatem tendencji zaborczych dynastii i rządu, ono wy-

pływa z najgłębszych warstw społeczeństwa niemieckiego i dlatego jest tym groźniejsze. Pojedynczych ludzi, monarchów, lub ministrów, lub wodzów można posądzać o przewrotny, zły, spaczony charakter, o cynizm polityczny, o wyzbycie się wszelkich podstaw etycznych i wszystkich elementów poczucia prawa i sprawiedliwości. Narodu całego takim zarzutem obarczać nie można, choćby nawet jego przywódcy stale wykazywali najgorsze właściwości.

Należy uznać obiektywnie i uszanować głęboki patriotyzm narodu niemieckiego. Jest on cichy, ale niemało ofiarny. Wyrażał się on przez wiele dziesięcioleci w mrówczej pracy każdego obywatela na przeznaczonym mu przez losy odcinku. Dzieła dokonane przez niemieckich inżynierów, chemików, profesorów, wynalazców, robotników, kupców i urzędników są istotnie imponująco wielkie. Oszczędność, karność i pracowitość tego narodu przetworzyła kraje niemieckie w ciągu kilku generacji na organizm wzorowy. Zwycięskie kampanie: prusko-austriacka i prusko-francuska, a następnie szybko narastająca potęga gospodarcza i techniczna wywołały w społeczeństwie tym autosugestię o wszechstronnej doskonałości niemieckiej. O moment później zrodziło się lekceważenie, niemal pogarda, dla wszystkiego co nie jest niemieckie. Prądy te, kultywowane coraz szerzej w literaturze, w sztuce, w ekonomii, w polityce, poczęło eksploatować dla swoich celów państwo, pod wpływem chorobliwie ambitnej dynastii i odpowiednio dobranych rządów. Na nich zbudowano przedwojenny militaryzm, na nich rozkrzewiono przekonanie, że wszystko, co czynią rządy niemieckie i pruskie, jest słuszne, sprawiedliwe, nieomal zgodne z wolą Boga.

Z tą niesłychaną wiarą w słuszność swojej sprawy runął lawiną cały naród niemiecki do wojny, z tą wiarą ginął po wszystkich polach bitew, dokazywał

cudów organizacji i waleczności i z tą wiarą — wbrew pozorom — pozostał po klęsce.

Kto zna dobrze duszę niemiecką, ten przyzna, że społeczeństwo to nie jest w stanie uwierzyć w swą klęskę. I tu poczyna się wielki, może dramatyczny dla Europy konflikt wewnętrzny. Od samego dołu, od najmniej politycznie uświadomionych i wyrobionych obywateli niemieckich, od milionowych rzesz ludzkich idzie wciąż potężniejsze parcie, domagające się realizacji zwycięstwa, które w rzeczywistości było klęską. Wszystkie gospodarcze załamania i niedole powojenne wydają się tam jedynie skutkiem sfałszowania historii finiszu wojennego Niemiec. Jest to podłoże psychiczne przygotowane do nowego wybuchu zbrodni wojennej.

Tym prądem niesieni są również i przywódcy życia politycznego. Wyszli oni prawie wszyscy ze starej szkoły pruskiej organizacji militarnej i zaborczej i krzewią nadal ideologię Fryderyka II, Bismarcka, Wilhelma i Bülowa. Wiedząc jednak, jak nieobliczalnymi konsekwencjami groziłoby na razie rozpętanie burzy wojennej przeciwko państwom zachodnim, rozdzielili swój program realizacji nie odniesionego jeszcze zwycięstwa na szereg etapów. Stąd rodzi się nowe hasło, dojrzewające wciąż w naszych oczach, hasło Locarna zachodniego, ugody francusko-niemieckiej przy równoczesnym skierowaniu całego huraganu nienawiści przeciwko Polsce [1].

Należy sobie wyraźnie i jasno zdać sprawę w Polsce z tego, że gdyby nawet późniejsze pokolenia niemieckie pogodziły się kiedyś z utratą Poznańskiego, to żadne z nich nie pogodzi się z przynależnością do Polski

[1] Prof. Uniwersytetu Berlińskiego dr W. Nordon w „Deutsche Allgemeine Zeitung" propaguje jawnie myśl moralnej i psychicznej zgody Niemiec na przynależność Alzacji i Lotaryngii do Francji, celem skierowania całego wysiłku, przy zgodzie mocarstw zachodnich, przeciwko Polsce.

Pomorza i Górnego Śląska. Dla narodu niemieckiego program ten pozostanie zawsze kwestią ambicji; dla polityków niemieckich wypływa on ze świadomości, że Pomorze i Śląsk są podstawą niezależności gospodarczej i politycznej Polski, a jako takie stwarzają mocną zaporę dla germańskiej tendencji parcia na Wschód, a jednocześnie paraliżują swobodę ruchów niemieckich na Zachodzie. W ostatecznym rezultacie są to dwa najbezwzględniejsze i najmocniejsze hamulce przeciwko kontynentalnej supremacji Niemiec w Europie.

Chwilowo polityka pruska znajduje się na uwięzi. Jest skrępowana potrójnym łańcuchem: siłą polityczną i militarną Francji, koniecznością liczenia się z podpisanymi traktatami, stanowiącymi jedno ogniwo zamykające się w organizacji Ligi Narodów i wreszcie własnymi trudnościami gospodarczymi i społecznymi, spotęgowanymi w okresie powojennym do nieznanych dawniej granic. Nie wolno jednak zapominać, że żyjemy obecnie w świecie równowagi całkowicie niestałej. Koniunktury polityczne wykazują przeskoki i chwiejność nieporównanie większą niż oscylujące wciąż koniunktury gospodarcze. W rezultacie wielkiej wojny wszystkie warunki zewnętrzne uległy głębokim przeobrażeniom i wciąż dalej i konsekwentniej się zmieniają, a mózgi wodzów narodów i państw pozostały na dawnym miejscu. Ta dysproporcja kryje w sobie zarody wielkich niebezpieczeństw, gdyż stwarza całkowitą bezradność zarówno tych, którzy mają obowiązek przeciwdziałać piętrzącemu się złu, jak i tych, którzy podejmują najnamiętniejszą, a całkowicie bezpłodną krytykę pierwszych. W zjawisku tym kryją się pierwsze źródła rysującego się coraz silniej tzw. kryzysu parlamentaryzmu w całym świecie i kryzysu wszystkich funkcji organizmu międzynarodowego. Stary świat przestaje istnieć, organy jego stopniowo obu-

mierają, łamią się, kruszą, wyrodnieją lub przetwarzają się, próby odmłodzenia w instytucie patologicznym Genewskim * zawodzą, a świat nowy jeszcze się nie uformował. „Po walce tytanów" — jak mówi w swych pamiętnikach Lord Chamberlain — „nastąpił okres kłótni pigmejów" w Europie, postawionej jednak w obliczu gigantycznych problematów i trudności.

W tych okolicznościach byłoby błędem kardynalnym z naszej strony liczyć, że przecież łańcuchy są dość mocne, trwałe i niezawodne, a więc, że bezpośrednie niebezpieczeństwo ataku niemiecko-pruskiego na całość a w konsekwencji na byt państwa naszego nie grozi. Przeciwnie, musimy z całą jasnością i trzeźwością widzieć oba ataki niemieckie skierowane przeciwko naszej egzystencji, tj. atak polityczny, rozwinięty planowo od wielu lat i dochodzący już do napięcia ognia huraganowego, i atak militarny, zakonspirowany na razie, wstydzący się jeszcze światła dziennego przyczajony, ale niemniej realny i konkretny, niemniej aktualny, na wypadek gdyby atak pierwszy nie doprowadził do pożądanego przez Niemcy rezultatu, a sytuacja europejska umożliwiłaby jego wykonanie.

Już uprzednio wskazano na materiały pozwalające stwierdzić z całą stanowczością i z najsubtelniejszym obiektywizmem, że Prusy nie posiadają żadnych argumentów historycznych [1], mogących usprawiedliwiać tendencję zagarnięcia polskiego Pomorza, Wielkopolski i Śląska. Odwrotnie, gdyby te właśnie argumenty miały jeszcze aktualnie decydującą wartość, to raczej Polska mogłaby występować z wielkim rachunkiem rewindykacyjnym.

Podobnie nie są w stanie wylegitymować się jakimikolwiek argumentami etnograficznymi. Ziemie te są

---

* Chodzi o Ligę Narodów.

[1] Por. ponadto dr. S. Slawskiego, *Gdańsk, Polska a Niemcy*, Poznań 1926; szczególnie zaś cytaty historyków niemieckich.

zamieszkałe bezsprzecznie przez przygniatającą większość polską. W dobie niezaprzeczonego ucisku, głoszonego jawnie przez kierujących mężów stanu Rzeszy, w okresie niewoli, przy silnym nacisku administracyjnym ziemie te wybierały zawsze polskich posłów do parlamentu niemieckiego[1]. Co więcej, w akcji antypolskiej oficjalnym czynnikom pruskim tak nieprzezornie powinęła się noga, iż właśnie w okresie przedwojennym spowodowały wydanie map narodowościowych, wykazujących wbrew olbrzymim wysiłkom i nakładom pieniężnym komisji kolonizacyjnej istnienie na tych ziemiach przytłaczającej większości polskiej, częściowo pozostawionej obecnie w granicach państwa pruskiego. Ponadto natychmiast po wojnie i ustaleniu zachodniej granicy polskiej zarysował się potężny odpływ elementu niemieckiego z Pomorza, Poznańskiego i wreszcie ze Śląska. W samym tylko okresie początkowym, tj. do końca września 1921 r., odpłynęło z Poznańskiego i Pomorza prawie 600 tysięcy Niemców[2]. Był to okres pod względem organizacyjnym całkowicie płynny w Polsce, zajętej wyłącznie wojnami i plebiscytami; o żadnym zorganizowanym nacisku administracyjnym nie mogło być więc mowy. W identycznych warunkach znajdowały się i inne mniejszości narodowe w Polsce, muszące zwracać na siebie znacznie większą uwagę władz polskich niż mniejszość niemiecka ze względu choćby na wojnę ukraińsko-polską i sowiecko--polską. Mimo to mniejszości te nie tylko nie emigrowały z Polski, ale odwrotnie i Ukraińcy, i Białorusini, i Żydzi dość licznie napłynęli do Polski w tym samym

---

[1] Np. z dzisiejszego polskiego Pomorza w ciągu 15 wyborów do parlamentu, jakie miały miejsce od r. 1871—1918 nie przeszedł nigdy ani jeden poseł narodowości niemieckiej (S. Sławski, *Gdańsk*...).

[2] Por. rozprawę dr. A. Krysińskiego w czasopiśmie „Sprawy Narodowościowe".

okresie. Abstrahując od wypadków pojedynczych niemiarodajnych dla całego zagadnienia, tę masową emigrację Niemców należy przypisać wyłącznie faktowi, iż z ziemiami tymi nie byli oni organicznie związani, pobyt ich był zaimprowizowany sztucznie, egzystencja ich opierała się wyłącznie o mechanizm państwa pruskiego, a w nowych warunkach utracili oni całkowicie podstawę bytu. Obecnie więc ziemie zachodnie stanowią najczystszy rdzeń państwa polskiego, w którym element narodowy polski w niesporadycznych wypadkach przekracza 95%! Wreszcie nie mogą się Niemcy powoływać na argumenty gospodarcze lub komunikacyjne. W pierwszym momencie, w którym formalnie było to dopuszczalne, tj. w r. 1925, zakazał rząd niemiecki importu węgla górnośląskiego do Niemiec; w kilkuletnich negocjacjach o traktat handlowy jednym z głównych przedmiotów sporu było dopuszczenie węgla górnośląskiego na rynek niemiecki, a za ograniczoną koncesją — zresztą dotychczas nie zrealizowaną — kazał sobie zapłacić poważnymi ustępstwami ze strony polskiej. Analogicznie został zamknięty dowóz żelaza polskiego, wywóz na Górny Śląsk złomu żelaznego, zahamowany został dowóz produktów rolnych i spożywczych z Poznańskiego i Pomorza do Niemiec, a nawet w końcu wypowiedziane zostały umowa drzewna i umowa żytnia, dotyczące również przede wszystkim b. dzielnicy pruskiej. Próba więc udowadniania organicznej jedności gospodarczej tych dzielnic z Prusami, przy równoczesnym, najgwałtowniejszym przecinaniu wszystkich węzłów gospodarczych, wywołujących aplauz rolnictwa i górnictwa węglowego niemieckiego, przekraczałaby granice prostej, ludzkiej logiki. Wmawianie w opinię publiczną własną i zachodnioeuropejską ze strony Prus, że bez pewnych elementów gospodarczych tracą one podstawy swej egzystencji, a równocześnie wyrzucanie tych elementów przez okno, jako

zagrażających własnemu gospodarstwu, byłoby chyba kpinami z resztek zdrowego rozsądku świata! W zakresie komunikacyjnym zaś traktat wersalski obciążył Polskę serwitutem tranzytowym na rzecz Niemiec i to aż na sześciu liniach łączących Niemcy z Prusami Wschodnimi[1]. Że ruch ten funkcjonuje z punktu widzenia interesów niemieckich bez zarzutu, potwierdza to oficjalne sprawozdanie Dyrekcji Kolei Rzeszy w Królewcu, które na str. 9 wydawnictwa zatytułowanego *Ostpreussens Wirtschaft u. Verkehr vor und nach dem Kriege* mówi: „Dla ruchu tranzytowego Prusy Wschodnie przestały być enklawą. Kolej Rzeszy przerzuciła most poprzez polski korytarz"[2].

Wszystkie więc argumenty rzeczowe stanęły w jednym szeregu przeciwko Prusom. Po ich stronie pozostał tylko jeden czynnik: chęć posiadania tych ziem wbrew wszystkim argumentom, gdyż ten jeden fakt zmienia całkowicie sytuację Niemiec na wschodzie Europy, osłabia pozycję Francji na zachodzie, a więc otwiera ponownie drogę do przedwojennej hegemonii Niemiec na kontynencie.

Z tego też źródła wypływa ofensywa niemiecka przeciwko Polsce — ofensywa na razie polityczna — idąca ławą, wzdłuż całej szerokości cywilizowanych państw kuli ziemskiej. Musimy się liczyć i w tym wypadku, że w środkach i metodach przebierać ona nie będzie. Leży to już w charakterze umysłowości czołowych mężów stanu Niemiec, niezależnie nawet od ich poglądów ogólnopolitycznych i społecznych.

Omawiana akcja niemiecka zaprzęgła do swego antypolskiego rydwanu olbrzymie środki materialne i dziś jest w stanie uderzać w całą klawiaturę polityczną Europy. Z jednej więc strony zdąża ona systema-

---

[1] H. Bagiński, *Wolność Polski na morzu*, Warszawa 1931, s. 16.

[2] S. Sławski, *Gdańsk, Polska a Niemcy*, s. 37.

tycznie do politycznego izolowania Polski, do podsycania wszystkich jej konfliktów zewnętrznych i wewnętrznych, do wytworzenia dokoła Polski atmosfery nieufności, do przecięcia jej arterii gospodarczych, z drugiej zaś do wywołania — przy pomocy najszerszej propagandy — zarówno w Niemczech, jak i w ważnych ośrodkach opinii międzynarodowej przekonania o krzyczącej niesprawiedliwości granic niemiecko-polskich, domagających się jak najszybszego uregulowania, oczywiście na korzyść Niemiec. Ponadto w odpowiednich momentach i odpowiednich ośrodkach wysuwa się kolejno straszaki bankructwa Niemiec i niemożności płacenia rat reparacyjnych bez zwrotu Pomorza i Śląska, a czasem nawet i Poznańskiego, lub też groźbę nieuniknionej wojny, bądź wreszcie widmo zbliżenia niemiecko-sowieckiego przeciwko Europie Zachodniej. I trzeba wyznać, że ta akcja niemiecka — może niedostatecznie paraliżowana i doceniana przez nas — wbrew wszelkim argumentom rzeczowym skupia coraz więcej wyznawców filopruskich nawet poza granicami Niemiec. W jednej ze swych opowiastek pisze Oscar Wilde, że ktoś, całkowicie nie mając słuszności, począł swe twierdzenia powtarzać z uporem przy każdej sposobności, wierząc, że za każdym powtórzeniem przybywa odrobina racji. Słuchacze w tej powieści nie dali się przekonać mimo to, gdyż nie byli istotami naiwnymi. Inaczej rzecz się przedstawia, gdy mówi się do współczesnych mężów stanu Europy, albo do opinii publicznej o sprawach rokujących choćby tylko złudną nadzieję poprawienia się kursu papierów i walorów na giełdach świata. Tu działa zawsze jeszcze zasada główna „kto mówi" i racja zwiększa się w proporcji geometrycznej do zdolności kredytowej mówiącego i doraźnego interesu słuchającego. Wówczas twierdzenie powtarzane z niezłomnym uporem, choćby było pozbawione cienia racji, już ma za sobą poważną

część opinii publicznej.

Gdyby chcieć systematycznie zestawić wszystkie dowody, dokumenty i rezultaty akcji niemieckiej, dotyczącej rewizji ich granic wschodnich, okazałoby się koniecznym wydanie specjalnej, wielotomowej encyklopedii. Dla celów, przyświecających tej pracy, wystarczy jednak zacytowanie kilku jaskrawych faktów, charakteryzujących cele i metody polityki Prus i Niemiec w stosunku do państwa polskiego. Przede wszystkim więc warto uświadomić, jaką to strawę podaje się w Niemczech codziennie społeczeństwu ze strony najbardziej wpływowych ludzi i organów opinii publicznej, gdyż w Polsce, wobec braku podłoża zarówno psychicznego, jak i faktycznego do organizowania jakiejkolwiek agresywnej akcji zewnętrznej, głosy ostrzegawcze przed kampanią niemiecką niewątpliwie są lekceważone tak, jak lekceważone były we Francji głosy alarmu w sprawie niemieckich przygotowań wojennych w 1913 i 14 roku.

Już więc w kwietniu 1919 r. marszałek Hindenburg wygłosił w Opolu na zebraniu „Hilfs-schützenverein" przemówienie wydane następnie drukiem, w którym tak scharakteryzował stosunek Niemiec do Polski: „Nie byłoby dla nas niebezpieczeństwa cięższego niż istnienie Polski, gdyby ona istotnie miała się utrzymać jako państwo niepodległe. Ale nie ulegamy temu niepokojowi"[1]. Gen. Heye, minister Reichswehry, w czasie procesu Jagowa* w r. 1921 oświadczył: „Musimy Polskę wziąć za kark i odebrać jej Pomorze oraz Poznańskie"[2]. Najgadatliwszy z polityków i największy prze-

---

* Traugotten von Jagow, prezydent policji w Berlinie, był uczestnikiem próby przewrotu monarchistycznego w Niemczech podjętej 13 marca 1920 r. (tzw. pucz Kappa-Lütwitza). 21 grudnia 1921 r. skazany na 5 lat twierdzy.

[1] „Kurier Warszawski", 23 IX 1930.

[2] Tyg. berl. „Das Tagebuch", 28 II 1927.

ciwnik wszelkiej taktyki spośród generałów niemieckich, b. minister v. Seeckt, pisze: „Jest to właściwie przestępstwem, gdy wmawia się ze strony niemieckiej mieszkańcom Wschodu, że powinni się oni pogodzić z istniejącymi stosunkami politycznymi. Należy wciąż ponownie podkreślać, że ani oni, ani my wszyscy nigdy z tą sytuacją się nie pogodzimy"[1]. Myśl tę uzupełnia gen. von Seeckt następującą tezą: „Porozumienie z Polską jest całkowicie niemożliwe. To muszą sobie uświadomić i ci, którzy obiecują dla nas korzyści ze współpracy gospodarczej. Pokój gospodarczy jest też nie do osiągnięcia"[2]. Wreszcie zaś von Seeckt wskazuje przejrzyście między wierszami na podstawy rozwiązania problematu: „Największa niechęć Rosji dotyczy Polski. Tu leży właśnie punkt najsilniejszego zbliżenia się Rosji do Niemiec"[3]. Gen. H. v. Hammerstein, współuczestnik delegacji niemieckiej do ustalenia warunków zawieszenia broni na froncie zachodnim, przypomina pod adresem Polski: „Jeśli historycy polscy składają winę upadku Polski w 18 wieku na nieszczęśliwe położenie geograficzne, to powinna dzisiejsza Polska wyciągnąć z tego naukę. Pomimo wojny światowej i położenie i sąsiedzi pozostali ci sami"[4]. Po czym na pocieszenie własnych rodaków zapewnia ich, że wybitny generał angielski w lipcu 1919 r. powiedział do swego kolegi niemieckiego, iż przez utworzenie wielkiego państwa polskiego koalicja złożyła w Europie „jajko kukułcze". Dr. H. Schacht, b. prezydent Banku Rzeszy, w czasie obrad paryskich w sprawie spłat reparacyjnych w lecie 1929 r. uzależniał wręcz zgodę Niemiec

---

[1] H. v. Seeckt, *Wege Deutscher Aussenpolitik*, Leipzig 1931, s. 33.

[2] Tamże, s. 16.

[3] Tamże, s. 15.

[4] H. v. Hammerstein, *Der Waffenstillstand 1918 bis 1919 und Polen*, Berlin 1928, s. 30.

na dopełnienie zobowiązań płatniczych od rewizji granicy niemieckiej na wschodzie. Dr Jarres, b. kandydat Niemieckiej Partii Ludowej na prezydenta Rzeszy, oświadczył w mowie swej we Wrocławiu 20 III 1925 r., że „korytarz polski jest pogwałceniem prawa samostanowienia narodów", choć nie atakował urzędowej statystyki pruskiej, wykazującej tam zdecydowaną większość ludności polskiej. Nie mówiąc już o posłach i ministrach z partii nacjonalistycznych, najwybitniejsi przedstawiciele stronnictw demokratycznych i lewicowych propagują ustawicznie myśl odebrania Polsce Pomorza. Prałat Kaas, dr Wirth, pos. Ulitzka z katolickiego Centrum, Koch-Waeser, Heile, Höpker-Aschoff ze stronnictwa demokratycznego, bar. Reinbaben[1] z partii ludowej, a wreszcie i socjaliści Breitscheid[2] i Loebe — domagają się w różnych formach, czasem maskowanych, rewizji zachodniej granicy Polski. Łącznie z tym zagadnieniem pojawiają się ustawicznie przed opinią światową najdziwniejsze pomysły rozwiązania sprawy, byle tylko podtrzymać jako wstępny akt ataku tezę, iż sprawa granic polsko-niemieckich jest problematem otwartym, jest krzywdą, której naród niemiecki znieść nie może, a więc gdy zawiodą wszystkie nadzieje pokojowego uregulowania tej sprawy, to wówczas muszą Niemcy z góry otrzymać rozgrzeszenie za użycie... środków ostatecznych. Tak np. przemysłowiec niemiecki Rechberg propaguje w paryskim „Matin" myśl zagwarantowania granic Polski przez Niemcy i Francję oraz pozostawienia Polsce „wolnej ręki" w Kłajpedzie za zwrot Pomorza i skartelizowanie przemysłu górnośląskiego pod dyktandem Niem-

---

[1] Z przemówienia bar. Reinbabena, b. sekr. Stanu Rzeszy w Gdańsku, 12 II 1928: „Stosunki na wschodzie nie są jeszcze ostatecznie uregulowane. Nie są tu jeszcze stworzone żadne prawno-traktatowe podstawy trwałego pokoju".

[2] Przemówienie w Genewie, we wrześniu 1924 r.

ców. Prałat Kaas jest znacznie chytrzejszy i dbały o etykę, więc propaguje myśl, by Gdańsk i „korytarz" odebrała Polsce „masońska" Liga Narodów, by ona ten czyn zapisała na swój rachunek, a potem, by w formie mandatu przekazała te prowincje Niemcom[1], którzy resztę załatwią samodzielnie w imieniu Ligi. Dr G. Bertrand włącza do „korytarza" i Bydgoszcz, którą oczywiście należy zwrócić Niemcom. Wisłę pragnie umiędzynarodowić, a w zamian za to ofiarowuje Polsce Gdynię i prawdziwy korytarzyk kolejowy do niej. W całą tę akcję wpada jeszcze potężny chór niemieckich profesorów, publicystów, dziennikarzy, mówców, literatów, filmu, organizacji społecznych i militarnych, śpiewając z nie mniejszym hałasem jak przekonaniem pieśń bojową „Siegreich wollen wir Polen schlagen!" Cóż mówić o pismach nacjonalistycznych lub demagogicznych, gdy poważny organ demokratyczny „Frankfurter-Zeitung" z 14 VI 1925 r. pisze np.: „Tak czy inaczej Polska musi wyjść z wojny celnej śmiertelnie ranna. Z jej krwią odpłyną jej siły, a wreszcie i jej niepodległość. A wtedy, za lat kilka, w porozumieniu z Rosją, dobijemy umierającą"[2].

J. Kohlshorn jeszcze wcześniej i jeszcze jaśniej formułował ten sam program w swej broszurze, pisząc: „Zniknie haniebny traktat wersalski, a potężna siła życiowa młodzieży niemieckiej i rosyjskiej zmiażdży państwa klinowe i korytarzowe"[3]. F. Luckwaldt, biadając nad tym, że datująca się od r. 1764 przyjaźń prusko-rosyjska została przed wielką wojną zerwana, wspominając z głębokim sentymentem, iż Aleksander II wylewał łzy nad stratą pruskich gwardzistów

[1] Por. *Die Korridor-Gefahr*, München 1930.

[2] Por. obficie i doskonale zebrany materiał w pracy K. Smogorzewskiego, *Propaganda korytarzowa za granicą.*

[3] J. Kohlshorn, *Russland und Deutschland durch Not zur Einigung*, Leipzig 1922, s. 163.

w r. 1870 i domagając się odbudowy tych stosunków, wskazuje wspólny cel: „granice we wschodniej Europie wcale nie przedstawiają silnych murów; są one raczej jak firanki, którymi wiatr porusza na wszystkie strony". Szczególnie zaś Polska ma granice „dość nieszczęśliwe, bardzo trudne do obronienia" [1]. W. Beumelburg w świeżo wydanej książce *Deutschland in Ketten* pisze niezwykle znamiennie o wojnie sowiecko-polskiej: „Lenin, Trocki i Cziczerin wcale nie myślą o pokoju. Ich myśl kieruje się na Polskę. Płomienne radiogramy z Moskwy obwieszczają zwycięstwo i zbliżającą się rewolucję światową. Pomiędzy wierszami mieści się nadzieja na Niemcy — czy zrozumieją one swoją godzinę?" A po opisaniu klęski rosyjskiej pod Warszawą autor dodaje: „Z wypadków tych Rosjanie wyciągnęli naukę — bez Niemiec to się nie uda!" [2]

Tak można by cytować całymi tomami dalej i dalej, można by odkrywać wciąż nowe, wprost nieprawdopodobne zboczenia na tle nienawiści ku Polsce [3]. Gdyby to były głosy choćby liczne, ale odosobnione, można by je uważać za wybryki nieopanowanego języka. Tym duchem, tą treścią żyje jednak całe, wielkie społeczeństwo wielkiego i cywilizowanego państwa, w tej atmosferze wyrasta dziecko w szkole, te uczucia przesącza w masy film i książka, ta tendencja rodzi liczne organizacje społeczne i dominuje w partiach politycznych.

A jest to dopiero mniej ważna strona akcji propagandowej niemieckiej przeciwko całości Rzeczypospolitej Polskiej. Znacznie ważniejsza koncentruje się poza

[1] F. Luckwaldt, *Deutschland, Russland, Polen*, Danzig 1929, s. 30—31.

[2] W. Beumelburg, *Deutschland in Ketten*, Oldenburg 1931, s. 99 i 102.

[3] Prof. Uniwersytetu Wrocławskiego M. Laubert w „Preussische Jhb." pisze: „Teza o niesprawiedliwych rozbiorach Polski jest głupia. Etyka nie ma nic wspólnego z polityką".

granicami Niemiec i trudno byłoby dziś ją lekceważyć opinią, że w szeregach jej pracują tylko płatni i przekupni agenci polityki pruskiej. Przeciwnie, akcja ta jest firmowana przez poważne nieraz i szeroko znane nazwiska. A jak gdyby dla nowego powiększenia liczby paradoksów życia, trzeba stwierdzić, że ci zagraniczni obrońcy interesów pruskich przeciwko Polsce prawie bez wyjątku są bardziej „cesarscy niż sam cesarz". Nie oszczędzają oni żadnej insynuacji pod adresem Polski, nie wahają się przekroczyć w głośnej propagandzie żadnej granicy prawdy i obiektywizmu, nawet takiej, przed którą zatrzymało się pióro nacjonalisty pruskiego. Tak więc tworzy się w świecie coraz szerszy opar gazu trującego przeciw Polsce, przeciw jej najistotniejszemu prawu do życia i rozwoju, przeciw jej podstawowym warunkom wydobycia się z tego dna nędzy, zniszczenia i upadku, w które wtrącona została w pewnej części z powodu własnych błędów dawno ubiegłej przeszłości, a w nieskończenie większej części przez zabójczą politykę państw zaborczych, stosowaną systematycznie w ciągu ostatniego półtora wieku.

Najszerzej antypolski atak polityczny lansuje się oczywiście we Francji. W ścisłym związku politycznym francusko-polskim leży obecnie podstawa stabilizacji stosunków międzynarodowych w Europie. Jest to wartość pozornie niewidoczna, gdyż izoluje ona tylko wysokie napięcia; dopiero brak tego gromochronu przekonałby nieufny świat, jakie były jego wartości pozytywne. Rozsadzenie więc od wnętrza tego izolatora musi skupiać na sobie największe wysiłki przyjaciół pruskich. Następnie spośród wszystkich państw kontynentalnych działalność rządu francuskiego najsilniej podlega wpływowi opinii publicznej. Opanowanie tej opinii, naładowanie jej przeświadczeniem, że dla jakiejś tam sprawy kilku prowincji posiadanych przez Polskę, dla jakiegoś chimerycznego „korytarza" nie

może być poświęcona ani kropla krwi francuskiej, odradzającej się tak opornie, to drugi moment skupiający propagandę antypolską w tym kraju. Ostatnim wreszcie czynnikiem, który nakazał skoncentrować akcję antypolską na odcinku francuskim, jest samo podłoże psychiczne narodu francuskiego. W okresie niebezpieczeństwa jest on zapalny, twardy i bohaterski; wzburzony do dna idzie zwycięską lawiną, żłobiąc w historii Europy ślady głębsze niż jakikolwiek inny naród. Ale gdy wzburzenie przeminie, pragnie on słonecznej, ciepłej pogody politycznej, zżyma się na wszystkie powody przesłaniające atmosferę pokoju, czyniące horyzont życia ponury, a dojrzewanie renty niepewne. Na gwałtowny nacisk odpowiada kontruderzeniem stali, pod naciskiem małym, codziennym, trwającym całe dziesięciolecia — cofa się. W tym leży jedna z przyczyn, że „historia ostatnich dziesięciu lat jest w gruncie rzeczy jednym ciągiem rezygnacji aliantów na rzecz Niemiec"[1]. W tym leżą i rachuby, że pod naciskiem stałej i zamaskowanej ideowo propagandy, wskazującej systematycznie na skutki burzliwej atmosfery zamiast na istotne przyczyny, dotyczącej sprawy dla społeczeństwa francuskiego nie znanej a pozornie obcej, uda się i tam wreszcie stworzyć front niechęci do Polski.

Jedno z poważnych miejsc w tej akcji zajmuje naczelny redaktor „Victoire" p. Gustaw Hervé. Od r. 1923 propaguje on stale myśl, że Polska winna dobrowolnie zrezygnować z Pomorza i praw traktatowych w Gdańsku, że przeciwstawiając się temu wyrządza szkodę Europie i idei pokoju. Wyraźnie: Polska a nie Prusy. Oczywiście, iż nie można by się dziwić, gdyby ten lub ów wybitny Francuz stanął jawnie i niedwuznacznie w odniesieniu do konfliktu niemiecko-polskiego po stronie niemieckiej. Są Niemcy, którzy wręcz mówią:

---

[1] G. Clemenceau, *Blaski i nędze zwycięstwa*, s. 209.

Pomorze, Poznańskie i Śląsk są narodowo polskie, ale my bez tych ziem jako mocarstwo obejść się nie możemy. Polska w obecnych granicach paraliżuje naszą wielkomocarstwową politykę. W tak postawionej kwestii nie ma fałszu, stajemy otwarcie w dwu przeciwnych obozach i walczymy bronią, do której będziemy zmuszeni. Ale p. Hervé właśnie takiego stanowiska nie zajmuje, a swój antypolski atak ubiera najczęściej w deklaracje o swej głębokiej przyjaźni dla Polski, czym oczywiście czyni spustoszenia propagandowe znacznie większe niż jakikolwiek zdeklarowany przeciwnik. Inne nieco argumenty rozwija w swej propagandzie redaktor paryskiego „Le Soir", twierdząc, że Polsce wybrzeże morskie wcale nie jest potrzebne, czego najlepszym dowodem ma być świetne położenie gospodarcze Czechosłowacji i Szwajcarii, nie posiadających dostępu do morza. By zaś tendencji swej ułatwić uzyskanie prawa obywatelstwa w opinii francuskiej, czułej do najwyższego stopnia na własną integralność terytorialną, dodaje: „Cóż by powiedziała Francja, gdyby jej odebrano okręgi alpejskie i stworzono «korytarz» do morza dla Szwajcarii, a Marsylię zamieniono na wolne miąsto?" Ten sam autor w książce pt. *Berlin—Warszawa—Gdańsk* udowadnia już nawet, że „granica niemiecko-polska jest nonsensem i gwałtem". Jacques Bainville w książce *Les conséquences politiques de la paix* na str. 79 udowadnia opinii francuskiej, że polski „korytarz" jest „jedną z największych skaz na dziele pokoju". Senator M. Cheneboit oświadcza korespondentowi berlińskiego „Der Tag", że „korytarz pomorski jest klinem wbitym w ciało niemieckie", a prof. P. Valmigere pisze w r. 1929 dosłownie: „Jedną z największych niesprawiedliwości jest korytarz gdański. Mówię do Polaków: wy idziecie ku nowej katastrofie i własnymi rękoma kopiecie dla siebie grób. Jakież szaleństwo was pędzi? Jakimi argumentami chcecie uzasad-

nić aneksję korytarzową? Czy tym, że był on zamieszkały przez Polaków! To jest nieprawda! On ma ludność mieszaną, a pomiędzy nimi większość stanowią Niemcy! Wy powiadacie, że potrzebujecie dostępu do morza. Ja również potrzebuję wielu rzeczy, których nie mam. To nie upoważnia mnie ukraść je przemocą od sąsiada!" Przywódca radykalnej partii socjalistycznej p. Daladier zapewnia świeżo opinię francuską, że Francji ze strony Niemiec nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Nieszczęściem Niemiec jest tylko „korytarz polski, który je brutalnie oddziela od wschodu". Propaguje więc myśl, by Francja nie odnawiała przymierza z Polską i poparła oddzielenie „korytarza" od Polski. P. Sauerwein, dziennikarz francuski, oferuje wręcz Niemcom przyjaźń francuską [1] i przy jej pomocy „przywrócenie bezpośredniości ich komunikacji z Prusami Wschodnimi", radykalna „Volonté" twierdzi, że „utworzenie polskiego «korytarza» było największą niesprawiedliwością i zbrodniczą głupotą traktatu wersalskiego", a więc, że w razie konfliktu niemiecko-polskiego Francji nie wolno bronić „źle zrozumianych interesów Polski". „L'Ordre" udziela swych łamów dla identycznej propagandy niemieckiemu generałowi v. Lippe. „Oeuvre" drukuje prowokacyjne artykuły A. Abela, przewodniczącego „Jungdeutscher Orden" itd. itd. Czyż należy jeszcze wspominać w tym szeregu publikacje w rodzaju René Martela *Les frontières orientales de l'Allemagne*, przepojonych nienawiścią do Polski, o którym twierdzi się, że jest płatnym agentem niemieckim, którego książki są jednak tłumaczone na różne języki, w tym i niemiecki, z podburzającymi tytułami i rycinami, a budzące w Niemczech — jako wychodzące od autora francuskiego — nastroje zemsty za doznaną i potwierdzaną przez obcych krzywdę.

---

[1] „Matin", 7 VII 1930.

Prymat jaskrawości w tej antypolskiej akcji należy się jednak włoskiemu mężowi stanu, Francesco Nitti. Pisze on, iż traktat wersalski „stworzył nową Polskę — nie tę, o której myśleli wszyscy z Wilsonem na czele — ale przepełnioną szerokimi masami ludności niemieckiej i rosyjskiej, zaledwie w połowie czysto polską, która swoimi obłędnymi, imperialistycznymi ideami gotuje sobie straszną przyszłość... Powstała ona w wyniku absurdalnych postanowień zwycięzców po to tylko, by być agentem wojskowym Francji przeciwko Niemcom, oraz by dwa najliczniejsze i najekspansywniejsze narody Europy, tj. Niemcy i Rosję, na zawsze od siebie oddzielić!"[1] O Pomorzu zaś twierdzi w książce, która szeroko rozeszła się w kilku językach w Europie: „Wydano w ten sposób Polsce trzy miliony Niemców, a dwadzieścia jeden okręgów Prus Zachodnich wraz z południowym kątem Prus Wschodnich bez plebiscytu oddzielono od Niemiec, jedynie po to, aby stworzyć ów korytarz, stanowiący w nowoczesnej historii największy polityczny i gospodarczy absurd"[2]. W sprawie Górnego Śląska zaś wyrokuje: „Nikt z poważnych ludzi nie mógłby nawet pod rozwagę przyjąć innego rozwiązania sprawy, jak zwrot całego, nie podzielonego Śląska Niemcom"[3]. „Oddzielić Śląsk od Niemiec, to znaczy zabić przemysł śląski całkowicie, a przynajmniej częściowo"[4]. Na tych twierdzeniach apodyktycznych, nie wypływających nawet z najbardziej tendencyjnych źródeł statystycznych niemieckich, opiera Nitti jasne już wnioski: „Musi przyjść do obalenia systemu reparacyjnego, a z tym łącznie do usunięcia bezmyślności zawartych w traktatach... Korytarz

---

[1] F. Nitti, *Der Niedergang Europas*, Frankfurt 1922, s. 117.
[2] Tamże, s. 44.
[3] Tamże, s. 128.
[4] Tamże, s. 123.
[5] Tamże, s. 300.

gdański i oddzielenie Śląska nie może na przyszłość egzystować"[5].

Analogicznie, jak we Francji, szereg pism italskich prowadzi żywą akcję, urabiającą opinię swego narodu przeciwko utrzymaniu obecnej granicy zachodniej Polski. Tak np. „Popolo d'Italia" z dnia 2 I 1929 uzasadnia twierdzenie, że „korytarz polski przyczynia się do bałkanizacji tej części Europy".

W W. Brytanii najszerzej i najgeneralniej rozprawia się z Polską Rob. Donald w książce wydanej w 1929 pt. *The Polish Corridor and the Consequences*, która wywołała liczne, przeważnie aprobujące stanowisko autora komentarze, artykuły i publikacje. Autor ten stara się udowodnić opinii angielskiej i z angielskiego punktu widzenia, że w ogóle niepodległość Polski jest grubym błędem politycznym, która istnieje jako zarzewie wojny w Europie. Wstępem zaś do likwidacji Polski winno być oddanie Niemcom polskiego Pomorza. F. C. Lienfield, b. poseł Izby Gmin, oświadczając się jako „zdecydowany przyjaciel Polski", domaga się wystąpienia Ligi Narodów, albo W. Brytanii i Stanów Zjednoczonych łącznie, z inicjatywą odebrania Polsce Pomorza ze względu na... interes całej Europy. Uważa, że jedynym powodem oddania Polsce tej dzielnicy były względy strategiczne i chęć rozbicia jedności terytorialnej Prus. Stanowisko b. premiera W. Brytanii, Lloyd George'a, w stosunku do Polski i wszystkich zagadnień nas dotyczących jest znane powszechnie, nie wymaga więc komentarzy. Lord Rothermere podkreśla w angielskiej prasie, że opinia kraju domaga się od brytyjskiego ministra spraw zagranicznych inicjatywy w usunięciu śmiertelnego niebezpieczeństwa, stworzonego przez zachodnie granice Polski, w szczególności zaś przez istnienie „polskiego korytarza". „Daily Express", „Manchester Guardian", „Observer", „Daily Mail", „Western Morning News", „Catholic Herald", „Contem-

porary Review" i wiele innych zamieszczają masowo artykuły wykazujące, że sprawa granic zachodnich Polski jest otwarta, które w obecnej formie nie mogą być utrzymane.

Propaganda ta nie omija żadnego ważniejszego ośrodka polityki międzynarodowej. Jest czynna i w Genewie, i w Moskwie, pracuje w Stanach Zjednoczonych, urabia opinię w Holandii, Danii, Szwecji, państwach bałtyckich, przejawia się nawet w Czechosłowacji, Rumunii, na Węgrzech i w państwach bałkańskich. Raz za razem pojawia się tu książka, tu znów film, tu wykład, tu artykuł wskazujący, że granice Polski na zachodzie należy zmienić na korzyść Niemiec, że „świadomość tej konieczności rozszerza się coraz bardziej wśród państw i narodów, nawet tych, które pokój wersalski podyktowały, tak, iż można bez przesady powiedzieć, że dziś już tylko sama Polska broni status quo tej granicy". Tak przynajmniej z pewnością siebie stwierdza jedna z ostatnich publikacji niemieckich, obrazująca liczne głosy polityków zagranicznych w tej materii.

Oczywiście, iż w danym wypadku, podobnie jak w odniesieniu do propagandy wewnątrz Niemiec, zarysowana została raczej tylko linia, podane zostały tylko najcharakterystyczniejsze hasła, nie wyczerpujące ani drobnej części akcji, prowadzonej faktycznie z największym rozmachem. Nie wolno nam się łudzić ani co do jej celów, ani co do jej znaczenia. Testamentarne nieomal wskazanie St. Staszica, że Prusy „nayniebezpiecznieyszym nieprzyiacielem Rzeczypospolitey zawsze będą"[1], jest i dziś całkowicie aktualne.

Celem tej akcji niemieckiej nie jest pokojowa korektura granicy z Polską. „Propagowane przez Niemcy hasło rewizji traktatów i granic jest hasłem na wskroś

[1] S. Staszic, *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*, s. 44.
[2] K. Kierski, *Pomorze Polskie*, Poznań 1928.

wojennym. Mówienie o pokojowości i rewizji granic jest obłudą i okłamywaniem"[*]. Wprawdzie powołują się Niemcy nieraz na art. 19 traktatu wersalskiego, który orzeka, iż zgromadzenie Ligi Narodów „może wezwać od czasu do czasu członków do poddania zbadaniu traktatów, których zastosowanie nie ma już miejsca, jak też i stosunków międzynarodowych, których utrzymanie zagraża pokojowi światowemu", ale czynią to jedynie ze względów taktycznych, mających usprawiedliwić w obecnej sytuacji jawną i głośną propagandę rewizjonistyczną. W chwilach szczerości sami wskazują na nieużyteczność tego artykułu. Formalnie bowiem przeciwstawia się tej mglistej redakcji zupełnie zdecydowane i jasne brzmienie art. 10 tego samego traktatu, który postanawia, iż „Członkowie Zw. Ligi Narodów zobowiązują się szanować obecną integralność terytorialną i polityczną niezależność członków Związku i ochraniać ich przed każdym zewnętrznym atakiem". Ponadto niezbędna jednomyślność uchwały z zakresu art. 19 wymagałaby zgody Polski. Czyż byłoby do pomyślenia zaproszenie Polski do grona sędziowskiego i oczekiwanie od niej, by wbrew swemu przekonaniu, wbrew prawu, wbrew wszystkim bez jakiegokolwiek wyjątku. argumentom rzeczowym, wyłącznie w imię pogodniejszego nieba politycznego w Europie i to na chwilę tylko, wydała sama na siebie wyrok śmierci?

Autor bezimiennie wydanej w r. 1930 broszury pt. *Die Korridor-Gefahr*, jak wynika z całej treści i przedmowy dr F. Thierfeldera, doskonale zorientowany w całokształcie politycznym zagadnienia, traktowanego tu znacznie dyplomatyczniej niż we wszystkich publikacjach zagranicznych, pisze: „Świat nie chce wojny, przynajmniej z powodu polskiego korytarza... Każdy głos, który się ogranicza tylko do oświadczenia, iż na skutek paktu Kellogga niebezpieczeństwo wojny rów-

nież i na wschodzie jest wykluczone, działa przeciwko rewizji. Znika bowiem wówczas ta podstawa: albo rewizja — albo wojna! Ona zaś jedna tylko jest dostatecznie silna, by opinię publiczną świata skłonić do przyjęcia tezy rewizjonistycznej w sensie niemieckiego interesu"[1].

Generał von Seeckt w książce pt. *Przyszłość cesarstwa niemieckiego* podkreśla: „Nie ulega wątpliwości, że celem polityki niemieckiej jest odbudowanie Niemiec jako wielkiej potęgi militarnej". W innej książce wyjaśnia zaś, iż w stosunku do przyszłej wojny „nie są już obecnie potrzebne, tak jak dawniej, cyfrowo liczne wojska. Wszystko polegać będzie na organizacji i wyposażeniu technicznym, w czym każde państwo posiada zupełną swobodę działania, a jakakolwiek kontrola w tym zakresie jest nie do przeprowadzenia"[2]. W lipcu 1928 r. wielki mistrz organizacji „Jungdeutscher Orden" Mahraun, na zjeździe tej organizacji w Gdańsku, oświadczył: „pokoju nie może być tak długo, dopóki korytarz polski nie będzie zwrócony Rzeszy niemieckiej i dopóki Prusy Wschodnie nie będą ponownie złączone z ojczyzną. Będzie to ciężka walka, ale jesteśmy na to, by wywalczyć wolność Niemiec". Istotnie też wojskowy budżet niemiecki w stosunku do liczby żołnierzy jest nieproporcjonalnie wielki. Poseł Scheidemann na posiedzeniu parlamentu w dniu 16 grudnia 1926 r. przedstawił dokumenty ujawniające współpracę Reichswehry z wielkim przemysłem; równocześnie stwierdził on, że wśród przemysłowców tej kategorii zbierano specjalne składki na wyćwiczenie oraz uzbrojenie nowych formacji wojskowych, nie przewidzianych w budżecie. Ponadto jednak twierdził

---

[1] *Die Korridor-Gefahr*, s. 32.

[2] Por. H. v. Seeckt, *Landesverteidigung*, Berlin 1930, s. 69, 73, 74 i 79.

Scheidemann, że niemiecka organizacja „Gefu" przeprowadza dużymi sumami rozbudowę przemysłu wojennego poza granicami Niemiec, a specjalnie w Rosji[1]. Jeżeli wszystko to zestawimy razem, jeżeli obok tzw. „Locarna zachodniego" postawimy coraz częstsze i coraz oficjalniejsze oświadczenia niemieckie co do wyrzeczenia się myśli o rewindykacji Alzacji i Lotaryngii, jeżeli wnikniemy w pogłębiającą się wciąż współpracę przemysłów francuskiego i niemieckiego, jeżeli zbierzemy razem wszystkie fakty, wskazujące na nieproporcjonalnie szybki rozwój niemieckiego przemysłu, mającego związek z prowadzeniem wojny, a szczególnie przemysłu chemicznego, oraz niemieckich organizacji cywilno-wojskowych, gdy uprzytomnimy sobie rozrost budżetu wojennego, niezwykłą rozbudowę lotnictwa „cywilnego", gdy dodamy do tego wciąż ujawniane rewelacje militarne przez Scheidemanna w r. 1926, przez belgijskiego ministra spraw wojskowych, de Broqueville'a, w r. 1927, przez „Le Temps" z 12 grudnia 1927 itd. oraz oficjalne deklaracje „Stahlhelmu" o „zastąpieniu wojska królewsko-pruskiego"[2], a wreszcie traktat niemiecko-sowiecki w Rapallo, wyjazdy oficerów niemieckich do Rosji i nieukrywaną radość Berlina z każdego objawu antagonizmu Sowietów w stosunku do Polski, to musielibyśmy być ciemni i głusi, by nie widzieć i nie rozumieć celu tych wysiłków i przygotowań. Wszystko to przeznaczają Prusy dla Polski, dla zniszczenia nas etapami do końca, gdyż zniszczyć nas ułamkowo, częściowo nie można!

W politycznym osądzaniu przeciwnika należy wykazywać dużą oględność, jeżeli nie chce się zrywać z obiektywizmem. Ale do rachunku politycznego państwa i narodu zagrożonego należy zawsze przyjmować kal-

---

[1] Por. G. Clemenceau, *Blaski i nędze zwycięstwa*, s. 223.

[2] Por. E. Ruecker, *Niemcy, Prusy a Polska*, Kraków 1928, szczeg. s. 70—73.

kulację najbardziej pesymistyczną. W konflikcie z Prusami jesteśmy dziś narodem najbardziej zainteresowanym, własna więc nasza opinia może być niemiarodajna. Ale i opinia obcych obserwatorów nakazuje się liczyć z całkowitą bezwzględnością przywódców życia niemieckiego tam, gdzie idzie o ich interes państwowy, ich ambicję narodową, ich niewygasłe, historyczne cele. Prezydent Masaryk w swym dziele pt. *Rewolucja światowa*, unikając systematycznie jaskrawych lub przesadnych definicji, stwierdza jednak, że „wojna 1914 r. jest koniecznym następstwem prawa pięści i militaryzmu uprzednio szerzonego, który zarówno filozoficznie, jak i naukowo był sformułowany i propagowany przez Pruso-Niemcy" [1]. „Niemcy najpilniej opracowali teorię, że prawo powstaje z siły i gwałtu, a równocześnie urzeczywistniali ją praktycznie w sposób najbardziej bezwzględny" [2]. Erzberger, wybitny członek partii centrowej, pisał do generała Falkenhayna 17 IX 1914 r.: „Nie należy się wahać w kwestii pogwałcenia praw narodów i ludzkości. Podobne sentymenty schodzą dziś na drugi plan". W miesiąc później zaś w dzienniku „Der Tag" z dnia 21 X 1914 r. dodawał: „Gdyby można było zrównać z ziemią Londyn, byłby to bardziej ludzki czyn, niż przelanie na polu walki krwi choćby jednego tylko żołnierza niemieckiego". Nie należy się łudzić, że Niemcy powojenne podlegają innej psychice, innym tendencjom swych przywódców niż Niemcy Wilhelma II, wzywającego wojska wyjeżdżające z Bremerhaven w r. 1900 do Chin, by zdobyły sobie tam sławę Hunów i oduczyły „choćby tylko krzywo na Niemca popatrzeć" [3]. Powojenny minister gen. v. Seeckt ponownie stwierdza: „Polityka polega na sile. Jest to twarde słowo szczególnie obecnie, gdy od 12 lat sły-

[1] T. G. Masaryk, *Rewolucja światowa*, t. I, s. 106.
[2] Tamże, s. 102.
[3] B. v. Bülow, *Denkwürdigkeiten*, t. I, s. 548.

szymy, że polityka spoczywa na prawie. Może jednak moglibyśmy przyjąć i tę tezę, dodając jednak natychmiast, że siła jest tym właśnie czynnikiem, który stwarza prawo"[1]. Clemenceau zaś wyznaje: „Nie znałem dobrze tych ludzi. Dopiero później, kiedy w Wersalu Brockdorff-Rantzau zaczepił mnie w wyzywający sposób, zrozumiałem, że rewolucja niemiecka była zwykłą zmianą dekoracji, i że najeźdźca z 1914 r. trwa w swym porywie wściekłości. Grozi nam zatem nieustannie ta sama napaść ze strony tego samego nieprzyjaciela, tylko o zmienionym obliczu."[2]

I oto wyłania się już w całej krzyczącej jaskrawości niepojęty wprost dylemat. Więc jak to, Niemcy, które pogwałciły jawnie w obliczu całego cywilizowanego świata wszystkie prawa i wszystkie zobowiązania, które bez wahania złamały neutralność Belgii, które zastosowały walkę łodziami podwodnymi i zgubiły wiele tysięcy niewinnych, cywilnych ludzi, które zainicjowały walkę gazami trującymi, które rujnowały dzieła sztuki, które siały wewnętrzną nienawiść w Belgii i więziły belgijskiego kardynała-starca za najczystszy, duchowy patriotyzm, które przez całe dziesięciolecia wywłaszczały głośno i brutalnie Polaków z ich własnej, rodzinnej ziemi, które same, oficjalnie potwierdzały polskość zrabowanych ziem, które — wobec pacyfistycznie usposobionego świata — nie wahają się głosić programu wojny, które przeżywając niebywały kryzys gospodarczy i finansowy wydają setki milionów na budowę nowych, potwornych pancerników, które głośno, przy każdej okazji śpiewają „Siegreich wollen wir Polen schlagen", mogą jednać opinię świata swą antypolską propagandą, mogą w oczach i umysłach ludzi o zdrowym zmyśle czynić z nas przestępców politycznych, imperialistów, militarystów, zaborców i gnę-

---

[1] H. v. Seeckt, *Wege Deutscher Aussenpolitik*, s. 7.
[2] G. Clemenceau, *Blaski i nędze zwycięstwa*, s. 76.

bicieli bezbronnej i niewinnej niemczyzny? Chwilami mogłoby się naprawdę wydawać, że świat współczesny zwariował, że wywraca każdy najprostszy problemat do góry nogami, albo też, że wszystkie cytowane fakty są wymysłem chorobliwej fantazji.

Niestety, wszystko to realna, twarda, najkonkretniejsza rzeczywistość. Paradoksalność jej polega na podwójnej etyce politycznej, na podwójnej buchalterii, zakorzenionej jeszcze głęboko w świecie.

Słusznie mówi Clemenceau: „Niewiele czasu potrzeba na ograbienie, ale wieki całe nie zawsze wystarczą, by wynagrodzić zło". Polska została ograbiona nie tylko z wartości fizycznych i materialnych, ale jeszcze dotkliwiej została ograbiona z wartości moralnych. Dla utrwalenia zaborów, dla ich usprawiedliwienia w opinii świata, przesączała się przez cały wiek zorganizowana przez trzy zainteresowane państwa szczególna propaganda, szczepiąca nieufność do każdego słowa, do każdego argumentu wychodzącego z Polski. Wszystko, co mówili Polacy, było w opinii światowej uznawane za niesłuszne i niesprawiedliwe. W czasie tworzenia nowej, powojennej karty Europy zwyciężały nie nasze argumenty i dowody, ale niemieckie. Ich mapy, ich statystyki, ich opinie. A dziś, gdy Niemcy poczynają nazywać te dokumenty czystym bluffem, sporządzanym celowo dla zachęcenia społeczeństwa i parlamentu niemieckiego do dalszych nakładów i wysiłków w walce z polskością, to u wielu mężów stanu budzi się niemal żal, iż tak nieprzezornie dali się uwieść Polakom, posługującym się tymi materiałami. Niemcy mają w opinii politycznej kredyt na rachunku otwartym, my mamy tylko kredyt hipoteczny, lichwiarsko oprocentowany. Niemcy — w razie potrzeby uzyskują pomoc nawet od swych politycznych przeciwników — my nie możemy uzyskać tej pomocy nawet od przyjaciół. Niemcy mają uznane prawo nawet do agresji, nasze

prawo do obrony jest stawiane pod znakiem zapytania. Dla Niemiec wydaje się za mało miejsca nawet w potężnym, czterofrontowym domu; dla nas ma być za dużo we własnym, ciasnym „korytarzu".

To jest atmosfera psychiczna, którą żyje współczesny świat; skorygowanie jej wymaga od nas wysiłku, powagi w każdym działaniu, wytrwałości i czasu.

Tak więc z powrotem Rzeczypospolitej Polskiej na kartę polityczną Europy wraca ponownie stary, zachodni problemat, stary konflikt, wciągający powtórnie w grę najbardziej żywotne i najbardziej zasadnicze podstawy bytu i niepodległości państwa. Jest on naładowany napięciem tym silniejszym, im głębszą jest dziś świadomość potęgi wewnętrznej Prus, im głębszą jest ich potrzeba hegemonii gospodarczej i politycznej w Europie, im bardziej dzisiejsza Rzeczpospolita Polska jest zdecydowana bronić swych przyrodzonych i żywotnych praw do każdej piędzi polskiej ziemi, niż mogła to uczynić w wieku 18-ym. Tu więc wyrasta pierwszy, najrozciąglejszy zwał raf i min podwodnych, który wyminąć i usunąć — bez szczególnych, bez skoncentrowanych i świadomych wysiłków całej załogi tego polskiego statku — niepodobna. Oczywiście, iż stoi przed nami otwarta i prosta droga aktywnego przeciwdziałania skutkom propagandy niemieckiej, paraliżowania wielu — nie należących zawsze do rzędu najzręczniejszych — posunięć dyplomacji pruskiej, demaskowania fałszywej gry politycznej na terenie międzynarodowym i jej niedwuznacznych dywersji nawet w granicach Polski [1]; samego jednak problematu z powierzchni życia nie usuniemy ani prędko, ani łatwo. Ani przez dobrowolne drobne ustępstwa, przez ułamkowe rezygnacje, ani przez ignorowanie akcji niemieckiej, ani przez ograniczanie płaszczyzny tarć, rezultatu

[1] Taką np. kontrakcję prowadzi systematycznie i z dużym talentem dziennikarz londyński Augur.

pozytywnego, tj. usunięcia konfliktu, nie osiągniemy tak samo, jak nie wygramy go przez bezcelowe zaostrzanie stosunków w życiu codziennym i gospodarczym obu narodów lub przez naśladowanie butnej polityki pruskich nacjonalistów. Obrona właściwa leży bowiem na całkiem innej płaszczyźnie, a musi być budowana krok za krokiem, konsekwentnie i wytrwale, z dnia na dzień, z roku na rok, z dziesięciolecia na dziesięciolecie, przez całe społeczeństwo polskie w jednolitym, harmonijnym i świadomym wysiłku.

W tym wielkim kompleksie trudności zagadnienie polsko-gdańskie jest tylko szczególnym i drastycznym wypadkiem. W r. 1918 i 1919 nikt z zainteresowanych takiego rozwiązania nie pragnął. Ani Niemcy, ani Gdańsk, ani Polska. Nikt też nie może odmawiać Gdańskowi współczesnemu charakteru niemieckiego z etnograficznego punktu widzenia. Nie mogą się jednak znaleźć wszyscy, bez reszty, Polacy w granicach państwa polskiego; w okręgu karwińskim znajduje się zwarty element polski, którego przynależność państwową do Czechosłowacji uznajemy i szanujemy; są na Śląsku Górnym niemieckim okręgi, które przy plebiscycie wykazały większość polską, ale uznajemy stan istniejący jako nienaruszalny. Są zwarte okręgi niemieckie w Czechosłowacji i Szwajcarii, których przynależność do tych państw jest poparta takimi argumentami, jakich nigdy Niemcy przytoczyć nie mogą w odniesieniu do polskiego Pomorza lub Śląska. Gdyby wszystkie zagadnienia terytorialne w Europie chcieć realizować z szowinistyczno-nacjonalistycznego punktu widzenia, ludzkość nie złożyłaby prędzej broni, aż wymordowalibyśmy się wszyscy doszczętnie. Charakter sytuacji Gdańska jest całkowicie wyjątkowy. Należało w r. 1919 decydować się na wybór zupełnie jasnej i zdecydowanej zasady przy rozstrzyganiu problematu gdańskiego. Jeżeli miały decydować względy narodowościowe i nie-

wątpliwa wola narodowa większości ludności, tak jak to się stało w odniesieniu do polskiego Pomorza, to należało pozostawić Gdańsk w ramach Rzeszy Niemieckiej. Z tego punktu widzenia Gdańsk miał ku temu bezsporne prawo; względy historyczne bowiem, przemawiające za Polską z każdego kamienia gdańskiego, mogą być współcześnie brane w rachubę tylko jako argument pomocniczy, szczególnie tam, gdzie struktura ludnościowa została zmieniona sztucznie lub w wyniku aktów gwałtu i bezprawia. W stosunku do Gdańska zarzutu tego uczynić nie można. Jeżeli zaś argumentem decydującym miały być względy gospodarcze, to oczywiście musiałby być Gdańsk włączony integralnie do Polski. Najbardziej obiektywna, sumienna i systematyczna analiza wskazuje, że każdy okres ścisłego, gospodarczego związku z Polską stanowił automatycznie rozwój gospodarczy Gdańska. Każde oddzielenie od Polski rozwój ten powstrzymywało, a nieraz cofało Gdańsk w tym rozwoju wstecz [1]. Obecny ustrój prawnopolityczny Gdańska oparł się o obie zasady, tworząc kompromis, który stał się powodem ustawicznych tarć i nieporozumień. W Gdańsku wytworzył on stan chorobliwej psychozy narodowej. Myślą, z którą budzi się i zasypia każdy prezydent W. Miasta, każdy senator, każdy polityk niemiecki, każdy urzędnik, jest obawa, czy w ciągu nocy lub dnia nie przybył tu jeden nowy Polak, czy nie będzie on kiedyś obwiniony, że właśnie za jego przyczyną wzmocnił się element polski w Gdańsku. Wydaje się każdemu z nich, iż zostali postawieni jak żołnierze przy samotnej reducie, a honor ich wymaga namiętnej obrony każdej relikwii ducha niemieckiego. Jest to oczywiście przesada patologiczna;

---

[1] Przedmiot ten wyczerpuje praca dr. St. Sławskiego: *Gdańsk, Polska a Niemcy*, w sposób tak rzeczowy, przejrzysty i gruntowny, a zarazem tak spokojny i obiektywny, iż do argumentów autora żadnej nowej myśli dodać nie można.

tym niemniej jednak uczucia te muszą być rozumiane przez nas, szczególnie przez nas, którzy w obronę naszego narodowego stanu posiadania wkładaliśmy tyle sentymentu i niemal religijnego uczucia.

Te momenty psychiczne, odgrywające w rozwoju współżycia gdańsko-polskiego całkiem poważną rolę, nie są jednak ani w Gdańsku, ani w Polsce dostatecznie doceniane. Konsekwencje zaś są całkiem poważne. Jest ustalonym aksjomatem, że handel i towar są nierozdzielnie związane z człowiekiem. Wytwarzać atmosferę wrogą lub niechętną przeciwko kupiectwu, a równocześnie dążyć do rozkwitu handlu jest absurdem. Tymczasem Gdańsk tak właśnie absurdalnie usiłuje rozwiązać swój problemat egzystencji. Tendencją jego jest narodowy i polityczny związek z Rzeszą Niemiecką. W konstrukcji „wolnego miasta" widzi on już przecięcie połowy więzów, które łączyły go z Niemcami, a na podstawie samego prawa kontrastu obawia się, że już w połowie stał się organizmem narodowo polskim. Toteż wszystkie usiłowania Senatu, biurokracji i partii politycznych z tym większym uporem zmierzają do celu odwrotnego, tj. do wzmocnienia więzów z Rzeszą Niemiecką a rozluźnienia z Polską. W imię tej właśnie separacji od Polski Wolne Miasto Gdańsk nie omija żadnej sposobności, najbardziej nawet błahej formalności, by podkreślić wobec Polski swą suwerenność wolnego państwa. Równocześnie łamie codziennie tę zasadę wobec Niemiec. W polityce zewnętrznej i wewnętrznej, w życiu organizacyjno-politycznym i finansowym, w polityce handlowej przestrzega się tam tę łączność wszechniemiecką na każdym kroku. Nawet urzędnicy, nie wyłączając najwyższych, przenoszeni są z Gdańska do Niemiec i odwrotnie, tak jak gdyby organizmy te stanowiły jedność z punktu widzenia prawnopolitycznego. W imię tej samej tendencji witane są gorąco w Gdańsku wszystkie zjazdy i kongresy wszech-

niemieckie, a szczególnie te, których ostrze skierowane jest wybitnie przeciwko Polsce. W imię tych samych przesłanek czynił Gdańsk największe wysiłki i to nie bez poważnego i realnego skutku, by już w konwencji paryskiej z listopada 1920 r., a jeszcze bardziej w umowie warszawskiej z dnia 24 października 1921 r. podważyć na niekorzyść Polski zasadnicze stypulacje, wynikające z traktatu wersalskiego. Ponadto w artykule 104, punkcie 5 tego traktatu zastrzeżone jest wyraźnie, że „żadne różnice nie będą czynione w Gdańsku na szkodę obywateli polskich i innych osób pochodzenia polskiego", praktycznie jednak zobowiązanie to stało się całkowitą fikcją. Łatwiejsze jest osiedlenie się Polaka w Prusach, a nawet w Sowietach niż w Gdańsku. Trudno wreszcie domagać się cytowania istniejących jednak dokumentów i dowodów, wykazujących, że wszystkie organizacje antypolskie i antypaństwowe znajdują przytułek właśnie w Gdańsku. Solidaryzując się bowiem jak najpełniej i całkowicie z antypolską polityką Prus, Gdańsk pragnąłby w imię interesów narodowoniemieckich jak największego osłabienia Polski, rozkruszenia jej siły wewnętrznej, a więc jej upadku gospodarczego i politycznego. Z drugiej zaś strony, zamykając oczy na wszystkie te impedimenta, Gdańsk chciałby nadal korzystać w całej pełni z przywileju Kazimierza Jagiellończyka, chciałby być na zawsze monopolowym portem Polski, głównym pośrednikiem w jej eksporcie,[1] a nawet apodyktycznym importerem, nie krępowanym polityką handlową państwa polskiego. Te dwie sprzeczne tendencje pogodzić się nie dadzą; są biologicznie przeciwstawne i wrogie sobie. Rząd pruski stosował swego czasu politykę wyjątkową, mającą na celu ułatwienie konkurencji rdzennie niemieckich portów z Gdańskiem. Tak np. fracht kolejowy na zboże

[1] Por. S. Sławski, *Gdańsk, Polska a Niemcy*, s. 38.

ze Lwowa do Gdańska wynosił w roku 1875 za 100 km mk. 6,40; ze Lwowa do Szczecina mk. 3,92 za 100 km[1]. Przykładów takich można by zacytować znacznie więcej. Polska takich metod politycznych wobec Gdańska nie zastosowała, a przypadkowe niedokładności natychmiast wyrównywała. Ponadto zagwarantowała pożyczki potrzebne na rozbudowę portu w Gdańsku, przyznała Gdańskowi poważny udział w dochodach celnych. Gdyby jednak rząd polski z własnej inicjatywy uczynił i dwukrotnie więcej dla Gdańska i jego życia gospodarczego, to jednak problemat ten nie zostanie rozwiązany nawet w zakresie czysto gospodarczym. Port handlowy Polski musi bowiem zająć zdecydowanie aktywne stanowisko w stosunku do gospodarstwa wielkiego zaplecza. On musi inicjować nowe linie okrętowe, on musi badać potrzeby i trudności gospodarcze Polski, on musi je usuwać, inwestując nieraz z perspektywą 10 lat naprzód, on musi wyrywać z Polski zagadnienia gospodarcze, a nie biernie cedzić je przez swój filtr z nieustanną obawą, czy nie odda przez to większej usługi Polsce niż sobie.

Zjawia się np. fakt wojny polsko-rosyjskiej, przybywają do Gdańska okręty z amunicją, której sprawny wyładunek decydować może o życiu i bycie państwa. Ale Gdańsk nie wie, czy ma zająć stanowisko portu polskiego czy miasta pruskiego. Oba stanowiska są całkowicie sprzeczne, a więc wybiera drugie stanowisko i czyni wszystkie możliwe trudności Polsce. Zjawia się następnie na horyzoncie wojna celna niemiecko-polska. Najostrzejszy cios spada na węgiel polski. Czyż może mieć do nas pretensję — choćby najżarliwszy patriota niemiecki — że ginąc pod ciosami tej wojny gospodarczej nie chcemy? Że nie pozwalamy na zniszczenie zainwestowanych i przez Niemców kapitałów na Śląsku? Gdyby wówczas sam Gdańsk podjął inicjatywę eksportu węgla morzem, byłby związał organicznie ten olbrzy-

mi handel ze sobą na trwałe. Ale czyż może on współdziałać z Polską w jej największych zapasach gospodarczych z Prusami, do których „Frankfurter Ztg." przywiązuje tak decydujące znaczenie? Odwrotnie, w Gdyni zjawiają się Gdańszczanie i chcą budować wielką olejarnię. Uzyskują szybko wszystkie prawnie możliwe przywileje. A potem przychodzą do Gdyni Duńczycy, Holendrzy, Anglicy, Francuzi, nawet Niemcy, a każdy, kto ma zdrową i słuszną inicjatywę, pracuje, zarabia, rozwija się. Ten mały parweniusz w rodzinie hanzeatyckiej, mający za sobą 7 czy 8 lat życia dopiero, posiada jednak stare, hanzeatyckie usposobienie. Promienna radość ogarnia na widok, jak ten 8-letni malec, Gdynia, nauczył się już wymawiać i rozumieć słowo „business", jak wpatruje się w całą Polskę od morza do Karpat, czy nie zamierza ona czegoś przywieźć lub wyeksportować, jak sobie dobiera najruchliwsze elementy z całej Polski, byle tylko pobić rekord przeładunkowy jednego roku w roku następnym. Z jednej strony więc organizm o starych, wyrobionych tradycjach handlowych, o wielkim doświadczeniu i sprawności, o wspaniałych urządzeniach, związany nerwem Wisły z całą Polską i tylko Polską, zorganizowany na dysonansie elementów politycznych i handlowych, wpatrzony z trwogą w swe sito, aby przypadkiem ze strumieniem siedmiu milionów ton towarów nie przedostał się do wnętrza „groźny" element polski, z drugiej zaś wolny wodospad, czyniący jeszcze różne błędy i pomyłki, ale związany żywiołowo, każdym nerwem z całym organizmem Polski, z jej prawem, jej polityką handlową, jej walutą, jej celami i potrzebami. Czyż w tych warunkach można uczciwie obwiniać Polskę, że Gdynia rośnie jak na drożdżach, że dziś wykazuje zdolność przeładunkową 3-krotnie większą niż Gdańsk w okresie przedwojennym?

Oto więc nowy i ciężki problemat Polski współcze-

snej, nowy, związany z poprzednim łańcuch raf podwodnych. Bez żadnego wpływu z naszej strony, bez jakiejkolwiek konkretnej i dysponowanej politycznie akcji polonizacyjnej, wzmaga on napięcie wielkiego konfliktu niemiecko-polskiego, ustawicznie i świadomie wykrusza i załamuje naszą politykę handlową, a w szczególności celną, ułatwia wszelką akcję antypaństwową, a w końcu staje się coraz częściej odrębnym czynnikiem „polityki szpilek" i nieprawdopodobnie złośliwej propagandy przeciwko Polsce.

Stajemy następnie przed naszym problematem wschodnim. Ma on oblicze Sfinksa, stanowi linię wichrowatą i cyfrę niewymierną. Może są to tylko skały lodowe, rzucane po morzu życia wichrem północnym i ręką przypadku, bardziej groźne zewnętrznie niż niebezpieczne, może to są potężne góry podwodne, przyczajone tuż pod samą powierzchnią, a może tylko źródła huraganów, pędzących czasem statki w kierunku istniejących już raf i min podwodnych.

Gdy na Zachodzie wszystko jest zdefiniowane i jasne, tu wszystko jest ciemne i mgliste. W atmosferze wyczuwa się wiszący konflikt, którego poważnych, historycznych źródeł dokładna analiza wykryć nie jest w stanie. Tu bowiem styka się już Polska z przedziwnym światem Wschodu, światem krańcowości, ekstremów, nagłych wzburzeń i nagłych uspokojeń, wszelkich możliwości i niespodzianek. Tu konflikty mogą wyrastać bez istotnych, głębokich przyczyn, tu króluje zasadnicza nieufność i podejrzliwość, tu wystarczy chwila słabości naszej, chwila rozproszenia uwagi albo rozładowania innego konfliktu, by być zaatakowanym.

Już w pierwszym momencie powstania nowej Polski zarysował się groźny konflikt z naszym sąsiadem wschodnim, który niebawem przerodził się w regularną, wielką wojnę. Zarówno źródła tego konfliktu, jak też i sam przebieg tej wojny nie były pozbawione pew-

nych cech paradoksu. Dla Polski jedno zagadnienie w stosunku do Rosji posiadało pierwszorzędne, podstawowe znaczenie, a mianowicie: jak się ona ustosunkowuje praktycznie do fundamentalnej zasady polityki carskiej negacji niepodległości i samodzielności Polski. Sprawa buforowych państw: ukraińskiego i białoruskiego, stanowi dla nas tylko zagadnienie wtórne i niesamoistne. Własny nasz kraj wymaga tak olbrzymiego nakładu pracy i środków materialnych, wymaga rozwiązania krok za krokiem tylu ciężkich problematów, splątanych, zaciemnionych i zniekształconych w okresie wiekowej niewoli, że wywoływanie nowych, zewnętrznych problematów, wymagających rozproszenia zasobu naszych sił, musi być obce polityce polskiej. Tendencja ta mogłaby się zjawić tylko jako pochodna polityki rosyjskiej, podtrzymującej nadal ideę podziałów lub opanowania Polski. Tak samo jak dziś istnieje w nowej Polsce całkowite odczucie i zrozumienie, iż granice wschodnie Polski z r. 1772 są w nowych warunkach zupełnie nieaktualne, gdyż zmieniły się do gruntu zasady, na których była zbudowana stara, szlachecka Rzeczpospolita, tak też chcemy mieć tę świadomość, że nowa Rosja wyrzekła się agresywnego imperializmu w stosunku do Polski i to zarówno sama, jak i w łączności z innymi państwami, budującymi swe nieusprawiedliwione ambicje polityczne właśnie na zaborze ziem polskich i dalszym, dośrodkowym spychaniu elementu polskiego. Jest to jedyna kardynalna zasada, na której muszą być zawsze budowane stosunki polityczne rosyjsko-polskie. Jeżeli jest ona obustronnie przyjęta, to równocześnie giną wszelkie, zasadnicze podstawy sporu i konfliktu politycznego, a przynajmniej te wszystkie, które czynią konflikt nierozwiązalnym na drodze pokojowej i negocjacyjnej. Nie może też uchodzić naszej uwagi, iż z dwu oscylujących w Rosji ekstremów, tj. rządów ludowładczych — bez

względu na formy, w jakich się one przejawią — i rządów nacjonalistycznych, tylko te pierwsze mogą zerwać i potępić politykę zaborów politycznych. Nie tylko ze względu na zasadnicze nastawienie ideowe; ich programem musi być przede wszystkim wewnętrzna przebudowa ustroju i stosunków społecznych i gospodarczych w Rosji, a więc kompleks zagadnień nieskończenie większych i głębszych niż ryzykowne wyładowanie energii na zewnątrz. [— — — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981, O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm.: 1983, Dz.U. nr 44. poz. 204)]

Czyż możemy z góry i z niezachwianą pewnością liczyć, że stosunki sąsiedzkie z Sowietami unormują się w ten sposób, iż wszelkie możliwości ataku z tej strony, szczególnie ataku łącznego z Prusami i Litwą, są na przyszłość wykluczone? Jeżeli idzie o stanowisko Polski, to trzeba być chorobliwym maniakiem, wyrosłym w zatumanionej atmosferze dyplomacji przedwojennej, by insynuować jej tendencje agresywne. Każde dziesięciolecie pokoju, nie zamąconego nawet tylko pobrzękiwaniem szabli, to ogromny los, wygrany przez Polskę na loterii życia. Gdziekolwiek tylko zwrócić oczy na całej przestrzeni Polski, tam wszędzie czeka bezmiar potrzeb na pracę konstruktywną i twórczą. Każdy dom polski, każda chata, każdy człowiek w Polsce zdaje się wołać o pokój i pracę! Posunąć o jeden krok naprzód poziom materialny i kulturalny społeczeństwa polskiego, to zwycięstwo rzeczowe i istotne tysiąckrotnie większe niż sto wątpliwych zwycięstw wojennych. Wojna naraża na szwank całość i niepodległość państwa, a rujnuje na pewno wszystkie podstawy egzystencji, odbudowy i rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Jest więc antypodą, najskrajniejszym przeciwstawieniem się celom i niezmiennym podstawom naszej polityki państwowej. Nie ma ani jednego argu-

mentu, godzącego się ze zdrowym rozsądkiem, dla insynuowania Polsce idei wojny agresywnej w imię jej własnych celów politycznych, ale tysiąckrotnie większym nonsensem byłoby dopuszczenie samej tylko możliwości podjęcia wojny agresywnej przez Polskę w imię jakichkolwiek celów obcych. Nie ma dla nas ani ceny, ani koncesji, która by tak szaleńczy projekt mogła choćby tylko zrównoważyć. Jeżeli idzie o Rosję Sowiecką, należy również przeciwstawić się wszelkim nierzeczowym insynuacjom pod jej adresem; z punktu widzenia czysto politycznego tendencje rządu sowieckiego są niewątpliwie bardziej pokojowe niż jakiegokolwiek innego rządu rosyjskiego. Niemniej należy liczyć się ze szczególną psychozą organizacji sowieckiej, uświadamiającej sobie dokładnie, iż samo głębokie przeciwstawieństwo ustroju całego świata i ZSRR wywołuje szereg prądów przeciwko niej skierowanych. Niechęci te są ustawicznie podsycane przez liczne fakty, uderzające w sposób jaskrawy w całą ideologię i sposób myślenia tych narodów i części świata, które od wieków są związane — nie tyle z systemem kapitalistycznym, jak to się zawsze określa demagogicznie w Sowietach — ile raczej z cywilizacją Zachodu. Ich stosunek do zagranicznych zobowiązań finansowych dawnej, przedwojennej Rosji, udzielonych przede wszystkim na podstawie zaufania i to nie w stosunku do poszczególnych rządów, ale do samego państwa rosyjskiego, ich dzisiejsze metody w polityce handlowej, pogłębiające kryzys gospodarstwa światowego, ich akcja propagandowa, szerząca komunizm, a oparta na podstawach bardzo materialnych i prozaicznych, ich brutalny sposób rozprawiania się z każdym człowiekiem, posądzonym o opozycję lub zdradę wiary sowieckiej, ich sposób walki z religią — wszystko to sprawia, że Sowiety istotnie i słusznie wyczuwają szeroką atmosferę niechęci, którą są otoczone. Gdy jednak Sowiety zatracą

zdolność oceny wszystkich elementów własnej, daleko posuniętej agresji, dotyczącej oczywiście w nieporównanie większym stopniu organizmów państwowych o całkowicie rozbudowanym i wykończonym systemie przemysłowym i to agresji podwójnej: gospodarczej i społecznej, a więc zmierzającej coraz jawniej do podważania podstaw gospodarstwa międzynarodowego i równocześnie wyzyskującej ten fakt, celem budowania na nim warunków przewrotu socjalnego, to równocześnie dopatrują się wszędzie organizowania zbrojnej agresji przeciwko sobie. Wówczas to podejrzliwy swój wzrok kierują przede wszystkim w stronę Polski, Rumunii i kilku państw bałtyckich, nie mogąc strawić jakiegokolwiek współdziałania tych państw, oraz nie mogąc dojrzeć innego celu w tej współpracy, jak tylko wzmacnianie frontu antysowieckiego. W tej myśli też rozbudowują Sowiety gorączkowo wszystkie elementy militarne we własnym państwie. Tak więc i tu pierwsze przeszkody do uregulowania i ustabilizowania wzajemnych stosunków politycznych i gospodarczych wgryzły się głęboko w stan psychiczny obu społeczeństw, tworząc zaporę większą i grubszą, niż to wynika ze stosunków istotnych i istotnych celów i założeń politycznych obu państw. Nie można zaprzeczyć, a nawet nie można dziwić się, że i społeczeństwo polskie jest przewrażliwione politycznie. Zjawisko to ma w Polsce głębsze usprawiedliwienie niż w jakimkolwiek innym państwie. Przez sto kilkadziesiąt lat byliśmy obiektem eksperymentów bezdennej obłudy politycznej, kolonialnej eksploatacji gospodarczej, wyzucia całego narodu i pojedynczego człowieka ze wszystkich praw. Musieliśmy doświadczać na sobie wiarołomstwa wielu gwarancji, podpisów i deklaracji cesarskich i dziś jeszcze stoimy wobec faktu wmawiania nam w „biały dzień", przez ludzi przytomnych i poważnych, afiszujących się nieraz, jako nasi „przyjaciele", iż naszym

śmiertelnym grzechem wobec Europy jest to, że ludność nasza nie dała się zgermanizować i wytępić na Pomorzu, Śląsku i w Poznańskiem, że nie uległa naciskowi pieniędzy, bezprawia i kultury germańskiej, że chcemy żyć jako ludzie wolni, bez potrzeby wysyłania corocznie setek tysięcy naszych braci dla kolonizowania najgorszych resztek nieużytków kuli ziemskiej! Przyzna każdy obiektywny polityk, że nie jest to dość mocna i twarda podstawa dla obdarzania innych narodów zaufaniem na kredyt. Choć więc nie widzimy dla siebie ani podstaw, ani celu jakiegokolwiek konfliktu z Rosją współczesną, mimo to do pełnego znormalizowania stosunków wzajemnych dotrzeć nie możemy. Być może, że w tych wysiłkach popełniamy takie czy inne błędy; codzienne obserwacje i fakty nakazują nam jednak największą ostrożność, a nawet najdalej posuniętą nieufność. Przede wszystkim więc stwierdzamy, iż w tym samym momencie, w którym zjawia się pomiędzy Prusami i Rosją, tak nawet różnymi dziś w swej wewnętrznej strukturze, przegroda w formie niezależnej i wolnej Polski, cele i metody polityki zewnętrznej obu naszych wielkich sąsiadów schodzą się ponownie do jednego mianownika. Gdyby istniał jakiś synchroniczny sejsmograf polityczny, notujący z najodleglejszych miejsc identyczne drgania i poruszenia, to stwierdzilibyśmy ponad wszelką wątpliwość, iż każdy odruch antypolski w Berlinie wywołuje żywy oddźwięk i reakcję w Moskwie i odwrotnie. W r. 1920 nawet w Moskwie nie wyczekiwano z tak zapartym oddechem wiadomości o zwycięstwie armii czerwonej nad Wisłą jak w Berlinie; czy idzie o pakt nieagresji czy o traktat handlowy, czy nawet czasem o pojedynczą transakcję, wszędzie tam, gdzie zjawia się sama możliwość usunięcia jednej z zapór nieufności politycznej między Sowietami i Polską, sejsmograf berliński drży. [— — — —] [Ustawa z dn. 31 VII 1981, O kon-

troli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 3 (Dz.U. nr 20, poz. 99, zm.: 1983, Dz.U. nr 44, poz. 204)]

Abstrahując od kwestii ustawicznych prób szerzenia agitacji komunistycznej w obcych państwach, a w tym i w Polsce, prób uszczęśliwiania przemocą innych narodów systemem, który w swej istocie nie poprawił zasadniczo bytu człowieka, który przez swą ekskluzywność narażony jest w wysokiej mierze na wyprodukowanie z biegiem lat i nowej autokracji i nowych helotów przez czystą zamianę ról pomiędzy burżuazją i proletariatem, nie można nie zwrócić uwagi na przygotowania sowieckie do wielkiej batalii gospodarczej ze światem kapitalistycznym. Gdy bowiem za akcję propagandowo-komunistyczną oficjalne czynniki sowieckie formalnej odpowiedzialności — wbrew oczywistości — ponosić nie chcą, to cała akcja „nowej polityki ekonomicznej" stanowi dziś „stos pacierzowy" skoncentrowanych wysiłków rządu. Trudno obecnie przesądzać ostateczne wyniki tzw. „piatiletki". Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, iż realizacja tego programu przekroczy znacznie ustalone terminy, a następnie wykaże szereg błędów, niedociągnięć lub nawet definitywnie ujemnych rezultatów. Tym niemniej jednak bagatelizowanie tej akcji i klasyfikowanie jej jako „humbugu" jest całkowicie nieusprawiedliwione i niepoważne. Wysiłki gospodarcze rządu sowieckiego są duże, a wobec całkowitego podporządkowania wszystkich zagadnień państwowych i wszystkich środków materialnych olbrzymiego obszaru jednej centralnej woli i jednej decyzji, istnieje łatwość osiągnięcia poważnych skutków. Można przypuszczać, iż w jednym kierunku wysiłki te nie pozostaną nawet bez dodatniego wpływu na rozwój organizacji gospodarstwa światowego. Ustalona bowiem teoretycznie i naukowo przed wielu laty, szczególnie w Ameryce, zasada planowości w rozwiązywaniu kompleksu zagad-

nień gospodarczych jest tu realizowana po raz pierwszy w szerokiej, państwowej skali, na podstawie generalnego planu. Oczywiście, iż pierwsza realizacja wykaże błędy lub braki, spowoduje praktyczne korektury, ale wykształci w tym laboratorium całe zastępy ludzi, którzy wniosą nowe zasady do organizacji prywatno-gospodarczych. Nie można bowiem zapominać, iż w związku z rozbudową produkcji w Rosji pracuje obecnie około 2 000 obcych inżynierów, głównie amerykańskich, podejmujących próby zharmonizowania olbrzymich zagadnień produkcyjnych, na razie cudzym kosztem i na cudzym terenie. Ale fakt ten zmusi niewątpliwie w przyszłości wiele organizmów państwowych do gruntownej korektury ich własnych programów ekonomicznych.

Na podstawie porównania szeregu opinii, sprawozdań i referatów obraz tych prac można zsyntetyzować następująco. Natychmiast po rewolucji upadek gospodarstwa sowieckiego był bardzo znaczny. W r. 1921 produkcja górnicza i przemysłowa wahała się w granicach około 10 proc. produkcji przedwojennej. W latach 1929/30 prawie we wszystkich działach przemysłu produkcja przekroczyła już poziom przedwojenny. W związku z planem pięcioletnim podjęto przede wszystkim akcję w zakresie rozbudowy całego przemysłu metalurgicznego i związanego z nim górnictwa węglowego i koksownictwa. Największym centrum stalowym kontynentu ma się stać Magnitogorsk, budowany przez amerykańską firmę „Mc. Kee Company". Miejscowość ta ma posiadać nieprzebrane zapasy rudy 62-procentowej, a budowane zakłady przemysłowe mają być wyposażone w 8 wielkich pieców, o zdolności produkcyjnej surówki po 1000 ton na dobę każdy. Łącznie ze stalownią buduje się tu olbrzymią centralę elektryczną na około 200 000 KW. Podobnie program ten obejmuje rozbudowę produkcji miedzi i aluminium, fabryki

automobili, traktorów i tanków. W pobliżu więc Niżnego Nowogrodu buduje firma „Ford" na podstawie umowy z maja 1930 r. fabrykę, mającą dostarczać w przyszłości do 140 000 automobili rocznie, a w Czeljabińsku powstaje fabryka traktorów, obliczona na produkcję 50 000 sztuk rocznie, wyposażonych w motory 60-konne.

Na Dnieprze powstaje wielka centrala wodna, Dnieprostroj, która w r. 1933 zamierza doprowadzić produkcję prądu do 2,5 mld kilowatogodzin. Wreszcie warto zaznaczyć, że plan „piatiletki" przewiduje rozbudowę szeregu fabryk chemicznych, a w tym i azotowych, że zwiększa się w Sowietach gwałtownie produkcja ropy naftowej, azbestu, manganu etc.

Gdyby tylko część tego programu była pomyślnie zrealizowana, byłby to już sukces wcale poważny. Nie można jednak wykluczyć, że z opóźnieniem lub przeróbkami i cały program zostanie zrealizowany i pocznie kiedyś normalnie funkcjonować.

Jeżeli przy produkcji tej miałby być uwzględniany wysoki kapitał zakładowy, to już ten jeden fakt zaważy na jej losach wcale poważnie. Budowa podejmowana jest bez dłuższych, wstępnych przygotowań, a więc każdy szczegół musi być „ad hoc" organizowany. Zobowiązania płatnicze pokrywają Sowiety prawie wyłącznie przez bezwzględny eksport swoich wytworów, gdyż bilans płatniczy ich nie wykazuje żadnej innej, poważnej aktywnej pozycji. W tej przymusowej sytuacji zdobywanie obcych walut na pokrycie zobowiązań „piatiletki" łączy się z całym szeregiem zjawisk wybitnie ujemnych. Tak np. w r. 1929/30 eksport sowiecki wzrósł ilościowo o 57% w porównaniu z okresem poprzednim, wartościowo zaś zaledwie o 17%. Obraz ten w roku następnym jest niewątpliwie znacznie gorszy, gdyż ogólnoświatowy kryzys spowodował olbrzymi spadek cen, dotykający przede wszystkim surowców i pło-

dów agrarnych, tj. produktów, stanowiących obecnie całą podstawę eksportu Sowietów. Dalszym ujemnym zjawiskiem, związanym organicznie z tą polityką ZSRR jest fakt niepomiernego głodu towarów na rynku wewnętrznym i związana z tym drożyzna artykułów pierwszej potrzeby. Obywatel sowiecki musi ograniczać swoje potrzeby do minimum po to, by mogły być pokryte zobowiązania zagraniczne. Jeden z niemieckich korespondentów wylicza, iż na samo wyczekiwanie przed sklepami i kooperatywami na produkty kartkowe — a kupno pozakartkowe dla najszerszych mas ludności jest całkowicie niedostępne — traci się w Sowietach dziennie 60 milionów godzin ludzkiej pracy całkowicie bezproduktywnie [1]. Prawdopodobnie w liczbie tej mieści się dużo przesady; gdyby jednak prawdzie odpowiadała tylko liczba 15 milionów godzin, to stanowi to rocznie miliardowe sumy, które należy doliczyć do kosztów „piatiletki”. Wreszcie nie można pominąć jasnej oczywistości, iż określony poziom rozwoju i ewolucji gospodarczej wymaga ściśle określonego rozwoju cywilizacyjnego, określonych urządzeń technicznych, określonej zdolności konsumpcyjnej całego, zamkniętego obszaru gospodarczego. Jednakże w Sowietach, szczególnie na liniach, łączących nowe centra przemysłowe, pociągi chodzą źle, nieregularnie, ogólna zdolność konsumpcyjna jest nikła, a najmniejsza właśnie w pobliżu narastających środowisk przemysłowych, dowóz zaś towarów do okręgów znaczniejszej konsumpcji jest utrudniony olbrzymimi odległościami, a więc zarazem i drogi. Inicjatywa prywatna zamarła lub wyrodziła się w spekulację — jak zawsze przy zbyt daleko posuniętej reglamentacji państwowej — a inicjatywa państwowa może się okazać za słaba dla opanowania tak olbrzymich zagadnień.

---

[1] Por. H. R. Knickerbocker, *Der rote Handel droht*, Berlin 1931, s. 25.

W końcu narzuca się samo przez się pytanie, dla kogo ma być ta olbrzymia — in spe — produkcja przeznaczona. Pierwszym i najistotniejszym źródłem kryzysu światowego jest fakt, że w okresie powojennym produkcja światowa wzrastała znacznie intensywniej niż liczba ludności. W tym samym okresie czasu kraje pozaeuropejskie wyemancypowały się gospodarczo, następnie przeszły do ekspansji eksportowej, a zniszczona wojną Europa ani sama nie może konsumować swych towarów, ani też nie jest w stanie wyeksportować ich nadmiaru. Konsumpcja na wewnętrznym rynku rosyjskim może oczywiście wzrastać i ma w tym kierunku poważne szanse. Ale ten wzrost odbywa się zawsze powoli, równolegle z narastaniem dobrobytu mas. Tymczasem produkcja w Sowietach ma wzrastać nagle, skokami, jakich nie przeżył jeszcze żaden z narodów na świecie. Jeżeli więc zjawi się konieczność wyrzucenia tej produkcji na rynki zewnętrzne, oczywiście po cenach niższych od własnego kosztu, wówczas powstaną tylko dwie możliwości. Albo gospodarstwa krajowe państw przemysłowych poczną się likwidować, staczając się ku beznadziejnemu zamętowi gospodarczemu i społecznemu, albo zamkną one swe granice dla importu sowieckiego. W obu wypadkach pogłębi się atmosfera konfliktów w świecie. Wspomniany uprzednio publicysta niemiecki postawił wręcz to samo pytanie, dotyczące celowości „piatiletki", kierownikom sowieckim. Mieli oni odpowiedzieć: „Musimy rozbudować wszystkie dziedziny produkcji metalurgicznej w ten sposób, by zabezpieczyć sobie całkowicie wytwórczość potrzebnej ilości broni i amunicji"[1]. Istotnie też z całego planu przebija myśl wysunięcia na pierwsze miejsce zagadnień produkcyjnych, związanych z wojną. Ze wszystkich innych posunięć polityki sowieckiej

[1] R. H. Knickerbocker, *Der rote Handel droht*, s. 68.

przebija niezmiennie myśl o realizacji komunistycznej rewolucji światowej. W dniu załamania się „Banku Angielskiego" radio moskiewskie nie ukrywało promiennej radości i apelu do ludów Imperium, wołającego, iż nadszedł właściwy czas do działania. Nie kto inny, tylko Karol Marks w jednym ze swych przemówień przytacza: „Przyznał to urzędowy historyk rosyjski, Moskal Karamzin, że polityka Rosji jest niezmienna; zmieniają się jej motory, jej taktyka, jej wybiegi, ale gwiazda polarna tej polityki jest gwiazdą stałą; jest to panowanie nad światem!"[2] Czyżby Marks swym promiennym umysłem miał rzucić to ostrzeżenie światu w daleką przyszłość, gdy w Kremlu zasiadać będzie Rada Komisarzy Ludowych związku socjalistycznych republik?

Wszystkie przesłanki i wnioski w tym zakresie są niepewne, wątpliwe, nieuchwytne, nieobliczalne; jedno tylko jest pewne: droga do zachodniej Europy prowadzi przez Polskę!

Przedstawione dwa wielkie problematy nowej Polski, zachodni i wschodni, tworzą główny i najniebezpieczniejszy łańcuch podwodnych skał i raf na drodze naszej egzystencji państwowej. Mimo zupełnie zmienionych warunków politycznych i społecznych w Europie tkwią one swymi korzeniami w dalekiej przeszłości. Ani długie, ubiegłe już lata od początku 18 wieku nie osłabiły ich natężenia, ani nowe przewroty polityczne nie zmieniły ich łożyska, ani dojrzewająca stopniowo myśl o związku współdziałających narodów nie stała się dla nich hamulcem, ani istotne pragnienie wykluczenia zbrodni wojny jako regulatora praw narodów ich nie przekreśliło. A zaraz do nich dołączają się nowe, złośliwe nieraz, czasem kryjące się, to

[2] K. Marks, F. Engels, K. Liebknecht, *Odbudowanie Polski*, s. 148.

znów nagle wybuchające łańcuchy min pływających. Być może, iż same w sobie nie reprezentują tej siły niszczącej co pierwsze. Za to niejedna z nich jest już sprzysiężona z głównymi przeciwnościami Polski, czeka tylko właściwej chwili i komendy obcej do wybuchu.

Los obdarzył nas trzema sąsiadami, z którymi możemy współżyć, z którymi przynajmniej nie dzielą nas zasadnicze spory i konflikty. Jest to Rumunia, Czechosłowacja i Łotwa. Odczuwamy wprawdzie wszyscy i niezmiennie, iż resorty ściśle polityczne Czechosłowacji nie darzą nas szczególną sympatią, są niechętne wszelkiemu zbliżeniu obu, bliskich sobie narodów. Ale logika sytuacji politycznej jest znacznie silniejsza niż wola pojedynczych ludzi, którzy by szkodzili celowo lub podświadomie chęci zacieśnienia węzłów między obu narodami po obu stronach granicy. Mamy wielu prawdziwych i wypróbowanych przyjaciół i w Czechach i w Słowacji, a oni mają ich również w Polsce; ich przyjaźń polityczna wyrosła samorzutnie i bezinteresownie, a więc muszą oni zwyciężyć niechęci zrodzone jeszcze w parlamencie austriackim, pod hasłem orła dwugłowego „divide et impera!". Tak więc 1440 km naszej granicy państwowej nie stoi pod ogniem nienawiści i nieprzyjaźni, pod groźbą ustawicznej walki podjazdowej lub otwartej. Istnieje jeszcze ponadto 72-kilometrowa granica państwowa, spoza której płynie do nas tylko najcenniejsze dobro, największa gotowość do współpracy, która otwiera nieobliczalne korzyści i dla państwa i dla ludzi, tj. granica morska. Temu przeciwstawia się 3950 km granicy państwowej, osaczonej niechęcią jednych sąsiadów i nienawiścią drugich. Cóż z tego, że w Wilnie jest dziś i było przed wojną, a więc bez jakiegokolwiek wpływu ze strony polskiej, mniej Litwinów niż Czechów w Wiedniu, Polaków w Berlinie lub Gdańsku, Słowian

południowych w Trieście lub Niemców w Pradze czeskiej, kiedy litewscy mężowie stanu nie chcą stolicy w Kownie, tylko właśnie w Wilnie. Jakże wielką byłaby dziś Polska, gdyby egzekucję praw historycznych można było przesuwać dowolnie o szereg wieków wstecz! Oni chcą tak samo panować nad Polakami, jak właśnie Niemcy na Pomorzu i na Śląsku, chcą, by zamieszkali tam od wieków Polacy zamienili się nagle na Litwinów lub poszli z tobołami w świat.

Są wreszcie miny podwodne wciąż niszczone i wciąż zakładane na nowo wewnątrz samej Polski. Najbardziej bojowym elementem jest inteligencki żywioł ukraiński w Małopolsce Wschodniej. Jest to podarek danajski dawnych rządów austriackich, pielęgnowany i dziś troskliwie ręką obcą. Od wieków siedzi tam miedza przy miedzy chłop ukraiński obok chłopa polskiego, w jednej chacie i przy jednym stole siedzą często dwie narodowości, stoją tam kościoły obok cerkwi, wiekowe cmentarze polskie i ruskie przy sobie, ludzie o polskich nazwiskach uważają się za Rusinów i odwrotnie, jeden z najstarszych kronikarzy mówi: „Szedł Włodzimierz na Lachów i zabrał im ich grody Czerwieńskie", inny znów czyni ziemię tę historycznie ruską; przez szereg wieków trwała tu zgoda narodowościowa, zapisując w historii tych ziem jedno bohaterstwo polskie za drugim, Lwów, Zbaraż, Trembowla i jakże tu dziś sprawiedliwie i uczciwie rozwiązać ten tysiąckrotnie splątany węzeł gordyjski, który ongiś był braterskim związkiem? A oto jest jeszcze trzeci, który tę ziemię i ten lud za swoją poczytuje własność. Dnia 23 września 1914 r. wojenny generał-gubernator Galicji, hr. Bobrinskij, deklarował przez tłumacza polskiej radzie miejskiej miasta Lwowa co następuje: „Galicja Wschodnia i Łemkowszczyzna z dawien dawna stanowiły część rdzenną jedynej, wielkiej Rusi... Zatem układ na tych ziemiach powinien się zasadzać

na pierwiastkach rosyjskich. Pan Hrabia będzie tu wprowadzał rosyjski język, prawo i urządzenia państwowe"[1]. Oddać więc tę ziemię jedynej, wielkiej Rosji? Ależ tego nikt nie chce, ani Ukraińcy, ani Polacy. Oddać ją Ukraińcom? To bezsprzecznie żywiołowa walka silnego elementu polskiego przeciwko Ukraińcom aż do upadłego, albo aż do zwycięstwa, i to z pełnym poczuciem ich wiekowych praw tubylczych. Problemat jest więc znacznie trudniejszy niżby się pozornie wydawało. Ale przecież z biegiem lat, z dojrzewaniem politycznym ludności tych ziem rozwiązanie pozytywne znaleźć się musi. Na dziś zadaniem i obowiązkiem Polski musi być, by ludności kresowej, gdzie przenikają się głębiej — jak to właśnie ma miejsce na wschodzie — różne, a nawet nie zdeklarowane jeszcze elementy narodowe, zapewnić dobrą, sprawną, uczciwą moralnie i politycznie, sprawiedliwą administrację, by uszanować prawa mniejszości terytorialnych przynajmniej w takim samym zakresie, jak tego pragniemy dla mniejszości polskiej poza granicami naszego państwa, by otoczyć opieką i życzliwością w każdych okolicznościach element spokojny i lojalny wobec państwa, niezależnie od jego zdecydowanej świadomości narodowej, by dać mu wreszcie możność rozwoju kulturalnego i gospodarczego na równi z elementem polskim. W tym właśnie duchu przeprowadzona rewizja pojęć naszych w ustosunkowaniu się do mniejszości narodowych jest nakazem państwowej racji stanu; jest też podwójnie ważkim obowiązkiem moralnym właśnie dla Polski, która sama doznała tylu krzywd i tyle ucisku od obcych, stwierdzając na sobie, iż metody te są całkowicie bezskuteczne, jeżeli nie wręcz szkodliwe.

Wreszcie zagadnienie mniejszości bezterytorialnej, tj. Żydów, tak licznie zagnieżdżonych w miastach

---

[1] *Księga Tęczowa Polaków*, Warszawa 1915, s. 71.

i miasteczkach centralnej, wschodniej i południowej Polski. Jest zjawiskiem z punktu widzenia państwowego dodatnim, iż napięcie antysemityzmu w Polsce stopniowo i systematycznie maleje. Był to bowiem objaw całkowicie bezproduktywny. Gdyby koncentracja Żydów w Polsce odpowiadała zwykłym normom zachodnioeuropejskim, gdyby następnie Żydzi polscy zasymilowali się gospodarczo i cywilizacyjnie tak samo, jak to czynią wszędzie na Zachodzie, problemat żydowski w Polsce nie istniałby zupełnie. Jednakże znaczna większość Żydów w Polsce broni zajadle nie tyle swojej odrębności narodowej, przeciwko której nikt w Polsce nie potrzebuje powstawać, ile raczej swej odrębności i gospodarczej i cywilizacyjnej. W zakresie gospodarczym odrębność ta polega na niechęci wielkiej części elementu żydowskiego oddawania się pozytywnej i produktywnej pracy wytwórczej lub handlowej, natomiast lgnie ona ze szczególnym zamiłowaniem do wszelkiej spekulacji. Pod względem cywilizacyjnym podtrzymuje masa żydowska te wszystkie jaskrawe odrębności, które właśnie muszą napawać odrazą do żydowskich dzielnic naszych miast, a z którymi to odrębnościami dawno już zerwali Żydzi na Zachodzie, pozostając niemniej gorliwymi wyznawcami swej wiary i odrębności narodowej.

W obu tych sprawach rysuje się jednak pewien postęp, propagowany przez światlejsze jednostki ze społeczeństwa żydowskiego w imię własnego dobra Żydów. Szczególnie w zakresie gospodarczym poszczególne organizacje żydowskie rozwijają energiczną działalność pozytywną bądź to jako agenci handlowi i eksporterzy, bądź to jako kooperacje kredytowe i wytwórcze, współdziałając w odproletaryzowaniu mas żydowskich i skierowaniu ich do konkretnej pracy.

Najtrudniejszy do rozwiązania jest w tym zakresie problemat ilościowy. Po części jesteśmy temu sami

winni. Prof. St. Kutrzeba pisze: „Gminy żydowskie, po niewielu większych tylko miastach znajdujące się, w końcu 15 i w początkach 16 wieku zaczęły się stawać liczniejsze, a to wskutek silnego dopływu Żydów, którzy w tym czasie z powodu prześladowań w Niemczech uciekali do Polski"[1]. Również pewne postanowienia kościelne przyczyniły się do zaszczepienia wśród Żydów szczególnego pociągu do lichwy i spekulacji. „Obok handlu — pisze St. Kutrzeba — w którym Żydzi nie brali zresztą większego udziału, zajmowali się głównie pożyczaniem na procent, czyli lichwą; zakazy kościelne pożyczania na procent sprawiły, iż wobec wzmagania się potrzeby kredytu przy rozwoju gospodarczym, ta działalność wyłącznie Żydom przypadła"[2].

Król pruski, Fryderyk II, przytacza w swych pamiętnikach, że natychmiast po pierwszym rozbiorze wypędził kilka tysięcy Żydów z prowincji zabranych do pozostałej Polski. Później Rosja wciskała również systematycznie Żydów do Polski aż do czasów najnowszych. Tak więc byliśmy w ciągu wieków zbiornikiem dla Żydów pędzonych do Polski z połowy Europy. Mimo to część elementu żydowskiego w okresie zaborów była w Polsce rozsadnikiem i filoniemieckim i filorosyjskim. Tu więc leży również ułamek przyczyn jaskrawego dawniej antysemityzmu w Polsce. Niemniej ujemne skutki wywołuje również sam fakt nadmiernego skupienia Żydów w Polsce. Rezultatem tego stanu rzeczy jest to, że w stosunku do małych obrotów handlowych w zubożałym społeczeństwie rozciągnął się zbyt długi i zbyt obfity łańcuch pośrednictwa. Małe obroty przedsiębiorstw handlowych powodują oczywiście drożyznę towaru, pomimo zaś wysokich zysków jednostkowych ogólny dochód kupca jest mały.

---

[1] S. Kutrzeba, *Historia ustroju Polski*, t. I, s. 144.

[2] Tamże, s. 65; odnosi się do epoki 13 i 14 wieku.

Toteż utrzymuje się z jednej strony bieda i nędza w masach żydowskich, trudniących się drobnym handlem, z drugiej zaś istnieje usprawiedliwione podłoże do wrogiego stosunku społeczeństwa do handlu w ogóle, a do Żydów w szczególności, jako narzędzia podrażającego ceny towarów.

Tak więc ze wszystkich stron postawiona jest dzisiejsza Polska pod naciskiem wielkich problematów, poważnych trudności, ze wszystkich stron wieją wrogie wiatry, mogące w każdej chwili przerodzić się w huragany, co chwila podpływają pod nasz okręt państwowy naładowane dynamitem miny zdradliwe, co chwila przeglądają przez lustro wód skały i rafy podwodne. W testamentarnej pracy swej ostrzega G. Clemenceau: „Tymczasem możliwości konfliktu wciąż wzrastają, gdyż u większości mocarstw idea pokoju nie zdołała jeszcze przezwyciężyć tradycji zaciekłego egoizmu, które wywołały wojnę!"[1] Same zabiegi dyplomatyczne, a nawet i sojusze nie są w stanie zabezpieczyć Polsce pokoju, tak bezwzględnie, tak nieodzownie, tak bez zastrzeżeń niezbędnego dla odbudowania i rozwoju wartości materialnych i kulturalnych w kraju, niszczonym systematyczną, wiekową okupacją i wojną. „Dyplomacja bowiem jest raczej stworzona dla podtrzymania waśni, niż dla wprowadzenia nowych wartości"[2]. Nie możemy polegać tylko na prawie narodów, bo najoczywistsze nawet prawo jest kwestionowane. Nie możemy zaufać całkowicie i bezwzględnie traktatom i umowom politycznym, gdyż wszystkie traktaty od 30 wieków były zawierane jako trwałe, nienaruszalne i wieczne, a grube tomy historii świata są w rzeczywistości tylko historią łamania umów i zobowiązań międzynarodowych. Nie wolno nam wreszcie zaufać tylko szabli, bo przeciw niej dziesięć innych

---

[1] G. Clemenceau, *Blaski i nędze zwycięstwa*, s. 198.
[2] Tamże, s. 174.

może powstać, a metody walki są niewyczerpane i nieograniczone.

Bezpieczeństwo istotne i nieodparta siła leżą przede wszystkim w organizacji, w rozumie, w woli i w pracy całej załogi okrętowej od dowódcy aż do najbardziej szarego żołnierza włącznie. Lloyd George stwierdził raz, że „wstępem do usunięcia wszelkich trudności jest spojrzenie im prosto w twarz". Więc i my nie obawiajmy się, że splątane i zgromadzone dookoła Polski trudności są tak liczne i tak wielkie. Nie obawiajmy się spojrzeć im w twarz przy najjaskrawszym oświetleniu.

Mamy wielki zasób upartej i zdecydowanej woli, by wbrew wszelkim trudnościom żyć i iść naprzód.

Więc zapalmy na naszym statku polskim wszystkie reflektory, rzućmy snopy jasnego światła przed siebie i za siebie, przekontrolujmy wszystkie maszyny, zbadajmy wytrzymałość dna i masztów, usuńmy braki i błędy i wpatrzmy się w cel, który jest nam wspólny!

IV. Prześwietlenie polskiej rzeczywistości

Treść:

Potęgowanie się wagi balastów. Uzbrojenie człowieka w Polsce do walki z trudnościami. Sytuacja wsi polskiej. Położenie istotne przemysłu, handlu i klasy robotniczej. Zagadnienia socjalne. Obciążenia na rzecz państwa. Świat paradoksów i przemian. Sprawdziany sił polskich. Podstawy polskiej polityki gospodarczej. Polityka morska. Dysproporcje. Konieczność wszechstronnej przebudowy i reformy. Siły wewnętrzne mające równoważyć balasty i trudności. Demokracja. Pierwsze lata niepodległości. Powrót do historycznych błędów. Przełom majowy 1926 r. Bilans opozycji i rządów pomajowych.

Oto już dość ciężki balast, który Polska dźwigać musi obecnie, z którym musi iść do swego nieznanego i ciężkiego jutra.

Z przeszłości dawnej pozostał wielki cień, którego jeszcze nie rozproszyliśmy dość mocnym światłem pracy naszej. Podtrzymuje on na zewnątrz przekonanie, że Polska nie jest dość zwartym i twardym organizmem, odlanym z tak jednolitego spiżu i tak organizacyjnie zahartowanego, by u jej bram musiała zginąć, sczeznąć sama z siebie każda myśl o naruszeniu jej praw i jej całości. Wewnętrznie zaś przeszłość nasza nie ustaliła bezwzględnych i powszechnie obowiązujących kryteriów dla stosunku jednostek i grup politycznych względem państwa, nie wtłoczyła życia zbio-

rowego w pewne mocne normy obowiązku i systematycznego poczucia odpowiedzialności za każdy czyn historyczny, za każdą relację dnia dzisiejszego w stosunku do przyszłości.

Wiek ostatni dawne obciążenia tylko spotęgował i pomnożył. Moralnie skierował on wszystkie aktywne i świadome jednostki na drogę oporu i walki z państwem, przepoił je nieufnością i niechęcią do przymusowej organizacji, wdrożył je do bezproduktywnej i zaciętej opozycji, jednostki bierne zaś nauczył całkowitej rezygnacji i bezgranicznej niewiary we wszelkie własne poczynania i wysiłki, wyzuł z samodzielnego myślenia politycznego, wepchnął je w zasklepione, ciasne koło zgubnego społecznie egoizmu. Politycznie okres ten przeorał niwę polską wprawdzie dość głęboko; wzbudził on świadomość i utrwalił indywidualność narodową aż do samego dna morza społecznego Polski. Ale równocześnie zgniótł prawa etnograficzne Polski ku środkowi, rozognił i rozkrwawił walki narodowościowe na wszystkich narożnikach naszych historycznych siedzib, skłócił politycznie i społecznie wszystkie elementy na ziemiach polskich. Szkołę i mowę polską wypierał ten wiek systematycznie i bezwzględnie w dwu zaborach, a w trzecim, pozornie narodowo swobodnym, zdeprawował je i spaczył; odebrał społeczeństwu polskiemu samorząd, a więc wykluczył je ze szkoły organizacyjnego i politycznego działania; zacieśnił całe życie zbiorowe Polski do granic niezwykle wąskich, produkując skarłowaciałe albo patologiczne jednostki i charaktery. Ekonomicznie stulecie to stało się, nawet wbrew zewnętrznym pozorom, jednym pasmem spustoszeń i posiewem wielkich i długotrwałych niedomagań gospodarczych. Wbite do wnętrza żywego organizmu, sprzeczne z prawie tysiącletnią tradycją kordony polityczne poczęły działać niebawem również jako precyzyjny instrument dla rozry-

wania i niszczenia gospodarstwa polskiego. Każdy problemat, pozostawiony lub wyrosły na ułamkowym terenie, ścieśniony do jednej dzielnicy, pozbawiony prawie zawsze opieki własnego państwa, a nieraz traktowany wrogo przez państwo zaborcze, rósł i dojrzewał jak drzewo pozbawione słońca i deszczu, a wystawione na trwałe i jednokierunkowe wiatry. Przeginały one te drzewa odśrodkowo od linii potrzeb i zainteresowań polskich, pozostawiając korzenie ssące soki żywotne u nas, a chyląc owocodajną koronę nad workiem każdego z zaborców.

Wreszcie wtoczyły się na ziemie polskie potężne walce parowe wrogich armii w okresie wielkiej wojny. Gniotły, kruszyły, łamały, niszczyły wszystko, co przypadkowo stanęło na linii ich ruchu. Ofiarą padły wówczas setki tysięcy ludzi, zboże i zasiewy, konie i bydło, ogrody i lasy, domy i zabudowania gospodarcze, fabryki i składy handlowe, narzędzia i maszyny, koleje i drogi, zabytki sztuki i kościoły, mosty i przewodniki, pieniądze i złoto.

Czyż nie jest to dostatecznie wielki i wystarczająco długi łańcuch kar i niedoli za samo tylko opóźnienie momentu przebudowy wewnętrznej oraz momentu rozbudzenia czujności na zagrażające z zewnątrz niebezpieczeństwo w starej, historycznej Polsce? Nie. Zaledwie tylko nowa Polska ustaliła swe granice, zaledwie skierowała swą uwagę na odbudowanie zniszczonego życia, już znowu zacieśnia się i potężnieje dookoła niej zwarty pierścień nienawiści i wrogich, zaborczych i rozkładowych tendencji. Ogniwa tego jednolitego łańcucha biegną zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz państwa, są zarówno liczne, jak i silne. Już dziś walczą potężną propagandą, podgryzają związki nasze w centrach polityki międzynarodowej, atakują na forum Ligi Narodów, uderzają przeciwko naszej wymianie handlowej, próbują podcinać egzy-

stencję produkcji, paraliżują nasze wysiłki kredytowe, zapalają maszyny piekielne wybuchów wśród mniejszości narodowych, wdzierają się organizacyjnie w nasze własne szeregi pod przykrywką przyjaźni i współczucia dla ludzkiej niedoli!

A przecież obraz tych trudności i oporów, które nieodzownie będziemy musieli pokonywać, jest jeszcze niekompletny. Wszystko to reprezentuje bowiem balast włożony na nasze państwo bądź to przez samą przeszłość, jako dziedzictwo historyczne, bądź też jest podrzucone przez czynniki zewnętrzne.

Teraz więc należy wniknąć w rzeczywistość własnej sytuacji i w rzeczywistość własnych wartości psychicznych; należy żbadać zawartość i wagę balastu rzeczowego, wynikającego z samej sytuacji i konkretnych faktów, leżących poza naszą wolą, oraz balastu subiektywnego, związanego i wynikającego z naszej własnej woli i działalności politycznej. A wtedy znajdziemy ponownie nieskończony splot zagadnień i problematów, cały łańcuch trudności i niedomagań, od których pomyślnego rozwiązania zależy cała nasza przyszłość; znajdziemy powody ważkie i głębokie, wskazujące, że zbiorowe życie nasze musi być jednym, nieprzerwanym pasmem walk i zmagań się oraz przedzieraniem się z niezłomną wolą i wysiłkiem przez tysiące zapór, zasieków kolczastych i wilczych dołów do wytkniętego w świadomości celu.

Chcąc zdobyć w możliwie krótkiej i przejrzystej syntezie dostatecznie jasny i wyraźny obraz własnej sytuacji ocenionej od wewnątrz państwa, musimy postępować w analizie tej systematycznie i metodycznie. Nie może być żadnej wątpliwości, gdzie należy uchwycić najgłębsze i najistotniejsze źródło wszystkich wartości. Jest nim niewątpliwie człowiek, tj. ta sprężyna, która nadaje znaczenie i walor wszystkim rzeczom i zjawiskom. Trzeba stanowczo zerwać w tej dziedzinie

z zawodnym kryterium ilościowym. Szeregowanie państw i narodów wedle zajmowanego obszaru i wedle liczby ludności jest sprawdzianem prowadzącym prawie zawsze do błędu, opieranie na nim wniosków politycznych prowadzi często do rozczarowań. Jedynie właściwą jest w tym miejscu analiza jakościowa. Problemat ten należy przeorać aż do najdalszej głębi. Trzeba zejść aż do najszerszych, najliczniejszych, najniższych warstw społecznych, do samego fundamentu budowy państwowej i narodowej. Trzeba ocenić, zbadać i zrozumieć, jakimi środkami fizycznymi, jakim zakresem dóbr materialnych ten szary człowiek, ten bezimienny, nieznany filar państwa operuje, w jakie narzędzia twórczej pracy jest on wyposażony, gdyż na tym właśnie czynniku zasadza się i polega dynamiczna wartość jednostki. Zarówno wszystkie wartości moralne i kulturalne, jak nie mniej i wartości polityczne i społeczne tu właśnie biorą swój początek. Jeżeli więc odczuwamy i konstatujemy, że często znacznie mniejsze państwa i narody w Europie posiadają wielokrotnie wyższy „współczynnik wytrzymałości" politycznej, że głos ich jest bardziej ważki niż nasz, że identyczne zagadnienia rozwiązują one prędzej i łatwiej, że przy mniejszym wysiłku uzyskują one nieproporcjonalnie większe rezultaty, to zjawisko to należy właśnie odnieść do faktu, iż dynamiczna wartość człowieka u nas i na zachodzie Europy i w Ameryce jest zupełnie różna. Ta dysproporcja w małym tylko stopniu wynika z indywidualnych właściwości psychicznych człowieka. Gdyby jedynie szło o ten tylko wzgląd, to można by stwierdzić, iż nasz kapitał zakładowy jest właśnie wyjątkowo wysoki. Na każdym bowiem polu i codziennie stwierdzamy, iż nasz robotnik, chłop, inżynier, nauczyciel, dziennikarz, urzędnik, a w pojedynczych wypadkach nawet kupiec i przemysłowiec jest osobiście bardziej inteligentny, twórczy, sa-

modzielny niż odpowiedni element zagraniczny. On posiada tylko całkowicie inne uzbrojenie, inne narzędzie do codziennej, może trudniejszej niż gdzie indziej walki życiowej.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę samą tylko statystykę zawodową ludności, to natychmiast z całą jaskrawością narzuci się sam przez się pierwszy, podstawowy temat do analizy. W porównaniu z kilku innymi krajami liczby te układają się w obraz następujący:

Ludność zawodowo czynna w procentach.

	Rolnictwo i pokrewne	Przemysł i górnictwo	Handel i ubezpieczenia
Polska	72,3%	10,3%	3,7%
Czechosłowacja	40,4%	37,0%	6,0%
Dania	35,2%	27,3%	10,9%
Niemcy	30,5%	41,4%	11,7%
Belgia	19,2%	46,5%	10,7%

W porównaniu więc z Danią, uważaną za kraj klasycznie rolniczy, wiążemy w Polsce dwukrotnie większy odsetek ludności z pracą na roli. Z masą chłopską więc, z jej położeniem materialnym wiąże się największa część problematu: czym Polska ma się stać w przyszłości. Że stan obecny w tej dziedzinie jest opłakany, nie potrzeba nikogo w Polsce przekonywać.

Wedle danych Urzędu Statystycznego ogólny obszar gospodarstw wiejskich wynosi w Polsce 30,3 milionów hektarów. Jeżeli weźmiemy pod uwagę gospodarstwa rolne największe, tj. rozporządzające obszarem powyżej 100 ha, to wedle spisu z r. 1921 istniało 19 tysięcy takich gospodarstw, posiadających łącznie 13,6 mln hektarów, tj. prawie 45% całkowitego obszaru wiejskiego. Dla ścisłości należy jednak dodać, iż zwyż dwie trzecie tego obszaru stanowią lasy; a średni obszar gruntów ornych w tej kategorii gospodarstw wynosi

około 205 ha. Natomiast 2 110 000 gospodarstw drobnych, tj. posiadających do 5 ha obszaru, posiada łącznie 4,5 mln ha, czyli średnio na jedno gospodarstwo przypada 2,1 ha, a w tym zaledwie 1,5 ha gruntów ornych. Uwzględniając liczbę członków rodzin w tych gospodarstwach mamy już do czynienia z liczbą około 9 milionów ludzi, reprezentujących około 30% ludności całego państwa, przywiązanych do gospodarstw karłowatych.

Z tego prostego faktu wynikają niezwykle głęboko sięgające konsekwencje. Jakkolwiek więc drobny rolnik w pewnych okresach sezonowych pracuje bardzo intensywnie, to jednak sumarycznie jego praca zarobkowa, ściśle produkcyjna waha się w granicach 900—1200 godz. rocznie, gdy normalnie mógłby on oddać 2500—3000 godzin pracy w roku. Jeden z autorów, badających ten przedmiot metodycznie, pisze: „O żadnej kapitalizacji wewnętrznej wśród tej najliczniejszej klasy społecznej mowy być nie może. W najlepszych warunkach w badanych gospodarstwach, przeciętne wynagrodzenie roczne za pracę gospodarza łącznie z rodziną oceniane jest na około 1500 zł. Stanowi to ekwiwalent dzienny 2,73 zł. Jeżeli się uwzględni wyłącznie gospodarstwa mniejsze, 2—5 hektarowe, zarobek ten spada nawet do 1,66 zł. Nawet więc po skonsumowaniu dochodu z kapitału, gospodarstwa te nie są w stanie zaspokoić swych potrzeb i rodziny"[1].

Badania te potwierdza statystyka urzędowa, oparta na zeznaniach podatkowych. Może oczywiście w tym wypadku zachodzić poważniejsza nieścisłość, istnieje bowiem powszechna tendencja do przejaskrawienia złej sytuacji płatnika w stosunku do instytucji podatkowych. Tym niemniej, jeżeli się uwzględni, że ogłoszona statystyka dochodu małych gospodarstw rolnych od-

---

[1] J. Curzytek, *Badania nad rentownością gospodarstw włościańskich w r. gosp. 1926/27*, Warszawa 1928, s. 92 i nast.

nosi się do roku gosp. 1927/28, tj. do okresu najwyższej koniunktury w rolnictwie, to trzeba wyznać, iż wahania cen zboża i produktów hodowlanych łącznie niewątpliwie przewyższają nieścisłości tej statystyki na niekorzyść rolnika.

Stan ten ilustruje następujące zestawienie:

Koszty produkcji i dochód małych gospodarstw rolnych z 1 ha w roku gosp. 1927/28

	1. Gospodarstwa 3—5 hektarowe		2. Gospodarstwa 2—50 hektarowe	
	Koszty produkcji bez % od kapit. czynnego	Dochód czysty	Koszty produkcji bez % od kapit. czynnego	Dochód czysty
Woj. zachodnie	835 zł	383 zł	482 zł	250 zł
Woj. centralne	708 zł	289 zł	424 zł	236 zł
Woj. południowe	576 zł	230 zł	436 zł	222 zł
Woj. wschodnie	363 zł	24 zł	208 zł	95 zł

Przede wszystkim więc jaskrawo rysuje się sytuacja gospodarstw najmniejszych i gospodarstw położonych na kresach wschodnich. Gdyby wartość biologiczna produktów rolnych nie była wyższa od ich wartości sprzedażnej, kilka milionów ludzi byłoby skazanych na nieuchronną śmierć głodową. Ponadto rysuje się tu niezwykle wielka rozpiętość między położeniem rolnika na wschodzie i na zachodzie. Istniała ona już w czasach starej Rzeczypospolitej, jak o tym wspomina St. Staszic, a pogłębiała się w ciągu całego ubiegłego stulecia. Okazuje się więc, że problemat ten nie jest beznadziejny, jak o tym poucza doświadczenie ziem zachodnich Polski. Przeciwnie, umiejętnie i fachowo przeprowadzona reforma rolna, scalenie gruntów, uregulowanie serwitutów, a następnie melioracje, systematycznie doprowadzany tani, długoterminowy kredyt,

państwowa pomoc w selekcji ziarna, a przede wszystkim oświata rolnicza mają w tej dziedzinie olbrzymie zadania do spełnienia. Winniśmy sobie zdać z tego sprawę, że problemat ten aż do chwili odbudowania państwa polskiego praktycznie prawie nie ruszył z miejsca. Szereg zjawisk ujemnych, które przytłaczają tak dotkliwie życie współczesne, występuje z całą wyrazistością już od dawna. Tak np. Stanisław Kaczkowski w r. 1818 pisze: „Nie iest ten naród bogaty, w którym na jednego opływającego w dostatki, sto ubogich naliczyć można"[1]. Następnie zaś dodaje: „Nie potrzeba wystawiać więcej ubóstwa naszych chłopów, maiąc ie przed oczyma, lecz twierdzić można, że iest iedną z przyczyn ubóstwa miast i ich mieszkańców, bo pomyślność iednych z pomyślnością drugich ściśle iest związana"[2]. Jeszcze aktualniejsze w stosunku do sytuacji dzisiejszej jest następujące twierdzenie autora sprzed stu kilkunastu laty: „Ieżeli np. żyto przy średnich urodzaiach iest niżey 12 złt, nie wynagradza nakładów. Należałoby przeto starać się, nie dopuszczać nigdy, aby tak dalece zboże taniało, czego trudno dokazać bez zacieśnienia przywozu z zagranicy"[3]. Inny autor, piszący w dziesięć lat później, ponownie powraca do tego aktualnego tematu: „Że obecnie w kraiu naszym ciężkie czasy, dotykaiące mniey więcey każdy stan i ciążące każdy proceder są skutkiem zniżonych zbytecznie cen ziemiopłodów, nikt o tym nie wątpi... Do zmniejszenia kraiowej konsumpcyi zboża naywiecey bez wątpienia przyczynił się powszechny we wszystkich klassach mieszkańców niedostatek, przez co w ogólności każdy mniey konsumuie"[4]. Podobne wywody

---

[1] S. Kaczkowski, *Myśli o handlu naszym*, 1818, s. 36.

[2] Tamże, s. 36.

[3] Tamże, s. 50.

[4] K. Kurowski, *Rzut oka na przyczyny tak ciężkich czasów*, Warszawa 1829, s. 11—14.

przedstawia szereg ówczesnych autorów. Tak więc olbrzymia część społeczeństwa zamknięta w warstwie drobnorolnej, ograniczona do dochodu stojącego na granicy warunków fizjologicznego podtrzymania życia, pozbawiona w wielu wypadkach jakiegokolwiek dochodu ubocznego z powodu niedostatecznego uprzemysłowienia kraju i początkowej dopiero fazy organizowania przemysłu ludowego, nie nauczona lub nawet nie mogąca stosować bardziej intensywnej i racjonalnej gospodarki, nie wchodzi w ogóle w rachubę jako poważniejszy konsument na rynku wewnętrznym. Podobnie i produkcja hodowlana postawiona jest na stosunkowo niskim poziomie, a zupełnie nie wytrzymuje porównania z państwami zachodnioeuropejskimi, zarówno przemysłowymi, jak i rolniczymi. Wymowne pod tym względem są następujące liczby:

Na 100 hektarów powierzchni ogólnej przypada

	Trzody chlewnej (sztuk)	Bydła rogatego (sztuk)	Owiec (sztuk)
w Polsce	12,4	23,3	4,9
w Niemczech	42,7	39,1	7,7
w Czechosłowacji	18,1	33,4	6,1
w Danii	84,2	70,6	5,4
we Francji	10,9	27,2	18,9
w Anglii	14,0	33,0	101,7

Widzimy więc, że zarówno państwa „przemysłowe" nie są synonimem niskiego stanu rolnictwa, jak również, że państwa „rolnicze", jak Dania, zdobywają swój charakter nie tyle dzięki przewadze liczbowej ludności, związanej bezpośrednio z rolnictwem, ile raczej przez swą intensywność produkcyjną.

Odbiciem tego stanu rzeczy w rolnictwie, i to nie stanu przemijającego, koniunkturalnego, związanego np. z gwałtownym spadkiem cen zboża, ale stanu

strukturalnego, którego ujemnych skutków bez gruntownej i zasadniczej, a na zdrowych, ekonomicznych podstawach opartej przebudowy całego ustroju rolnego usunąć nie można, są stosunki panujące w przemyśle i handlu Polski. I tu obraz liczbowy jest niezwykle pouczający. Tak więc statystyka przedsiębiorstw handlowych rejestrująca w roku 1928 około 450 000 jednostek, podlegających akcji wymiarowej i podatkowej w zakresie podatków bezpośrednich, wykazuje, że

	Na 1 przeds. handl. przypada mieszk.	Na 1 mieszk przypada obrót w zł	Na 1 przeds. handl. przypada roczny obrót w zł
w woj. zachodnich	61	829	50 570
w woj. centralnych	64	598	38 270
w woj. południowych	68	338	22 980
w woj. wschodnich	88	235	20 680

Są to liczby średnie. Jeżeli jednak usunie się z rachunku przedsiębiorstwa I i II kategorii, które ilościowo stanowią zaledwie 8% ogółu przedsiębiorstw handlowych, a równocześnie reprezentują powyżej 50% ogólnych obrotów handlu, to na resztę wynoszącą powyżej 400 000 przedsiębiorstw wypadną obroty wahające się w niezwykle niskich granicach. A przecież statystyka ta odnosi się do roku najlepszego, jaki handel nasz przeżył w okresie powojennym. A więc i w tym wypadku odchylenia koniunkturalne wyrównują niewątpliwie nieścisłości statystyki podatkowej, opartej jednak już na dłuższym doświadczeniu i szerszej niż w rolnictwie kontroli. Wynika stąd fakt, który swego czasu eksportowi angielskiemu w Polsce wyda-

wał się paradoksem naszego stanu ekonomicznego. Gdy bowiem w myśl zrozumiałej i uzasadnionej tendencji w okresie kryzysu ceny produktów na rynkach zagranicznych obniżają się, gdy i u nas tendencja ta przejawia się całkiem wyraźnie w zakresie handlu hurtowego, to w handlu drobnym, stykającym się bezpośrednio z konsumentem, a więc dla konsumpcji najważniejszym, tendencja ta albo jest niejasna i chwiejna, albo wręcz zwyżkowa. Dopiero gdy uzmysłowimy sobie, że w handlu tym obroty są tak nikłe, iż najbardziej fantastyczny procent zarobku na jednostce towaru daje w sumie dochód wystarczający zaledwie do utrzymania rodziny kupieckiej na stopie proletariackiej, zrozumiemy, iż w okresie kryzysu, a więc przy dalszym kurczeniu się obrotów i spadku dochodu, zjawia się tendencja do podnoszenia lub utrzymania cen towarów w granicach nie wymagających od kupca dalszego ograniczenia jego własnej stopy życiowej.

Dość podobnie kształtuje się sytuacja w przemyśle. Nie bez słuszności podnoszone są głosy krytyki ze strony konsumentów, iż w wielu wypadkach przy znacznie niższych zarobkach lub dochodach muszą oni płacić za te same towary wyższe ceny w Polsce niż ci sami, jednak lepiej sytuowani konsumenci zagraniczni, płacą za identyczne towary w Europie Zachodniej. Gdyby przez obniżenie cen można było podnieść szybko i znacznie konsumpcję krajową dla wyrobów przemysłowych, problemat ten istotnie byłby dość prosty i rozwiązalny w krótkim okresie czasu. Głębsze jednak wniknięcie w strukturę naszego przemysłu — oczywiście z wyłączeniem pojedynczych i całkiem wyjątkowych wypadków — musi rozwiać nadzieję, by przez sam fakt nastawienia rządów na interes konsumenta można było osiągnąć rezultat pozytywny. Wręcz przeciwnie, takie właśnie nastawienie polityki gospodarczej państwa kryje w sobie groźne niebezpieczeństwa, zarówno sta-

bilizujące poziom ogólnej biedy w kraju, jak też mszczące się w swych konsekwencjach przede wszystkim na interesie najliczniejszych warstw konsumentów. Komplikacje te wynikają przede wszystkim z faktu, iż przemysł polski wyrastał w całkowicie nienormalnych warunkach. Gdy na Zachodzie przejście od przemysłu drobnego i średniego do nowoczesnej, wielkiej organizacji przemysłowej odbywało się stopniowo, w ciągu całych dziesięcioleci, to w zjednoczonej Polsce przemysł znalazł się na trzech, dzielnicowych, różnych poziomach rozwoju. Za wyjątkiem Śląska i poszczególnych fabryk i zakładów przemysłowych w innych dzielnicach, wszędzie zresztą utrzymał się jeszcze na widowni przemysł średni lub drobny i to z urządzeniami w znacznym stopniu przestarzałymi. Wystarczy zaś najbardziej powierzchowne studium w wielkiej, nowoczesnej, np. amerykańskiej fabryce automobili, w wielkiej elektrowni, w fabryce chemicznej, metalurgicznej, elektrotechnicznej, w wielkich zakładach konfekcyjnych, wyrobu obuwia, maszyn do pisania itd., by zrozumieć olbrzymie różnice w kosztach własnych wielkich i średnich organizacji przemysłowych. Jeżeli zaś zważy się, że proces szybkiej modernizacji wytwórczości wymaga olbrzymich i tanich kapitałów, których przemysłowi naszemu obecnie nie jesteśmy w stanie dostarczyć, że rozbudowa konsumpcji zharmonizowana z rozbudową przemysłu wymaga ponadto dużych kapitałów rezerwowych i obrotowych, które zostały prawie całkowicie zniszczone w okresie wojny i inflacji, to już zarysowuje się konkretniej pierwsze powikłanie w tym niezwykle ważnym i wielkim problemacie. Niebawem jednak zagadnienie komplikuje się dalej przez samą strukturę zawodową Polski. Prawie trzy czwarte ludności stanowi element związany bezpośrednio z rolnictwem i uzależniony w swej zdolności konsumpcyjnej od ceny ziemiopłodów i produktów hodowlanych.

Koszta produkcji przemysłowej zaś nie są oparte na zbożu, lecz na relacjach złota. Rozpiętość drgań obu czynników jest całkowicie niewspółmierna i uderza w rozwój konsumpcji silniej, niż możliwe do skorygowania błędy w kształtowaniu się kosztów produkcji. W r. 1927/28 obliczał rolnik, że za pług jednoskibowy musi zapłacić równowartość około 100 kg żyta, pod koniec roku 1930 równowaga wymienna ustalała się już przy 300 kg żyta; identyczne liczby dotyczyły kupna 1 pary butów, węgiel w pierwszym okresie kosztował 15 kg żyta za 100 kg, w drugim 50 kg, nafta 16 kg i 50 kg żyta za 10 kg towaru, mydło za identyczne ilości 50 i 130 kg itd. W tych warunkach kurczenie się konsumpcji polskiej musi być oczywiście znacznie silniejsze niż w krajach, w których ledwie 30—40% ludności wiąże swą dynamikę konsumpcyjną z relacją zbożową, a przemysł, który właśnie bezpośrednio przed kryzysem rolniczym przeprowadził u nas szeroką reorganizację i modernizację dla potanienia i powiększenia produkcji, pozbawiony jednak środków na przetrzymanie wyjątkowo ciężkiej sytuacji, znalazł się nad brzegiem przepaści. Jest to więc nowy czynnik hamujący tendencje w kierunku racjonalizacji produkcji przemysłowej polskiej na wzór zachodnioeuropejski.

Dalsze źródła tych samych objawów i skutków leżą w stosunkowo znacznym obciążeniu produkcji przemysłowej i handlu na rzecz państwa, samorządu i świadczeń socjalnych. Porównania z obciążeniem tych samych gałęzi życia społecznego za granicą nie mogą posiadać tu wartości bezwzględnej. Jesteśmy bowiem zmuszeni do programowego rozwoju i rozbudowy przemysłu w imię niezwykle doniosłych celów społecznych i państwowych, jak to następnie zostanie wykazane. Po wtóre przemysł polski w swej pierwszej fazie rekonstrukcji gospodarczego zrastania się trzech dzielnic postawiony jest w warunkach odmiennych i cięższych, niż

zreorganizowane, rozbudowane i w znacznej części zamortyzowane przemysły zachodniej Europy. Obciążenia produkcji na rzecz świadczeń socjalnych są w Polsce dość znaczne i różnorodne. Jednakże problemat ten nie może być traktowany w oderwaniu od całokształtu materialnego położenia klasy robotniczej. Jeżeli w okresie koniunktury gospodarczej jest ono na ogół lepsze niż drobnego rolnika, to w okresie kryzysu znaczna część warstwy robotniczej staje przed widmem skrajnej nędzy. Badając i to zagadnienie wyłącznie pod kątem widzenia trudności, które domagać się będą coraz uporczywiej rozwiązania i to rozwiązania nie jednostronnego, ale ogarniającego cały kompleks kwestii gospodarczych w skali państwowej, należy stwierdzić, że systematyczne dążenie do poprawy bytu klas pracujących, a więc włościaństwa oraz pracowników fizycznych i umysłowych, musi zajmować jedno z naczelnych miejsc w programie państwowym. Oczywiście, iż stwierdzenie tego postulatu jest znakomicie łatwiejsze, niż jego wykonanie, szczególnie gdy na miejsce emocjonalnych haseł ma się postawić obiektywne badanie i świadomość wszystkich skutków i konsekwencji, które przy jednym rozstrzygnięciu muszą się zjawiać samorzutnie w wielu dziedzinach. Gdy się obserwuje, z jaką łatwością od jednego zamachu krasomówczego powstają projekty rozwiązań w niezwykle skomplikowanych i trudnych, powiązanych całym łańcuchem zależności i złożonych sprawach gospodarczych i socjalnych przez ludzi, wpatrzonych tylko w jeden punkt zagadnienia, najczęściej polityczny, a czasem przemysłowy lub socjalny, jakże często muszą powracać na myśl słowa przeznaczone przez G. Clemenceau dla pierwszego zebrania delegatów na wielki kongres pokojowy po wojnie światowej: „Witam posłów zwycięstwa, zasobnych w idee, ubogich natomiast w środki ich realizacji!”

Jeżeli bowiem w organizmach o wykończonej strukturze gospodarczej, o rozbudowanym wszechstronnie przemyśle i małym przyroście ludnościowym, lub też w państwie choćby gospodarczo zupełnie zacofanym, ale olbrzymim pod względem obszaru i ludności, można dopuścić myśl, iż przez nagłe, jednostronne, gwałtowne, rewolucyjne posunięcia można dojść do jakichś pozytywnych rezultatów, to w sytuacji Polski myśl taka a priori musi być wykluczona. W wypadku pierwszym jest do pomyślenia, iż przy zniszczeniu wszystkich kapitalistów można zachować przy życiu przemysł i wielką produkcję, a zmienić relacje rozdziału wielkiego dochodu społecznego, który potencjalnie istnieje; w wypadku drugim przez małe nawet ciężary, nałożone na szerokie warstwy społeczeństwa, można zmobilizować olbrzymie sumy dla realizacji określonych zadań. Ponadto olbrzymi, jednolity rynek wewnętrzny, choćby dynamicznie tak martwy chwilowo, jak np. rynek sowiecki, musi stanowić atrakcję dla współdziałania kapitału obcego. Polska zaś nie znajduje się ani w sytuacji pierwszej, ani w drugiej. Każdy więc gwałtowny przełom w jej polityce gospodarczej musi doprowadzić tylko do znacznego pogłębienia nędzy społecznej i osłabienia państwa na zewnątrz, musi pogłębić tylko bezradność wodzów anarchii, tak samo zresztą, jak doprowadziłby ją do upadku upór trwania w obecnych formach gospodarczo-społecznych. Zarówno skrajny radykalizm społeczny, jak i skrajny konserwatyzm są w warunkach polskich fałszywe i zgubne; pierwszy nie jest w stanie stworzyć nowych i wydajnych podstaw dla pozytywnych wartości społecznych i gospodarczych, drugi nie może się ostać wobec nacisku życia, domagającego się na każdym polu reformy, ewolucyjnego postępu i przebudowy.

Jeżeli idzie o teoretyczną skalę zarobków robotniczych średnio w całej Polsce, to są one istotnie niskie,

jednakże w porównaniu z szeregiem innych państw, nawet takich, które znajdują się w sytuacji nieporównanie lepszej niż Polska, nie stanowią rażącego i jaskrawego wyjątku[1]. Nie można jednak pominąć tego faktu, że robotnik polski przeważnie obciążony jest liczniejszą rodziną niż jego towarzysz zachodnioeuropejski; że przemysły koncentrujące największe liczby pracowników fizycznych, jak np. przemysł włókienniczy, górniczy i żelazny, pracują nieregularnie, wprowadzają liczne „świętówki", zmniejszające roczny dochód rodziny robotniczej, a dochód ten jest w istocie ważniejszy dla robotnika niż zasadniczy zarobek dniówkowy; że rozpiętość między zarobkami najwyższymi i najniższymi jest wcale pokaźna, spychając poszczególne warstwy robotnicze poniżej granicy niezbędnej dla utrzymania rodziny; że analogicznie istnieją znaczne rozpiętości między poszczególnymi okręgami przemysłowymi, że wreszcie robotnik polski, w przeciwstawieniu do robotnika zachodnioeuropejskiego, a podobnie jak cały stan pracujący w Polsce, nie posiada żadnych nagromadzonych zapasów i rezerw, a więc, że każdy anormalny wypadek, że bezrobocie, śmierć w rodzinie, choroba niszczy natychmiast ustalone podstawy jego egzystencji. Jeżeli więc pod tym kątem widzenia zechcemy popatrzeć na ustawodawstwo socjalne, jeżeli ocenimy je łącznie i sumarycznie z poziomem zarobków robotniczych, to oczywiście będziemy musieli uznać, że cofnięcie się z ustalonej już sytuacji jest przynajmniej tak długo nie do pomyślenia, jak długo zasadnicze położenie klasy robotniczej nie ulegnie po-

[1] „Robotnik" warszawski, nr 340 z dnia 6 listopada 1930 r., na podstawie zestawień Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie stwierdza, że zarobki realne w Polsce są znacznie niższe u nas niż np. w Stanach Zjednoczonych, w Anglii lub Niemczech, ale wyższe niż w Austrii, Italii lub Hiszpanii. Każde z tych państw posiada obiektywne warunki handlowe i finansowe o wiele lepsze niż Polska.

ważnej zmianie na lepsze. Otwartym natomiast problematem w tej dziedzinie jest sprawa stosunku obciążenia przemysłu i pracowników z jednej strony, do świadczeń tych instytucji społecznych na rzecz pracowników z drugiej. Innymi słowy ważnym jest, jaka część tej daniny społecznej dociera bezpośrednio do celu swego przeznaczenia, a jaka ginie po drodze bezużytecznie w formie kosztów administracyjnych. Zagadnienie to jest niezwykle ważne właśnie z czysto przemysłowego punktu widzenia. Jeżeli bowiem musi się przyjąć pod uwagę naturalne źródła walki klas społecznych, jeżeli jest zrozumiałym z tego punktu widzenia, że każdy przemysł prywatny, nawet gdyby się nie znajdował w tak ciężkim położeniu, jak to ma miejsce w Polsce, będzie się bronił przeciwko wszystkim tendencjom dalszego obciążenia produkcji, to z drugiej strony musi on stać na stanowisku, że wszelkie świadczenia na rzecz pracowników winny dojść w najpełniejszym zakresie do ich rąk. Stanowisko to nie jest wynikiem względów humanitarnych. Nowe prądy w dziedzinie organizacji produkcji zmusiły do skontrolowania stosunku pracodawcy do pracobiorcy, zmusiły do zbadania, ile błędów kryje się w tym stosunku i ile marnotrawstwa wynika bezpośrednio z tych błędów. Tak jak od dawna wykryto, że najlepsza maszyna jest najekonomiczniejsza, że w samych urządzeniach technicznych i organizacyjnych produkcji przy ścisłej, naukowej kontroli można odkryć tysiące niedomagań, utrudniających coraz cięższą walkę konkurencyjną, tak też ostatnio zwrócono baczniejszą uwagę na element, który oczywiście jest najważniejszą i najistotniejszą sprężyną produkcji, tj. na człowieka. Właściwie samych twórców tej krytyki ogarnęło zdumienie, iż do czynnika najważniejszego dotarli dopiero przy końcu swych wysiłków. Dobrze jednak, że wreszcie dotarli i przekonali się, że człowiek jest bardziej złożoną i skomplikowaną maszyną

niż najcudowniejszy agregat nowoczesnej techniki. O krok dalej musieli stwierdzić, że robotnik-nędzarz, pozbawiony domu, skazany na widok biedującej rodziny, a więc ustawicznie niezadowolony, w końcu zobojętniały na wszystkie sprawy życia, nienawidzący w duchu i pracodawcy, i własnego warsztatu pracy, jest czymś całkowicie różnym od człowieka mającego dom, odczuwającego całą radość życia, kochającego swą pracę i swój warsztat fabryczny. Odkrycie to zostało niebawem wprzęgnięte do walki konkurencyjnej i wykazało nieoczekiwane wprost rezultaty. Ci przemysłowcy, którzy zrozumieli doniosłość tego zagadnienia — a mamy takich, choć całkiem nielicznych, i w Polsce, budujących z własnej inicjatywy kulturalne mieszkania dla robotników, łożących na ich potrzeby oświatowe i sportowe, tworzących ich własne kasy zapomogowe — przestali w ogóle mówić o chytrej teorii solidarności klas społecznych, natomiast praktycznie zredukowali tę walkę do granic najniezbędniejszych, przywiązali robotników moralnie do własnego warsztatu produkcji i przekonali się, że w rezultacie zwiększony wydatek na „robociznę" opłaca się im sowicie.

Zasady te, ujawniające się coraz częściej i coraz szerzej w Ameryce i w Europie Zachodniej, przyjmują się w Polsce dość opornie. Trzeba jednak zrozumieć, że tak jak w okresach powodzenia wszelkie tendencje modernizacyjne mają przygotowane podłoże przynajmniej psychologicznie, a często i materialnie, tak też w okresie niepowodzenia wszelkie plany inwestycji — nie tylko materialnych, ale i moralnych — natrafiają na silne opory. Jeżeli zaś weźmie się pod uwagę cały dwunastoletni okres powojenny, to nawet przy uwzględnieniu korzyści, które zdobyły poszczególne przedsiębiorstwa w okresie inflacji, trzeba stwierdzić, że przemysł nasz — jako całość — kapitałowo nie odbudował się i nie doszedł do względnego choćby po-

wodzenia[1]. I tu bowiem przeciętna suma obrotu jest nikła, a tylko krótkie momenty pozwoliły na pełne zatrudnienie i pełną produkcję w przemyśle, górnictwie i rzemiośle, co jest kardynalną i wstępną podstawą powodzenia. Ponadto w pierwszych już latach naszej samodzielności weszliśmy ponownie na historyczną drogę przerzucenia głównego ciężaru utrzymania państwa na miasta, przemysł, handel, rękodzieło i sfery pracownicze. W. Surowiecki przed stu kilkudziesięciu laty pisał już: „Do głównych przyczyn tamuiących wzrost przemysłu... nayczęściey liczyć można uciążliwe podatki krajowe... W tym względzie nayczęściey błądzić zwykły rządy krajowe; nie oglądając się na dalsze skutki i wniqskując błędnie, że rękodzielnik łatwo sobie na konsumentach nagradzać może to, co nad miarę opłaca do Skarbu, upatruią w iego przemyśle naydogodnieysze źródło swych dochodów"[2]. Nawrócenie z raz obranej drogi jest już niesłychanie trudne i skomplikowane, gdyż z punktu widzenia skarbowego muszą być zapewnione wprzód nowe źródła dochodów, zanim stare zostaną poddane gruntownej reformie. Tymczasem w okresie koniunktury grozi ten proces niebezpieczeństwem zwichnięcia stosunków i równowagi cen, w okresie kryzysu zaś przerzucenie się na nowe formy podatku będzie całkowicie zawodne. Reforma więc musi się dokonywać etapami. Niemniej jednak, nawet przy uwzględnieniu nakreślonej uprzednio sytuacji, panującej w masach rolniczych, musi się przyjść do prze-

---

[1] Wystarczy porównać statystykę zysków i płaconych dywidend przez przemysł czesko-słowacki z analogiczną statystyką polską, by ujrzeć całą głęboką różnicę sytuacji obu przemysłów. Idzie zaś tu o przedsiębiorstwa akcyjne, których bilanse są wielokrotnie kontrolowane i sprawdzane (por. *Supplément du bulletin de la Banque de Tschécoslovaquie*, nr 59 de Septembre 1931).

[2] W. Surowiecki, *O upadku przemysłu i miast w Polsce*, Warszawa 1810, s. 79.

konania, że przemysł i miasta są nieproporcjonalnie wysoko obciążone. Dla głównych gałęzi wytwórczości podatek obrotowy w latach 1929—30 wahał się w granicach od 1,5% do 2,0%, podatek dochodowy zaś od 22% do 26%. W tym samym okresie porównawczym dochód skarbowy z podatku gruntowego był prawie identyczny z wpływami z podatku od nieruchomości miejskich, a prawie pięciokrotnie mniejszy od wpływu z podatku przemysłowego. Nawet opłaty stemplowe i patentowe, obciążające przede wszystkim handel i przemysł, przewyższają w tym okresie prawie czterokrotnie sumaryczny wpływ z podatku gruntowego. Nie tylko jednak samo rozłożenie obciążeń podatkowych na różne grupy społeczne, ale i struktura podatkowa domagają się coraz głębszej i obiektywniejszej analizy i reformy. W. Bernhardt w nr. 39 „Polski Gospodarczej" z r. 1931 pisze słusznie: „System podatkowy w Polsce oparty jest głównie na podatkach przychodowych, a nie dochodowych. Stąd też płynie uciążliwość obciążenia podatkowego. Szczególnie podatek przemysłowy, którego pobór następuje prawie natychmiast po zawarciu transakcji, a nie po rozrachunku gotówkowym, ze względu na wygórowane stawki podatkowe, niejednokrotnie przewyższające zyskowność netto, stanowi przedmiot ogólnych i słusznych utyskiwań ze strony sfer gospodarczych".

Zjawiska tego nie można jednak w całości odnieść na karb samej tylko niechęci do miast, przemysłu i handlu w pierwszych latach egzystencji państwa, na rachunek niezrozumienia ścisłej zależności całego aparatu gospodarczego państwa łącznie z rolnictwem od systematycznego rozwoju handlu i przemysłu. Działała tu w znacznym stopniu świadomość warunków gospodarczych na wsi; została ona tylko wzięta w wyższym stopniu pod uwagę niż sytuacja ludności miejskiej i produkcji przemysłowej. Stąd też ponownie uwy-

pukla się waga zagadnienia rolniczego w Polsce, domagającego się stopniowej, ale systematycznej przebudowy ustroju agrarnego i ustabilizowania polityki rolnej w tym sensie, by milionowe rzesze chłopskie mogły się stać w przyszłości coraz aktywniejszymi konsumentami i płatnikami podatków, umożliwiając w ten sposób zarówno realizację głównych zadań państwowych, jak też bezpośrednie i pośrednie przyspieszenie procesu uprzemysłowienia kraju.

To właśnie zadanie przetworzenia zaniedbanego i wynędzniałego kraju na państwo o całkowicie nowoczesnej strukturze przemysłowo-rolnej, o skrystalizowanych i jasnych tendencjach harmonijnego rozwoju miast i wsi, musi stanowić kulminacyjny punkt w wewnętrznej polityce państwowej. Należy wyraźnie zdać sobie sprawę z tego, że konserwując obecny stan rzeczy, że koncentrując wysiłki lub walki programowe na innych, pobocznych i drugorzędnych zagadnieniach, nie będziemy nawet stać w miejscu, ale ze znaczną szybkością i to ruchem przyspieszonym będziemy i musimy cofać się wstecz.

Przyrost naturalny ludności w Polsce wynosił średnio za pięciolecie 1925—1929 około 470 tysięcy ludzi rocznie. Reprezentuje to przyrost średnio 15,9 na każdy tysiąc mieszkańców. Analogiczna cyfra w Czechosłowacji wynosi 8,1; w Niemczech 7,0; w Belgii 5,5; w Austrii 3,1; we Francji 1,7. Tempo przyrostu naturalnego będzie stopniowo i u nas zwalniać, ale dysproporcja z Europą Zachodnią pozostanie na długi okres bardzo znaczna. Ponadto należy uwzględnić, że stopniowo będą się poprawiać niekorzystne u nas stosunki zdrowotne i higieniczne, które obecnie marnują jeszcze olbrzymie masy ludności. Już samo tylko uświadomienie, że np. w Austrii odsetek ludności w wieku ponad 60 lat stanowi 10%, w Szwecji 12,2%; na Łotwie 12,8%; we Francji 13,7%; a w Polsce tylko 7,6%; sta-

nowi nowy i poważny problemat państwowy; ponadto jednak uczy ono, że w normalnych warunkach musimy na długo liczyć się ze znacznym przyrostem ludności, która musi znaleźć warunki egzystencji i pracy. Saldo emigracyjne w ostatnim pięcioleciu zamkniętym po rok 1929 wynosiło około 90 tysięcy ludzi rocznie; jednakże warunki emigracyjne uległy ostatnio bardzo znacznemu pogorszeniu. Najlepsze i najkorzystniejsze obszary imigracyjne zamykają stopniowo coraz silniej granice swe dla dopływu ludzi z zewnątrz; inne państwa, absorbujące w okresie koniunktur gospodarczych poważne liczby pracowników fizycznych z Polski, w okresie kryzysów ekonomicznych pozbawiają pracy przede wszystkim obcokrajowców; wreszcie zaś tereny, które pozostają obecnie otwarte i wolne dla emigracji, nie tylko nie zabezpieczają dostatecznie zdrowia i mienia kolonisty, ale również grożą mu szybkim wynarodowieniem. Jeżeli ponadto uwzględni się, że emigracja wyrywa z kraju przeważnie jednostki najbardziej ruchliwe, przedsiębiorcze i pracowite, to przy braku bezpośredniej opieki państwa nie rozporządzającego własnymi koloniami, można uważać emigrację za „malum necessarium", ale nie za program rozwiązujący problemat przyrostu ludnościowego i rozdrobnienia własności rolnej. Analogicznie i reforma rolna nie może się stać wystarczającą podstawą dla rozwiązania tego doniosłego zagadnienia. Tereny bowiem, którymi może rozporządzać reforma rolna, są w każdym razie ograniczone. Ponadto racjonalne przeprowadzenie tej akcji wymaga znacznych kapitałów, znacznie wolniej rentujących się niż np. kapitały inwestowane w przemyśle. W końcu należy z naciskiem podkreślić, że reforma rolna, szeroko pojęta i gospodarczo skuteczna, musi przede wszystkim objąć miliony gospodarstw już istniejących i powstrzymać w nich proces dalszego rozdrabniania, a następnie uczynić z nich jednostki zdol-

ne do wyżywienia rodziny i rozbudzenia konsumpcji. Powodzenie tej akcji jest ściśle uzależnione od zmiany stosunku liczbowego między ludnością wiejską i miejską, w sensie wzrostu liczby ludności miejsko-przemysłowej. Tak więc dopiero rozwój przemysłowy stwarza dostatecznie pojemny, praktycznie nieograniczony zbiornik dla przyrostu naturalnego i absorpcji ekspansji pracy.

Na tym jednak nie wyczerpuje się cała wartość tendencji ku uprzemysłowieniu kraju, znajdującego się w takich warunkach jak Polska. Główna zasada kapitalizacji wewnętrznej polega na doprowadzeniu procesów wytwórczych od surowców przez półprodukty do najbardziej wykończonych wyrobów ostatecznych. Wystarczy zaś dokładne przeanalizowanie przebiegu wzrastania wartości, np. między kilogramem żelaza surowego a odpowiednią ilością wytworzonych z niego igieł, maszyn, zegarków, by zrozumieć całą wagę poruszonego zagadnienia.

Polska posiada wyjątkowo bogate wyposażenie w źródła energii i liczne a podstawowe surowce. Posiadamy do dyspozycji nie tylko olbrzymie bogactwo węgla kamiennego, ale również i gazy ziemne, i węgiel brunatny, i nie wyzyskane siły wodne. Ponadto dysponujemy ropą naftową, węglem koksującym, solą zwykłą, solami potasowymi, rudami żelaznymi, ołowianymi i cynkowymi, drzewem, surowcami budowlanymi, a wreszcie znaczną liczbą surowców pochodzenia roślinnego. Jednakże charakter naszej produkcji posiada wybitne piętno surowcowe, tj. kończy się tam, gdzie w wielu państwach właściwy proces produkcyjny dopiero się zaczyna. Płyną z tego faktu liczne, niezwykle ujemne konsekwencje. Jeżeli więc porównamy wagę i wartość naszego eksportu i importu, znajdziemy natychmiast wielką i rażącą dysproporcję między tymi liczbami. Import do Polski jest wagowo nie-

znaczny, wartościowo natomiast wielki; eksport zaś odwrotnie. A więc płyną do Polski produkty, oparte o polskie surowce, do których dołączona została obca praca, podwyższająca nieraz wartość towaru dziesięciokrotnie. Jest to bowiem aksjomatem ekonomicznym, że im bardziej oddalamy się od surowca, a zbliżamy się do produktu ostatecznego, tym bardziej i tym prędzej wzrasta w progresji geometrycznej wartość pracy ludzkiej w towarze. Rezultatem tego stanu rzeczy jest to, że w krajach, stojących na najniższym poziomie rozwoju ekonomicznego, w krajach o surowcowej strukturze gospodarstwa społecznego robotnik i pracownik umysłowy jest i musi być wynagradzany źle, ceny towarów gotowych muszą być wysokie, rozwój konsumpcji jest znikomy i powolny, a stopa życiowa ludzi jest niska. Bogactwo narodów łączy się przede wszystkim z procesem przeróbki surowców na produkty ostateczne i z organizacją wymiany towarowej, postawioną na wysokim poziomie. Na tych dwu czynnikach opierała Europa swe powodzenie i akumulację wartości materialnych tak długo, dopóki kolonie nie nauczyły się same przetwarzać swych surowców i same handlować. Po wtóre, stosunek wartości produkcji rolnej do przemysłowej, przeliczony na jednostkę zatrudnioną w obu tych działach gospodarstwa społecznego, waha się w cyfrach od 1 : 3 do 1 : 7, z tym że ostatnia cyfra wykazuje tendencje szybkiego i stałego wzrostu, związanego z postępem technicznym i organizacyjnym produkcji fabrycznej. W tych właśnie stosunkach kryje się jedna z najistotniejszych przyczyn różnego położenia materialnego i różnej pozycji politycznej różnych narodów i państw. Gdy bowiem w gospodarstwie o prymitywnym poziomie rolnictwa i surowcowym nastawieniu przemysłu, oraz przy strukturze ludnościowej podobnej do polskiej, można przyjąć, że ze 100 jednostek gospodarczo czynnych w pro-

dukcji 80 osób związanych z rolnictwem wytwarza rocznie równowartość np. po 1500 zł, a 20 osób zatrudnionych w produkcji przemysłowej równowartość po 5000 zł każdy, czyli sumarycznie 220 000 zł, to w gospodarstwie rozwiniętym, opartym o wysoko wykwalifikowany i wyspecjalizowany przemysł i o postępową uprawę roli, przy zachodnioeuropejskiej strukturze ludnościowej, już tylko 50 osób wiąże się z produkcją agrarną, a drugie 50 osób opiera swój byt na pracy przemysłowej. W tych warunkach ludność rolnicza osiąga i przekracza rezultat odpowiadający sumie 3000 zł na jednostkę, a pracownicy przemysłowi osiągają przeciętnie równowartość 15 000 zł na pracownika. Powstaje więc w tym drugim wypadku dochód społeczny wyrażający się sumą 800 000 zł, czyli prawie czterokrotnie większy niż w przykładzie pierwszym. W gospodarstwie więc prymitywnym i nie uprzemysłowionym granice dla zmiany sytuacji materialnej człowieka są zasadniczo bardzo wąskie, ilość konsumentów i ich potrzeb jest ograniczona, a ilość osób podlegających opodatkowaniu na rzecz państwa jest i musi być mała; odwrotnie zaś w gospodarstwie przemysłowo-rolnym o strukturze wykończonej i rozwiniętej siła materialna zarówno społeczeństwa, jak i państwa jest automatycznie bez porównania większa.

W końcu nie bez znaczenia jest fakt, że kryzysy uderzające w surowce i półprodukty są znacznie cięższe i dłuższe niż kryzysy, którym ulega produkcja końcowa. Nawet wówczas, gdy cała Europa, a wraz z nią i my, przeżywała okres pomyślnej koniunktury, byliśmy zmuszeni wywozić nasz węgiel, naftę, sól, cukier, żelazo po cenach nie pokrywających często samych tylko kosztów produkcji, a więc w sposób osłabiający polskie gospodarstwo społeczne.

Tu więc leży drugi, zasadniczy problemat wewnętrznej przebudowy struktury gospodarstwa polskiego

Problemat trudny i niezwykle skomplikowany, a nawet uchylający się przed stworzeniem niezmiennych i jasnych wytycznych, które by miały obowiązywać w każdym czasie i w każdych okolicznościach. Już w warunkach normalnych droga do realizacji tego zagadnienia musiałaby być długa, mozolna i kamienista. Podlegałaby ona oczywiście różnym wahaniom, różnym wpływom zewnętrznym łącznie z oscylowaniem koniunktur światowych na rynkach finansowych i towarowych; wykazywałaby ona różne wzniesienia i upadki w ścisłym związku z rozwojem stosunków gospodarczych i politycznych wewnątrz państwa; stałaby się na pewno miejscem ścierania się wielkich prądów społecznych i ogniskiem walk programowych. Tych jednak zjawisk ogólnych nie ominął systematyczny i szybki rozwój przemysłowy w Europie Zachodniej i w Ameryce. Mimo to do ostatnich prawie lat ewolucja w dziedzinie industrializacji świata dokonywała się w coraz bardziej zawrotnym tempie, obejmując coraz silniej wciąż nowe okręgi, nowe państwa i nie uprzemysłowione dawniej części świata. Przyjmując stan z r. 1913 jako równy 100, sumaryczna produkcja światowa wzrosła do r. 1927 do wskaźnika 121 [1]. Partycypowanie jednak poszczególnych ośrodków gospodarczych było w tej ewolucji zupełnie nierównomierne. Gdy bowiem w omawianym 15-leciu rozwój produkcji w Europie łącznie z Rosją azjatycką wyraża się skokiem od 100 do 110, to w Ameryce Północnej wskaźnik ten osiągnął w r. 1927 poziom 128, w Ameryce

---

[1] Porównaj Wydawnictwa Komitetu Ekonomicznego Ligi Narodów (*Service d'Etudes Economiques*) oraz np. W. Woytinsky'ego, *Die Welt in Zahlen*, Berlin 1925—1928, t. I—VII, *Tatsachen und Zahlen Europas*. Roczniki Statyst. Gł. Urz. Statyst. *Wirtschaft u. Statistik*, *Statistische Jahrbücher für das Deutsche Reich*, wyd. Dresdener Bank *Die wirtschaftlichen Kräfte der Welt*, etc.

Środkowej 148, w Ameryce Południowej 141, w Azji 123; w Afryce 148, a w Australii 121. Dla pełności obrazu, którego odczucie i zrozumienie stanie się w dalszych wywodach konieczne, należy też podkreślić, że analogicznie wzrósł poważnie handel światowy między r. 1913 a 1927. Gdy jednak Europa w rozwoju tym prawie już żadnego udziału nie miała, przechodząc od współczynnika 100 zaledwie do 101, to Ameryka Północna uzyskała w r. 1927 współczynnik równy 153, Ameryka Środkowa 149, Azja 158, a Australia 144. Szczególnie silnie na losach gospodarstwa światowego zaciążył niebywały rozwój gospodarczy Stanów Zjednoczonych. Państwo to, uzależnione do niedawna licznymi węzłami od Europy, zdołało się całkowicie wyemancypować właśnie w okresie wielkiej wojny od wszelkiej zależności. Stany Zjednoczone, obejmując niecałe 6% powierzchni i ludności świata, rozporządzają obecnie 40 procentami sumarycznej światowej produkcji węgla, żelaza, stali, cynku, ołowiu i tytoniu, 50 procentami produkcji miedzi i bawełny, 70 procentami nafty i benzyny; gdy Wielka Brytania zmuszona jest sprowadzać z zagranicy 65% niezbędnych surowców i 35% swej konsumpcji, to Stany Zjednoczone sprowadzają z zagranicy jeszcze tylko 8% swej konsumpcji. Wywóz ich do Kanady, Indii, Chin, Japonii, Argentyny, Chile, Brazylii, Kuby i Filipin itd., szybko wzrasta, gdy eksport Anglii i Europy systematycznie maleje. Analogicznie przedstawia się ruch w inwestycjach kapitałowych. Zapasy złota w stosunku do okresu przedwojennego wzrosły w Stanach Zjednoczonych prawie trzykrotnie.

Fakty te uderzają swoimi nieuchronnymi konsekwencjami w życie gospodarcze całej Europy. Okres szybkiej i łatwej rozbudowy przemysłowej przeminął albo co najmniej został zahamowany na długi przeciąg czasu. Tendencjom i procesom narastania nowych war-

tości przemysłowych przeciwstawiać się obecnie będzie zarówno międzynarodowa, europejska polityka ekonomiczna, jak nie mniej i tysiące faktów w codziennym życiu.

Niezależnie od tych zasadniczych zjawisk, tkwiących głęboko w mechanizmie światowym, walą się obecnie wciąż nowe kłody, zapory i przeszkody, utrudniające nieprawdopodobnie wszelką akcję w zakresie celowej organizacji i przebudowy gospodarstwa narodowego poszczególnych państw. Skutki gospodarcze wielkiej wojny światowej poczynają się dopiero ujawniać w całej swej pełni. Czujemy już nieustanne trzęsienie ziemi, ale psychicznie nie możemy jeszcze pogodzić się z tym faktem i wciąż szukamy małych, wewnętrznych winowajców, którym przypisujemy zjawisko ustawicznego spadania kamieni i pękania budowy, którą wznieść usiłujemy. Zarówno wielu kierowników państw, jak i wielu przywódców stronnictw politycznych, zarówno reprezentanci przemysłu i kapitalizmu jak też nieraz i przedstawiciele proletariatu robotniczego usiłują zająć dawne, przedwojenne, oszańcowane pozycje, usiłują nawrócić do dawnych form walki i do dawnego świata, który już przestał istnieć. Stosowanie przedwojennych metod staje się jednak coraz bardziej i coraz wyraźniej absurdem w nowo powstającym świecie, a bezwzględny upór przy „sui generis" konserwatyzmie czyni wrażenie, że znaczna część świata uległa szaleństwu i pędzi na oślep każdy doniosły problemat życia w jakąś dziką przepaść śmierci. Chaos rośnie ustawicznie w naszych oczach, a absurdy ekonomiczne i polityczne mnożą się z dnia na dzień. Jedne narody cierpią głód, nie mogą pokryć zapotrzebowania w najprymitywniejszym bodaj zakresie na artykuły pierwszej potrzeby, nie mają dla swej ludności mieszkań, nie posiadają rozwiniętej sieci dróg komunikacyjnych, które by otwarły nowe, olbrzymie rynki zbytu, a inne,

przeklinając klęskę urodzaju, palą lub denaturują zboże i zamykają huty żelazne, fabryki włókiennicze, cementownie, cegielnie. Jedni duszą się od nadmiaru złota, drudzy martwieją i giną z powodu jego niedostatku. Stopniowo wykruszają się wszelkie metody racjonalnego handlu; gdy w przeszłości był on źródłem bogactwa narodów, dziś przy dumpingowych metodach stosowanych w coraz szerszej i coraz bezwzględniejszej formie staje się źródłem strat i ubóstwa. Przed kilku laty obywatele wielu państw uciekali od własnych, słabych i niskich walut; dziś uciekają od tzw. walut silnych, które jeszcze niedawno były symbolem niezachwianego zaufania. Miliony drobnych kapitalistów rzucają się w chorobliwych podrygach na akcje przemysłowe i bankowe, by zaraz następnie stwierdzić, że całe tony tych papierów nie przedstawiają wartości; gonią więc ku papierom państwowym, komunalnym, obligacjom, nieruchomościom, następnie wycofują się stąd gwałtownie i uciekają do towaru, który porzucają niebawem w panice, gromadzą swe wartości w pieniądzu, by w końcu i od niego w popłochu uciekać, wątpiąc, czy w ogóle istnieje jeszcze jakikolwiek ratunek dla ich zasobów i wartości. Rozkład wielkich prądów myśli gospodarczej rysuje się już całkiem wyraźnie, a mimo to szańce liberalizmu gospodarczego w zakrzepłej, konserwatywnej formie bronią zaciekle pojedynczych odcinków i to zarówno na terenie międzynarodowym, jak też i wewnątrz pojedynczych organizmów gospodarczych. Tysiące sprzecznych prądów krzyżują się i paraliżują wzajemnie. Wielka wojna osaczyła liberalizm handlowy w najbardziej liberalnych państwach; przesunęła punkt ciężkości dyspozycji ekonomicznych do rąk państw i ich rządów, rozszerzając znacznie zakres pojęcia etatyzmu. Rozwój form spółdzielczych i towarzystw akcyjnych zaciera coraz mocniej wartości inicjatywy prywatnej; rozwój kar-

teli, trustów, syndykatów ogranicza coraz bardziej prywatną inicjatywę w handlu i burzy formy swobodnego kształtowania się cen na podstawie zasadniczego prawa podaży i popytu; dumping jawny, a jeszcze bardziej ukryty, rujnuje doszczętnie wszelkie relacje ekonomicznych wartości, wyrzuca z działalności przemysłowej i handlowej zasady zdrowej, a nawet jakiejkolwiek kalkulacji i sieje irracjonalizm celny; reglamentacja kapitałów i ludzi sprowadza konsekwentnie reglamentację towarów; preferencje celne obalają fundamentalne zasady traktatów handlowych, a wartość tzw. „klauzuli największego uprzywilejowania" usiłują sprowadzić do zera. Gdy w poszukiwaniu nowych dróg, na nieszczęście ułamkowych i przysztukowanych do ginącego systemu, powstaje na terenie Ligi Narodów hasło celnego zawieszenia broni, rozpoczyna się natychmiast nie spotykany dotąd w historii gospodarczej świata wyścig celny; gdy pada hasło, że największym złem jest system prohibicji towarowych, że należy go znieść i usunąć doszczętnie, w tym samym momencie uzyskuje on prawo obywatelstwa w polityce handlowej państw nawet zdecydowanie liberalnych, jak Francja, Belgia, Czechosłowacja i w innych; gdy następnie zjawia się program generalnej kartelizacji, jako lekarstwo na gospodarcze choroby świata, rozpadają się najważniejsze kartele i porozumienia międzynarodowe. Gdy w ramach komisji studiów Unii Europejskiej delegat Wielkiej Brytanii uzasadnia szeroko program uzdrowienia ekonomicznego za pomocą podniesienia cen i zarobków o 20%, to w dwa miesiące później przez dewaluację waluty właśnie Wielka Brytania obniża i ceny i zarobki o 20%. Gdy następnie ustala się opinia, że wszystkich zabija brak konsumpcji, to równocześnie długi szereg państw staje wobec konieczności znacznego podwyższenia stopy dyskontowej, redukowania poborów i zarobków, redukowania

robót publicznych, co oczywiście wpływa na dalsze skurczenie konsumpcji. Gdy w końcu cały świat zdaje się już nie wołać, ale krzyczeć o stabilizację pokoju, o położenie tego podstawowego kamienia węgielnego pod gmach zaufania, to równocześnie okazało się niemożliwym osiągnięcie porozumienia i zgody na zawieszenie wyścigu zbrojeń na jeden rok i doprawdy najprzenikliwszy umysł nie może zdać sobie jasno sprawy, kto w tej akcji był mądry, a kto głupi. Problematy, przede wszystkim gospodarcze, a z nimi i polityczne, z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, stają się coraz większe, potężniejsze, trudniejsze, rozrastają się do gigantycznych rozmiarów, a ludzie stają się coraz mniejsi. Zewsząd podnoszą się głosy, że „to rozsypywanie się dotychczasowego ustroju gospodarstwa świata jest nieuniknione i musi postępować bardzo szybko"[1], ale najmniej chcą wierzyć w to uparci adresaci tych ostrzeżeń.

Cały ten chaos międzynarodowy wali się niepomiernym ciężarem na barki tych państw i społeczeństw, które — jak Polska — stoją w obliczu konieczności odbudowania od podstaw, z dawnych i świeżych zgliszcz i popielisk, nowego życia, nowych i zdrowych warunków egzystencji i rozwoju milionowych rzesz ludności. Będzie on paraliżował niejeden wysiłek polski; będzie on uderzał huraganem i z prawa i z lewa w linię naszych zbiorowych celów i dążeń; będzie on często burzył zaufanie do własnych sił, podgryzał wiarę w skuteczność pracy i ofiar. A przecież rozum będzie nam nieraz wskazywał, że Polska dzisiejsza znajduje się w tak niezwykłych warunkach, iż musimy się strzec przed eksperymentami o nie sprawdzonej i wątpliwej wartości tak samo, jak musimy się oddalać stopniowo i systematycznie od warunków dzisiejszej

[1] R. Dmowski, *Świat powojenny i Polska*, Warszawa 1931.

egzystencji. Nie można też wystawić bardziej złudnej i bardziej szkodliwej teorii, jak ta, że właśnie siła odporna Polski na zjawiska kryzysu i chaosu międzynarodowego leży w jej prymitywnych formach rozwoju gospodarczego, w jej obecnej strukturze ludnościowej, w jej nikłym związku z gospodarstwem światowym i w jej separacji od politycznych prądów Zachodu. Doktryna taka okazałaby się niebawem tak samo zwodnicza, jak była nią w 18 wieku zasada, że właśnie nierządem Polska stoi. Od zła, które przesyca całą atmosferę życia państw i narodów świata, nie można się oddzielić ani murem paszportowym, ani barykadą celną, ani rygorami administracyjnymi, ani nawet powszechną nędzą; w stosunku do zła pozostaje praktycznie tylko jeden, rzetelny stosunek, tj. walka. Spotrzegany jednak powszechnie ogrom zła i zamętu kryje w sobie głęboko i zdrowe ziarno, posiew przebudowy podstaw życia, które wyrosłe z warunków i zasad 19 stulecia, doszło do zenitu swego rozwoju i dziś, i jutro ustępować musi miejsca nowym warunkom i nowym zasadom. W nakreślonej sytuacji tylko dwa pewniki możemy ustalić dla przyszłej Polski. Jej możliwości przystosowania się do nowych warunków życia są w zasadzie większe niż innych państw i społeczeństw, związanych stokrotnie silniejszymi węzłami, dłuższą tradycją z ginącą strukturą gospodarczą świata. Po wtóre, programowe cele wysiłku polskiego rysują się przed nami jaśniej, mocniej, wyraziściej i pewniej niż w jakimkolwiek innym społeczeństwie na świecie. Tam bowiem idzie o ustalenie samych zasad programu, tam każdy element funkcji zbiorowych jest sporny i wątpliwy. W Polsce, w zakresie wielu podstawowych zagadnień, nie o teoretyczny program idzie, ale o praktyczną realizację. Gdziekolwiek bowiem zwrócimy oczy nasze, spotkamy na ziemiach polskich zagadnienia, które były prześwietlane, badane, anali-

zowane przed stuleciami i dziesięcioleciami; wszędzie spotykamy całe i zachowane, żywotne i aktualne odłamki wielkiego, nie urzeczywistnionego nigdy programu państwowego, a czas potwierdził tylko ich wartość i walor bezwzględny. W Polsce tempo życia osłabło lub zamarło od 17 wieku, a więc pozostawiło żywy, nie zrealizowany program, który przy zastosowaniu nowoczesnych metod może wydać znacznie obfitsze i większe owoce niż ongiś.

Iluż to ludzi i światłych polityków w Polsce wołało o reformę ustroju agrarnego, ileż głosów formowało program w stosunku do miast, handlu, przemysłu i rękodzieła. Stanisław Staszic wołał o budowę własnego portu handlowego obok Gdańska, u wybrzeży Bałtyku, inni formułowali program w dziedzinie oświaty, inni uzasadnili wartość rozbudowy środków komunikacyjnych, inni wreszcie wskazali, na jakich zasadach należy oprzeć wewnętrzne stosunki w państwie, by wydobyć z niego najwyższą sumę sił społecznych. Wiele elementów składowych i wiele wytycznych państwowego programu polskiego przeszło u nas niespotykaną nigdzie próbę życiową; więc aktualność realizacji przewyższa u nas aktualność nowych programów i doktryn o wątpliwej wartości. Jest jasnym, że ekonomiczne wzmocnienie chłopa, rozszerzenie ram jego gospodarstwa, zasilenie go kredytem, ułatwienie mu dostępu do oświaty ogólnej i fachowo rolniczej, wzmacnianie warunków opłacalności całej produkcji agrarnej, rozkrzewienie kultu dla przemysłu ludowego obok stałych wysiłków, skoncentrowanych dla rozwoju przemysłu i handlu, systematyczne usuwanie zapór w jego rozwoju, modernizacji i racjonalizacji, stwarzanie norm prawnych dla planowości w tej ewolucji, dla ekspansji na zewnątrz, a rozbudowy konsumpcji na wewnątrz, to właśnie najistotniejsze źródło politycznej i organizacyjnej siły państwa. To elementy wyrówna-

nia rażących rozpiętości społecznych przez podwyższenie stopy życiowej najszerszych warstw ludności, to podstawy stopniowego narastania dobrobytu społecznego i produktywnej absorpcji przyrostu ludnościowego, to wreszcie fundament powodzenia skarbu państwa, tej podstawy wszelkiej celowości w zakresie programu gospodarczego i politycznego państwa. Jakiż byłby sens w obecnych warunkach toczenia sporów, prowadzenia namiętnych walk o zagadnienia drugo i trzeciorzędne, gdy zagadnienia narzucające się swą oczywistością, zagadnienia wstępne i podstawowe czekają na twórczą, pozytywną, konkretną pracę i zorganizowany wysiłek — w niejednym wypadku od stuleci?

Musimy — wbrew zdrowym nawet ambicjom — uświadomić sobie, że dziś jeszcze — tylko we własnym pojęciu lub w zagranicznych toastach bankietowych jesteśmy szóstym narodem i szóstym państwem w Europie. Dynamicznie mamy możliwość zająć nawet wyższe miejsce w rodzinie wolnych narodów Europy, współcześnie jednak w myśl panujących poglądów należymy do tzw. Europy B, tolerowanej z nie ukrywaną niechęcią i lekceważeniem przez Europę A, leżącą na zachód od linii Budapeszt—Wiedeń—Praga—Berlin—Sztokholm—Leningrad. Wiąże się to nierozdzielnie z faktem, że wartość rocznej produkcji na jednego mieszkańca w Polsce wynosi 317 mk złotych[1], gdy w Austrii wynosi już 592 mk, w Czechosłowacji 630 mk, we Francji 930 mk, w Niemczech 1077 mk, w Szwecji 1102 mk, w Holandii 1480 mk itd. Nasz handel zagraniczny w przeliczeniu na jednego mieszkańca w najkorzystniejszym roku powojennym[2] nie dochodzi do 200 zł, gdy w Czechosłowacji przekracza znacznie 700 zł, w Finlandii zbliża się do 900 zł, tj. przekracza

[1] W r. 1927/28. Por. W. Woytinsky, *Tatsachen und Zahlen Europas*, s. 137.

[2] Za r. 1928.

o 40% całkowitą wartość produkcji na mieszkańca Polski, w Szwecji zbliża się do 1300 zł, w Belgii wynosi 1850 zł, a w Danii nawet 2170 zł rocznie. W Polsce z trudem wytrzymujemy obciążenie budżetowe na jednego mieszkańca w sumie 9—11 dolarów rocznie, gdy Jugosławia wytrzymuje obciążenie 17 dolarów, Estonia 19 dol., Czechosłowacja 35 dol. Konsumpcja węgla dosięgła u nas w r. 1928 około 920 kg na mieszkańca, gdy mieszkaniec Francji skonsumował w tym czasie 1600 kg, Belgii 3500 kg, Niemiec 4000 kg, Stanów Zjednoczonych powyżej 5000 kg. Analogicznie przypada u nas w konsumpcji na każdego mieszkańca znacznie mniej żelaza, stali, cukru, mydła, papieru, wyrobów włókienniczych, nafty i benzyny, prądu elektrycznego, skór, cegły, cementu, miedzi, automobili, rowerów, książek i gazet niż w tzw. Europie A. Posiadamy znacznie mniej niż małe państwa zachodnie naprawdę dobrych i nowoczesnych dróg komunikacyjnych, mniej uregulowanych i spławnych rzek, osuszonych i wyzyskanych produktywnie bagien i nieużytków, posiadamy mniej przestrzeni mieszkalnej dla człowieka, mniej szpitali, zgłaszamy mniej patentów, za to mamy więcej dachów słomianych i pożarów, więcej przestępców i więcej żebraków. Nasze oszczędności w kasach i bankach nie dosięgają 40 zł na mieszkańca, gdy w Austrii wynoszą one około 200 zł, a w Czechosłowacji, Italii i Niemczech wahają się około 300 zł na mieszkańca. Nasz obieg pieniężny, przeliczony na głowę ludności, wynosił w r. 1929 około 50 zł, gdy w przedwojennej Rosji przy uwzględnieniu różnic w sile nabywczej pieniądza dosięgał 84 zł, w Kongresówce przekraczał wówczas 100 zł, a np. we współczesnych Niemczech wynosi 200 zł i w Austrii około 250 zł. Czyż można w tych warunkach mówić, iż nędza nasza jest naszym szczęściem, iż siła nasza leży w obecnej naszej strukturze ludnościowej, iż program celowej rozbudo-

wy jest zagadnieniem mogącym interesować tylko krajowych i zagranicznych „rekinów kapitalistycznych"? Wobec poprzednich rozważań, jaką doniosłą wymowę posiadać musi fakt wielkiej nierównowagi sił gospodarczych z jednej strony Polski dzisiejszej, a z drugiej Niemiec i Rosji łącznie. Po jednej stronie stoi 30 milionów ludności, po drugiej 220 milionów; tu mniej niż ½ miliona ton produkcji stali, tam powyżej 18 milionów ton przy gwałtownych wysiłkach dalszej rozbudowy produkcji; tu lotnictwo pasażerskie wykonuje rocznie około 1 milion kilometrów, tam 14 milionów kilometrów. Tu około 40 tysięcy samochodów, a w Niemczech około 600 000 wozów; tu na 100 km^2 powierzchni przypada średnio 5 km linii kolejowych, a w Niemczech około 15 km. Oto pierwsza, olbrzymia, doniosła w skutkach dysproporcja! Wrasta ona tak silnie i tak głęboko we wszystko, co stanowi wartość życia, co decyduje o dynamice człowieka w zbiorowym wysiłku, co rozstrzyga dziś i w przyszłości o samej egzystencji państwa, że każdy nerw świadomości i woli winien mieć ją ustawicznie w pamięci. Walka z tą dysproporcją, skupiająca w zgodnym, a przynajmniej w zharmonizowanym wysiłku największą sumę sił społecznych, to tylko druga, trudniejsza i bardziej skomplikowana część walki o niepodległość, o całość i rozwój Polski przyszłej!

Już z dotychczasowych rozważań wynika jasny obraz wzrastającej ustawicznie zależności i relacji, jakie istnieją między gospodarstwem pojedynczych państw i gospodarstwem międzynarodowym. Absolutna samowystarczalność jest nie do pomyślenia w gospodarstwie złożonym i postawionym na wysokim szczeblu rozwoju. Właściwie ujęty patriotyzm gospodarczy, domagający się od producenta dobrego i uczciwie skalkulowanego towaru, a od rzesz konsumentów poparcia wytwórczości krajowej, jest objawem zdrowym i po-

żądanym. Ale najsłuszniejsza i najszlachetniejsza idea staje się zwykłym głupstwem, gdy doprowadza się ją do absurdu. Istnieją działy produkcji, które tak ściśle są związane z miejscowymi warunkami i surowcami, lub też wymagają tak szerokiego nastawienia się na rynek światowy, że usiłowania rozwinięcia ich wbrew tym naturalnym przesłankom, jedynie w imię teoretycznej tendencji samowystarczalności, jest zmarnowaniem sił i zasobów społecznych. Jeżeli ponadto dąży się do przyspieszenia procesu uprzemysłowienia kraju, znajdującego się w początkowej fazie rozwoju, to oczywiście trzeba z góry przyjąć do rachunku, że w okresach tej rozbudowy musi silnie wzrastać natężenie importu. Naturalnym dążeniem każdego państwa jest, by niezbędny import pokryć przede wszystkim przez wywóz własnych towarów. Polska ma ponadto specjalne powody, by uznać ten problemat dla siebie za wyjątkowo ważny. Nie posiadamy żadnych poważniejszych aktywów i kapitałów ulokowanych za granicą, które by równoważyły pozycje pasywne w bilansie płatniczym. Dopływ oszczędności emigracji polskiej wykazuje tendencję malejącą; ruch obcokrajowców w Polsce jest nieporównanie mniejszy, niż ruch Polaków za granicą; wobec słabnięcia dynamiki handlowej w kierunku wschodnim wpływy z tranzytu towarowego, liczone jako saldo tranzytowe, również nie mogą stać się poważnym czynnikiem równowagi bilansu płatniczego. Natomiast wobec olbrzymich potrzeb inwestycyjnych naszego gospodarstwa sumy, wychodzące z kraju zarówno w postaci oprocentowania i amortyzacji pożyczek zagranicznych, jak też i zysków przedsiębiorstw opartych na kapitale obcym, wykazywać będą tendencję wzrastającą. Wszystkie te argumenty podkreślają wagę zagadnienia eksportu towarowego dla Polski oraz wskazują, że wszelka jednostronność krańcowego nastawienia polityki gospodarczej albo na

„rynek wewnętrzny", albo na „rynki zagraniczne" byłaby błędną. Programowy wysiłek polski musi uwzględniać stale oba zagadnienia i oba naturalne odpływy dla produkcji, gdyż stanowią one konieczność gospodarczą i są funkcyjnie ze sobą ściśle związane. Zacieśniający się i malejący eksport staje się stopniowo źródłem sztucznego kurczenia zarówno produkcji, jak i importu; w ten sposób zaś osłabia się proces modernizacji i rozwoju przemysłu, a w konsekwencji zjawia się i zahamowanie postępu konsumpcji.

Obustronne zwiększenie obrotu towarowego i rozszerzenie jego zasięgu posiada ponadto dla Polski niezwykle poważne znaczenie polityczne. Żadną, najbardziej umiejętną, szeroką i kosztowną propagandą nie będziemy w stanie tak szybko i tak definitywnie rozproszyć absolutnej ignorancji o Polsce, lekceważącego pomijania jej interesów i jej postulatów, jej praw i jej wartości, jak wówczas, gdy towar polski stanie obok towaru obcego na rynkach światowych i wykaże swą równorzędność pod każdym względem. Jest to dziś jedyny, przekonywający argument w świecie. Ale i przed tym zagadnieniem piętrzą się trudności tak wielkie i tak ważkie, że ogarnięcie w jednej, krótkiej i przejrzystej syntezie całego obrazu jest prawie niewykonalne. Mimo to pierwszą próbę tej syntezy należy wykonać.

Jak wykazano uprzednio, długi okres niewoli i podziałów rozbił jednolity teren gospodarstwa polskiego na trzy ośrodki, żyjące odrębnym życiem i związane ściśle z ewolucją ekonomiczną obcych organizmów. Stosunki handlowe ziem polskich zacieśniły się do obszarów politycznych państw zaborczych. Długotrwałe przyczyny ustaliły jednak pewną równowagę. Polegała ona na czterech zasadniczych i generalnych możliwościach. Handel zewnętrzny opierał się więc na wywozie przeważnie wyrobów gotowych, przemysłowych

na Wschód oraz na wywozie surowców i półfabrykatów oraz wszelkich produktów agrarnych na Zachód. Odwrotnie w imporcie Wschód grał rolę jako dostawca surowców, a Zachód jako importer towarów przemysłowych. Równowaga ta została całkowicie złamana w okresie powojennym i to nie na skutek przyczyn koniunkturalnych, a więc przemijających. Z jednej strony nasz potężny sąsiad zachodni odczuł tak dotkliwie swą zależność w zakresie wyżywienia ludności w okresie wielkiej wojny, iż podjął wielki program uniezależnienia się w tej dziedzinie od państw obcych. Akcję tę zaostrzyły w stosunku do Polski względy natury politycznej. Zapora wyrastająca na całej długości naszej granicy zachodniej i niemieckiej części granicy północnej dla naszego eksportu zboża, mięsa, bydła i trzody chlewnej, masła, jaj i drzewa, tj. wszystkich głównych produktów agrarnych, a następnie i dla najważniejszych surowców, jak węgiel, żelazo, cynk, nafta i jej pochodne, wzrasta z roku na rok. Zawarty formalnie traktat handlowy niemiecko-polski, coraz mniej zresztą aktualny, stabilizuje tę właśnie politykę Niemiec. Z drugiej strony ogromny niegdyś wywóz towarów gotowych na Wschód, przewyższający dawniej wartościowo cały nasz obecny eksport, został również szczelnie zamknięty. W latach najlepszych dzisiejszy eksport na Wschód wynosi zaledwie kilka procent wywozu w okresie przedwojennym pod względem wartości. A więc i ta wielka i rozciągła granica stała się siłą faktów martwa pod względem gospodarczym. Polityka ekonomiczna Sowietów kieruje się dziś całkowicie różnymi przesłankami niż polityka Rosji przedwojennej; produkcja własna ZSRR ulega stopniowej rozbudowie i przebudowie, warunki konsumpcyjne uległy również tak radykalnej zmianie, że o odbudowaniu tego rynku zbytu dla produkcji polskiej nawet w przyszłości realnie myśleć nie można.

Jeżeli obraz ten uzupełni się jasną świadomością, że Litwa uważa, iż znajduje się z Polską w stanie permanentnej, choć chimerycznej wojny, a więc, że i ta granica nie może stanowić ośrodka normalnej i zdolnej do rozwoju „bazy" gospodarczej, następnie, że granica południowa, karpacka, ze względu na same warunki geograficzne nie może stanowić poważniejszego ośrodka dla osmozy towarowej, że wreszcie nawet na granicy polsko-łotewskiej powstają pewne trudności, ze względu, iż nawet wbrew swej woli i wbrew tendencjom polityczno-gospodarczym Polska nie może absorbować w szerszej mierze towarów łotewskich, przeważnie produkowanych również u nas w kraju, to wyłania się już widoczniej cały, potworny zarys najbardziej pokojowej zresztą strategii gospodarstwa polskiego. Wszystkie istniejące dawniej drzwi gospodarcze zostały przed nową Polską zatrzaśnięte i opieczętowane. Na przestrzeni, obejmującej 90% granicy polskiej, został wystawiony nieprzebyty mur chiński, którego szczyty są posypywane wciąż nowymi szczerbami tłuczonego szkła; przedstawia ona taki sam splot trudności i przeszkód dla przebycia towaru, jak dziś dla człowieka przedstawia komunikacja międzyplanetarna. Oczywiście, iż teoretycznie istnieją pewne możliwości przedostania się przez te zapory, praktycznie jednak reprezentują one małe wartości. Tak więc surowce i płody agrarne nie wytrzymałyby dalekiego transportu drogą lądową przez Niemcy na Zachód, a towary gotowe znajdują w Europie Zachodniej zbyt coraz trudniejszy, ze względu na równoczesne zwiększenie produkcji, zmniejszenie się konsumpcji i ograniczenie eksportu Europy Zachodniej do krajów pozaeuropejskich. Te właśnie warunki wywołały w handlu europejskim zjawisko, iż producent względnie kupiec musi się zgłaszać do konsumenta, niosąc mu w pierwszej ręce pieniądze względnie kredyt na kupno towaru, przynoszo-

nego w ręce drugiej. Nie posiadając dostatecznych kapitałów dla organizowania własnej, tak słabej jeszcze konsumpcji, nie możemy finansować konsumpcji zachodnich bankierów świata, domagających się ponadto cen, które w wielu wypadkach nie mogą pokryć samych kosztów produkcji. Tych trudności, wynikających zarówno z geograficzno-politycznego położenia, jak też i struktury gospodarstwa polskiego, mimo wszelkich wysiłków i wyjaśnień nikt poza granicami Polski zrozumieć nie może czy nie chce. Wypływają stąd ustawiczne ataki na politykę handlową naszego państwa, ustawiczne starcia i naciski przy zawieraniu traktatów bilateralnych, jak też i na tle prac podejmowanych w zakresie gospodarczym przez Ligę Narodów. Analogicznie nikt nie jest w stanie pojąć pozytywnej wartości wysiłków, które podjęliśmy i które dość skutecznie realizujemy na poszczególnych odcinkach, by uchronić się przed ekonomicznym uduszeniem się i w następstwie tego faktu wepchnięciem milionowych rzesz naszego społeczeństwa w sytuację beznadziejnej, nigdy nie kończącej się nędzy.

Tak więc polityka handlowa Polski nie może być wynikiem jakiejkolwiek, choćby hipotetycznie najdoskonalszej doktryny, wynikającej z najsłuszniejszych, ale teoretycznych przesłanek, gdyż znajduje się nieprzerwanie pod uderzeniami niezwykle doniosłych i różnorodnych faktów, z których ustawicznie musi sobie zdawać sprawę i z którymi musi się liczyć. Idea wolnohandlowa a raczej pseudoliberalna niezależnie już od tego, czy w dzisiejszym i jutrzejszym świecie będzie mogła jeszcze egzystować, w warunkach obecnych oznaczałaby tylko wolność i swobodę importu towarów gotowych, półproduktów i surowców z zachodu i wschodu Europy do Polski, nie dając Polsce w zamian żadnej korzyści i swobody ekspansji. Byłoby więc jednostronnym zburzeniem resztek gospodarczej

równowagi, nawet wówczas, gdyby import ten nie posługiwał się metodami dumpingu. Odwrotnie natomiast byłoby do pomyślenia, że Polska mogłaby zupełnie dobrze egzystować i rozwijać się ekonomicznie przy pełnym zastosowaniu metody wolnohandlowej w ramach całej bez wyjątku Europy i w odniesieniu do wszystkich towarów. Wówczas jednak Niemcy musiałyby się wyrzec swej polityki agrarnej i protekcjonistycznej dla surowców. Rosja musiałaby stanąć na stanowisku kapitalistycznym i otworzyć swe granice dla wolnej konkurencji, wszystkie państwa musiałyby zrezygnować z zorganizowanego systemu dumpingowego i licznych, dość maskowanych prohibicji. Postulat ten jest jednak praktycznie nie do zrealizowania.

Z tych samych źródeł wynika nie tylko linia naszej polityki morskiej, ale zarazem olbrzymia gospodarcza wartość bezpośredniego dostępu do morza, przez własne, integralne państwowe terytorium. Obecny stan faktyczny na Pomorzu jest i pozostanie dla nas na zawsze najistotniejszym warunkiem politycznego bytu i samodzielnej egzystencji gospodarczej. Żadne porównanie ze Szwajcarią lub Czechosłowacją, tak często podsuwane nam przez naszych „przyjaciół" zachodnich, nie może się tu ostać wobec wymowy argumentów i faktów. Wymienione państwa nie mogą niczym uzasadnić politycznych praw do bezpośredniego dostępu do morza; za nami przemawiają wszystkie bez reszty argumenty etnograficzne i polityczne. Obecnie z tą samą siłą stoją za nami argumenty ekonomiczne. Trzeba tylko wyobrazić sobie Polskę, jako olbrzymi balon, uczepiony podstawą u wąskiego wybrzeża morskiego. Wewnątrz tego balonu ciśnienie gospodarcze musi ustawicznie wzrastać. Powiększa się ono przez niezbędny import, który w perspektywie lat musi wykazywać tendencje do rozwoju; wzrastać ono będzie przez narastanie ludności miejskiej, przez wzrastającą

produkcję i organizujący się handel. Ilość drobin gospodarczych, zamkniętych w tym polskim balonie, będzie się ustawicznie mnożyć, ruch ich będzie się potęgować i wzmagać, a więc i wewnętrzne ciśnienie musi ustawicznie wzrastać. Ściany, opierające się o nasze granice lądowe, są jednak nieprzenikliwe dla wyrównania się tych ciśnień. One są przeszkodą osmozy gospodarczej, a nie jej pomocą. Jedyną, naprawdę wolną granicą, jedynym miejscem wyrównania wciąż rosnących ciśnień, jedynym, nieograniczonym kontaktem gospodarczym z całym światem jest właśnie granica morska.

Jeżeli więc pod tym kątem widzenia zechcemy popatrzeć na problemat bałtycki Polski, to szereg niejasnych faktów i zjawisk zdobędzie natychmiast całkowite wyjaśnienie i całkowicie różny sens niż ten, który nadaje im propaganda niemiecka. Choć to brzmi nieco paradoksalnie, to jednak jest faktem niezaprzeczalnym, iż wobec ustawicznie rosnących trudności i zapór na linii naszego dawnego rozwoju i współżycia ekonomicznego, biegnącej w kierunku najbliższego Zachodu i Wschodu, musielibyśmy obrócić linie naszej polityki gospodarczej i handlowej o 90 stopni, tj. skierować ją na północ[1] i na południe. Warunki ekonomiczne, istniejące na naszej granicy wschodniej, warunki, narzucone nam na granicy zachodniej i północnej przez wojnę celną i nowe zasady polityki gospodarczej Niemiec, zmusiły nas do wejścia na tę drogę, na której powinniśmy się byli znaleźć przed dziesięcioma wiekami. Gdyby więc wojna celna przyniosła nam nawet realne szkody na innych płaszczyznach życia, to ten jeden

[1] Oczywiście, nie w ściśle geograficznym pojęciu. Kierunek północny oznacza w tym wypadku nie tylko wymianę gospodarczą z rynkami położonymi na północy, ale i cały obrót towarowy na granicy morskiej, niezależnie od swego przeznaczenia lub kraju pochodzenia.

zapoczątkowany już fakt z lichwiarskim procentem wyrównuje wszystkie straty i szkody. Jeszcze w r. 1924 przez granicę morską Polski przechodziło niecałe 11% sumarycznego obrotu towarowego Polski z zagranicą. Dziś przez porty w Gdańsku i Gdyni przechodzi około 12 milionów ton towarów rocznie z Polski i do Polski, a liczba ta stale nawet w okresie kryzysu, wzrasta. Oznacza to, że kilkudziesięciokilometrowa granica morska Polski — jako element gospodarczy — równoważy się dziś w obrocie towarowym z około 5500 km granicy lądowej. Każdy metr, każdy kilometr granicy morskiej pracuje więc dla Polski 100 razy intensywniej, prędzej i przyjaźniej niż metr czy kilometr granicy lądowej. A wynik ten nie jest nawet i przede wszystkim rezultatem jakichś specjalnych zabiegów i specjalnej polityki polskiej. Nie mamy prawa jeszcze przypisywać sobie szczególnych zasług w tej dziedzinie. Więcej bowiem zaważyła tu na szali sama konieczność, sam fakt, że wzrastające ciśnienie ekonomiczne, wobec wciąż nowych i rosnących zapór na granicach lądowych, mogło się jedynie swobodnie wyładować na granicy morskiej. Znamiennym potwierdzeniem tego stanu rzeczy jest zjawisko, że przeładunek w Gdańsku, utrzymujący się stale od okresu przedwojennego do r. 1924 na wysokości około 2 milionów ton rocznie, rozpoczął swój marsz w górę, aż do 8 milionów ton, właśnie w tym samym momencie, gdy Polska zmieniła kierunek swej polityki handlowej, oznaczonej linią kierunkową zachód—wschód, na kierunkową północ—południe i w związku z tym podjęła rozbudowę Gdyni. Gdzież więc w tej sytuacji może być miejsce dla insynuowanej nam małostkowej i ciasnej polityki celów konkurencyjnych wobec Gdańska? Gdzież tu jest miejsce dla przykładu Czechosłowacji lub Szwajcarii, posiadających wewnętrznie gospodarstwo rozbudowane, nasycone, a granice ekonomicznie żywotne i swobod-

ne? Polska bez wolnego, nieskrępowanego dostępu do morza musiałaby się albo gospodarczo udusić, zbankrutować, albo musiałaby dobrowolnie włączyć się do systemu gospodarczego jednego z dwóch swoich potężnych sąsiadów, ze wszystkimi politycznymi konsekwencjami tego kroku. Ale swobodnego wyboru nie miałaby. Argument, że przecież i przez obce politycznie terytorium można dotrzeć z towarem do portów i wybrzeża morskiego, wypróbowaliśmy od dawna praktycznie na sobie, a praktyka ta nie może skłaniać nas do wiary w jego wartość. Fryderyk II wyraźnie wskazał, że posiadanie przez Prusy polskiego wybrzeża ma na celu przede wszystkim gospodarcze opanowanie Polski. Stulecie niewoli naszej było jednym pasmem realizacji tej polityki. Po pierwszym rozbiorze — jak pisze W. Kalinka — „w jednej chwili znaleźliśmy się politycznie odcięci od zachodniej Europy, a pod względem handlowym zdani na złą wolę Prus. To pruskie panowanie nad ujściami Wisły było jak gdyby gwoździem, wbitym w ciało Rzeczypospolitej, który i wolny przebieg soków żywotnych tamował i sprawił boleść niewymowną. Odtąd i handel i rolnictwo były w Polsce sparaliżowane"[1]. Co gorsze, opanowanie ostatniej i jedynej w naszych warunkach geograficznych, politycznych i gospodarczych możliwości rozwoju ekonomicznego i kontaktu handlowego ze światem przez Prusy było w przeszłości wygrywane jako narzędzie wyciskania z Polski dalszych rezygnacji terytorialnych i politycznych. Ktokolwiek więc wystawia hasło rewizji tej granicy Polski w sensie oddzielenia od nas, wbrew woli 90% ludności i wbrew wielowiekowej historii, polskiego Pomorza, winien jasno i bez obłudy mówić: domagam się ponownego podziału Polski i wpędzenia jej za pośrednictwem niewoli gospodarczej w niewolę

---

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. I, s. 246.

polityczną! Czyż jednak — wobec tak postawionej kwestii — można oczekiwać innej odpowiedzi z naszej strony, jak ta, że zamiarom tym przeciwstawimy zawsze wszystkie siły, w każdej formie, na jaką nas tylko stać będzie.

Tymczasem zaś sama konieczność wskazuje nam na niezbędność podtrzymania i nieprzerwanego rozwoju naszej polityki morskiej. Każdy nowy metr wybrzeża, każdy nowy dźwig, każdy skład towarowy, każda nowa placówka handlowa w Gdyni, każde ulepszenie komunikacji, każdy nowy okręt, każda nowa fabryka na wybrzeżu, każdy bank, każda nowa więź cementująca Gdynię z Pomorzem, a całe województwo pomorskie z resztą państwa, to wielka zdobycz, to poważny aktyw naszego dorobku państwowego. Tu koncentruje się jedyna, praktyczna akademia kupiecka Polski, tu stoi otworem droga najpewniejsza i najkrótsza dla wyrównania wartości człowieka w Polsce z wartością człowieka w Europie Zachodniej, tu zbiega się granica współpracy z narodami całego świata, tu wreszcie harmonizują się automatycznie wszystkie różnice poglądów, wszystkie starcia myśli i programów całej Polski.

Realizacja programu morskiego znajduje się u nas dopiero w fazie początkowej. Zasięg naszej ekspansji eksportowej nie wyszedł jeszcze poza obręb Europy. Łotwa eksportuje do krajów pozaeuropejskich trzykrotnie większy odsetek sumarycznego wywozu niż Polska, Rumunia czterokrotnie większy, Niemcy pięciokrotnie większy, a udział eksportu Italii na rynkach pozaeuropejskich w stosunku do całości jej wywozu jest dziesięciokrotnie większy niż Polski. Nasza flota handlowa stanowi dopiero dostateczną kadrę doświadczalną, mającą wskazać społeczeństwu nowe możliwości wysiłku i pracy. Znaczna część naszego importu nie odnalazła jeszcze drogi do naszego wybrzeża morskiego, a eksport posiada jednostronny, su-

rowcowy charakter. Handel nasz poczyna dopiero dostosowywać się organizacyjnie do form, niezbędnych w zakresie samodzielnego handlu morskiego i międzynarodowego. Koleje żelazne mają jeszcze przed sobą olbrzymie zadanie skierowania wszystkich swych nerwów frontem do wybrzeża Bałtyku. Powstają dopiero zaczątki agencji morskich, niejasno zarysowują się nowe potrzeby w zakresie komunikacji telegraficznej i telefonicznej, związanej z siecią międzynarodową, wyłaniają się wciąż nowe potrzeby, związane z miejskim ośrodkiem portu, ma powstać z nicości własne prawo morskie, własna literatura techniczna i komercjalna. Ale stokrotnie wyżej, ponad wszystkie wymienione tu problematy, wznosi się zagadnienie psychiczne. Nie można zaprzeczyć, że zrodziła się już i krzewi się dalej miłość społeczeństwa polskiego ku własnemu morzu. Ale miłość to tylko uczucie, które może się wzmagać i może zanikać. A przecież z tym nie rozwiązanym jeszcze zagadnieniem, zaledwie może dobrze zapoczątkowanym, wiążą się ściśle najistotniejsze warunki naszego bytu, naszej egzystencji państwowej, naszego rozwoju gospodarczego, a więc i naszej walki o lepsze, o obfitsze wyposażenie człowieka w jego upartym przebijaniu się przez życie. Pod względem ekonomicznym ta mała granica morska stanowi już dziś to samo, co olbrzymia granica lądowa. Nie można zaś ani obliczyć, ani wyprorokować kresu jej wartości. Będą one stopniowo narastać w stosunku do naszej upartej i niezłomnej woli pracy, proporcjonalnie do naszego wysiłku i do przestawienia naszej psychiki. Przez wieki całe, wbrew narzucającym się okolicznościom i potrzebom, byliśmy narodem rolników; dziś musimy się stawać narodem wielofunkcyjnym, społeczeństwem kupców, przemysłowców, rolników, pracowników fizycznych i umysłowych. Przez szereg stuleci zasklepiliśmy się w zagadnieniach lądowych; dziś

musimy znaleźć miejsce i dla zagadnień morskich. Praca ta wymaga skierowania wzroku w przyszłość i zrozumienia, że wytrwała i świadoma polityka morska daje istotne rezultaty później, wolniej, ale i obficiej niż jakikolwiek inny wysiłek; niecierpliwość naszej natury domaga się jednak rezultatów natychmiastowych i nie budzących żadnych wątpliwości. Stoją więc tu przeciwko sobie: pozornie mała granica i małe terytorium, a istotnie splot najdonioślejszych problematów naszego życia; psychika społeczeństwa rolniczego i lądowego przeciw konieczności powstania społeczeństwa kupieckiego i morskiego; jaskrawe potrzeby dnia dzisiejszego zetrą się tu w antagonizmie z potrzebami przyszłości, absorbującymi część dorobku pokolenia współczesnego dla budowy fundamentów powodzenia pokoleń następnych.

Tak więc jedna szala wagi napełniła się już po brzegi, aż po same ramię wytrzymałości. Powstała olbrzymia piramida potężnych ciężarów, tłoczących wszystkie objawy naszego zbiorowego życia w dół. Trudno tu nawet ocenić, który z tych bezwładnych złomów jest większy, cięższy i bardziej zdradliwy. Kładły się one bez przerwy na szalę historyczną Polski od wieków. Pozostawiła je w przejawach zbiorowej psychiki narodu historia upadającej Rzeczypospolitej szlacheckiej z 17 i 18 wieku, pomnożyły je wielokrotnie pod względem politycznym, gospodarczym, społecznym i narodowościowym czasy niewoli, podziałów i wielkiej wojny. A choćby nawet niektóre z tych ciężarów zżarła już częściowo rdza czasu, a choćby niektóre z nich zdołała skruszyć lub tylko spiłować ciężka praca wysiłku społecznego i państwowego, to jednak wnet przybyły nowe obciążenia lub spotęgowały się dawne. Ich ciężar właściwy wzrasta ustawicznie z biegiem

czasu, i to tym więcej, im bardziej stają się one anachronizmem w stosunku do 20 wieku i w stosunku do Europy Zachodniej, z której życiem i rozwojem jesteśmy najściślej i automatycznie związani. Gdziekolwiek tylko zwrócić wzrok, na zewnątrz czy wewnątrz Polski, zewsząd sypią się i sypią potężne zwały ciężarów na tę symboliczną wagę polską, na której tylko jeden punkt absolutnej równowagi oznacza życie, oznacza prawo rozwoju i prawo zwycięstwa nad trudnościami. Stosunki międzynarodowe w świecie powojennym, to jedno ustawiczne, coraz nawet silniejsze trzęsienie ziemi, i to we wszystkich objawach i we wszystkich relacjach. Ten jeden fakt utrudnia już niezmiernie ustalenie i utrzymanie punktu równowagi. Ale faktów tych jest znacznie więcej. Siedemdziesiąt pięć procent naszej linii granicznej reprezentuje, jeżeli nie ukryte, ale groźne i bezpośrednie niebezpieczeństwo, to przynajmniej potężny splot problematów, domagających się niezwykle zaostrzonej czujności z naszej strony. A wewnątrz państwa każde podjęte zagadnienie, każdy przejaw materialnego lub politycznego życia przedstawia dylemat, urągający wprost bezmiarem trudności i uczący przy głębszej i obiektywnej analizie, że pozytywne i sprawiedliwe rozwiązanie jednego problematu potęguje stokrotnie i samorzutnie trudności przed drugim. Od państwa i jego rządów wymagamy spełnienia długiego szeregu postulatów; stawia je każda grupa społeczna i każda organizacja polityczna. Pragniemy mieć drogi zdatne do komunikacji, rozbudowane linie kolejowe, pocztowe i telegraficzne, domagamy się bezpłatnej i nowocześnie urządzonej szkoły dla naszych dzieci, realizacji programu rozbudowy Gdyni, uregulowania rzek, osuszenia Polesia, zabezpieczenia mienia ludzkiego przed powodziami, budowy mostów, regulacji, przebudowy i technicznego i sanitarnego wyposażenia miast, warunków rozwoju rolnictwa, prze-

mysłu, rzemiosła i handlu, ułatwienia trudnej ekspansji handlowej dla nadmiaru naszych produktów, sprawnego wymiaru sprawiedliwości, wzmocnienia i rozszerzenia działalności kredytowej banków, zabezpieczenia stałości pieniądza, łagodzenia skutków bezrobocia, realizacji racjonalnej ekonomicznie reformy rolnej, subwencjonowania budownictwa mieszkaniowego, sprawiedliwego wynagrodzenia pracy urzędników państwowych, rozbudowania sieci placówek gospodarczych za granicą, a wreszcie zabezpieczenia państwa i jego zdolności obronnej, a równocześnie wskazujemy na konieczność zmniejszenia dotychczasowych, niedostatecznych w stosunku do najważniejszych tylko potrzeb obciążeń na rzecz państwa. Jeżeli więc energia społeczna nie ma się ustawicznie marnować w bezproduktywnych wysiłkach, pogłębiających tylko nędzę ludzi i potęgujących trudności przed państwem, musimy z całą świadomością dążyć do ustalenia równowagi na tej polskiej wadze życia dzisiejszego i przyszłego.

Wymierzyliśmy już najogólniej ciężar, spoczywający po jednej stronie wagi. Cóż więc możemy położyć po stronie drugiej?

Niestety, nic tu więcej do położenia nie mamy, jak tylko samych siebie. Nasz własny rozum stanu, naszą własną solidarność z celami państwa, które są lub winny być wspólnym społecznym mianownikiem, nasz własny talent organizacyjny i zdolność przewidywania przyszłości, nasz wysiłek i naszą pracę, naszą ofiarność, nasz takt i nasz zmysł karności, nasz szacunek dla bezinteresownej pracy państwowej, nasz umiar i zdrowy sens w nieuniknionych starciach politycznych, naszą uczciwość w sądach, naszą zdolność zharmonizowania się z ewolucyjnym rozwojem politycznym, społecznym i gospodarczym państwa.

Francuzi mówią: „la critique est aisée et l'art est difficile". Istotnie, krytyka jest łatwiejsza niż działal-

ność. Ale nie ma nic bardziej trudnego, jak samokrytyka, jak krytyczne wniknięcie nie w cudzą, ale własną działalność. Gdyby więc na chwilę mógł zaistnieć tak nieprawdopodobny fakt, że każda grupa polityczna, każde stronnictwo, każdy działacz i mąż stanu w Polsce zechciałby z całą dobrą wolą wniknąć, przeanalizować swoją własną działalność, swój program, swoje wartości, swój kapitał, który kładzie na tej drugiej szali polskiej wagi i to nie z punktu widzenia jakiejś oderwanej, teoretycznej doktryny czy ubóstwianej zasady, ale właśnie i jedynie z punktu widzenia obciążeń, zwalonych na szali pierwszej, to niewątpliwie uległby głębokiemu wstrząsowi pod naciskiem świadomości tej olbrzymiej dysproporcji. Być może, że i w życiu zbiorowym robi się często największe głupstwa z najszlachetniejszych pobudek lub gwałtownych uniesień temperamentu czy emocji, ale w relacjach politycznych ani emocje, ani nawet szlachetne pobudki istotnej wartości nie mają; posiadają je natomiast czyny i fakty z tych pobudek zrodzone, choć nierzadko skutki ich nie przejawią się współcześnie. Wracamy więc ponownie do zagadnienia mechaniki politycznej. Określone opory wymagają określonej ilości energii dla ich pokonania. Jest źle, gdy brak tej energii jest wynikiem braku pracy; ale stokrotnie gorzej, gdy jest on rezultatem wielkiej ilości niezharmonizowanego, wciąż paraliżującego się wysiłku. Maszyna pracuje intensywnie, ale współczynniki jej praktycznej wydajności są małe. Źle zaprojektowana i źle zmontowana maszyna musi zużywać wielką część swej pracy dla pokonania tarcia wewnętrznego, a więc bezużytecznego. I nic tu nie usprawiedliwią przykłady, że w świecie współczesnym tyle maszyn społecznych i państwowych pracuje źle i niewydajnie. Jeżeli nie ma analogii w założeniu, nie może jej być również w wykonaniu.

Toteż zasadniczym błędem naszym było to, że w organizacji państwa usiłowaliśmy założyć same podwaliny i fundamenty wedle obcych wzorów, zreformowanych na podstawie złej tradycji starej Rzeczypospolitej. Nie mogliśmy zrozumieć tego właśnie najkardynalniejszego faktu, iż nie ma w świecie żadnej formuły prawdziwego demokratyzmu. Demokratyzm zdrowy i istotny może tylko istnieć w ludziach i z nich wypływać. Choćby zebrane zostały wszystkie, najbardziej krańcowe tylko formy i tradycje demokratyczne wszystkich państw świata i zamknięte zostały w konstytucji jednego państwa, nie musi ono przez ten fakt stać się ideałem demokratyzmu i prawdziwej wolności społecznej. Odwrotnie, moglibyśmy odkryć w historii przeszłej i dzisiejszej organizmy państwowe na wskroś głęboko demokratyczne, w których każda istota żyjąca ma poczucie ochrony prawa i nienaruszalności swobód obywatelskich, a opierające się na zasadach, przeciwko którym zaprotestowałby zdoktrynizowany i powierzchowny demokrata. Stan psychiczny i moralny społeczeństwa, w całym jego przekroju, decyduje stokrotnie silniej o panowaniu zdrowego i prawdziwego demokratyzmu niż taka lub inna czcza formuła, wydedukowana z tendencji szablonowego naśladowania obcych wzorów. „Uważam demokrację konsekwentną i poprawnie przeprowadzoną — pisze słusznie prezydent Masaryk — demokrację nie tylko polityczną, ale ekonomiczną i społeczną za stan społeczeństwa w naszej dobie i w dosyć długiej przyszłości właściwy i pożądany... Demokracja oznacza nierówność znośną, nierówność jak najmniejszą, i stale się zmniejszającą"[1]. Z jeszcze większą mocą i zdecydowaniem formułował w latach 1919 i 1920 poglądy swe w tym zakresie marszałek J. Piłsudski. Pisze on: „Wśród olbrzymiej

---

[1] T. G. Masaryk, *Rewolucja światowa*, t. II, s. 251.

zawieruchy, w której miliony ludzi rozstrzyga sprawy jedynie gwałtem i przemocą, dążyłem, by właśnie w naszej Ojczyźnie konieczne i nieuniknione tarcia społeczne były rozstrzygane w sposób jedynie demokratyczny; za pomocą praw, stanowionych przez wybrańców Narodu"[1]. W dwa lata później dodaje: „Chodzi o to, aby kraj nasz zrozumiał..., że wolność, jeżeli ma dać siłę, musi jednoczyć, musi łączyć, musi rękę sąsiadom i przeciwnikom podawać, musi umieć godzić sprzeczności, a nie tylko przy swojem się upierać, Z takiej jedynie ustępliwości wzajemnej, z takiego jedynie wzajemnego poszanowania... wypływa moc wielka w chwilach trudnych i w chwilach kryzysów państwowych"[2]. Wielu przeciwnikom rządów marszałka Piłsudskiego wystarcza samo przeciwstawienie tych słów ze stosunkami, które wytworzyły się w okresie tzw. „pomajowym". Przeskakują oni jednak potężny zwał faktów, które przedzielił lata 1920 i 1926, zwał, który mógł być usunięty jedynie przez świadomą i dobrowolną ocenę jego wybitnie negatywnych wartości i całkowite, jasne i uczciwe, przekreślenie i potępienie przez frakcje polityczne przyczyn i źródeł jego istnienia.

Należy zdać sobie sprawę z tego, że w sytuacji powojennej spotęgowały się siłą faktów różnice w zasadach działania rządów i parlamentów, powodując w całym świecie tzw. „kryzys parlamentaryzmu". Przy najlepszej nawet woli, przy doszczętnym nawet usunięciu wszystkich pierwiastków osobistych, przy najwyższym wyrobieniu politycznym i uczciwości w działaniu publicznym, muszą obecnie istnieć źródła tarć i napiętych antagonizmów między każdym, świadomym swych obowiązków i odpowiedzialności rządem i każ-

---

[1] J. Piłsudski, *Myśli*, w opracowaniu K. Krzewskiego, Warszawa 1924, s. 93.

[2] Tamże, s. 109—110.

dym parlamentem. Wielka wojna zepchnęła przede wszystkim narody Europy z płaszczyzny znośnego dobrobytu gospodarczego w otchłań nędzy i niedoli. Miliardowe wartości, stanowiące dorobek wielu pokoleń, zostały zniszczone od jednego zamachu. I rządzeni i jeszcze bardziej rządzący zostali głęboko zdemoralizowani, ucząc się bez przerwy załatwiania spraw przy użyciu gwałtu i przemocy. Ta olbrzymia przepaść, dzieląca dwa okresy życia jednego pokolenia, wywołana przez wojnę, może być wyrównana jedynie wysiłkiem pracy i świadomym opanowaniem nowych warunków bytu. Stworzyć podstawy dla nowego rozwoju życia, choćby kosztem dalszych ofiar pokolenia współczesnego, to właśnie najważniejsze i najistotniejsze zadanie każdego rządu. Rusztowaniem jego pracy musi być inwestycja rzeczowa i moralna. Gdy staje on wobec zagadnienia rozbudowy szkolnictwa, kolei, dróg, portów handlowych, gdy stwarzać ma warunki rozwoju rolnictwa, handlu i przemysłu, gdy staje wobec problematu administracji i obrony kraju, wobec zagadnienia stosunków socjalnych i narodowościowych, przyrostu ludnościowego i reformy stosunków agrarnych, gdy ma zakładać podwaliny swej polityki zagranicznej i skarbowej, wzrok jego musi się kierować w przyszłość. Któż ma możność oceny tej nieustannej udręki człowieka rządzącego, mającego zabić w sobie własne, indywidualne życie, by żyć bezosobową przyszłością własnego narodu?

Zupełnie odmienne musi być nastawienie psychiczne parlamentu. On reprezentuje dzień dzisiejszy. On zrasta się wszystkimi nerwami z całym społeczeństwem, ze wszystkimi jego niedolami, brakami, jego nędzą i jego potrzebami. Czyż można się dziwić, że niedola ludzka jest niecierpliwa? Ona domaga się natychmiastowej pomocy i natychmiastowego działania. Przyszłość jest dla niej mirażem, gdy warunki dnia

dzisiejszego odczuwane są jako nieznośne. Oto więc najgłębsze źródło gotowego już konfliktu między potrzebami dnia dzisiejszego i potrzebami przyszłości. Oto dwa ładunki elektryczne, o przeciwnych biegunach, które muszą z trzaskiem i piorunami wyładować swą energię. Napięcie zaś między nimi będzie tym silniejsze i tym większe, im głębsza jest dysproporcja między odczuwanymi powszechnie potrzebami, a aktualnymi warunkami życia, między koniecznościami dnia dzisiejszego, a postulatami i możliwościami przyszłości. Każdy rząd musi działać na podstawie świadomości, że „dobro państwa, jego rozwoju i potęgi, nie tylko nie pokrywa się z sumą korzyści obywateli w danej chwili, ale może z nią być sprzeczne"[1]. Brak tej właśnie świadomości doprowadził w dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej do unicestwienia i rządu i jakiejkolwiek polityki obliczonej na dalszą metę, roztrwonił tak zasadnicze problematy, jak zagadnienie bałtyckie, jak sprawa rozwoju miast i handlu, jak kwestia utrzymania stałej armii, spaczył największe zagadnienia społeczne, wypróżnił zasoby skarbu, a wreszcie przyczynił się do politycznego upadku państwa. Wszystkie te bowiem zagadnienia wymagały ciągłego łańcucha ofiar i poświęcenia doraźnych korzyści, doraźnych zainteresowań na rzecz przyszłości. Zadaniem głównym parlamentu jest stworzenie pewnej równowagi interesów współczesnych i przyszłych. Stąd płyną jego naturalne funkcje ustawodawcze i kontrolujące rząd. Jeżeli bowiem w państwie demokratycznym nie istnieje inna droga obciążenia obywateli i życia współczesnego świadczeniami na rzecz państwa i przyszłości, jak tylko drogą ustaw, to właśnie zadaniem przedstawicielstwa ludowego musi być stworzenie kompromisu między po-

---

[1] S. Bukowiecki, *Przed rewizją konstytucji*, Warszawa 1928, s. 10.

trzebami doraźnymi i przyszłymi. Funkcje kontrolne parlamentu są już tylko logiczną konsekwencją jego władzy ustawodawczej. Jest to pokwitowanie z wykonania zawartego kompromisu.

Podobnie jak w życiu pojedynczego człowieka, tak też i w życiu państw i narodów potrzeby doraźne przejawiają się zawsze wielokrotnie silniej i zdecydowaniej niż potrzeby przyszłości. Gdyby natura ludzka była inną, niewątpliwie nie byłby potrzebny przymus ubezpieczenia od ognia lub od wypadku. Stałby się koniecznością tak silną, że przezwyciężyłby samorzutnie potrzeby doraźne. Fakt ten wskazuje więc dobitnie, w jaki sposób należy ułożyć w państwie relacje sił. Czynnik reprezentujący zagadnienia przyszłości winien być i faktycznie i moralnie znacznie silniejszy i bardziej jednolity niż czynnik wyrażający potrzeby i postulaty dnia dzisiejszego, jeżeli ma być stworzona równowaga, gwarantująca warunki rozwoju. Ta świadomość winna była ugruntować się szczególnie wyraźnie w społeczeństwie polskim, wśród jego reprezentacji, gdyż żaden chyba naród w Europie nie zapłacił tak drogo i tak boleśnie za niezrozumienie tej podstawowej zasady. Stało się jednak inaczej. Obserwator i krytyk tak zrównoważony, obiektywny i kompetentny, jak St. Bukowiecki, pisze: „Zdawało się, że w odrodzonej Polsce... straszne doświadczenia z niemocy władzy wynikłe wywołają raczej przesadę w kierunku nadania władzy wykonawczej niezawisłości i siły... Ale treść obowiązującej konstytucji poszła tylko za przekazaną przez Trzeci Maja tradycją demokratyzacji, natomiast co się tyczy ustroju władz państwowych z tradycją tą zerwała... Zbudowany został ustrój z tak wielką przewagą Sejmu nad innymi czynnikami władzy... że znowu Polska wśród państw cywilizowanego świata stała się państwem o najdalej posuniętym sejmowładztwie, zjawiskiem, w zakresie prawno-pań-

stwowym, osobliwym"[1]. W trzy miesiące po rozbrojeniu wojsk okupacyjnych, w obliczu całego ogromu niebezpieczeństw zewnętrznych i wewnętrznych, w przełomowym momencie ustalania granic państwa, tworzenia traktatu wersalskiego, jednym z pierwszych aktów pierwszego, powołanego z woli i decyzji Naczelnika Państwa, Sejmu, było całkowite odarcie z władzy i znaczenia właśnie głowy państwa, w tzw. „małej konstytucji" z dnia 20 II 1919 r. Sejm polski, jako zbiorowość, pomimo braku wyraźnego oblicza społeczno-politycznego, zajął zdecydowanie historyczną platformę Sejmu Czteroletniego z pierwszego okresu jego działalności i Sejmu z r. 1830. Ustalił więc, że władzą suwerenną w państwie polskim jest sejm, przekazał ogłaszanie ustaw marszałkowi Sejmu, odsunął rząd od inicjatywy, uczynił Naczelnika Państwa wykonawcą uchwał sejmu nie tylko w sprawach cywilnych, ale i wojskowych, uczynił głowę państwa odpowiedzialnym przed sejmem, a wreszcie zawarował, że rząd powoływany będzie na podstawie porozumienia z sejmem. Zasady te stanowiły jawną dyktaturę sejmową w państwie. Prof. St. Estreicher w pracy pt. *Kierunki polskiej polityki wewnętrznej* pisze: „Podczas obrad nad konstytucją z 1921 r. żadne stronnictwo nie ostrzegło, że sejmokracja, którą należy odróżnić od demokracji, jako jej zwyrodnienie, wywoła w naszych stosunkach w krótkim czasie ujemne skutki".

Pomimo tak skoncentrowanej władzy w parlamencie, pomimo ustawicznego obalania gabinetów i przystosowywania nowych do prowizorycznych i zmiennych większości sejmowych, odpowiedzialność za losy państwa została rozproszona tak doszczętnie, że nigdzie śladu jej odnaleźć nie można. Charakterystyka tego

---

[1] S. Bukowiecki, *Przed rewizją konstytucji*, s. 15.

stanu rzeczy jest jednak niezmiernie utrudnioną przez swą aktualność; w danym wypadku zaś nie idzie o jakąkolwiek polemikę ani z poszczególnymi ludźmi, wodzami ruchów politycznych, ani też z poszczególnymi ugrupowaniami. Idzie jedynie o charakterystykę zgubnych i szkodliwych metod, które w każdym organizmie państwowym wywołałyby przewlekłą i groźną chorobę, w stosunkach polskich zaś prowadziły państwo do nieuchronnej katastrofy. Właśnie w początkowym okresie organizacji państwa, przy całkowicie nieharmonizowanym, przygodnym i niefachowym jeszcze aparacie urzędniczym, przy niezwykle skomplikowanych trudnościach gospodarczych, finansowych, budżetowych, społecznych i politycznych nieodzownym warunkiem pozytywnej działalności rządu była jego trwałość i zdolność patrzenia w najbliższą, choćby kilkuletnią przyszłość. Zaledwie jednak jedna grupa tych formalnych budowniczych państwa nakreśliła jakiś szkic działania, zaledwie zdołała ułożyć kilka symbolicznych cegieł przy wznoszeniu pierwszych fundamentów, już była odsunięta od pracy, a nowi ludzie rozpoczynali przeważnie swój wysiłek od przekreślenia planów i zniszczenia zaczątków budowy, stworzonych przez ich poprzedników.

Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa funkcjonowania aparatu administracyjnego. Był on zdezorientowany nie tylko ciągłymi zmianami kierowników resortów, ale przede wszystkim interwencjami poselskimi. Szczególnie zaś wobec sprzecznych nacisków różnych frakcji sejmowych i wpływowych posłów, wytworzyło się w biurokracji polskiej przekonanie, że najbezpieczniejszym systemem jest metoda wypróbowana w dawnej monarchii habsburskiej, tj. ustawiczne odsuwanie załatwienia najważniejszych spraw. Można wyrazić przekonanie, że opinia b. marszałka Sejmu, Ignacego Daszyńskiego, jest w tej sprawie całkowicie obiektyw-

na i niewątpliwie wolna od cienia niechęci do systemu parlamentarnego. Pisze on w broszurze, wydanej w roku 1926 [1]: „Powiedzmy, że połowa tych interwencji jest w formie przyzwoita i w treści usprawiedliwiona. Ale co z drugą połową? Co ma robić urzędnik, na którego naciska ten lub ów poseł wpływowy lub należący do partii wpływowej, chociaż sprawa sama przedstawia się wątpliwie...? Interwencje poselskie nie dotyczą bynajmniej tylko jakichś podań urzędowych bez podkładu materialnego. Czy chodzi o zakup spirytusu przez monopol, czy o trafiki tytoniowe, pozwolenie na eksport lub import towaru, dostawy rządowe, wyrąb lasów, kupno lub dzierżawę ziemi państwowej, czy o kredyty państwowe dla przedsiębiorstwa, koncesje bankowe, czy wprost kredyty dla samych posłów, wszędzie zjawia się interwencja poselska jednostek lub całych stronnictw!" Art. 20 konstytucji marcowej zabrania wyraźnie interwencji poselskich w sprawach osobistych wyborców [2], a ślubowanie poselskie zobowiązuje posła: „rzetelnie pracować wyłącznie dla dobra państwa polskiego jako całości". Ale w cytowanej pracy marszałek Daszyński dodaje: „Przy każdym telefonie sejmowym siedzą równocześnie dziesiątki posłów, telefonujących do wszystkich możliwych i niemożliwych biur i urzędów. Tysiące razy zachodzą posłowie do biur ministrów, wojewodów, starostów i do wszelkich urzędników, aby interweniować! Co to znaczy? To znaczy, że popierają swoim wpływem, swoimi informacjami, swoimi argumentami sprawy tysięcy i tysięcy prywatnych ludzi, którzy ich o to proszą" [3].

Ale jest w tym zjawisko znacznie jeszcze gorsze.

---

[1] I. Daszyński, *Sejm, rząd, król, dyktator*, Warszawa 1926, s. 31.

[2] Por. A. Krzyżanowskiego, *Rządy Marszałka Piłsudskiego*, Kraków 1927, s. 25.

[3] I. Daszyński, *Sejm, rząd, król, dyktator*, s. 31.

O tych naciskach poselskich i partyjnych w latach 1920—1926 zaczyna się mówić głośno, powszechnie, bez protestu z jakiejkolwiek strony, całkiem pogodnie i przyjaźnie nawet, jako o systemie, który już się utarł i wżył w nasze stosunki publiczne [1]. Opinia społeczna coraz słabiej reaguje na nie, opór biurokracji przeciwko temu systemowi staje się coraz mniejszy. Podobnie jak w dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej coraz większa część posłów, klubów i stronnictw politycznych zdawała się zapominać o swej wysokiej roli ustawodawczej, a wciskała się wszystkimi szczelinami do aparatu rządzącego, chciała mieć głos decydujący w każdej sprawie i każdej funkcji państwowej, gotowa już uwierzyć, że prawo i konstytucja nie mogą krępować ich wysokiego dostojeństwa. Rok za rokiem komplikował wszystkie zadania państwa, mnożył je i wiązał z szeregiem problematów wyskakujących w przyszłość, domagał się coraz szybszego i bardziej precyzyjnego działania, a decyzje ostateczne w każdej nieomal sprawie związanej z zagadnieniem rządzenia przesuwały się do rąk coraz mniej kompetentnych, coraz bardziej uzależnionych od interesu doraźnego, do przepojonego sprzecznościami zespołu ludzi, który ani nie chciał, ani nie mógł ponosić formalnej, a tym bardziej faktycznej odpowiedzialności za rządy państwa. Wielki szereg ustaw o doniosłym dla państwa znaczeniu, ustaw unifikujących trzy, powoli zrastające się zabory, nie mógł się doczekać przez kilka lat pozytywnego załatwienia. Nawet sprawa kontroli nad rządem nie budziła w tym okresie działalności parlamentu szerszego zainteresowania, o ile wymagała poważniejszej pracy myślowej, a nie dawała bezpośrednich korzyści w targach z rządem o koncesje polityczne lub

[1] Por. np. miesięcznik „Naokoło świata", nr 13 z r. 1925, zawierający niezwykle charakterystyczny artykuł wstępny pt. *Jak pracuje rząd?* i w in.

gospodarcze. Tak np. prezes Najwyższej Izby Kontroli Państwa na 130 posiedzeniu Sejmu z dnia 14 VI 1924[1] domagał się, aby sprawozdania NIK były przez Sejm rozpatrywane. Na 197 posiedzeniu Sejmu z dnia 27 IV 1925 poseł A. Chądzyński stwierdza wręcz: „Jeżeli stosunek Rządu do Kontroli Państwa pozostawia dużo do życzenia, to także i stosunek Sejmu do Kontroli dotychczas nie był taki, jakiego należałoby sobie życzyć w interesie państwa. Że nie było dostatecznego kontaktu między Sejmem a Kontrolą Państwa, najlepszym dowodem fakt, że przedkładane Sejmowi sprawozdania NIK dotychczas przez Sejm nie były rozpatrywane i załatwiane. Ogrom pracy, jaki Kontrola wykazała w swych sprawozdaniach, nie znalazł w Sejmie odpowiedzi, nie wywołał zainteresowania się Sejmu wynikami rewizji Kontroli"[2]. Sytuacja ta trwała zaś w okresie lat, w których ustawicznie podnoszone były ciężkie oskarżenia pod adresem wielu instytucji państwowych, w których nieraz przekroczenia te łączono głośno z nazwiskami posłów sejmowych, w których NIK i niektórzy posłowie stwierdzali ciągłe przekroczenia budżetowe rządu itp.[3].

Prof. St. Estreicher w pracy pt. *Rozwój stronnictw w Polsce w latach 1918—1928*[4] podaje, że w Polsce niepodległej „istniało wówczas z górą 80 odcieni partyjnych, z czego blisko połowa reprezentowana była w Sejmie i w Senacie. Bloki wyborcze rozbijały się natychmiast po wyborach". W tych warunkach wszelka praca produktywna stawała się na terenie parla-

---

[1] Według „Sprawozdania stenograficznego Sejmu".

[2] Tamże.

[3] „Sprawozdania stenograficzne Sejmu" np. z dnia 14 VI 1924, z dnia 27 IV 1925, z dnia 22 VI 1925, z dnia 30 VI 1925, „Sprawozdanie z posiedzenia Senatu" z dnia 3 III 1926 etc.

[4] *Dziesięciolecie Polski Odrodzonej*, wyd. „Ilustrowanego Kuryera Codziennego", Kraków 1928.

mentarnym niemożliwa. Mnożył się ustawicznie chaos i zamęt, wywołując tragiczny obraz zupełnego lekceważenia ciężkiej sytuacji państwa na wewnątrz i zewnątrz. Szczegółowa analiza tego przedmiotu nie jest celem tej pracy; wymagałaby ona odrębnego, obszernego i motywowanego studium. W chwili obecnej wystarczy rzucić okiem na ten lub ów przykład, umożliwiający ogólną ocenę zjawiska. Tak np. na początku r. 1926 rozpatrywano w ciałach ustawodawczych stosunkowo drugorzędną sprawę opłat stemplowych. Podsekretarz stanu w Ministerstwie Skarbu, B. Markowski, na posiedzeniu Sejmu w dniu 12 II 1926 wyjaśnia:[1] „Zatem już w projekcie rządowym były przewidziane pewne zniżki opłat w stosunku do tych, które istniały poprzednio... Podkomisja stemplowa poszła w zniżkach znowu o pewien krok dalej i powiększyła ich liczbę. Toż samo uczyniła Komisja Skarbowa. Wreszcie uczynił to w wielu punktach Sejm w drugim czytaniu. Jeżeli przejrzymy poprawki do trzeciego czytania, to znowu znajdziemy w 11 punktach też same lub jeszcze inne, dalsze zniżki opłat. Pozwolę sobie zapytać Wysoki Sejm, czy możemy w tym momencie z lekkim sercem skreślać z budżetu roku bieżącego czy przyszłego kilkanaście milionów złotych? Wszak panowie wiedzą z wczorajszego przemówienia p. referenta budżetu i innych panów posłów na komisji budżetowej, że mamy lukę w budżecie, wynoszącą do 200 milionów złotych! I dlatego śmiem zapytać Wysoki Sejm, do czego doprowadzimy naszą gospodarkę skarbową, jeżeli będziemy ciągle szli po tej bardzo popularnej linii: zniżyć, obciąć, zmniejszyć obciążenie podatkowe. Ale skądże wziąć w takim razie?" Ustawa tak opracowywana przeszła następnie do Senatu. Ten sam mówca na 129 posiedzeniu Senatu, w kwietniu 1926 r., wobec zastosowanych metod pracy parlamen-

[1] „Monitor Polski" z dnia 13 i 15 II 1926.

tarnej popada już w beznadziejny sarkazm. Mówi on: „Dowodem tego, z jaką starannością i z jak wielkim pietyzmem odnosiła się do ustawy o opłatach stemplowych tak podkomisja, jako też komisja Senatu, a w szczególności szanowny pan referent, jest to, że w załączniku Nr 27 zaproponowano ni mniej ni więcej, jak tylko 386 poprawek komisyjnych" [1]. Przytoczona sprawa nie jest jakimś wyrwanym złośliwie i przypadkowym wyjątkiem. Zaraz na następnym posiedzeniu Senatu w dniu 30 IV 1926 przy sprawozdaniu Komisji Oświaty i Kultury oraz Komisji Administracyjnej i Samorządowej o „projekcie ustawy o stosunkach służbowych nauczycieli" marszałek Senatu wyraził ubolewanie, że tyle poprawek wniesiono do ustawy podczas posiedzenia, stwierdzając: „do ustawy, liczącej 165 artykułów, komisje senackie, a następnie poszczególni senatorowie podczas posiedzenia, wnieśli kilkaset poprawek, poprawek do poprawek, załączników i wniosków mniejszości". Podobnie i w zakresie polityki walutowej i budżetowej państwa pojawiały się ustawicznie fakty, które były wypadkową różnych i sprzecznych tendencji, za które w końcu nikt faktycznej odpowiedzialności ponosić nie mógł i nie chciał, choć zaważyły one złowrogo na życiu gospodarczym całego kraju i nie zostały wyrównane nawet w późniejszych latach pomyślnej koniunktury. Obok więc stałego naporu ze strony czynników sejmowych na obniżanie dochodów skarbu państwa, coraz silniej przejawia się tendencja podwyższania wydatków państwowych, pomimo jasno rysującego się deficytu budżetowego i świadomości jego skutków. Premier Grabski, w książce pt. *Dwa lata pracy,* pisze o dyskusji budżetowej w r. 1925 w ten sposób: „Jednym z powodów, dla których nie zjawiłem się przed sejmem w dyskusji majowej budżetowej, było to, że tę poli-

[1] „Monitor Polski" z dnia 26 IV 1926, nr 95.

tykę rozdymania budżetu potępiałem". Jeszcze wcześniej, bo dnia 14 czerwca 1924 r. w swym przemówieniu sejmowym[1] prezes Rady Ministrów i minister skarbu wyraźnie przeciwstawia się inflacji bilonu. Mówi on dosłownie: „Wspomnianym tu zostało, że jest jedno źródło, którem by Rząd mógł trochę poszafować. Jest to bilon, którego suma może wynieść około 360 milionów. Bilonu dopuszczalnego jest mniej — jakieś 320 milionów, teoretycznie dopuszczalnego. Muszę jednak jasno i wyraźnie oświadczyć, że nigdy bym nie poszedł na takie ułatwienie sobie sytuacji, które by polegało na tym, ażebym po zaprzestaniu druku marki polskiej na potrzeby skarbu w miesiącu lutym i po znakomitych — bo inaczej trudno powiedzieć — rezultatach tego wyrzeczenia się — w czerwcu czy w lipcu poszedł na druk bilonu również na potrzeby skarbu. To jest zupełnie niemożliwe. Do czego byśmy doszli? 320 czy 330 milionów bilonu można dać Polsce wtedy dopiero, kiedy zdolność nasza obiegowa i obieg złotych, emitowanych przez Bank Polski, dojdzie do wysokości półtora miliarda. Wówczas zgoda!... Ale jeżeli ten obieg wyraża się cyfrą 411 milionów złotych... to jednoczesne wypuszczenie 360 czy 320 milionów bilonu byłoby wielkim niebezpieczeństwem. Na to niebezpieczeństwo nigdy nie pójdę!" Pomimo tej, tak jasno skrystalizowanej świadomości, Sejm i rząd poszedł i na inflację bilonu, i na deficytowy budżet, i na dalsze przekroczenia budżetowe, aprobowane ex post przez Sejm, a w konsekwencji i na załamanie złotego i stratę olbrzymich sum z pożyczek zagranicznych, użytych na ratowanie kursu złotego, który w tych warunkach nie mógł być uratowany. Powołując się na cytowaną książkę p. Wł. Grabskiego, pisze o tym prof. A. Krzyża-

[1] „Sprawozdanie stenograficzne ze 130 posiedzenia Sejmu", Warszawa 1924.

nowski[1]: „Sam w swej książce wyraźnie stwierdza swą bezsilność wobec sytuacji. Sejm wbrew woli premiera uchwalił zbyt wysoki budżet. Generalny sprawozdawca budżetu rozgrzeszył Sejm i siebie powołaniem się na przedłużenie w ustawie budżetowej instytucji budżetów miesięcznych, umożliwiającej ministrowi skarbu obcięcie wydatków, przyzwolonych przez Sejm. Wykonalne to jest tylko wtedy, gdy inni ministrowie idą na rękę ministrowi skarbu. Stało się wprost przeciwnie. «W drugim kwartale 1925 normy budżetów miesięcznych wymknęły się z rąk ministra skarbu jako oręż, posiadający moc regulowania biegu wypadków»[2]. P. Grabski trzykrotnie żali się na swych kolegów". Rozprzężenie posuwa się więc o krok dalej i obejmuje już, poza stosunkiem władzy wykonawczej do władzy ustawodawczej, również wewnętrzne stosunki w łonie samego rządu, powodując tym dalsze przerzucanie odpowiedzialności z instytucji na instytucję i z osoby na osobę. Ten stan zamętu budżetowego i walutowego trwa już niezmiennie i nadal. 11 i 12 lutego 1926 i referent budżetowy i przedstawiciele rządu stwierdzają w Sejmie i w komisji budżetowej 200-milionowy deficyt w budżecie. Mimo to „Monitor Polski" co kilka dni przynosi nową wiadomość o uchwaleniu przez rząd kredytów dodatkowych. Tak np. „Monitor Polski" z dnia 20 II 1926 r., nr 41, zawiera informację: „Rada Ministrów przyjęła wnioski, dotyczące otwarcia dodatkowych kredytów na okres prowizorium budżetowego na pierwszy kwartał 1926". „Monitor Polski" z dnia 25 II 1926, nr 45, donosi: „Rada Ministrów przyjęła wniosek ministra sprawiedliwości w sprawie dodatkowych kredytów na okres prowizorium budżetowego od dnia 1 I do 31 III 1926". Przyczyny katastrofy

---

[1] A. Krzyżanowski, *Rządy Marszałka Piłsudskiego*, s. 55.

[2] Cytat z pracy W. Grabskiego w książce prof. A. Krzyżanowskiego.

walutowej, budżetowej, a wreszcie gospodarczej w latach 1925 i 1926 ocenia identycznie minister skarbu J. Zdziechowski, stwierdzając w przemówieniu, wygłoszonym w Poznaniu dnia 15 III 1926, że „działanie precyzyjnego aparatu banku emisyjnego zostało sparaliżowane przez inflację budżetową i kredytową, opartą na druku bilonu w ogromnych rozmiarach" [1]. Dodaje on w tym samym przemówieniu następującą tezę programową: „Dzisiaj dążyć musimy do tego, by pieniądz nasz był ustabilizowany... Już dzisiaj dalszy spadek wywołałby tylko pogorszenie się sytuacji". „Monitor Polski" notuje zaś odtąd oficjalnie komunikowaną przez skarb relację złotego do 1 gr czystego złota. Dnia 16 III 1926 wynosi ona 5 250, 17 III 1926 — 5 317, 8 IV 1926 — 5 383, 9 IV 1926 — 5 583, 12 IV 1926 — 6 114, 21 IV 1926 — 6 380, 5 V 1926 — 6 579, 7 V 1926 — 6 779, 8 V 1926 — 6 912. A więc i tu nowy zawód. Temu stanowi rzeczy u góry odpowiadał wzrost zamętu w szerokich sferach społeczeństwa. Łamała się jedna więź za drugą, ginęły szczątki zaufania do własnych sił, przewracały się bez silniejszego wrażenia same podstawy ustroju demokratycznego, nakazujące lojalne podporządkowanie się mniejszości ustalonej w sposób prawny woli większości. W sejmie i poza sejmem tworzyły się i rozpadały wciąż nowe ugrupowania polityczne, wzajemne oskarżenia przekraczały najszersze ramy dopuszczalnej walki politycznej, autorytet władz, a nawet władz sejmowych wobec posłów przestał istnieć [2], normalny bieg wielu funkcji pań-

---

[1] Wedle „Monitora Polskiego" z dnia 16 III 1926, nr 61.

[2] Np. na 275 posiedzeniu Sejmu z dnia 3 III 1926: „P. V-Marszałek Poniatowski przywołał do porządku za ustawiczne prowadzenie rozmów posła Ł. (z własnego stronnictwa) i posła T. (z prawicy). Przywołanie posła T. wywołało wrzawę na prawicy. Poseł R. zgłosił votum nieufności dla urzędującego V-Marszałka". („Monitor Polski" z dnia 4 III 1926, nr 51).

stwowych został zahamowany, dyscyplina w administracji państwowej rozluźniła się, polityka zagraniczna podlegała częstym zmianom, w sprawie stabilizacji waluty zwracano oczy ku siłom obcym i w stronę Ligi Narodów, spekulacja dolarowa rozwinęła się do tego stopnia, że jak stwierdzał w sejmie szef rządu „w całej Europie zabrakło papierków dolarowych dla Polski i musiano je sprowadzać z Ameryki, ku zgorszeniu finansistów świata"[1], a z oddali ciążył jeszcze nad życiem polskim strzał Niewiadomskiego, który w zhisteryzowanej atmosferze politycznej był „strzałem w praworządność życia polskiego"[2]. Tak jak w okresie obcej niewoli, tak też i obecnie „państwo w umysłowości polskiej nie było synonimem porządku prawnego, ale przemocy, i ustosunkowanie się do własnego państwa, po jego odzyskaniu, nie było pozbawione pozostałości tych emocji opozycyjnych"[3]. Równocześnie „powstał zamęt; różne probierze, różne tendencje, różne sposoby działania sprawiły, że brak wspólnego mianownika nie pozwalał na tworzenie zwartych ugrupowań politycznych tzw. większości parlamentarnej. Walka pomiędzy partiami stawała się coraz bardziej intensywna, a ich znaczenie pozytywne coraz bardziej problematyczne"[4].

Tak więc przy ustawicznym mnożeniu się i potęgowaniu obciążeń i trudności na szali pasywnej tej symbolicznej wagi polskiej szala druga, aktywna, wypróżniała się stopniowo i systematycznie ze wszystkich wartości, pogłębiając i tak już istniejącą dysproporcję.

---

[1] „Sprawozdanie stenograficzne z 245 posiedzenia Sejmu" z 25 X 1925.

[2] J. Kuncewicz, *Przebudowa. Rzecz o życiu i ustroju Polski*, Warszawa 1930, s. 63.

[3] W. Makowski, *Nowa Polska w nowej Europie*, Warszawa 1930, s. 37.

[4] Tamże, s. 40.

Wiele problematów życia polskiego stanęło na miejscu i zamarło w swej ewolucji, inne uległy objawom patologicznym. Właściwym dysponentem Polski stał się tzw. „konwent seniorów" w Sejmie, mała, podlegająca nastrojom, niekontrolowana i nieodpowiedzialna przed nikim oligarchia, zabezpieczona dożywotnio w swej roli wobec istniejącej ordynacji wyborczej, usuwającej za pomocą tzw. „list państwowych" świadomą wolę wyborcy w akcie głosowania. Najdziwaczniejsze kompromisy na terenie parlamentarnym wbrew wszelkim zasadom programowym stały się zjawiskiem codziennym. Rząd polski, podobnie jak w dialogu z r. 1535, ukrył się ponownie pod pseudonimem „Nikt". Program przebudowy społecznej, stając się codzienną zabawą demagogów, załamał się w swej realizacji. Każdy stan i każdy zawód chciał uciec od obowiązku utrzymywania państwa i każdy wyrzucał najbardziej bezapelacyjne słowa krytyki w stosunku do niespełnionych, egoistycznych postulatów. Twórca armii polskiej i jej faktyczny i ideowy wódz został odsunięty od czynnej współpracy. Program rozbudowy Gdyni, podjęty tak szczęśliwie w r. 1924, utknął na mieliźnie w r. 1926. Budżet inwestycyjny państwa zginął z powierzchni życia, rolnictwo, przemysł i handel, niezależnie od zjawisk ogólnej depresji i kryzysów, chyliły się ponownie ku upadkowi. Ludzie najlepszej woli, wypróbowanego patriotyzmu, z tradycją więzień zaborczych i walk zbrojnych, ofiarni i ideowi, w sejmie i poza sejmem, tak licznie reprezentowani i wówczas i potem, szczególnie w ugrupowaniach centrowych i lewicowych, stali się bezsilni w tym zbiorowym oplątaniu się przez przemożny i zgubny system, który przyszedł nie wiadomo skąd, jak upiór dawno minionej przeszłości, i trawił i zżerał wartości życia polskiego.

W tych godzinach zamętu i upadku wiary we własne siły uderzył w Polskę grom wypadków majowych!

W jednej chwili cała, rozproszona, nieuchwytna, wciąż wyślizgująca się i ginąca odpowiedzialność skoncentrowała się z niebywałą jasnością na jednym człowieku w Polsce. Postawił on wszystko z siebie samego na jedną kartę i nie mógł nie wygrać, gdyż cała Polska pragnęła wówczas tej odpowiedzialności skoncentrowanej; pragnęła też zmiany, przełomu i zerwania z nieznośną chorobą dnia ówczesnego. Rubinstein, w analizie powstawania i upadania władzy, mówi słusznie: „System panowania nie ulega nigdy z powodu zewnętrznych i przypadkowych okoliczności. Władza ginie tylko od wewnątrz, gdy kości, nerwy i krew, tworzące jej organizm, przestają być żywotne, czynne i wciąż odnawiane"[1]. Dlatego też w ciągu kilku dni cały system bezrządu upadł, niezdolny nawet do stawienia bardziej zdecydowanego oporu, gdyż podlegał chorobie organicznej i infekcji wewnętrznej.

Przyszedł na jego miejsce okres drakońskiej kuracji. Uczciwa i obiektywna ocena tych ostatnich lat historii Polski jest już nad wyraz trudna. Sam proces nie jest jeszcze skrystalizowany i zakończony. Uczucie, które zawsze działa i reaguje prędzej i wcześniej niż rozum, przesyca jeszcze całą atmosferę. Można słusznie wyrażać obawę, iż w warunkach, w których nawet bezpartyjność uważana jest za pewną formę partii, nie ma miejsca dla spokojnej analizy i rozumowej oceny. Nie rachunek, ale wiara panuje tu jeszcze niepodzielnie. Tak więc jedne grupy społeczeństwa opanowane są sztucznie podsycanym przekonaniem, iż wszystko, z czym przychodzą, co mówią, co czynią nowe rządy, jest a priori złe, szkodliwe, zgubne, niskie, a przede wszystkim nieuzasadnione i bezprawne. Nawet wodzowie niepraworządności z okresu ubiegłego przybrali obecnie mundur obrońców zagrożonego legalizmu. Te

---

[1] S. Rubinstein, *Herrschaft und Wirtschaft*, München 1930, s. 25.

grupy uważają za cały swój obowiązek, za nakaz swego sumienia państwowego zwalczać na każdym kroku i w każdej sprawie rząd i jego poczynania, przekopać Polskę wzdłuż nieprzebytym rowem granicznym, przepołowić ją zasiekami drutu kolczastego i podzielić tak dokładnie wedle tego jednego, krótkiego i tak mało treściwego hasła: za rządem lub przeciw niemu, jak nigdy tego nie dokonano w Polsce wobec żadnego z dawnych rządów zaborczych. Grupa druga zajmuje stanowisko wręcz odwrotne. Gotowa jest ona zawsze zaaprobować mniej lub więcej szczerze każdy krok rządu, w każdym dopatrzyć się głębokiej racji stanu, dla każdego znaleźć choćby ex post uzasadnienie, a przynajmniej rozgrzeszenie, nawet wbrew tej prawdzie, iż wszędzie tam, gdzie istnieje skoncentrowana i bardziej intensywna działalność, zawsze musi powstać pewna ilość pomyłek, zła czy błędów. Budując swe relacje wyłącznie tylko na stosunku do rządu, obie grupy zapomniały całkowicie o swym własnym istnieniu, o krytyce własnego postępowania i krytyce własnego stosunku do najistotniejszych i rzeczowych zagadnień państwowych, domagających się od całego społeczeństwa rzetelnego ustosunkowania się, bez względu na poprzeczne lub podłużne kiwanie głową w stosunku do poczynań zmieniających się rządów. W tych warunkach powstałoby naprawdę przedziwne widowisko, gdyby pomyśleć, że właśnie w obecnej, niezmiernie trudnej i krytycznej sytuacji, a więc ścieśniającej niezwykle możliwości działania, rządy w państwie przechodzą do rąk tzw. opozycji. Nie ulega bowiem wątpliwości, że musiałaby ona realizować przynajmniej materialną i zasadniczą część programu obecnych rządów[1], który zwalcza dziś tak namiętnie, a równo-

[1] Podobnie jak np. rząd MacDonalda realizował wiele tez programowych rządów liberalnych i konserwatywnych w Anglii.

cześnie „Blok Bezpartyjny Współpracy z Rządem” prawdopodobnie, przy zamianie słowa „współpraca” na inne, zająłby stanowisko opozycyjne w stosunku do zasad, które dziś popiera.

Można więc przypuszczać, że sąd historii nie zaaprobuje ani jednego, ani drugiego stanowiska. Niemniej jednak każdy współczesny pisarz polityczny choćby się nawet zbliżył do absolutu obiektywizmu — o ile taki w ogóle istnieje w stosunku do zagadnień współczesnych — musi mieć pełną świadomość, że o tej prawdzie nie zdoła przekonać wielu w Polsce dzisiejszej. Fakt ten wynika przede wszystkim stąd, że powszechnie przyjmuje się fałszywe podstawy i założenia w ocenie współczesnych zjawisk politycznych. Ocenia się je mianowicie tak, jak gdyby nie istniał jakikolwiek związek między nimi a przeszłością i przyszłością.

Dylemat zaś życia polskiego jest tylko taki: albo organizm państwowy wydobędzie z siebie niezbędną energię i wolę do przełamania i pokonania wszystkich oporów, a wówczas będzie postępował w swej organizacji i swym rozwoju zdecydowanie i coraz wyraźniej naprzód, albo przeciwnie, paraliżując ustawicznie swe własne, ale rozbieżne wysiłki, zostanie sam złamany, pokonany, rozbity i rozkruszony, podobnie jak pod koniec 18 stulecia.

Toteż gdyby przeszłość historyczna nasza, dawna i świeża, nie kryła w sobie tylu wybitnie ujemnych zjawisk w zakresie stosunku jednostek i całych ugrupowań do państwa, gdyby nie istniała ta rażąca dysproporcja między niezbędną sumą sił społecznych, które muszą być skoncentrowane w mechanizmie państwowym, a sumą sił koncentrowaną albo raczej rozpraszaną w okresie przedmajowym, to niewątpliwie można by uznać znaczną część zarzutów, kierowanych przeciwko rządom Marszałka Piłsudskiego przez jego przeciwników, za słuszne. Jest to założenie pierwsze.

Drugie niezbędne uświadomienie wiąże się z faktem, że obecnego systemu rządzenia nie można uważać za normalny i stały. Zadanie jego zostało określone niejednokrotnie przynajmniej w łonie czynników rządzących. Szło wyraźnie i zdecydowanie o przecięcie wszystkich dróg powrotu do zgubnych stosunków przedmajowych w przyszłości. Jedynie w tym fakcie znajduje uzasadnienie, pozorna sprzeczność zachowania obok dyktatury formalnie wszystkich urządzeń i zasad państwa demokratycznego. Współczesne dyktatury europejskie — wynikające również na tle tzw. „kryzysu parlamentaryzmu" — stosowały całkiem odmienne metody, gdyż tam dyktatura była celem sama w sobie; tu miała być tylko środkiem prowadzącym do właściwego celu. Wszystkie przejaskrawione, nieraz odczuwane jako drakońskie metody rządzenia, miały jednak ten sens, że odchylały się tak samo w określonym kierunku od równowagi właściwej, celowej i pożądanej, jak w okresie przedmajowym wychylała się równowaga w kierunku przeciwnym. W ten sposób narastały warunki do stworzenia właściwego i niezbędnego kompromisu między obu metodami w przyszłości, do ustalenia równowagi na płaszczyźnie ściśle demokratycznej, a umożliwiającej zarazem wydobycie na powierzchnię życia polskiego największej sumy zespolonych sił społecznych, oddanych służbie dla państwa.

Czy w tym celowo pomyślanym wysiłku zostały uniknięte przynajmniej zasadnicze i metodyczne błędy, tj. nie związane ze zjawiskami przejściowymi tzw. polityki dnia? Wydaje się, że nie. Wobec przedstawionego poprzednio dość szczegółowo splotu zagadnień wewnętrznych, które obciążają nasze życie, tendencja ku zasadniczej reformie zdawała się wykluczać a priori wszelki związek z czynnikami społecznie konserwatywnymi. Nie mogły one wnieść żadnej idei twórczej i nowej do kapitału zakładowego nowego ruchu. Same

bowiem jej nie posiadają. Również trudno byłoby określić ich rolę, jako czynnika hamującego zapędy demagogiczne i doktrynerskie w zakresie spraw społecznych i ekonomicznych. Dla ruchu bowiem, który jako założenie przyjął stałe kontrolowanie swych poczynań przez sprawdzian przyrostu sił państwowych, który liczył się zasadniczo z możliwościami skarbu, który wreszcie oparł się na licznych elementach umiarkowanych i czynnikach gospodarczych, hamulec taki był zbędny. Odegrałby on też rolę bardziej pozytywną, gdyby znalazł się w sytuacji samodzielnego krytyka w sejmie, choćby nawet w ramach opozycji. Związany organizacyjnie stał się balastem, zaciemniającym oblicze polityczne nowego ruchu, a zarazem niebezpieczeństwem jego przyszłego rozkładu. Drugim błędem, w wielkiej mierze niezawinionym przez twórców i kierowników nowej organizacji politycznej, stał się akces różnych elementów ideowo bezwartościowych, o małej lub żadnej wartości moralnej, szczególnie w ośrodkach prowincjonalnych. Każdy wielki i silny ruch cierpi na to zjawisko. W stosunkach polskich jednak sprawa ta gra niezwykle doniosłą rolę. Żaden, najważniejszy nawet fakt polityczny, żadne drakońskie zarządzenie rządu nie wywołuje u nas tyle złej krwi i tyle niechęci, ile jedno jaskrawe przekroczenie zasad ideowych i moralnych przez człowieka, chcącego odgrywać rolę zaufanego rządu i jego politycznego eksponenta, a nieraz nawet sędziego ideowości i patriotyzmu państwowego innych. Nie można też zaprzeczyć, że wśród tzw. opozycji istnieje wielu ludzi o wybitnej przeszłości, ofiarnej służbie publicznej i dużych zasługach społecznych. Celem rządu jest i musi być — właśnie w imię interesów państwa — nie tyle uniemożliwienie wszelkiej walki politycznej i ścierania się poglądów, ile raczej podniesienie tej walki na jak najwyższy poziom. Jakiż może być jednak poziom tego starcia, gdy nie-

jeden z ludzi, związanych z nowym obozem, jest słusznie uważany przez głos opinii publicznej albo za człowieka całkowicie niefachowego na swym stanowisku, albo nawet pozbawionego szacunku? Jeżeli niezwykłe nieraz formy i metody surowego leczenia naszych chorób politycznych mają być zrozumiane w ten właśnie sposób przez społeczeństwo, to oczywiście wykluczone jest, by i niektórzy z chorych pacjentów przywdziali na siebie strój sanitariuszy i razem z lekarzem istotnym i właściwym operowali pacjenta, który może nieraz jest mniej chory od nich.

Trzecim wreszcie błędem, pasywem nowego ruchu są fakty krańcowego i niepożytecznego przejaskrawienia nacisku na przeciwników. Można uznać za aksjomat, zresztą potwierdzany zawsze w stosunkach polskich, że nacisk jest tylko produktywny do pewnych, określonych granic; przekraczając je stwarza wyniki wręcz przeciwne swemu celowi. Przez swą nadmierną siłę staje się słaby i zawodny. Jeden z najmędrszych ludzi, jakich wydał ubiegły wiek, b. prezydent Stanów Zjednoczonych A. Lincoln, w swej prostej logice i jasności umysłu, mówi: „Czyż należy odsunąć na bok wszystkie dobre sprawy, które zawierałyby w sobie pewien stopień niesprawiedliwości? Należałoby wtedy pousuwać wszystkie możliwe rządy... Najlepszym sprawdzianem, czy coś należy przyjąć, czy też odrzucić, nie jest to, że może przy tym powstać trochę zła, lecz to, czy nie powstanie więcej zła niż dobra"[1]. Przy najgorszych nawet przewinieniach poszczególnych ludzi i grup politycznych, państwo musi znaleźć odpowiednie metody reakcji prawnej i zabezpieczenia porządku. Jest to kardynalny jego obowiązek. W wyjątkowych okolicznościach istnieje usprawiedliwiona możność wprowadzenia nawet sądów doraźnych. Ale na-

[1] E. Ludwig, *Ameryka*, Warszawa 1930, t. I, s. 176—177.

wet najbardziej doraźne sądy nie mogą wywrócić swej procedury, tj. najpierw karać, a potem sądzić, gdyż wówczas musi powstać znacznie więcej zła niż dobra. Jakże pouczający dla silnych rządów jest wypadek dotyczący wspomnianego już b. prezydenta A. Lincolna. Gdy bowiem po całkowitym zwycięstwie nad przeciwnikami politycznymi przyjaciele Lincolna namawiali go, by kazał osadzić w więzieniu głównego opozycjonistę, Greele'go, Lincoln, sprzeciwiając się temu z całą stanowczością, odpowiedział wesoło: „To, co mnie spotyka ze strony Greele'go, przypomina mi okrutnie wysokiego chłopa i jego malutką żonę, która bezustannie postanawiała dać mu w łeb. Nie bronił się wcale i mawiał: dajcie jej spokój, mnie to nie szkodzi, a jej sprawia ogromną uciechę" [1].

Szczególnie w walce politycznej nie należy wyrzekać się tej potęgi, którą daje równowaga umysłu i pogoda ducha, stosowana do najzaciętszych nawet przeciwników. Wychowanie polityczne społeczeństwa jest jednym z zasadniczych zadań rządu, ono musi płynąć od góry w dół i posługiwać się metodami zrozumiałymi przez zdrową część opinii publicznej. Prawo staje się prawdziwą potęgą w państwie nie wówczas, gdy w każdym wypadku musi przyzywać poparcia siły fizycznej, ale wtedy, gdy staje się ono normą moralną społeczeństwa. Jeżeli działalność rządu wytwarza wśród swoich przeciwników i zwolenników charaktery i indywidualności polityczne, wówczas jego zwycięstwo jest całkowicie pewne. Gdy natomiast ścieranie się myśli i prądów politycznych wykracza poza pewne granice, gdy miejsce myśli zajmuje namiętność, a miejsce prądów i argumentów dwustronny upór, tam narastają nowe i poważne przeszkody, nowe trudności i nowe opory, a równocześnie rozprasza się zasób sił, nie-

---

[1] E. Ludwig, *Ameryka*, t. II, s. 131.

zbędnych dla rozwiązania rzeczowych problematów życia.

Trzeba by jednak doprowadzić w sobie namiętny i zaślepiony upór do najwyższych granic, by nie dostrzec i nie uznać poważnego dorobku aktywów w rachunku państwowym, osiągniętego mimo tych błędów przez rządy pomajowe. Jeżeli i w tym wypadku — podobnie jak w analizie błędów — usunie się wszelkie zjawiska przejściowe, koniunkturalne, zmienne, związane z aktualną polityką dnia bieżącego, to trzeba wyznać, że właśnie aktywa te dotyczą spraw zasadniczych i podstawowych dla przyszłości państwa. Jeden z wybitnych przeciwników nowego kierunku, b. poseł St. Thugutt, rozwijając bardzo ostrą krytykę jego działalności, określa w ten sposób „plusy" rządów Marszałka Piłsudskiego: „Poza tym uporządkował gospodarkę państwową, uzdrowił w znacznym stopniu budżet, odgrodził go od niezdrowych wpływów politycznych, wprowadził niesłychanie pożądany element stałości planu pracy" [1]. Całkowicie zrujnowana podstawa dla stabilizacji waluty państwowej została odbudowana i wzmocniona; nigdy może wyraźniej jak dziś nie bylibyśmy w stanie uświadomić sobie, iż gdyby był przeoczony w zamęcie sporów partyjnych właściwy moment dla ugruntowania „złotego" w r. 1927, to obecnie przeżywalibyśmy już trzecią, jeszcze dotkliwszą i bardziej niszczącą inflację. W polityce budżetowej nastąpiła również zasadnicza i dodatnia zmiana. Tendencja do równowagi wpływów i wydatków skarbowych, tak często lekceważona w Polsce przedrozbiorowej i w Polsce odrodzonej po wielkiej wojnie, stała się dzisiaj jedną z naczelnych zasad polityki państwowej. Gdyby nawet ktoś chciał krytykować poszczególne posunięcia oszczędnościowe czy budżetowe rządu w r. 1931, musi

---

[1] Głos w ankiecie dziennika „A.B.C." z dnia 19 VII 1927.

przyznać, że zdobył się on na odwagę cywilną i całkowitą rezygnację z osobistej popularności, byle tylko uczynić zadość ustalonej zasadzie utrzymania równowagi budżetowej. Każdy zaś program gospodarczy państwa staje się automatycznie kłamstwem, jeżeli rząd nie potrafi zachować stabilizacji waluty i równowagi budżetowej; załamanie tych dwu czynników, to najgorszy i najcięższy podatek nałożony na społeczeństwo, a przede wszystkim na klasy pracujące i najbiedniejsze. Drugą, pozytywną i nieprzemijającą wartością jest znaczne posunięcie naprzód unifikacji trzech dzielnic pod względem prawnym. St. Bukowiecki pisze w związku z tym zagadnieniem: „Jeżeli zestawić z jednej strony dekrety, wydane przez Naczelnika Państwa przed zebraniem się Sejmu Konstytucyjnego, i dekrety Prezydenta Rzeczypospolitej z mocą ustawy, zwłaszcza w latach 1927 i 1928, to sprawiły one więcej dla uporządkowania stanu prawnego w państwie, jego zespolenia i organizacji, aniżeli dwa sejmy w ciągu ośmioletniej działalności"[1]. Trzecią realną wartością było znacznie gruntowniejsze i głębsze, a wolne od wszelkiej demagogii, wniknięcie w istotną strukturę naszego ustroju gospodarczego; jest to dziedzina niezwykle skomplikowana, nie ma więc potrzeby twierdzić, że w tym zakresie nie zostały popełnione takie lub inne omyłki czy błędy. Ale każdym krokiem rządów kierowała zarówno dobra wola, jak też i patrzenie w przyszłość. Wszędzie tam, gdzie zagadnienia przemysłu lub handlu wiązały się z interesami całego społeczeństwa lub państwa, rząd w miarę rozporządzalnych środków szedł z pomocą, unikał nie sprawdzonych i niedojrzałych eksperymentów, nie decydował bez wniknięcia w argumenty i rzeczywistą sytuację wszystkich zainteresowanych czynników. Stworzone

---

[1] S. Bukowiecki, *Przed rewizją konstytucji*, s. 24.

zostały w całym kraju jednolite Izby Przemysłowo-Handlowe oraz Izby Rzemieślnicze, a częściowo także i Izby Rolnicze, stanowiąc pierwszy i niewątpliwie daleki od doskonałości, ale realny zawiązek samorządu gospodarczego, który od siedmiu lat nie mógł uzyskać ani załatwienia, ani nawet rozstrzygnięcia w Sejmie. Zagadnienia eksportu produktów rolnych i przemysłowych pogłębiły się. Instytut Eksportowy podjął systematyczne prace w ścisłym kontakcie z życiem gospodarczym kraju, zainicjowana została akcja standaryzacji produkcji i wywozu. Cyfry statystyczne wskazują ponadto, że ścieśnione dawniej stosunki wymiany handlowej prawie wyłącznie do obszaru Europy, poczęły nawiązywać coraz dalszy kontakt, z tym że sam wywóz towarów polskich do krajów pozaeuropejskich wzrósł między r. 1924 i 1929 ponad dwukrotnie. Zrozumie też każdy znający historię gospodarczego rozwoju państw, że szczególnie w tej dziedzinie droga od posiewu do zbioru jest długa. Gdyby wreszcie abstrahować od tak spornego zagadnienia, jak sprawa stosunku do klasy robotniczej, w której tylko ludzie nie znający istotnej sytuacji w produkcji przemysłowej Polski mogą się domagać rozstrzygnięć jednostronnych i gwałtownych, to wystarczy wskazać na zagadnienie reformy rolnej w latach 1926 do 1929, by udowodnić, że nowemu ruchowi nie była obca świadomość, w jakim kierunku należy pójść w przebudowie stosunków społecznych. Oczywiście, iż gdyby szło o ilość wygłoszonych mów, patetycznych haseł i nieodpowiedzialnej demagogii, to rządy pomajowe z góry są pobite przez okres przejaskrawionego sejmowładztwa. Inaczej jednak przedstawia się sprawa badana ściśle z punktu rzeczowego. Liczby tu mówią same za siebie. Tak więc w dwu czteroleciach rezultaty konkretne reformy rolnej przedstawiają się następująco:

	I. Okres 1922—25	II. Okres 1926—29
Średnie liczby obszarów przeznaczonych rocznie		
1. Na cele parcelacyjne	162 200 ha	212 100 ha
2. Na cele scaleniowe	41 400 ha	291 400 ha
3. Na uregulow. serwitutów	10 800 ha	80 800 ha

Nie tylko więc sama akcja w dziedzinie reformy rolnej była znacznie żywsza w okresie drugim, ale ponadto samo zagadnienie zostało rozszerzone, dając 8-krotnie większą intensywność w akcji scaleniowej i uregulowania serwitutów niż w okresie pierwszym. Czwartym dodatnim dorobkiem nowego kierunku było zapoczątkowanie wielu prac inwestycyjnych w państwie, które niewątpliwie pozostaną trwałym dorobkiem współczesnego pokolenia Polski. Niektóre z nich, jak Gdynia, wiążąc się z potrzebą ambicji narodowej i dostrzegalną przez całe społeczeństwo doraźną potrzebą, zyskały sobie szersze uznanie w całym kraju; inne dokonywały się w psychicznie cięższych i trudniejszych warunkach. Domagały się znacznych ofiar i poświęceń, karmiły gorzką nieraz krytyką, a przecież mnożyły i mnożyć jeszcze będą siły gospodarcze społeczeństwa.

Dalszym elementem pozytywnym jest rozwój wewnętrznej wartości sił obronnych państwa. Zagadnienie to nie wymaga z punktu widzenia obecnych rozważań ani liczb, ani dowodów rzeczowych. Zarówno jednak praca w zakresie wychowania fizycznego młodzieży, jak też i prace oświatowe i organizacyjne w wojsku, pogłębienie wiedzy fachowej i karności są faktami oczywistymi i w swej całości budzą najmniej krytyki i zastrzeżeń.

W końcu nie można pominąć wielkich z punktu widzenia interesów państwa zdobyczy natury psychicznej, zdobyczy, które najczęściej skierowują swe ostrze

właśnie przeciwko obecnemu systemowi rządzenia, choć mimo wszelkich zaprzeczeń i protestów, jemu zawdzięczają pośrednio swe istnienie. Kto wie, czy kiedyś — gdy sczezną dzisiejsze bóle, żale i namiętności — przyszła historia, biorąc pod uwagę ten jeden tylko aktyw, nie znajdzie w nim wartości tak wielkich i tak cennych, że przesłoni nim wszystkie błędy czy niedociągnięcia rządów pomajowych...

Nie opatrzyliśmy się bowiem nawet, jak pod tym dyktatorskim naciskiem ginie i ginie coraz bardziej chęć i potrzeba do tworzenia małych, zawadiackich ruchów politycznych, jak wymiera koniunktura dla ambitnych egoistycznie jednostek, tworzących dawniej „języczkowe" partie, jak rozproszkowane dawniej społeczeństwo zbija się do kupy! Idzie do opozycji lub do obozu prorządowego; z punktu widzenia przyszłości jest to w gruncie rzeczy obojętne! Ale ruch ludowy coraz bardziej się całkuje, ale na prawicy siedzi już zwarte i jednolite stronnictwo, nie potrzebujące wymyślać chaotycznego konglomeratu nazw dla zaspokojenia swoich ekscentrycznych części składowych, a wbrew wszelkim pozorom świadomość i solidarność ruchu robotniczego pod powierzchnią życia wzmaga się, krystalizuje i politycznie dojrzewa. Trudno określić, czym te ugrupowania i prądy społeczno-polityczne staną się w przyszłości. Ale niewątpliwie byłoby już korzyścią dla państwa niemałą, gdyby amplituda ta wahała się w granicach 5 lub 6 zwartych, o jasnym i zdecydowanym programie partii polskich, zamiast 20 lub 30 czyniących ze swego programu konkursowe zadania szkolne dla ogłupiania wyborców. I dalej, nie opatrzyliśmy się nawet, jak wszyscy, przynajmniej w zasadzie, rozumiemy dziś, że w Polsce rząd musi być i silniejszy i trwalszy niż gdzie indziej, że szacunek wobec głęboko pojętych zasad demokratycznych wcale nie domaga się obalania rządu z powodu złego humoru,

nie zaspokojonej a niezdrowej ambicji, lub odrzucenia prywatnej prośby wpływowego posła, że mogą znaleźć się w słowniku demokratycznym formuły zabezpieczające znacznie większą stałość rządu, że pomieszanie kompetencji wykonawczych, ustawodawczych i kontrolnych nie przyczynia się do większego szczęścia cierpiącego istotnie narodu. Wydaje się przynajmniej, iż poczynamy w głębi sumienia państwowego odczuwać, że nawet najidealniej skonstruowaną konstytucją niczego nie załatwimy, jeżeli wszyscy razem nie zdobędziemy się na trwałą wolę uczciwego interpretowania i wykonywania konstytucji i ustaw, bez sztuczek adwokackich i bez złośliwych wybiegów. Być może nawet, iż zbliżamy się do zrozumienia, że programy partyjne nie są naczelną i nienaruszalną konstytucją wrogich państw w państwie, celem samym w sobie, a jedynie środkiem dla zrealizowania przez zdrowy kompromis największej sumy korzyści społecznych, a więc i państwowych. Być może, iż poczynamy rozróżniać wielką dysproporcję między tym, co się powie w rozpędzie emocjonalnego i łatwego krasomówstwa, a tym, co się czyni w trudnym i ciężkim mocowaniu się z bezwładnymi ciężarami zbiorowego życia!

Dwie wielkie dysproporcje ciążą nad naszą rzeczywistością współczesną. Dysproporcje wartości sił i dysproporcje wartości materialnych. Zajmujemy od najdawniejszych wieków żyzną i urodzajną ziemię, jakiej wiele narodów jest pozbawionych; wewnętrzne skarby tej ziemi są olbrzymie, nieocenione i różnorodne. Ludność nasza w swej wielkiej masie jest pracowita i skrzętna, jest w swym instynkcie państwowym zdrowa i patriotyczna. A mimo to jesteśmy dziś krajem biednym i spauperyzowanym. Gdziekolwiek skierujemy nasz wzrok i naszą myśl, wszędzie odsłania się bezmierna potrzeba pracy. Rzeki systematycznie niszczą resztki skromnego dorobku ludzkiego, zatracają

swoją wartość komunikacyjną i energetyczną; drogi nasze są złe i przestarzałe; środki i urządzenia komunikacyjne lądowe i morskie wymagają rozbudowy i uzupełnień; olbrzymia część miast i miasteczek naszych urąga współczesnej cywilizacji; nie mamy najniezbędniejszej nawet ilości wodociągów, urządzeń kanalizacyjnych, szpitali, elektrowni, gazowni, rzeźni, nowoczesnych piekarni, a nawet domów mieszkalnych w miastach. Mamy olbrzymie jeszcze obszary nieużytków, które pracą człowieka mogą być zamienione na warsztaty dobrobytu. Pożary trawią nasze wsie i chaty słomą kryte. A mimo to jesteśmy dziś krajem ciężkiego bezrobocia i nie możemy nawet odpowiedzieć jasno, co chcemy uczynić w przyszłości z przyrostem ludnościowym i jaki los zgotować chcemy naszym robotnikom. Nasza produkcja rolna i przemysłowa utrzymuje się w skromnych rozmiarach, odbiegając daleko w dół od liczb przypadających na jednego mieszkańca w krajach Europy Zachodniej; mimo to nie wiemy dokładnie, co chcemy i co możemy z naszą produkcją uczynić, i nasycamy lub musimy nasycać bogatsze od nas narody naszym cukrem, węglem, żelazem, naftą, drzewem, zbożem, suknem, cementem, często poniżej własnego kosztu produkcji. Stoją przed nami gigantyczne problematy wewnętrzne i zewnętrzne, a z drogi naszego zbiorowego życia nie dadzą się one usunąć ani wyminąć; z każdym nowym dziesięcioleciem stają się trudniejsze do rozwiązania. Wszystkie elementy składowe naszego bytu domagają się gruntowej przebudowy. Od wewnętrznego, psychicznego nastawienia jednostki w stosunku do państwa i jego potrzeb, w stosunku do prawa i jego wykonania, w stosunku do gospodarstwa społecznego i jego rozwoju, w stosunku do innego człowieka i jego warunków życia, aż do zanarchizowanego na drodze publicznej kamienia, powodującego swym wybujałym indywidualizmem niebezpie-

czeństwo ruchu, wszystko wymaga konsekwentnej, upartej przez swą świadomość pracy twórczej i zorganizowanej. Ten ofiarny wysiłek narastać musi z pokolenia w pokolenie, musi stwarzać tysiączne nowe wartości, musi mnożyć siły materialne i siły moralne społeczeństwa nie w imię jakiejś abstrakcyjnej, oderwanej idei państwowej, ale przeciwnie przez świadome zrozumienie i odczucie, że jedynie przez utrwalenie organizacji państwowej możemy najprędzej i najpewniej wyzwolić i rozwinąć najwyższą sumę sił społecznych i indywidualnych w Polsce.

Jeżeli chcemy żyć jako naród wolny i wolne społeczeństwo, jeżeli przyszłości naszej nie chcemy przygotowywać łańcuchów przeszłości, jeżeli zerwać chcemy z nędzą człowieka i nędzą państwa, to droga pozostała tylko jedna: kłaść na drugą szalę wagi polskiej wartości, płynące z nas samych. Dysproporcje celów i środków zamienić na proporcje i równowagę.

V. Na widnokręgu przyszłości

Treść:
Znaczenie organizacji celowej. Zasady Emersona. Rezultaty dotychczasowej pracy polskiej. Dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze. Istotne cele państwa polskiego. Zasady polityki polskiej i ich wartość. Organizacja państwa i jego władz. Doktryna logiki przeciwko logice doktryny. Wychowanie polityczne społeczeństwa. Prawo polaryzacji. Pokój międzynarodowy. Liga Narodów. Polityka zagraniczna. Warunki rozwoju gospodarczego. Optymizm czy pesymizm.

Postulat pełnej fachowości jest niewątpliwie wyrazem zdrowej opinii publicznej. Jako zasada i norma jest on nienaruszalny. Nie jest wykluczone jednak, że i w tej dziedzinie ma swoje szczególne prawa i uzasadnienia jakaś teoria względności.

Zagadnienia polityczne, społeczne i gospodarcze stanowią splot najbardziej powikłanych, skomplikowanych, wzajemnie na siebie reagujących problematów, nie mogą być wyjęte spod prawa kompetencji tylko dlatego, że dotyczą spraw wywierających największy, najprzemożniejszy wpływ na kształtowanie się warunków bytu i życia ludzkiego. Tu jedna fałszywa decyzja, jeden błędny krok stanowi nieraz o życiu wielu milionów ludzi, o nędzy wielu pokoleń. A przecież gdy setki najwybitniejszych fachowców całego świata wnikają szczegółowo w jakiś skomplikowany i trudny

problemat, gdy poddają go analizie drobinowej, gdy mikroskopem wymierzają wartość i rozmiary jego części składowych, gdy zbijają swoje indywidualne i głębokie rozumy w jeden rozum zbiorowy, zatracają nieraz zdolność sądzenia o najprostszych rzeczach. Wówczas to może zbliżyć się laik, o zdrowym, jasnym i prostym rozumie, który nagle odkrywa wielką i bijącą w oczy prawdę, obok której wielokrotnie przechodzili wybitni fachowcy, chwytający wyostrzonym wzrokiem rozbitą na atomy emanację tej prawdy, ale jej samej, leżącej opodal w całej swej potędze, nie dostrzegli. Taką jest konstrukcja władzy umysłu ludzkiego i jego narzędzi. Astronom, który swym genialnym rachunkiem odkrył w niezmierzonych przestrzeniach ostatnie ślady mgły kosmicznej, ustalił jej ciężar gatunkowy i zawartość jej składników, nie może czasem odkryć pod koniec swego utrudzonego życia ziemi, na której stoi, i człowieka, o którego codziennie się ociera.

Harrington Emerson jest na pewno laikiem w zakresie polityki międzynarodowej i wewnątrzpaństwowej. Nie wywołał on nigdy żadnej wojny, nie przyczynił się do obalenia żadnego tronu, a nawet gabinetu, nie zajmował się nigdy kwestią kryzysu parlamentarnego, nie kandydował nawet na żadne stanowisko polityczne. Domeną jego fachowej pracy i twórczości była przez wiele dziesięcioleci walka ze wszelkim marnotrawstwem. Naukowe i ścisłe zgłębienie procesów wytwarzania i wymiany, usunięcie jego braków i błędów, wykazanie przyczyn i skutków marnotrawienia energii mechanicznej i personalnej, materialnej i psychicznej, oto treść jego bogatego w skutki życia. Niemniej skusiło go raz rzucić swój wzrok na bezmiar ciężkiej i dręczącej, a przesycającej hałasem całą atmosferę kuli ziemskiej, pracy polityków, którzy od czterdziestu wieków naszej cywilizacji szukają alchemicznego kamienia szczęścia i dobrobytu człowieka, a w re-

zultacie sieją tylko wciąż potęgujący się zamęt, nienawiść, tępy egoizm i zbuntowane na tym mordercze i powracające falami wojny. Mimochodem więc rzucił swe oświetlenie zarówno na zagadnienie wojen, jak też i postępu, rozwoju sił wewnętrznych państw i narodów, w którym kryje się niewątpliwie więcej prawdy i jasności niż w całych bibliotekach filozofów i polityków, studiujących te problematy z fachowego punktu widzenia.

W swej najpiękniejszej i najgłębszej pracy, mogącej stanowić najistotniejszą filozofię życia ludzkiego, nawiązując do wojny francusko-pruskiej z r. 1870, czyni następujące uwagi: „Wojnę wygrali nie niemieccy żołnierze, gdyż Moltke wygrałby ją również, gdyby swe zasady zastosował do wojsk włoskich, austriackich, francuskich, rosyjskich, japońskich lub amerykańskich. Żołnierze niemieccy szli na wojnę bez entuzjazmu, a pod względem ducha wojskowego i zapału stali niżej od ogólnoeuropejskiego poziomu. Wojnę wygrała nie niemiecka tresura i taktyka, gdyż pod tym względem inni dawno ich wyprzedzili. Wojny nie wygrało również niemieckie uzbrojenie, gdyż francuski karabin «chassepot» był lepszy od niemieckiej iglicówki, a mitraliezy były lepsze od niemieckich armat. Wreszcie Niemcy wygrali wojnę nie za pomocą pieniędzy, bo Francja była bogatszą i posiadała większy kredyt. Wojnę wygrały zasady i organizacja, stworzone przez Moltkego. W następnym pokoleniu ta sama organizacja i ten sam system, zastosowane przez inną rasę, na drugiej półkuli ziemskiej, przyniosły te same owoce i w taki sam sposób pod kierownictwem innych, zdolnych ludzi..."

„Największy przykład potęgi celowej organizacji i zasad wydajności przedstawiają jednakże nie Niemcy, lecz Japonia, która w ciągu jednego pokolenia stała się wielkim, wszechświatowym państwem. W r. 1867

Japonia była jeszcze państwem feudalnym. Kupcy i złodzieje byli stawiani tam na jednym poziomie; na jednych i na drugich patrzono z pogardą. Rolnicy zbiednieli; ludzie wybitni z powodu ucisku nie posiadali inicjatywy... Po trzydziestu latach Japonia, mając 40 milionów mieszkańców, zwyciężyła Chiny, posiadające 400 milionów mieszkańców. A jeszcze po pięciu latach pokonała Rosję, tego północnego kolosa, który pobił Napoleona I. Rosja, przed którą w ciągu 90 lat drżała Anglia, Francja i Niemcy, była zmuszona ustąpić, zwyciężona przez Japonię. Sympatie Amerykanów były po stronie Japonii; ale jak tylko skończyła się wojna, zaczęliśmy się obawiać, że i przemysł japoński pod względem organizacji stoi o tyle wyżej od naszego, o ile flota i armia japońska okazały się wyższe od rosyjskich. Nie ciało, nie krew i nie mózg Japończyków czynią ich niebezpiecznymi współzawodnikami w przemyśle; nie pieniądze, gdyż są biedni; nie ich bogactwa przyrodnicze, bo są skąpe. Japończycy są niebezpiecznymi konkurentami w przemyśle dlatego, że rozumieją już zasady organizacji wydajnej, kiedy my jeszcze dobrze ich nie rozumiemy; są niebezpieczni dlatego, że my jeszcze nie przebudziliśmy się, a oni zdają sobie już sprawę z tego, że zasady, stosowane chociażby przez zwykłych ludzi, są silniejsze niż dorywcze wysiłki ludzi wielkich"[1].

W stwierdzeniu i ujęciu tym wcale nie jest istotne zagadnienie zwycięstwa lub klęski w wojnie militarnej. Rozwiązanie każdego problematu w życiu zbiorowym lub indywidualnym, to w pewnym znaczeniu wojna. Wedle zasad starogreckich „walka jest ojcem wszystkiego". Każdy przyrost wartości moralnych lub materialnych, to twarda i ciężka walka z oporami, wyrastającymi ustawicznie na drodze życia ludzkiego.

---

[1] H. Emerson, *Dwanaście zasad wydajności*, Warszawa 1925, s. 23—25.

Poznaliśmy już, jak potężne opory, trudności, przeciwieństwa, a nawet groźby zwaliły się na drodze polskiego bytu państwowego. Zaciemniły horyzont życia polskiej zbiorowości długie cienie przeszłości, spiętrzyły się naraz wszystkie pasywa powyżej stuletnich podziałów i niewoli, wyrosły przed nami wprost na linii naszego rozwoju, naszej drogi potężne i twarde skały, państwowy dom nasz obłożony został na wszystkich narożnikach niebezpiecznymi minami, a w życiu naszym wewnętrznym każdy szczegół, każdy fakt, każda wartość, każdy układ sił, a może i każdy nałóg domagają się jak najgruntowniejszej i szybkiej przebudowy i rekonstrukcji. Na szalę odbudowania naszej wolności i naszego zjednoczenia rzuciliśmy w ciągu półtora wieku tyle ofiar i tyle cierpień, tyle porywów i tyle zawodów, jak chyba żaden inny naród na świecie. A gdy zdawało się nam, że wreszcie osiągnęliśmy w całej pełni cel naszych walk, gdy wreszcie wydobyliśmy się z uścisków niszczącej niewoli, gdy po raz pierwszy promień prawdziwego, jasnego, słonecznego dnia wolności uderzył w oczy nasze, widzimy i stwierdzamy, że stanęliśmy nie u kresu, ale u początku kamienistej drogi walk, nie znających ani pardonu, ani wytchnienia. Co gorzej, podobnie jak przed dawną historyczną Polską, i dziś w syntezie naszego życia wszystko jest postawione na jedną kartę, na jedno wielkie zwycięstwo, lub jedno wielkie ryzyko. Nie mamy przed sobą ścieżek i dróg pośrednich, połowicznych, kompromisowych. Albo bowiem zwalimy, pokruszymy, pokonamy i rozwiążemy wysiłkiem własnej pracy cały ten powikłany złośliwie splot trudności i dylematów, a wówczas nowa zupełnie Polska, wolna i demokratyczna, równająca wobec prawa wszystkich swych obywateli, na każdym polu życia pocznie biec naprzód i w oczach jednego pokolenia przetwarzać się na zupełnie nowoczesny, zdrowy i silny organizm, zdolny

do dotrzymania kroku w każdym „wyścigu pracy", albo odwrotnie, w bezradności, sami przywaleni zostaniemy całym rumowiskiem walących się ciężarów i trudności.

Obejrzyjmy się wstecz za siebie, skontrolujmy, jakim to uzbrojeniem rozporządzamy dziś dla pokonania tak potężnych i tak różnorodnych zadań. Odpowiedź jest zupełnie niewątpliwa, krótka i jasna; wyjątkowo marnym i przestarzałym. Jest to naprawdę nie zbrojownia, nie magazyn pełen zasobów, ale liche i podupadłe muzeum mało aktualnych środków. Beznadziejność zagląda tu prawie w oczy, a niewiara we własne siły bije w tych warunkach z każdego prawie oblicza. Więc może w końcu pozostaje rachuba na obcą pomoc? Niestety, jeżeli kogo, to nas nauczyło doświadczenie, jak zawodną jest ta rachuba. Można ustalić prawie pewnik, że na obcą i przyjazną dłoń można rachować tylko wówczas, i to zarówno w zakresie spraw politycznych, jak też i w zakresie zagadnień finansowych i gospodarczych, gdy ostatecznie można się bez niej obejść. W dzisiejszym świecie silni i samodzielni mają licznych przyjaciół, słabi i zależni mogą liczyć na pewno tylko na wielką liczbę przeciwników i wrogów.

Pozostajemy więc w końcu sami ze swoimi troskami, ze świadomością, że jest ich dużo, a także z pewnością, że jeszcze nikt nigdzie na świecie nie rozwiązał i nie pokonał ani jednej trudności bez wysiłku i bez woli zwycięstwa.

Natomiast Harrington Emerson głosi i uzasadnia jakąś nową prawdę. Organizacja stworzona wedle ściśle określonych zasad, organizacja usuwająca stopniowo wszelkie marnotrawstwo energii, wprowadzająca na miejsce zamętu myśli i działań celowość i porządek, staje się powoli taką potęgą, iż nie ma trudności dość wielkiej, oporu dość bezwładnego, niebezpieczeństwa

dość groźnego, dysproporcji dość rozległej i krańcowej, której by nie była w stanie skutecznie opanować lub zwyciężyć. Zasada ta posiada o tyle większe znaczenie, że jest zasadą generalną; może być zastosowana i sprawdzona w życiu pojedynczego człowieka, w każdej instytucji społecznej, w każdej fabryce, w każdym przedsiębiorstwie handlowym, w każdym resorcie rządowym, w każdym państwie.

Ktokolwiek przed wielką wojną miał możność zbliżenia się do rozrzuconych w Europie Zachodniej kolonii studentów japońskich, musiał być głęboko uderzony ich całkowicie różną od naszej psychiką. Byli to w znacznej części uczestnicy ostatniej wojny z Rosją. W rozmowach na ten temat nie padło nigdy z ust Japończyka jakiekolwiek butne słowo, skromność ich i ich umiarkowanie były prawie bohaterstwem. Żaden ze stypendystów rządowych, a stanowili oni znaczną większość wśród kolonii japońskiej, nie dał się nigdy skłonić do marnotrawstwa choćby jednego jena, stwierdzając z całą prostotą, że są to pieniądze państwowe, przeznaczone wyłącznie na ich wykształcenie. Po roku zdawali oni najbliższemu konsulatowi ze swych bogatych stypendiów sprawozdanie i zwracali resztę nie wydatkowanych sum. Nigdy natomiast nie mówili o miłości ojczyzny.

Gdy poczynamy szukać początków świetności Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, zawsze natrafimy na postać tego niezwykłego syna włóczęgi, będącego kolejno drwalem, robotnikiem, samoukiem, pisarzem, adwokatem, politykiem, a wreszcie prezydentem Unii, Abrahama Lincolna, i odkrywamy w nim nieświadomego wyznawcę późniejszych zasad Emersona.

W Szwecji, w Danii, w Szwajcarii spotykamy liczne przedsiębiorstwa, które nie tylko w niezwykle krótkim czasie doszły do nieprawdopodobnego rozwoju, ale

które i obecnie w okresie szalejącego kryzysu pracują stosunkowo dobrze i korzystnie, pomimo niskiej ochrony celnej, pomimo konieczności sprowadzania wszystkich surowców z zagranicy, pomimo braku jakiejkolwiek subwencji państwowej, pomimo stosunkowo wysokich płac robotniczych. Wszędzie jednak odkrywamy tam umiejętne zastosowanie zasad o pracy wydajnej i celowej i tępienie wszelkiego marnotrawstwa energii i materiałów.

Gdybyśmy sami nie byli sędziami i krytykami tak bezwzględnymi, gotowymi do bezapelacyjnego wyrokowania o każdej sprawie, to może i u nas dojrzelibyśmy tu i ówdzie zastanawiający cud rezultatów, osiągniętych w najtwardszych warunkach, w najmniej sprzyjających okolicznościach, jedynie w wyniku dobrej organizacji i niezłomnej pracy. Narzuca się tu sam przez się przykład Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu i to z dwu punktów widzenia. Dopiero bowiem, gdy zestawiamy ilość czasu, pieniędzy, doświadczeń i ludzi, zaabsorbowanych przez podobne akcje zagraniczne, z tym, czym rozporządzał Poznań w r. 1929, gdy porównamy wzorową punktualność, organizację, wszechstronność wystawy polskiej z wystawami zagranicznymi, stajemy zdumieni wobec dzieła dokonanego przez Poznań w dziesięciolecie swego wyzwolenia. Ale jeszcze silniejsze wrażenie czynić musiała istotna treść tej wystawy, odkrywającej po raz pierwszy Polskę dla wielu Polaków. Gdybyśmy, wchodząc wówczas w te nieskończone łańcuchy sal i pawilonów, wypełnionych nie blichtrem wystawowym, ale rzetelnym, ścisłym i wartościowym materiałem dydaktycznym, obrazującym każdy przejaw życia polskiego, mogli się stać na chwilę cudzoziemcami, gdybyśmy równocześnie mogli zebrać i zachować w pamięci te nieskończone jęki naszego pesymizmu i narzekań na stosunki polskie, bylibyśmy niewątpliwie wołali

w gniewie: czegóż więc u licha domagacie się sami od siebie, Polacy? na czym opieracie słabość waszego charakteru, gdzie znajdujecie jeszcze te nieskończone źródła zakwaszenia własnego życia, gdy pracą waszą osiągnęliście w ciągu pierwszego dziesięciolecia tak imponujące wyniki. Dziewięć dziesiątych najcięższych zniszczeń wojennych odbudowaliście własnymi siłami. Stworzyliście nie najgorszą administrację, doskonałą armię, zorganizowaną, ubraną i wyposażoną należycie, stworzyliście olbrzymią sieć własnego szkolnictwa, zgromadziliście niemały zapas złota, wyparliście siedem różnorodnych, bezwartościowych walut, zawarliście kilkadziesiąt znośnych traktatów handlowych, uruchomiliście własny port handlowy w Gdyni, postawiliście zawiązek floty handlowej i wojennej, zapoczątkowaliście odbudowę kredytu długoterminowego, rozszerzyliście akcję oszczędnościową, dobudowaliście nowe linie kolejowe, opanowaliście własnymi siłami zgermanizowane i zrusyfikowane dawniej kolejnictwo, utrzymujecie dość regularny ruch kolejowy, uruchomiliście zamarły przemysł, produkcji śląskiej — przynajmniej w okresie koniunktury światowej — nie tylko nie daliście upaść, ale rozwinęliście ją i związali organicznie z resztą Polski, zorganizowaliście długi szereg nowych wytwórni, pracujących w dziedzinie obrony państwa, kolejnictwa, elektrotechniki, budowy maszyn, chemii i rolnictwa; nie daliście się złamać przez wojnę celną z Niemcami, macie coraz lepiej pracujące poczty, tak doszczętnie zdezorganizowane w czasie wojny, stworzyliście własne podstawy dla rozwoju lotnictwa, ożywiliście zamarły w czasie wojny przemysł ludowy, dokonaliście pozytywnie pewnego wysiłku w zakresie uregulowania serwitutów i scalenia gruntów, pchnęliście w każdym razie naprzód zagadnienie reformy rolnej, zunifikowaliście znaczną część ustawodawstwa, stworzyliście własną organizację

sądowniczą, w wielu miastach podjęliście podstawowe prace inwestycyjne. Czyż nie możecie lub nie chcecie tego zrozumieć, iż w okresie, w którym najbogatsze państwa, o starej tradycji doskonałej gospodarki, od dawna wolne i zjednoczone, nietknięte najazdem i ruiną wojenną, wyinwestowane i zamożne, nie mogą dać sobie rady z potwornym splotem trudności powojennych, to wy nie macie podstaw i prawa domagać się od siebie samych, by pod wpływem jakiegoś czarnoksięskiego zaklęcia przemienić Polskę z powojennej pustyni w kraj szczęścia, dobrobytu i niczym nie zamąconej pogody? Czyż moglibyście obiektywnie wskazać na drugi kraj w Europie, który by w identycznie ciężkich warunkach, identycznie pozbawiony obcej pomocy, w identycznie krótkim czasie osiągnął te rezultaty, które wy tak systematycznie i uparcie lekceważycie? Gdyby taki głos rozległ się w Polsce, mógłby natychmiast stwierdzić, że nie jesteśmy narodem parlamentarnie tak mało wyrobionym, byśmy się dali zbić z tropu, choćby wymową faktów lub liczb statystycznych. Głos nieznanego Polaka odparłby pytanie pytaniem: „jeżeli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?"

I oto powstaje dylemat dwu prawdziwych, jasnych jak dzień oczywistości. Obraz Polski z dni listopadowych 1918 r. zestawiony z obrazem z r. 1928 czy 1929, to dwa zupełnie różne światy, dwa tak do siebie niepodobne organizmy, jak gdyby przedzielała je cała epoka nowej cywilizacji. Wszystkie wymienione fakty, wszystkie ze sceptycyzmem badane liczby i statystyki, wszystkie porównania są nieodpartą prawdą, świadczącą o olbrzymim wysiłku pozytywnej pracy całego społeczeństwa.

A przecież i ten złośliwy krytyk, który domaga się odpowiedzi na pytanie, „dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze", ma swoje, niemałe racje i uzasadnienia.

Trudno go nawet zadowolić odpowiedzią, że wszystkiemu winien jest kryzys, wstrząsający coraz bardziej upiornie i niepokojąco gospodarstwem wszechświatowym, od którego nie jesteśmy w stanie się odłączyć. On bowiem ma pełną świadomość, że pytanie jego nie utraciło nic ze swej aktualności nawet w okresie przeszłej, powszechnej koniunktury; on widzi i odczuwa, że położenie szarego, przeciętnego człowieka pracy jest w Polsce i obecnie cięższe i chmurniejsze niż w innych państwach, które przeżywają jeszcze dotkliwszy kryzys niż Polska.

Gdybyśmy, jak to się czyni w geometrii analitycznej, wykreślili w układzie dwu osi krzywą naszej rzeczywistości, gdybyśmy następnie zbadali tę krzywą oddzielnie w jej relacjach do jednej osi, wyrażającej miary wszystkich obciążeń zwalonych na Polskę współczesną, obciążeń zarówno politycznych, jak też i gospodarczych, i społecznych, i narodowościowych, a następnie w relacjach do osi drugiej, wyrażającej ewolucję w czasie, to odkrylibyśmy w jednej syntezie całą dysproporcję w skali tego podwójnego układu i wyraźną odpowiedź na zadane pytanie.

Postęp i rozwój nasz w stosunku do czasu i środków, którymi mogliśmy rozporządzać, jest istotnie wielki i wyraźny, szczególnie, gdy oddzielimy go od zjawisk wybitnie koniunkturalnych, tj. niezależnych od naszej woli i pracy. Ten sam jednak rozwój wymierzony w skali bezwzględnej, zestawiony z potężnym ciężarem, zalegającym na szali bytu polskiego, z ciężarem, przygniatającym całe życie nasze ku ziemi, przesłaniającym światło wolności, z ciężarem, który coraz prędzej i coraz świadomiej musi być usuwany i przetwarzany na wartości pozytywne pod groźbą naszej zguby politycznej i gospodarczej, jest tylko nieznaczny i słaby.

Cóż nam bowiem z tej świadomości, że do usuwania tego niezwykle ciężkiego, wielkiego i wysokiego zwału

gruzów i kamieni, zwalonych w wąwozie naszego życia i tamujących nam dostęp do swobodnego i prawdziwego rozwoju sił, do wyzwolenia tysięcy drzemiących w nas i w naszej ziemi wartości, rzuciliśmy się z łopatami, może nawet z dobrą wolą i zapałem, gdy przez samo ścieśnienie, skurczenie horyzontu naszej pracy wciąż wzajemnie się potrącamy, wzajemnie się osłabiamy i paraliżujemy rezultat niewydajnego wysiłku. Tu zaś zamiast niezorganizowanej i chaotycznej, choć usilnej pracy łopat, postawić trzeba olbrzymie motory elektryczne i precyzyjnie działające, tysiąckonne maszyny. Pragniemy i musimy przebić olbrzymi tunel ku nowemu życiu, ku nowym i lepszym warunkom, w skale twardej, opornej i trudnej, za którą leży i stokrotnie większe bezpieczeństwo państwa, i stokrotnie szersza droga postępu ekonomicznego i społecznego, a pracę tę każda grupa, każdy odłam, każda organizacja polityczna chce wykonać na własną rękę, wedle własnego planu, bez map i narzędzi, pracując w ciemności i zużytej atmosferze. A równocześnie świadomość szepce nam, że czas przebicia się na zewnątrz może być dla nas ograniczony; a rozum wskazuje nam, że przede wszystkim metodę pracy należy zmienić i ująć ją w ramy zwarte i organizacyjne i ułatwić ją przez doprowadzenie światła i przez zastosowanie dobrej i racjonalnej techniki; a doświadczenie uczy nas, że kto chce zyskać na czasie, ten nie może czasu marnować, że kto chce siły pomnożyć, ten nie może ich trwonić, że kto chce zwyciężyć, ten nie może lekceważyć warunków zwycięstwa.

Tak powstaje i rośnie nowy problemat życia polskiego, dotyczący głębokiej i zasadniczej zmiany w metodzie.

Zasady, na które wskazuje Emerson, ten właśnie cel mają na oku. Nie domagają się one ani zmechanizowania człowieka, ani przekreślenia jego indywidual-

ności, ani też podporządkowania społeczeństwa całego jednemu, określonemu programowi. Nie wykluczają one ani walki poglądów, ani nie ograniczają one ewolucji form życia i form zbiorowego działania. Stawiają jedynie postulat porządku, celowości, logiki i konsekwencji w działaniu, żądają skierowania sił na drogi twórcze, walczą przeciwko wszelkiemu bezproduktywnemu rozpraszaniu i marnowaniu energii indywidualnej i energii zbiorowej.

Programy działania w życiu państw są i muszą być zmienne. Zasady natomiast stanowiące drogowskaz programów winny być stałe. Stanowią one tylko glebę zdrową, dobrze i skrzętnie przygotowaną, przeoraną i znawożoną, zmeliorowaną i pożywną dla rozwoju różnorodnej uprawy, ale uprawy pożytecznej, a nie bujnie rosnących na nieużytkach chwastów. W społeczeństwach, lekceważących każde trwałe zasady, obojętnych na wszelkie sprawdziany, życie musi się tlić marnie, muszą się szerzyć ekstremy nędzy i egoizmu, ryzyka i niepewności, intryg i osobistych antagonizmów, wszystko staje się tam możliwością, wszystko tonie w powodzi namiętnych dyskusji i złośliwych oskarżeń i nic nie może się tam doczekać urzeczywistnienia.

Naczelną zasadą zdrowego i racjonalnego stosunku do życia jest jasne i konkretne zdefiniowanie celu, który ma być zrealizowany. Wydaje się, że właśnie pod tym względem jesteśmy w Polsce w położeniu znacznie korzystniejszym niż wiele innych społeczeństw i narodów; wydaje się, że w tym ustaleniu, wsłuchując się w samo tylko tętno choćby podświadomej myśli i uczucia całego społeczeństwa, można odnaleźć pierwiastki, łączące je bodaj w jednomyślną zbiorowość.

Nie może być bowiem żadnej wątpliwości, że cele Polski zbiegają się do następujących trzech podstawowych postulatów i tez: pragniemy wszyscy zachowania

całości i niepodległości państwa; pragniemy wszyscy stabilizacji pokoju, jako zasady współżycia i współdziałania państw i narodów; pragniemy wszyscy rozwoju dobrobytu najszerszych warstw społeczeństwa, a więc postępu gospodarczego, jako podstawy wewnętrznej potęgi państwa i fundamentu rozkwitu polskiej kultury i cywilizacji.

Zabezpieczenie całości i samodzielności państwa jest naszym naczelnym obowiązkiem. Zanalizowaliśmy już uprzednio, jak liczne i potężne siły przeciwstawiają się temu celowi. Nie możemy nie mieć świadomości, co oznacza wystawienie tego zagadnienia choćby na jakiekolwiek ryzyko. Doświadczenia polskie z przeszłości są w tej dziedzinie tak bezpośrednie, tak groźne i jasne, jak żadnego innego narodu. Państwo nasze jest zbyt wielkie, by mogło ulec przemocy jednego z sąsiadów. Utrata zaś niepodległości i podziały, to w każdych warunkach i w każdych okolicznościach synonim najpotworniejszych zniszczeń wszystkich wartości materialnych i kulturalnych, to zburzenie samej nawet tylko możliwości wydobycia wielomilionowych rzesz społecznych z dna nędzy i niedoli. W odniesieniu do tego właśnie zagadnienia znajdujemy się w położeniu zupełnie wyjątkowym. Jeżeli więc inne społeczeństwa dla zrealizowania celów drugorzędnych mogą sobie pozwolić na przejściowe osłabienie własnego mechanizmu państwowego, to my nie mamy prawa w imię złudnej doktryny naśladować obcych wzorów.

Mechanizm polski musi być silny, odporny i sprawny, jeżeli ma wytrzymać nacisk zewnętrzny i nie ugiąć się, jeżeli ma pokonać wszystkie trudności i opory życia i nie złamać się. Z tych stwierdzeń wypływają dalsze zasady, które mają prawo stać się dogmatem naszej zbiorowej woli i wysiłku. Każde więc przystosowywanie zasadniczych norm organizacyjnych państwa do przemijających i ciasnych tendencji pojedyn-

czych ugrupowań politycznych, do doraźnego interesu dnia, do stosunku do poszczególnych osób, jest fundamentalnym i złowrogim błędem i grzechem wobec państwa. Trwałość i kompetencje władzy wykonawczej w Polsce muszą być uwolnione od działania przypadku, gdyż powstające stąd szkody dla państwa i dla całego społeczeństwa są nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do korzyści osiąganych przez pojedyncze ugrupowania lub nawet osoby. Zestawiając przyczyny i historię upadku i powstania kilkunastu gabinetów „przedmajowych" z ich działalnością, w wielu wypadkach nie można przy najlepszej nawet woli doszukać się jakiegokolwiek istotnego powodu tych zmian; zmieniały się osoby i reprezentowane partie, a w wielu resortach działalność lub bezczynność pozostawały te same. Każda zaś zmiana drogo kosztowała państwo. Silna, a przede wszystkim niezależna od przypadkowych kombinacji partyjnych władza wykonawcza nie jest antytezą demokracji; a jest ona zawsze i tym silniejszą, i tym trwalszą, i tym demokratyczniejszą, im bardziej i im powszechniej jej siła i jej trwałość wynikają ze świadomej woli samego społeczeństwa i jego organizacji politycznych. „Silna organizacja państwowa — pisze W. Kalinka — udziela się indywiduom, przenosi na nie coś ze swego hartu i krzepkości, wdraża narody do cnót, do których by inaczej nie doszły" [1]. W warunkach polskich wzbudzenie autorytetu i poszanowania władzy państwowej, umożliwienie jej zamiast ustawicznych wykrętów i zabiegów wobec parlamentarnych grup politycznych szerokiej i twórczej działalności, otwarcie jej pola dla zdrowej ambicji zaważenia na losach i rozwoju Polski, osądzanie jej nie w stosunku do pojedynczych, drugo- i trzeciorzędnych wystąpień, ale w stosunku do działalności sumarycznej i scałko-

---

[1] W. Kalinka, *Sejm Czteroletni*, t. II, s. 315.

wanej, okazanie jej nawet w krytyce i opozycji dobrej woli, pozbawionej antagonizmu ściśle personalnego, posiada pierwszorzędne znaczenie państwowe. Właśnie to trudne zagadnienie musi być ujęte niezwykle głęboko i istotnie. Należy zrozumieć, że silna i zdolna do twórczej pracy władza wykonawcza nie powstanie przez samo, choćby najbardziej celowe i mądre, jasne i uczciwe sformułowanie ustaw zasadniczych, konstytucji i regulaminów sejmowych; ona musi mieć oparcie w zdecydowanej woli i opinii publicznej, ona musi się stać potrzebą społeczną; ona musi wynikać z powszechnie przyjętej zasady moralnej, z powszechnie wyczuwanej racji stanu, obowiązującej tak dobrze grupy stojące współcześnie na stanowisku prorządowym, jak i na stanowisku opozycyjnym. Wtedy dopiero starcie i walka kierunków i programów nie tylko nie przyniesie szkody państwu, ale przeciwnie stanie się elementem ożywczym, korygującym wszelką jednostronność, pogłębiającym każdy problemat państwowy, budzącym — w coraz większym zasięgu — uświadomienie i wyrobienie polityczne. Wtedy dopiero zmiany kierunków rządowych przestaną być w opinii publicznej drobnym i nie rozumianym wypadkiem, incydentem pobudzającym do rzucenia kilku wesołych dowcipów, a staną się istotnym sprawdzianem programów politycznych i ludzi, którzy je reprezentują. Wtedy dopiero akt powszechnych wyborów zdobędzie głęboki sens społeczny, a zasada demokratyzmu przestanie być jednostronną i obłudną formułą mającą obowiązywać każdorazowy rząd w stosunku do parlamentu, a stawać się pocznie istotną treścią całego społeczeństwa. Wtedy też i rząd pogłębi w sobie psychicznie i moralnie poczucie nie formalnej, lecz faktycznej odpowiedzialności, zdobędzie podstawy dla swego działania, sięgającego wzrokiem w przyszłość, a silna i zdrowa organizacja państwa przenosić pocznie swój hart i swą

wiarę, swą aktywność i swą krzepkość na jednostki i całe społeczeństwo.

Obok zasad normujących stosunek ruchów i ugrupowań politycznych do władzy wykonawczej, tj. do głowy państwa i do rządu, muszą w tym systemie, opierającym się nie na logice doktryny, lecz przeciwnie na doktrynie logiki, istnieć również zasady mocne w stosunkach każdego ugrupowania politycznego do innych ugrupowań i do całego społeczeństwa. Zasadę tę można wyrazić najogólniej postulatem obiektywnego sądu o rzeczach. Wszelkie nieumiarkowanie i wszelka krańcowość w sądach nie mogą w warunkach polskich przynieść rezultatów pozytywnych. Przeciwnik polityczny stał się u nas synonimem skończonego zubrawca. Ten pokarm podajemy ustawicznie niewyrobionemu politycznie społeczeństwu, tą metodą, pełną powszechnej wzajemności, podsycamy przejaskrawioną już i bez tego nieufność, tym zastępujemy ścieranie się poglądów i argumentów. Carlo Sforza, b. minister spraw zagranicznych Italii, omawiając zagadnienia bałkańskie, twierdzi słusznie: „Tylko naród wewnętrznie solidarny i zjednoczony jest zdolny do walki i zwycięstwa; nie zwycięża nigdy naród rozdarty przez wewnętrzne nienawiści"[1]. My te nienawiści ustawicznie i systematycznie pogłębiamy. Postulat obiektywizmu w sądach o sprawach państwowych domaga się też nałożenia pewnego hamulca i kagańca na wybujałą demagogię. Zarówno od państwa, jak też i od przeciwników politycznych można się domagać spełnienia tych postulatów, które dana grupa byłaby w stanie spełnić w zgodzie z ogólnym interesem państwa, gdyby sama rządziła i sama ponosiła pełną i świadomą odpowiedzialność. Ale właśnie ta zasada prawie nigdy nie ma praktycznego i uczciwego zastosowania. Grupy poli-

[1] C. Sforza, *Makers of Modern Europe*, Londyn 1931, s. 181.

tyczne, które ongiś w imiennym głosowaniu w sejmie zaaprobowały fakt powstania wojny celnej niemiecko-polskiej, później, gdy już zajęły stanowisko opozycyjne, winiły rząd za niedoprowadzenie do skutku likwidacji tej wojny, choć nie zdradzały głębszego zainteresowania się ciężkimi negocjacjami i jeszcze cięższymi warunkami strony niemieckiej, pomimo że właśnie główne trudności, wynikające z tego stanu rzeczy, zostały już przez rząd opanowane i wyrównane. Stronnictwa, które założyły liczne podwaliny pod rozwój etatyzmu, gdy same dzierżyły ster rządów w państwie, które w okresie kryzysu czuły się zmuszone do przeprowadzenia redukcji poborów urzędniczych, które wprowadziły szereg obciążeń podatkowych w miastach, które poparły zawarcie wielu pożyczek i transakcji wybitnie niekorzystnych dla państwa, które nie mogły znaleźć ani skutecznej broni dla zwalczania klęski bezrobocia, ani skutecznych metod dla przełamania klęski rolnictwa, gdy tylko stanęły na opozycyjnym klepowisku natarły i na etatyzm, i na redukcję poborów urzędniczych, i na obciążenia podatkowe, i na każdą transakcję pożyczkową rządu, a roztoczyły swój łzawy a nieszczery żal nad klęską bezrobocia i klęską rolnictwa polskiego. W ten sposób wiele problematów życia współczesnej Polski nie posunęło się ani na krok naprzód, a nawet nieporządna robota sejmów nie została dotychczas zreformowana. Jeżeli bowiem nawet zjawia się czasem postulat obiektywizmu, to prawie zawsze domagamy się go od przeciwnika politycznego, a prawie nigdy od siebie samych. Tymczasem postulat ten jako zasada może mieć pełny i doniosły walor tylko przez swą powszechność. Zastosowany zarówno w odniesieniu do tego, co państwu chcemy dać, jak też i do tego, czego się od państwa domagamy, zastosowany do rządu, sejmu, partii politycznych, grup społecznych, do mniejszości narodowych, nie tylko w for-

mie biernej, ale w formie czynnej, staje się jednym ze źródeł prawdziwej i wielkiej siły państwa.

Podobne zasady muszą wytyczyć również linie kierunkowe postępowania rządu w stosunku do innych władz w państwie i w stosunku do społeczeństwa.

Jest to sprawą istotnie niezwykle trudną, ale fundamentalnie ważną w stosunkach polskich, szczególnie w początkowym okresie organizacji państwa, by rząd, powstający nawet na płaszczyźnie partyjnej, uchronić przed supremacją własnych grup politycznych. On musi zająć stanowisko nieco wyższe i nieco obiektywniejsze. Im szerszą jest płaszczyzna aktualnych trudności, im większe opory muszą być w danym momencie historycznym przełamane, tym szerszy i wyższy musi być kąt patrzenia rządu. Nie można z uporem ignorować faktu, że temu właśnie prawu coraz silniej poddają się stosunki nawet w krajach o wysoko rozwiniętym parlamentaryzmie, w krajach o utrwalonych zasadach rządów partyjnych. Wpływ ścierania się kierunków politycznych może być wybitnie dodatni wówczas, gdy idzie o ustalenie niezmiennych na dłuższy okres czasu zasad rządzenia państwem; współcześnie aktualna wartość programów musi ulegać ustawicznej kontroli, przebudowie, ciągłemu dostosowywaniu się — szczególnie w zakresie najważniejszych zagadnień gospodarczych — do zmieniającej się wciąż sytuacji. Szybkość decyzji, podejmowanych i realizowanych konsekwentnie, posiada w tak niezwykle nienormalnych warunkach większe znaczenie, aniżeli uniknięcie błędów w poszczególnych i sporadycznych wypadkach. Poczynają to rozumieć dzisiaj nie tylko pojedyncze ugrupowania polityczne w krajach o wysokiej kulturze państwowej, ale nawet i całe społeczeństwa; tym się tłumaczy, że w Anglii zwycięża zdecydowanie kierunek, który najsilniej odsuwa się od preponderancji doktryny, a na miejsce wąskich haseł grupowych sta-

wia szersze hasła państwowe; w tym znajduje uzasadnienie fakt, iż nieraz partie opozycyjne wbrew konkretnej możliwości parlamentarnej nie obalają rządów przeciwnych sobie, ale działających w granicach obiektywizmu fachowego; tym korekturom podlega kierowany przez socjalistę rząd Danii, okazujący wielki umiar i przezorność w traktowaniu zagadnień gospodarczych i socjalnych. Im częściej bowiem stają rządy i państwa w obliczu zagadnień nierozwiązalnych przez prostą formułę partyjną, tym bardziej i same muszą się oddalać od wszelkiej jednostronności działania.

Dalszym i może najbardziej zasadniczym dziś imperatywem, najgłębszym i najogólniejszym obowiązkiem rządu jest zadanie politycznego wychowania społeczeństwa i wydobycie na samą powierzchnię życia silnych charakterów i skrystalizowanych indywidualności. Sztuka rządzenia staje się coraz trudniejsza; niezależnie od woli, od zgody czy protestu poszczególnych wyznawców doktryn liberalnych, państwo wkracza i musi wkraczać coraz głębiej w funkcje życia zbiorowego. Jeżeli kiedy, to właśnie obecnie myśl wypowiedziana przez Lloyd George'a w jednej z jego książek — a stwierdzająca, że „jeżeli naród bogaty i zasobny w skarby ziemi i surowce, wyposażony w wielki i zorganizowany handel, obdarzony pięknem natury swej ojczyzny nie posiada również zasobu wielkich, ludzkich indywidualności, to brak mu najważniejszego czynnika bogactwa narodowego" — staje się najgłębszą prawdą i potrzebą życia. Ciężką dla wszystkich rządów i wszystkich państw jest sytuacja, gdy grupy polityczne popierające rząd nie rozporządzają poważną ilością ludzi o głębokim wyrobieniu i doświadczeniu politycznym, o szerokim horyzoncie i poczuciu odpowiedzialności; ale prawdziwa tragedia rozpoczyna się dopiero wówczas, gdy z takich indywidualności ogołocona zostanie opozycja. Jedni i drudzy bowiem stają

się naturalnymi źródłami opinii publicznej w społeczeństwie. Lincoln zaś słusznie powiedział, że „w zgodzie z opinią publiczną wszystko udać się musi, bez niej nic się powieść nie może. Ten, kto opinię wytwarza, oddziaływa potężniej niż ten, co pisze ustawy i decyduje o wielkich sprawach; twórca opinii publicznej umożliwia to, że ustawy i decyzje stają się wykonalne"[1]. Wbrew pozorom więc, trwałe, skrystalizowane i silne ruchy polityczne, kierowane przez jednostki rozumne, świadome celów państwowych, zdolne do ocenienia istotnych trudności i niebezpieczeństw, dążące do pogłębienia opinii publicznej, choćby nawet doraźnie przez swe stanowisko opozycyjne stwarzały pewne utrudnienia, są bardziej pożądane z punktu widzenia interesów państwa, jego przyszłości i rozwoju, a nawet jego rządu, niż ruchy i jednostki bezwartościowe, balansujące wciąż pod naporem niezrozumiałych dla siebie wypadków i okoliczności, a tym samym siejące tylko zamęt w społeczeństwie. W zamiłowaniu do błyskotliwych paradoksów Oskar Wilde ogłosił następującą zasadę: „I like persons better than principles, and I like persons with no principles better than anything else in the world"[2]. Taką zasadą posługiwały się u nas często rządy zaborcze; rząd własny, patrzący w przyszłość państwa, nie może wyznawać takiej zasady nawet w stosunku do opozycji. Zbawienie bowiem i rozwój państw, a szczególnie państw znajdujących się w tak trudnym i tak skomplikowanym położeniu, jak dzisiejsza Polska, zależy przede wszystkim od połączenia dobrych, przewidujących, sprawiedliwych i mądrych praw z ludźmi dobrymi i mądrymi, choćby

---

[1] E. Ludwig, *Ameryka*, t. II, s. 173—174.

[2] Przekładam ludzi ponad zasady, a ludzi bez zasad ponad wszystko inne w świecie.

odmiennie myślącymi, ale konsekwentnymi w działaniu, a uczciwymi w myśleniu politycznym.

Ostatnim wreszcie czynnikiem, który musi korygować działalność i przenikać świadomość rządu, jest prawo, które by można nazwać prawem polaryzacji jego woli, zamierzeń i działań. Musi on każdorazowo dokładnie wyważyć i ocenić „współczynnik spaczenia" jego myśli i jego intencji zarówno przez inne zarządzenia i skutki faktów już istniejących, jak też przez aparat biurokratyczny i ugrupowania polityczne, w drodze swej do najszerszych warstw społeczeństwa, które tym zarządzeniom podlegać będą. Życie państwa jest funkcją złożoną. Przesunięcie równowagi w jednym elemencie przesuwa ją automatycznie i w innych. Zarządzenie o kontroli kapitałów w bankach krajowych musi wypłoszyć je za granicę. Nadmierne podwyższenie cła na pewne towary zwiększa natychmiast tzw. „szmugiel" z zagranicy. Zbyt ostra cenzura powołuje do życia konspiracyjne drukarnie i pisma. Analogiczne zjawiska można spotkać w każdej dziedzinie życia zbiorowego. Podobnie, im młodszą, im bardziej indywidualistyczną, bardziej żądną władzy, bardziej opanowaną duchem centralizacji, a mniej fachową i personalnie nieustabilizowaną jest biurokracja, im mniej przeniknięta jest ona świadomością służby dla kraju i społeczeństwa, im mniej wdrożona jest do obowiązku ścisłego przestrzegania prawa i jego zdrowego sensu, im bardziej niewyrobione politycznie są organizacje społeczne i partyjne, im większe wstrząsają nimi antagonizmy, tym większy i wyraźniejszy jest ten współczynnik spaczenia i polaryzacji. To co w intencjach rządu może być celowe, słuszne i rozumne, to co w oderwaniu od innych zarządzeń może być pożyteczne, to co ma być wyrazem siły, decyzji i sprężystości, może się spaczyć po długiej i splątanej

drodze do tego stopnia, iż w końcu staje się faktem bezwartościowym a nawet szkodliwym.

Syntetyzując całe zagadnienie organizacji państwa, jako najistotniejszego czynnika potęgującego lub rozpraszającego siły społeczne, których suma decyduje o utrwaleniu bytu i całości organizmu państwowego, można powiedzieć, że idzie tu o właściwy stosunek celów i zastosowanych środków. Tak jak w mechanice nikomu nie przyjdzie do głowy myśl, by z powodu defektu kilku drobnych części wyrzucić i połamać cały i cenny agregat maszyn, by dla wykonania potężnej pracy, dla przełamania potężnego oporu stawiać mały i słaby motor, a dla usunięcia małego tarcia instalować tysiąckonne maszyny, tak samo i w dziedzinie organizacji państwa idzie więcej o zdrowy rozsądek i sens w działaniu niż o teoretycznie idealne sformułowania. Ustalenie szerokich kompetencji rządu, oddanie mu wszystkich niezbędnych środków dla pokonania ogromu splątanych i licznych trudności, nie jest sprawą personalną członków rządu, ich urojonej ambicji i żądzy władzy, ale sprawą siły i rozwoju państwa; obalanie gabinetów rządowych, stanowiące w polskich warunkach ostry kryzys państwowy, musi być oparte o szczególnie poważne, przemyślane racje i niewątpliwą pewność, że właśnie i jedynie na tej drodze skonstatowane zło zostanie usunięte przez przygotowane i dojrzałe do realizacji dobro społeczne. Odwrotnie, głębokie poczucie odpowiedzialności za przyszłe losy państwa, sprawiedliwy stosunek do wszystkich warstw społecznych i podnoszenie poziomu wychowania politycznego — to największe wartości dobrego i demokratycznego rządu.

Drugim, fundamentalnym celem państwa polskiego jest wysiłek dla umocnienia i utrwalenia zasad pokoju — pokoju politycznego i gospodarczego — w międzynarodowym współżyciu. Idea ta nie wynika dla

nas z jakiejkolwiek doktryny; ona jest prostym i logicznym rezultatem zrozumienia samej sytuacji Polski i dlatego może być i jest własnością całego społeczeństwa i państwa. Od wielu wieków, stając na rubieży dwu kultur i dwu cywilizacji, na skrzyżowaniu się najbardziej sprzecznych interesów w Europie, byliśmy terenem wielu gwałtownych, międzynarodowych wyładowań, wielu groźnych napadów, dokonywanych nieraz na Polskę z najbardziej błahych i fikcyjnych powodów. Od wielu wieków przewalały się burze i potopy wojenne przez ziemie polskie, a w tych niezliczonych zapasach z potęgą Moskwy, Kozaków, Tatarów, Turków, Wołochów, Krzyżaków, Szwedów, Brandenburgii, a potem Prus i Austrii, cały dorobek cywilizacyjny i gospodarczy niszczał tu często znacznie prędzej, niż przyrastał. W ciągu całych dziesięcioleci wywożono z Polski nieskończonymi taborami mienie i dorobek wielu pokoleń; łuny pożarów zdawały się nigdy nie kończyć, a zarazy z wojen wynikłe lub z wojną przywleczone dziesiątkowały ludność. Czego zaś nie zniszczyły wojny, co ocalało od grasujących armii nieprzyjacielskich i od armii „sojuszniczych", przychodzących czasem z rzekomą dla nas pomocą, to pomniejszyła własna błędna i nieprzezorna polityka, a potem długa niewola, podziały i wojna światowa. Doprawdy, nie mamy już ani czasu, ani nadmiernie nagromadzonych wartości do stracenia, o ile do tych strat nie będziemy w sposób brutalny i agresywny przymuszeni. Dla Polski pokój oznacza automatyczne i pewne narastanie nowych wartości w bilansie państwowym; oznacza samorzutne wyrównywanie dysproporcji politycznych i gospodarczych; oznacza najbardziej pewny i szybki wzrost wzwyż, zamiast najbardziej wątpliwego wzrostu wszerz; oznacza mnożenie i doskonalenie wszystkich wartości drzemiących w człowieku i zarazem wartości jego życia; oznacza wreszcie wszystkie, scałkowane

warunki wszechstronnego rozwoju, przeciwko licznym warunkom jeszcze głębszego upadku i jeszcze większej i pogłębionej dysproporcji, które nieuchronnie niesie ze sobą nawet pomyślna wojna.

Nie może więc istnieć bardziej niewzruszona, bardziej powszechna, bardziej obowiązująca, bardziej wartościowa zasada w polityce polskiej, jak ta, która wyraża się tym jednym słowem: pokój.

To, pozornie tak proste, tak jasne, tak umotywowane stwierdzenie nie jest ani łatwe, ani pojedyncze w wykonaniu. I tu, jak w tylu wypadkach życia, prawda wielkiego hasła dojrzewa i utrwala się w ciszy i powadze. W zgiełku i reklamie giełdy politycznej każdy kolejno problemat ludzkości wyrodnieje i paczy się. Jakkolwiek to brzmi paradoksalnie, niemniej jednak tak jest istotnie, że w pierwszym szeregu przeciwko temu hasłu stoi skoncentrowaną, zwartą falangą szerząca się coraz krzykliwiej akcja tzw. pacyfistów. Można by tu powtórzyć za G. Clemenceau, iż „niewinność sąsiaduje tu o miedzę z obłudą"[1]. Pacyfistą jest i Lloyd George, i G. Hervé, i Fr. Nitti, i sen. Borah; pacyfistyczny jest i Kreml, i Wilhelmsstrasse, i traktat w Rapallo, i traktat w Locarno, i pacyfistyczną jest cała antypolska propaganda. Do pacyfizmu, jako zasady moralno-politycznej, ludzkość dojrzeje dopiero wówczas, gdy raz zda sobie jasno sprawę, gdy zbilansuje i zliczy, ile nieszczęść, niedoli ludzkiej, zniszczeń sprawiły wszystkie, razem wzięte wojny, gdy zrozumie, ile pracy i życia kosztuje to, co ginie i przepada bezpowrotnie dla cywilizacji w ciągu choćby jednego roku, a może jednego tylko dnia wojny; do prawdziwego i rzetelnego pokoju, jako nienaruszalnej zasady w stosunkach międzynarodowych, dojrzeje ludzkość, gdy zrozumie, jak błahe i małostkowe nieraz po-

---

[1] G. Clemenceau, *Blaski i nędze zwycięstwa*, s. 225.

wody wywoływały krwawe i długotrwałe zapasy wielu narodów, które z celami tymi nie miały nic wspólnego, a często nie znały ich i nie rozumiały. Dzisiejszy, urzędowy pacyfizm nie przebił się jeszcze poza ciasny i zamglony horyzont, gdzie rozgrzeszenie otrzymują tylko silni, jedni za swą bezczynność i obojętność, drudzy za swą agresywną działalność. Gdy, za wzorem senatora Boraha, liczni politycy mówią, że wschodnie granice Niemiec muszą być zmienione choćby siłą, to stanowisko to poczytują sobie za ściśle pacyfistyczne; gdy Polska odpowiada, że granic swych bronić będzie z całym uporem i siłą, na jaką ją tylko stać będzie, gdyż ma za sobą prawo i wszystkie rzeczowe argumenty, ustalone niewątpliwie nawet przez przeciwników, to w dzisiejszym języku pacyfistycznym nazywa się to imperializmem i militaryzmem polskim!

Z tej zasady płynąć musi i nasz stosunek pozytywny do Ligi Narodów. Jest to instytucja oparta o wzniosłą i głęboką ideę, związana nierozdzielnie z nazwiskiem prezydenta Wilsona, nazwiskiem tak szczytnie zapisanym i w historii Polski. Jest ona współcześnie niemal potrzebą życia, gdy izolacja faktów politycznych, społecznych, gospodarczych, socjalnych, zagadnień prawa, kultury, techniki i cywilizacji w życiu międzynarodowym jest już nie do pomyślenia. Zadaniem Ligi Narodów jest łagodzenie konfliktów międzypaństwowych, utrwalanie zasad pokoju na podstawie poszanowania zawartych umów i traktatów, a wreszcie współdziałanie w zerwaniu więzów, które krępują pełny i sprawiedliwy rozwój sił gospodarczych świata i poszczególnych państw. Nie wolno jednak zapominać, że instytucja ta znajduje się zaledwie u początku swej drogi; jej dobra wola okazuje się wciąż za słaba wobec opancerzonego egoizmu narodów. Cele jej, tak bliskie podstawowym celom państwa polskiego, mogłyby przez swą realizację stanowić zasadniczy przełom w

dziejach politycznych Europy. Zastosowane jednak metody muszą napawać największą obawą co do pełnej i niewątpliwej skuteczności wysiłku, muszą osłabiać wiarę w samą możliwość oparcia wyłącznie na jej dobrej woli gmachu powszechnego zaufania, powszechnego i nienaruszalnego pokoju. Coraz częściej budzić się muszą refleksje, czy nie ma choć ziarna prawdy w sarkastycznym powiedzeniu G. Clemenceau o Lidze Narodów, gdzie „mają się koncentrować, mnożyć, wzmagać, lub też czasami zmniejszać — wszystkie zatargi historyczne, intrygi dyplomatyczne, zbiorowiska egoizmów narodowych, a nawet i jednostkowych"[1]. Istotnie, mechanika współczesnej dyplomacji jest raczej przeciwieństwem, niż synonimem usuwania narastających wciąż trudności w życiu państw i narodów; nie może się rozstać ze swym przedwojennym uzbrojeniem, z rynsztunkiem, który składał się z obłudnej dysproporcji między słowem i czynem oraz z uprzywilejowania, opartego na prawie silniejszego. Przesycająca całą atmosferę europejską, nieufność podsyca tylko te ujemne walory dyplomacji, tworząc niejako inflację machiavellizmu. Coraz częściej też możemy obecnie stwierdzić, że wiele traktatów politycznych, umów handlowych i gospodarczych, regulujących oddzielne zagadnienia pomiędzy dwoma państwami lub dwoma gospodarstwami nie dochodzi do skutku nie dlatego, by istniały obiektywne i rzeczowe, a nieprzezwyciężone trudności, ale przede wszystkim z powodu niemożności wynalezienia tak elastycznych formuł, które by wobec ustawicznie zmiennych okoliczności potrafiły wszystko przewidzieć i usprawiedliwić lub ze wszystkiego pozwalały się wycofać i wykręcić. W zakresie spraw o charakterze międzynarodowym wymagania elastyczności formuł wzmagają się tylekrotnie,

---

[1] G. Clemenceau, *Blaski i nędze zwycięstwa*, s. 118.

ilu zainteresowanych uczestników bierze udział w ich rozwiązaniu. Stąd też pozytywne rezultaty prac Ligi Narodów i to zarówno w dziedzinie politycznej, jak i gospodarczej są dotychczas więcej niż skromne. Jak długo Liga Narodów nie posiada ściśle określonych i realnych praw wykonawczych, tak długo może działać skutecznie jedynie przez swój wielki autorytet moralny; należycie użyty i zastosowany mógłby się on okazać wcale poważną siłą, być może możniejszą niż odśrodkowe i niszczące siły dyplomacji, działającej wedle starych reguł i zużytych zasad. Oscylowanie natomiast pomiędzy siłą autorytetu i autorytetem siły jest dla samej idei nadrzędnej, międzynarodowej instytucji tak samo zgubne, jak zgubną jest metoda naśladowania wzorów dyplomacji państwowych, ze wszystkimi ich sztuczkami i posunięciami taktycznymi. Zagadnienie to jest tak ważne dla przyszłego rozwoju stosunków międzynarodowych, a zarazem tak pouczające, że domaga się głębszego zbadania i wyjaśnienia. Tu bowiem najwyraźniej rysuje się fakt ujemnego oddziaływania samej tylko metody na niewątpliwie słuszny cel. Tak więc w zakresie zagadnień gospodarczych jest już wyjaśniony ponad wszelką wątpliwość wpływ, jaki wywiera struktura gospodarcza jednego państwa na inne. Paneuropa w zakresie negatywnym jest już faktem dokonanym: choroby pojedynczych gospodarstw narodowych i państwowych sumują i przenoszą się błyskawicznie na całe gospodarstwo międzynarodowe. Możliwości ratowania się przed klęską finansową i ekonomiczną w ramach pojedynczego organizmu państwowego stają się coraz węższe i coraz bardziej zawodne.

Można by toczyć dyskusje, czy plan akcji ratunkowej, krystalizujący się w łonie różnych komisji Ligi Narodów, jest w warunkach obecnych słuszny i celowy, czy nie. Zasadniczym jednak jest to, że plan taki

istnieje i opiera się głównie na przesłankach liberalizmu gospodarczego. Został on jednak zestawiony na długiej linii poziomej i pocięty na kawałki, na luźne części i to w sposób, pozwalający domyślać się, że przede wszystkim uwzględnione zostały zainteresowania wielkich, silnych i wpływowych państw, a inne zostały odsunięte na „szary koniec" tej linii. Konwencja o uproszczeniu formalności celnych, o zniesieniu zakazów przywozu i wywozu z najdotkliwszymi dla państw agrarnych wyjątkami, konwencja o rozejmie celnym, o czasie pracy w kopalniach węglowych, oraz zagadnienia kartelizacji przemysłowej, stosowania przepisów weterynaryjnych, obrotu zboża, kredytów rolniczych, preferencji celnych itd. stanowią przedmiot nieustannych narad, konferencji i komisji w Genewie. Każde z tych zagadnień, rozpatrywane oddzielnie i samoistnie, reprezentuje korzyści dla pewnej grupy państw i obciążenia — przynajmniej w ramach panującego egoizmu narodowego — dla innych. Toteż każde zagadnienie obala kolejno grupa zainteresowana w utrąceniu danego rozwiązania, lub też przez wprowadzenie szeregu elastycznych formuł sprowadza praktyczną wartość decyzji do zera. Ten sam program byłby jednak zupełnie inaczej rozważany, gdyby jako określona i zdefiniowana całość został przedstawiony do decyzji państw stowarzyszonych w Lidze Narodów. Bilans ostateczny mógłby wypaść wówczas pozytywnie dla wszystkich państw. Te same jednostki państwowe, które ponosiłyby ofiary w zakresie ceł i zniesienia zakazów przywozu, zyskiwałyby poważne aktywa przez rozwiązanie problematu kredytu rolnego lub zniesienia prohibicji weterynaryjnych i odwrotnie. To, co w części staje się coraz bardziej nierozwiązalnym, skierowane na drogę pozornie trudniejszą, stałoby się rozwiązalne i możliwe.

Jeszcze charakterystyczniejsze jest zjawisko związa-

ne z tzw. zagadnieniem rozejmu celnego. Gdyby w tym wypadku Liga Narodów użyła swego autorytetu moralnego i pozostawiając pełną swobodę suwerenności gospodarczej zrzeszonym państwom, żądała tylko zawiadomienia i umotywowania w odniesieniu do każdej nowej podwyżki celnej, celem wyjaśnienia przyczyn, tkwiących w chorobliwym wyścigu celnym, byłaby niewątpliwie odniosła istotny sukces. Żadne z państw nie chciałoby zająć wówczas w tej statystyce pierwszego miejsca, a motywy podwyżek celnych w wielu wypadkach okazałyby się dość błahe, sprowadzając się w niejednym wypadku bądź to do obawy zaskoczenia przez inne państwo, bądź też do obawy przed tzw. dumpingiem. Przy tej sposobności więc zostałby zebrany rzeczowy materiał i w odniesieniu do innych, chorobliwych zjawisk gospodarstwa światowego. Wybrana została jednak całkiem odmienna droga, która w rezultacie wydała tak fatalne skutki, iż wszelką myśl o rozejmie celnym uczyniła absurdalną. Metoda zastosowana — polegająca na dopuszczeniu podwyższania ceł w ciągu określonego okresu — dałaby się porównać z przybyciem arbitra na linię startu wyścigowego z zawiadomieniem przez podniesienie chorągiewki, iż za pół roku zamyka się wyścig i każdy z zapaśników musi wówczas stanąć na miejscu, do którego w tym czasie dobiegnie. Metoda pierwsza, nie zrealizowana, miałaby na celu wyróżnienie tego, kto wcale z mety nie ruszył, druga, zastosowana, premiowała wyścig. W ciągu tego jednego półrocza gorączkowa nadbudowa murów celnych w kilkudziesięciu państwach świata osiągnęła rezultaty, jakich nigdy poprzednia historia nie znała. Należy się obawiać, że identyczna metoda przeszczepiona z całą, upartą konsekwencją, wyda w latach najbliższych, na innym odcinku, może najważniejszym dla przyszłego rozwoju świata, identycznie fatalne i złowrogie skutki. Idzie tu o zagadnienie roz-

brojenia militarnego. Nie może ulegać żadnej wątpliwości, że sumy zawarte w budżetach państw świata na cele militarne reprezentują potężne wartości. Zużyte w ciągu jednego dziesięciolecia na rekonstrukcję gospodarstwa, zmieniłyby oblicze świata i sytuację człowieka pracy. Jeżeli jednak i w tym wypadku zastosuje się zapowiedź zamknięcia wyścigu zbrojeń, a samo potężne i żywiołowe zagadnienie ubierze się w elastyczne formuły konwencji, to skutek będzie nieuchronnie odwrotny w stosunku do celu i zamiaru. Państwa, które w traktacie wersalskim zostały zobowiązane do ograniczenia zbrojeń, wydają dziś więcej na cele militarne niż przed wojną. Gdy formuły konwencyjne ograniczą budżety, w resortach wojskowych wzrosną budżety resortów cywilnych i to na cele militarne. Gdy zmniejszy się ilość uzbrojenia, to wzrośnie jego jakość. Tymczasem kwestia pokoju lub wojny nie jest sprawą wojska, uzbrojenia i budżetów militarnych; ona jest sprawą wychowania i psychiki ludzkiej. Nóż nie był wcale powodem ludożerstwa i jakiekolwiek ograniczenie fabrykacji noży nie przyczyniłoby się w najmniejszym stopniu do wykorzenienia zgubnego nawyku spoglądania jednego człowieka na drugiego, jako na przedmiot zadowolenia jego apetytu. Kradzieży nie trzeba leczyć przez ucięcie rąk wszystkim obywatelom świata w dniu ich narodzin. Toteż niezwykle słusznie polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych położyło nacisk na stronę moralną i wychowawczą w zagadnieniu rozbrojenia. Gdyby bowiem, zamiast „gumowych" paragrafów konwencyjnych, stworzono np. pod patronatem Ligi Narodów wielką Akademię Pokoju, w której w ciągu szeregu lat kształciłoby się liczny zastęp zdolnej młodzieży zarówno w naukach politycznych, jak też i w zasadach pokoju, gdyby nauczono ją rozumieć wszystkie konsekwencje wojen, sięgające nieraz w dalekie pokolenia, to oczy-

wiście uczyniono by dla sprawy pokoju stokrotnie więcej i pozytywniej niż przez konwencję, w którą w duchu nawet sami autorowie wierzyć nie będą. Jak inaczej wyglądałaby polityka światowa, gdyby po kilkunastu latach wychowankowie takiej szkoły znaleźli się w wielu państwach na kierowniczych stanowiskach, predestynowani do nich przez swą fachowość i nieosiągalny na innej drodze zasób praktycznej wiedzy politycznej, gdyby wzajemnie łączyła ich ufność i przyjaźń, na miejsce nieufności, niechęci i chytrości dzisiejszych międzynarodowych Pigmejów!

Nie możemy się jednak łudzić, że te idealne warunki trwałości i umiłowania pokoju opanują niebawem mózgi mężów stanu świata, że staną się nienaruszalną zasadą moralną w stosunkach międzynarodowych. Przeciwnie, stwierdzić mogliśmy poprzednio na podstawie rzeczowego materiału, którego tylko znikoma część jest dostępna i jawna, że siły organizujące się przeciwko Polsce wciąż wzrastają i mobilizują się. Pierwszym naszym obowiązkiem jest rachować na własne siły i mnożyć wszystkie wartości materialne i moralno-polityczne w społeczeństwie. Drugą zasadą jest tu utrwalenie i umocnienie istniejących już związków zacieśnienie kolaboracji z państwami i narodami, które rozumieją walor polityczny istnienia samodzielnej i zdolnej do egzystencji Polski. Pierwsze miejsce wśród tych państw zajmuje bez wątpienia Francja. Jej siła i jej powodzenie jest siłą i powodzeniem naszym, jest gwarancją pokoju dla Polski; jej niepowodzenie staje się automatycznie naszą klęską. Związek ten jest więc naturalną, biologiczną koniecznością, jest fundamentem niezmiennym i trwałym naszej polityki zewnętrznej. Musimy sobie jednak jasno zdać z tego sprawę, że we Francji nie istnieje dziś jeszcze zrozumienie dla wielu warunków i objawów naszego życia. Ten sam stan trwa i w wielu innych państwach i krajach, które

mogą się stać w przyszłości naszymi prawdziwymi i wiernymi przyjaciółmi. Pogłębienie i wszechstronne rozwinięcie stosunków politycznych i gospodarczych z Francją, wypracowanie tych stosunków na terenie Rumunii, Czechosłowacji, państw bałtyckich, a następnie wyzyskanie dynamicznych sił emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych, rozwinięcie stosunków przede wszystkim z Wielką Brytanią, Belgią, Holandią, państwami skandynawskimi, z Italią i Jugosławią, a wreszcie ograniczenie płaszczyzny tarcia i niechęci, uprzedzenia i nieufności w stosunku do innych państw i sąsiadów — oto liczne i ciężkie zadania, które muszą być wypełnione w przyszłości.

Trzecim wielkim celem egzystencji Polski, jako niepodległego państwa, jest jego rozwój ekonomiczny. Jest to cel tak doniosły i tak ważny, że dwa pierwsze, tj. właściwa i sprawna wewnętrzna organizacja państwa, oraz zasada pracy w imię utrwalenia pokoju, stają się z tego punktu widzenia tylko środkami, umożliwiającymi realizację tego podstawowego problematu naszego życia.

Można by wprost ustalić formułę, która zawsze będzie się potwierdzać, że to społeczeństwo będzie najbardziej przywiązane do własnego państwa, będzie wykazywać największą siłę obronną, które znajduje się w fazie pełnego rozwoju gospodarczego i narastania dobrobytu materialnego w najszerszych warstwach społeczeństwa. Intensywna i konkretna praca ekonomiczna, stwarzająca widoczne i realne wartości, wpływa też decydująco na kształtowanie się zdrowej psychiki społecznej; ona uczy patriotyzmu państwowego, wypierając ciasny i chorobliwy szowinizm; ona zmniejsza kontrasty społeczne i socjalne; ona budzi wiarę we własne siły narodu i zdrowe ambicje. Celem naszego wysiłku gospodarczego musi być w pierwszym rzędzie podniesienie stopy życiowej własnego obywatela. Stąd

więc problematu polskiego nie rozwiązuje umożliwienie kapitalizacji i narastania dobrobytu wśród nielicznych, najwyższych klas posiadających; wysiłek ten musi się skierować w stronę chłopa polskiego i w szerokie rzesze pracujące, gdyż tu leżą nie tylko wszystkie żywotne siły państwa, ale równocześnie i najbardziej istotne warunki rozwoju całej produkcji. Jeśli i na to zagadnienie zechcemy popatrzeć od strony praktycznej, jeżeli zamiast górnych słów chcemy mieć konkretne, widoczne i odczuwalne rezultaty, to musimy poddać się dyscyplinie pewnych zasad, szczególnie ważnych w okresie pierwszego przełamania istniejącego bezwładu gospodarczego. Przede wszystkim więc zasady polityki gospodarczej muszą być jak najściślej zdefiniowane. Apelem do patriotyzmu nie powrócimy do kraju wielu setek milionów kapitału polskiego, ukrytego po bankach zagranicznych, zakonspirowanego w różnych postaciach w skrytkach domowych; tym bardziej nie przyciągniemy do pozytywnej pracy gospodarczej kapitałów obcych, których napływ z państwowego punktu widzenia jest korzystny i pożądany. Zasady, którymi zechcemy się kierować, mogą być różne; w różnych też warunkach dokonywał się rozwój ekonomiczny w wielu ośrodkach zachodniej Europy. Ważną jest tylko ciągłość i niezmienność tej polityki w dłuższych okresach czasu. Lepsze rezultaty wydają prawa i stosunki dalekie od ideału, ale stałe, znane powszechnie i obliczalne, niż ustawiczne wypieranie jednej doskonałości przez drugą.

Następnie winniśmy ustalić zasadę, że naczelnym zadaniem państwa w tej dziedzinie jest usuwanie istotnych przeszkód, stojących na drodze rozwoju ekonomicznego Polski. Stąd wynika konieczność, by państwo i jego organy były dokładnie i ściśle poinformowane o sytuacji i ewolucji w każdej dziedzinie gospodarstwa społecznego. Ponieważ nadmiar dobra jest ta-

ką samą przyczyną zjawisk chorobliwych, jak i zbytek zła, przeto dopiero na podstawie tej dokładnej świadomości stanu faktycznego można stosować z korzyścią dla gospodarstwa społecznego i jego przyszłości tak potężne czynniki, znajdujące się w ręku państwa, jak polityka celna, traktatowa, taryfowa, jak system zwrotów ceł i ulg celnych, jak polityka podatkowa i reglamentacyjna. Ponadto ważnym czynnikiem w rozwoju gospodarstwa krajowego jest i bezpośrednia działalność ekonomiczna państwa. Nie „etatyzm" jest zły i szkodliwy, ale złe mogą być formy jego zastosowania. Nawet krańcowo liberalne państwa, jak np. Holandia, nie wyrzekły się etatyzmu. Walka toczona w Polsce przeciwko etatyzmowi, jako zasadzie, polegała na całkowicie powierzchownym ujmowaniu całego zagadnienia. Jak długo bezpośrednia działalność gospodarcza państwa ma charakter pioniera, wycinającego w nieprzebytej puszczy nowe drogi dla inicjatywy prywatnej, tj. buduje nowe koleje, uruchamia porty handlowe, stwarza pierwsze zawiązki floty handlowej, reguluje rzeki, stawia mosty, rozbudowuje poczty i lotnictwo, jak długo obejmuje zagadnienia gospodarcze, których inicjatywa prywatna rozwiązać nie może, nie chce, lub rozwiązuje z wyraźną szkodą społeczną, tak długo etatyzm sam przez się nie może wywołać zjawisk ujemnych. Istotne zło zaczyna się dopiero wówczas, gdy granica czynnej ingerencji państwa staje się zupełnie niewiadoma i nieokreślona, gdy każda najdziwaczniejsza nawet inicjatywa czynników biurokratycznych, nie umotywowana niczym innym, jak nadmiarem spaczonej w niewłaściwym kierunku pomysłowości, uzyskuje warunki realizacji. Wciskanie się państwa i jego instytucji do drobnych, sporadycznych zadań gospodarczych, które znacznie taniej i lepiej wykonać może inicjatywa prywatna, jest więc nie tylko szkodliwe z powodu siania zamętu w polityce gospo-

darczej, z powodu zbędnego absorbowania środków materialnych państwa, a zarazem osłabiania siły podatkowej przemysłu i handlu, ale właśnie współcześnie jest bezcelowe nawet z punktu widzenia doktryny uspołecznienia produkcji. Coraz wyraźniej bowiem państwo staje przed nowym i ważniejszym zadaniem, dotyczącym gospodarstwa narodowego, które samo przez się wzmaga dostatecznie ingerencję państwa w zagadnienia produkcji i wymiany. Jest to sprawa planowości w rozwoju ekonomicznym, zharmonizowania go nie tylko w obrębie postulatów i potrzeb rynku wewnętrznego, ale i zsynchronizowania go z ewolucją gospodarczą na rynkach międzynarodowych. Tak np. kartelizacja przemysłowa wyszła dziś daleko poza ramy inicjatywy prywatnej poszczególnych grup przemysłowych, a stała się zagadnieniem międzynarodowym. Wchodzi ona organicznie do nowych traktatów handlowych, łączy się ściśle i z kwestią preferencji celnych i zwrotów cła, wymaga współdziałania ustaw państwowych i jego zarządzeń, a więc w konsekwencji wciąga państwo w orbitę swoich zainteresowań i odwrotnie musi podlegać dyspozycjom państwowej polityki gospodarczej. W ten sposób i ten problemat podkreśla konieczność poddania walki zmiennych programów polityczno-gospodarczych pewnej dyscyplinie zasad, poza których granicami ustaje albo kurczy się realna możliwość rozwoju ekonomicznego. A zasadami tymi są: fachowość i najwyższy osiągalny obiektywizm władzy państwowej, poczucie zdrowego sensu w działaniu, sprawiedliwy stosunek do potrzeb pojedynczych warstw społecznych, i wreszcie największa stabilizacja i poszanowanie norm prawnych.

* * *

Oto stajemy wreszcie przy punkcie szczytowym horyzontu życia polskiego. Wielkie odległości albo zbyt

wielkie zbliżenia utrudniły może ścisłe i sprawiedliwe wymierzenie wielkości wszystkich, dostrzeżonych stąd zjawisk, faktów, stosunków i wartości. Być może, że jedne zostały pomniejszone, a inne zarysowały się w zbyt dużych rozmiarach. Jeżeli tak nawet jest, to wynika to z samej tylko wartości pracy ludzkiej. Ale widnokrąg jest pełny, daleki i głęboki. Mogliśmy spojrzeć stąd i skontrolować w jednej syntezie i przeszłość dawną i bliższą, i współczesność aż do najgłębszych warstw społecznych, aż do jej granicznych powiązań z problematami obcymi, aż do jej sumienia politycznego, i zamgloną i niepewną przyszłość. Na wielkiej drodze historii naszej, łączącej dawność z dniem dzisiejszym, zalega tyle ofiar, tyle poświęcenia bezinteresownego i bohaterskiego, tyle walk i wysiłków, tyle porywów i pragnień, by przywrócić Polskę niepodległą i zjednoczoną w blasku wolności, chwały i potęgi. W beznadziejnej sytuacji padali i ginęli jedni w imię tego wielkiego ideału państwowego z ostatnią myślą i ostatnim okrzykiem „jeszcze nie zginęła", a miejsca ich zajmowali natychmiast inni. Pociągała ich wszystkich promienna jasność obrazu przyszłej Polski, ale nie doczekali się realizacji swego marzenia. Doczekała go się dopiero ta część pokolenia współczesnego, która przeżyła wielkie wypadki dziejowe...

I właśnie, gdy przebyliśmy całą Polskę wszerz, wzdłuż i w głąb, gdy stanęliśmy na chwilę, by raz jeszcze ogarnąć cały obraz jednym rzutem oka, a może i serca, budzi się jakiś dziwny odruch, może nawet gniew czy żal, że tu tak mało tych jasnych, promiennych, upragnionych barw. Ze wszystkich stron sypią się trudności i przeciwieństwa, zza każdego węgła wyglądają jakieś upiory niebezpieczeństw. Każdy niemal szczegół życia przeradza się w jakiś splątany węzeł gordyjski, zewsząd wyrastają opory i hamulce! Cóż mogą obchodzić człowieka skazanego na szarą pracę w

tym ciężkim i monotonnym zawodzie jakieś zasady pracy zbiorowej i organizacji państwa, gdy on pragnie już dziś wiedzieć i wierzyć w wielkość własnej ojczyzny? Jego wewnętrzny bunt chciałby zmiażdżyć jednym uderzeniem spracowanej pięści wszystkie te analizy, syntezy, wszystkie zagadnienia, problematy, trudności, a przede wszystkim niedostępne dla jego własnej realizacji zasady i teorie. On chce wiedzieć i usłyszeć w tym właśnie miejscu całą prawdę o Polsce w jednym słowie, w jednym pewniku, który jest potrzebą jego własnego, indywidualnego życia. On domaga się z całym, bezwzględnym uporem odpowiedzi, czy ma jeszcze prawo iść w przyszłość z podniesioną głową i wyprostowanym kręgosłupem, z wiarą w tę Polskę, którą ma we własnej duszy i we własnym sercu, z pewnością w jej przyszłe zwycięstwa, czy też już dziś ma zgiąć swój kark przed wolą przemożnych losów i idących nawałnic, wobec niepokonalnych trudności i nadmiernego ciężaru, zwalonego na barki młodego państwa.

Tu więc, przy tym najwyższym szczycie widnokręgu, stoi wbity drogowskaz. Cóż jest tu napisane na tym ramieniu, wskazującym przyszłość: optymizm czy pesymizm? zwycięstwo czy klęska? życie czy śmierć?

Gdy rybak grecki, błąkając się po bezmiarach wód morskich, widział nadciągającą burzę, taką modlitwę kierował do boga, w którego ręku — jak sądził — spoczywały losy jego: „Neptunie! Wola Twoja jest wielka. Posiadasz siłę zniszczenia mnie od jednego zamachu fal lub uratowania mnie i doprowadzenia do cichej przystani, gdy taką będzie wola Twoja. Przypatrz się jednak, o Neptunie, że bogowie i mnie użyczyli siły mięśni i siły rozumu. Jeżeli zechcesz mnie zniszczyć, to zapewniam cię, że użyję wszystkich sił moich, daru bogów, by się bronić i przybić zwycięsko do brzegu!"

To samo poczucie nieraz budziło się w duszy zbiorowej Polski! Gdy zalał nas potop wielu wojen w połowie 17 wieku, gdy każdy z nieprzyjaciół kolejno pokonał nasze siły, gdy wszyscy razem zajęli wreszcie całą Polskę, gdy pozbawili nas wszystkich już środków materialnej obrony, pod uderzeniem tych klęsk przebudziła się nagle wola zwycięstwa i świadomość obowiązku państwowego, a wystarczył jeden wielki i solidarny odruch do pokonania nieprawdopodobnie wielkich trudności.

Gdy pod koniec 18 wieku trzy mocarstwa sąsiednie usprawiedliwiały zbrodnię podziałów tym, że usunęły tylko ze społeczności ludzkiej całkowicie zbutwiałe próchno państwowe polskie, nagle, ze zbiorowej duszy ówczesnego pokolenia, rozbłysnęły takie siły żywotne i młode, że musiały zdobyć wstępnym bojem szacunek dla imienia polskiego. Konstytucja 3 Maja, powstanie kościuszkowskie i Legiony obaliły pierwszy kamień węgielny podziałów.

Gdy zachodni zaborca, po zniszczeniu wszystkich elementów naszej siły i oporu, postanowił rozprawić się ostatecznie z żywiołem polskim w Poznaniu, na Pomorzu i Śląsku, gdy zmobilizował przeciwko bezbronnej ludności wszystkie, najpotężniejsze i najbardziej wszechstronne narzędzia walki, sam tylko wysiłek świadomej woli polskiej i celowej organizacji przyniósł Polsce ówczesnej i dzisiejszej największe zwycięstwo; nie wytępił, lecz pomnożył i wzmocnił szeregi społeczeństwa polskiego.

Gdy przyszła nowa nawała wojenna od wschodu na odrodzoną, nową, nie zorganizowaną, doszczętnie wyniszczoną, nie uzbrojoną, szarpaną ze wszystkich stron Polskę, gdy przyjaciele i przeciwnicy nasi liczyli już nie dnie, ale godziny ostatecznej zagłady polskości, nie bagnet, nie karabin, nie armaty, nie pieniądze, nie organizacja, nie liczba — ale sama wola zwycięstwa

i wolności przełamała cały potężny splot niebezpieczeństw i trudności, wzmacniając Polskę wewnętrznie i zewnętrznie.

Gdy niezwykłe, potężne huragany wojenne przewalały się przez szeregi lat przez ziemie polskie, gdy zniszczyły wszystko, co tylko zniszczyć się dało, wydawało się, że bez olbrzymiej zewnętrznej pomocy nie uda się odbudować jednej setnej części dokonanych spustoszeń i systematycznych rabunków; a przecież dziś resztki śladów wojennych giną w naszych oczach i wyłania się nowa Polska, nie ta sama, która była przed wojną, ale lepsza. A ten wysiłek i rezultat są wyłącznym dziełem woli, sił, zasobów i pracy polskiej.

Gdy w najcięższej sytuacji politycznej i gospodarczej stawaliśmy do najważniejszej naszej batalii, do plebiscytu na Śląsku, wszystkim przyciągającym walorom siły i dobrobytu Niemiec mogliśmy przeciwstawić jedynie odwołanie się do uczucia i wspólności narodowej. Jakże wielkie jest więc zwycięstwo śląskie, odniesione przez najprostszy lud pracy w tych warunkach.

Gdy zbilansujemy cały stan narodowy, gospodarczy, kulturalny, społeczny, organizacyjny Polski z r. 1918 i Polski dzisiejszej, gdy przeliczymy choćby tylko cały materialny przyrost wartości w tym krótkim i najtrudniejszym okresie czasu, to nie możemy zlekceważyć całego ogromu dokonanej pracy.

Gdy spojrzymy na potężny ciężar wojny celnej niemieckiej, spadającej na nas nie przygotowanych w r. 1925, grożący całkowitym załamaniem się produkcji węgla, nafty i rolnictwa, przynajmniej w ziemiach zachodnich, to dziwić się musimy, że dziś stopniał on tak szybko, że trudno już odnaleźć jego wagę. Przeciwnie, pozostawił on po sobie trwały i miły pomnik w postaci Gdyni i rozbudzenia zainteresowań morskich w społeczeństwie polskim, pobudził powstanie kilku nowych

przemysłów, a rezultaty te zawdzięcza społeczeństwo nasze samo sobie.

Czyż trzeba jeszcze dalej mnożyć przykłady, iż gdy chcemy, to potrafimy dobrze i wydajnie pracować? Co ważniejsze, okazywało się to w przeszłości niejednokrotnie i okazuje się dziś, że w warunkach trudnych i prawdziwie ciężkich, że przy powstawaniu nowych i nieoczekiwanych trudności społeczeństwo nasze pracuje lepiej, i wydajniej, i ofiarniej, i zgodniej niż w warunkach pomyślnych i pogodnych.

Obecnie stoimy ponownie przed splotem potężnych i licznych trudności. Pierwszym warunkiem zdolności pokonania tych oporów i przeciwności życia jest poznanie prawdy w całej jej wielkości i jasności i dostosowanie do niej metod naszej pracy i organizacji. Nie domagajmy się więc podawania nam tej prawdy rozczłonkowanej, pociętej i podzielonej, dawkami i w opłatku, dlatego, że gorzka. Tak przyprawiona prawda ma własności silnej trucizny! Prawda cała i pełna, choćby najgorsza i przykra, spotkana twarzą w twarz, z odwagą, spokojem, rozumem i wolą przezwyciężenia trudności, jest już sama przez się wartością pozytywną. Nieświadomość prawdy położenia stwarza zamęt i chaos w doborze środków postępowania i metod organizowania się; świadomość odkrywa jedynie właściwą drogę postępowania. Jeden ze starożytnych filozofów powiedział: „jeżeli nie wiesz, do jakiego portu masz się skierować, to wiatry pomyślne nie będą ci wiały". Dziś społeczeństwo polskie musi sobie uświadomić coraz dokładniej i jaśniej nie tylko to, do jakiego portu chce kierować własny okręt państwowy, ale zarazem musi przewidzieć i obliczyć, jak silne wiatry niepomyślne będą wiały w dalszym ciągu całej, długiej drogi historycznej.

Jeżeli wgłębimy się dokładnie w historię wysiłku ludzkiego, to często i na każdym polu spotkamy nie-

omal cudowne rezultaty i wyniki, sukcesy nieprawdopodobne, zwycięstwa pozornie nieoczekiwane. Były one zawsze następstwem twardej, cierpliwej, dobrze przemyślanej i właściwie zorganizowanej pracy; były konsekwencją stosowania pracy wydajnej, która „bynajmniej nie wymaga nadzwyczajnego wysiłku, lecz przeciwnie, polega na usunięciu wysiłków niepotrzebnych, nieproduktywnych i wszelkiego rodzaju strat" [1].

Historia światowa zna państwa i narody małe, otoczone ze wszystkich stron niechęcią i nieprzyjaźnią, które zdołały zachować i utrwalić swój byt niepodległy, które wywalczyły dla swej pracy i woli wolności tak wielki szacunek i autorytet, że żadna, najbardziej chciwa obca ręka nie poważy się przeciwko nim podnieść.

Historia zna narody, które były biedne, których kraj nie został obdarzony przez naturę ani urodzajną glebą, ani bogactwami podziemnymi, które nie posiadały własnych kapitałów; całym majątkiem ich była tylko chęć do pracy i wola pokonania trudności, choćby przy pomocy najcięższych ofiar; dziś narody te są bogate, zasobne i nie znają pojęcia nędzy ludzkiej.

Historia zna państwa, które składają się z różnych elementów narodowych, obcych i przeciwstawnych sobie. A przecież umiejętna, roztropna i umiarkowana polityka tych państw doprowadziła do pozytywnego rozwiązania nawet tych, najtrudniejszych problematów; narodowości te są solidarne i zjednoczone wobec idei własnego państwa.

Historia świata zna problematy, które wydawały się nierozwiązalne z powodu samej istoty swojej; a przecież rozum ludzki okazał się stokrotnie silniejszy od wszystkich trudności i przeciwieństw. Rzeki, które przez tysiące lat niszczyły dorobek społeczny, pracują

---

[1] H. Emerson, *Dwanaście zasad wydajności*, s. 342.

dziś w karnej dyscyplinie dla rozwoju cywilizacji; azot w powietrzu, który zgodnie ze swą nazwą grecką był przeciwieństwem życia, został zmuszony do ścisłego współdziałania w budzeniu i mnożeniu życia; w czasie wielkiej wojny po jednej stronie frontu zgromadziła się prawie cała produkcja pochodnych ropy naftowej, po drugiej stronie prawie cała technika chemicznej przeróbki węgla; w tym czasie obie grupy produktów wiązały się z samą możliwością prowadzenia wojny. Po jednej stronie frontu więc rozwiązano zagadnienie produkcji pochodnych węgla z ropy naftowej, po drugiej odwrotnie z pochodnych węgla wytwarzano produkty naftowe. Gdy epoki geologiczne przetworzyły dawny żar słońca, dawną bujną, barwną i kwiecistą roślinność, dawne długotrwałe warunki życia w węgiel kamienny, rozum ludzki wydarł temu czarnemu materiałowi wszystkie jego, tak skrzętnie ukryte wartości. Produkuje więc z węgla nie tylko dawny żar słoneczny, ale również tysiące barwników, tysiące lekarstw i zapachów. Myśl i słowo ludzkie przenosi się dziś przy pomocy fal elektrycznych prędzej niż najpotężniejsza burza; powietrze przestało być zaporą ruchu dla człowieka.

Czemuż więc nie moglibyśmy pokonać zwycięsko naszych wielkich trudności i dysproporcji, stłoczonych w tym, czym jesteśmy dziś, i w tym, czym chcemy i musimy być w przyszłości? Nie mamy zresztą wolnego wyboru. Jedna tylko droga stoi przed nami otworem, coraz szersza, coraz pewniejsza, coraz lepsza. A obok tej drogi, na wszystkie strony, manowce, bezdenne przepaście i groźba zguby.

W tym bowiem miejscu Europy, gdzie leży Polska, istnieć może tylko państwo silne, rządne, świadome swych trudności i swego celu, wolne, rozwijające bujnie indywidualne wartości każdego człowieka, a więc demokratyczne, zwarte i zorganizowane, solidarne i sil-

ne wewnętrznie, budzące szacunek na zewnątrz, przeniknięte walorami kultury i cywilizacji, państwo nowoczesne, zachodnie, mnożące w wyścigu pracy własne wartości materialne i moralne. Czyż możemy się wahać, stojąc u drogowskazu, gdzie pójść?

Kalendarium życia i działalności

1888 — 30 grudnia urodził się w Krakowie
1903—1907 — Gimnazjum jezuitów w Chyrowie
1907—1910 — Studia na Wydziale Chemii Technicznej Politechniki Lwowskiej
1907 — Związek z organizacjami niepodległościowymi
1909 — Członek grupy „zarzewiackiej" Politechniki Lwowskiej
1910—1912 — Kontynuacja studiów na Wydziale Chemii w Monachium
1912 — Dyplom inżyniera chemika
1912—1913 — Specjalizacja w zakresie barwników syntetycznych pod kierunkiem prof. G. Schultza w Monachium
1913 — Praktyka w gazowni lwowskiej
IX 1913—1916 — Kierownik ruchu gazowni w Lublinie
1916—1919 — Służba w Legionach Polskich
11 XI 1918 — Udział w rozbrajaniu Niemców w Łukowie
IV 1919—1921 — Zastępca kierownika wydziału Sekcji VI Chemicznej Głównego Urzędu Zaopatrzenia Armii
1921 — Członek Zarządu Państwowej Fabryki Destylacji Drewna w Hajnówce — wykłady (na stanowisku docenta) na Politechnice Warszawskiej
1 I 1923—7 VI 1926 — Dyrektor techniczny Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Chorzowie
1923—1926 — Przewodniczący Polskiego Stowarzyszenia Inżynierów i Techników na Górnym Śląsku
8 VI 1926—4 XII 1930 — Minister przemysłu i handlu
1928—1930 — Poseł na Sejm
1931 — Opublikowanie „Dysproporcji"
1 I 1931—12 X 1935 — Naczelny dyrektor Państwowych Zjednoczonych Fabryk Związków Azotowych w Chorzowie, Mościcach i Jaworznie

1934 — Powołany na członka Akademii Nauk Technicznych w Warszawie

13 X 1935—30 X 1939 — Minister skarbu i wicepremier

1936 — Powołany na członka honorowego Polskiego Towarzystwa Chemicznego i członka zwyczajnego Towarzystwa Naukowego Warszawskiego

1939—1945 — Internowany w Rumunii

1945—1948 — Delegat rządu do spraw odbudowy Wybrzeża

1947 — Poseł na Sejm

IV 1948 — Zwolniony ze stanowiska delegata rządu

1950 — Powołany na prezesa Komitetu Nauk Technicznych Polskiej Akademii Umiejętności

1974 — Doktorat honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego

1974 — *22 sierpnia* zmarł w Krakowie

Bibliografia selektywna prac Eugeniusza Kwiatkowskiego (w układzie chronologicznym)

Przemówienie w Komisji Budżetowej Sejmu w dniu 6 XII 1926, Warszawa 1926.
Postęp gospodarczy Polski, Warszawa 1928.
Polska gospodarcza w roku 1928, Warszawa 1928.
Współczesne zagadnienia ekonomiczne na tle zagadnień politycznych, Warszawa 1928.
Rekonstrukcja gospodarstwa Polski, Warszawa 1929.
Tendencja i postulaty rozwoju gospodarczego Polski, Warszawa 1930.
Istotne założenia w walce o nowy ustrój, Warszawa 1930.
Kryzys współczesny i zagadnienie odbudowy życia gospodarczego, Warszawa 1935.
W walce z teraźniejszością o lepszą przyszłość gospodarczą, Warszawa 1935.
Walka o nową Polskę, Warszawa 1936.
O wielkość Rzeczypospolitej, Warszawa 1938.
Przez zjednoczenie ku potężnej Polsce, Warszawa 1938.
Rzecz najważniejsza — Polska, Warszawa 1938.
Budujemy nową Polskę nad Bałtykiem, Warszawa 1945.
O przyszłość Polski nad morzem, Gdańsk 1945.
Pięć tez gospodarczych nowej Polski, Katowice 1947.
Polska i jej morze, Kraków 1947.
Przełomowe momenty w nowoczesnej historii gospodarczej świata, Kraków 1947.
Zarys dziejów gospodarczych świata, t. I, Warszawa 1947.
Powiązania funkcjonalne w polityce gospodarczego planowania na Wybrzeżu, Gdańsk 1948.

Spis treści

„Czytelnik", Warszawa 1989. Wydanie I.
Nakład 9650+350 egz. Ark. wyd. 17,6; ark.
druk. 19,8 A1. Papier druk. m/gł. 82×104,
kl. IV, 70 g. Druk ukończono w sierpniu
1989 roku
Zakłady Graficzne w Toruniu
Zam. wyd. 717; druk. 802. U-70.

Cena zł 2100.—
Printed in Poland

Seria „Polska myśl polityczna" obejmuje wybory prac czołowych polityków i publicystów polskich XX wieku, którzy odegrali istotną rolę w kształtowaniu nowoczesnej myśli politycznej. We współczesnej świadomości społecznej poglądy autorów przedstawianych w tej serii nadal funkcjonują, często jednak w postaci zniekształconej, dalekiej od swych rzeczywistych treści, a wokół twórców i ich dzieł z biegiem lat narosło wiele mitów i legend. „Teksty" najbardziej reprezentatywne dla postaw politycznych autorów — opracowane przez wybitnych znawców przedmiotu — powinny przyczynić się do zweryfikowania wielu stereotypowych ocen oraz rozwoju kultury politycznej społeczeństwa.

Ignacy Daszyński „Teksty", Warszawa 1986

W przygotowaniu „Teksty":
Stanisława Cata-Mackiewicza
Tadeusza Hołówki
Mieczysława Niedziałkowskiego
Wincentego Witosa

Cena zł 2100,— ISBN 83-07-01311-9